

NAJBARDZIEJ ZASKAKUJĄCA
OPOWIEŚĆ O DOLLANGANGERACH OD CZASÓW
KWIATÓW NA PODDASZU

TAJEMNICZY BRAT

Virginia C. Andrews

Prószyński i S-ka

Virginia C. Andrews

TAJEMNICZY BRAT

Przełożyła
Małgorzata Fabianowska

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
SECRET BROTHER

Copyright © 2015 by Vanda Productions, LLC

Projekt okładki
Izabella Marcinowska

Zdjęcie na okładce
Dave Wall/Arcangel Images; baona/iStockphoto.com

Redaktor prowadzący
Joanna Maciuk

Redakcja
Joanna Habiera

Korekta
Katarzyna Kusojć
Agnieszka Ujma

ISBN 978-83-8097-673-3

Warszawa 2016

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

*Dla Gene Andrews,
która tak bardzo pragnęła zachować
dorobek swojej siostry*

Prolog

Zapewne do końca życia będę pamiętać, co robiłam w drugą sobotę października. Jak zwykle spędzaliśmy późne lato w Wirginii, ale w tym roku mogliśmy się nim cieszyć dłużej niż zwykle. Przed sześcioma dniami pojawił się pierwszy przymrozek, więc nikt nie spodziewał się załamania pogody. Miałam wtedy szesnaście lat i pogodowych katastrof przeżyłam niewiele – zwłaszcza w porównaniu z dziadkiem, który miał osiemdziesiąt pięć lat, albo naszą nianią, sześćdziesięcioletnią Myrą Potter. W bujnej zieleni krzaków i drzew na terenie naszej posiadłości nie sposób było dopatrzeć się pierwszych barw jesieni. Ludzie, zwłaszcza młodzi, po pracy i po szkole nosili koszulki z krótkimi rękawami, a nawet szorty. Poprzedniego dnia dziadek postanowił na weekend podgrzać wodę w basenie, żebyśmy mogli się wykapać.

Pogodę tamtego dnia pamiętam doskonale, gdyż wydawała się tak nie na miejscu w obliczu tego, co miało za chwilę nadejść. Na niebie nie gromadziły się żadne mroczne, złowrogie chmury. Szkoda, bo gdyby padało, mój dziewięcioletni brat Willie nie wyszedłby na dwór. Ten dzień, ta piękna pogoda stały się naszym przekleństwem.

Byłam na górze, w swoim pokoju. Siedziałam przy biurku i wyglądałam przez okno wychodzące od frontu. Był to jeden z tych leniwych poranków, kiedy ptaki, zamiast latać, wołały siedzieć na gałęziach, napuszone i senne. Nawet chmurom nie chciało się ruszyć. Jak zwykle w sobotę o dziesiątej trzydzieści zadzwoniłam do mojej najnowszej serdecznej przyjaciółki, Lili Stewart, żeby zaplanować nadchodzące popołudnie. Zastanawiałam się nad przyjęciem nad basenem.

Stewartowie niedawno kupili posiadłość, która od północy graniczyła z posesją dziadka. Także ich ziemie miały ponad dziesięć akrów, więc przejście piechotą od jednego do drugiego domu zajmowało kwadrans. Posiadłość rodziców Lili, podobnie jak nasza, miała paradną bramę i długi

podjazd. Żeby się tam dostać, trzeba było zadzwonić domofonem przy bramie. Przeważnie kursowałyśmy do siebie na rowerach, przejazdy zajmowały nam pięć minut.

Willie nie mógł się doczekać samodzielnej jazdy. Po raz pierwszy miał wyjechać nowym rowerem poza bramę. Dziadek Arnold podarował mu ten rower na dziewiąte urodziny, ale dotychczas pozwolono Williemu tylko na dwie krótkie przejażdżki po ulicy, za każdym razem pod moim nadzorem. Wzdłuż jezdni, po obu jej stronach, biegł równy, nienagannie czysty chodnik, mało uczęszczany, gdyż ludzie z okolicy przemieszczali się głównie samochodami, mały Willie mógł zatem jeździć tam bezpiecznie. A przynajmniej tak nam wszystkim się wydawało.

Przez otwarte okna mojego pokoju wpadał delikatny powiew. Myra kazała służbie dwa razy w tygodniu wietrzyć dom, nawet w zimie. Skrupulatnie wypełniano jej rozkazy, jak gdyby wydał je sam dziadek. Lila czytała mi właśnie przez telefon listę dziewczyn i chłopaków, których powinnam zaprosić, gdy nagle usłyszałam rozpaczliwy krzyk mężczyzny wzywającego pomocy. Za moment Jimmy Wilson, szef domowej ekipy technicznej, wybiegł gdzieś z boku i puścił się biegiem przez podjazd. Przez okno zobaczyłam mężczyznę w ciemnoniebieskim garniturze, który kurczowo ścisnął pręty bramy i szarpał je z krzykiem, jakby próbował wydostać się z więzienia. Pamiętam, że miał włosy białe jak wata, kosmyki tańczyły mu wokół głowy, kiedy się tak miotał.

Jimmy otworzył bramę. Mężczyzna mówił coś do niego i gestykułował jak szalony. Jimmy odwrócił się do swoich ludzi, którzy właśnie nadbiegli, i kazał im wezwać karetkę. Następnie wypadł razem z mężczyzną za bramę i pobiegli w prawo, po czym zniknęli za gęstym żywopłotem, który okalał posiadłość dziadka. Był tak wysoki i gęsty, że przypominał mur.

– Coś się stało – przerwałam trajkotanie Lili. – Chyba coś strasznego.

– Gdzie?

– Na ulicy, koło naszej bramy. Zadzwonię do ciebie później. – Wyłączyłam się, zanim zdążyła powiedzieć słowo. Błyskawicznie założyłam tenisówki i jak torpeda wypadłam z pokoju. Nie miałam powodu podejrzewać, że to wydarzenie dotyczy nas, ale serce waliło mi tak, jakby miało wyskoczyć z piersi. Dziadek też wyszedł i już spieszył do bramy. Krzyknęłam do niego, ale nawet jeśli mnie usłyszał, nie zwolnił, aby nie tracić czasu, więc popędziłam za nim.

Kiedy wybiegłam za bramę i zwróciłam się w prawo, zobaczyłam czerwonego pikapa, który musiał wyhamować na chodniku. Kierowca siedział nieruchomo, z głową opartą o kierownicę. A obok na chodniku leżał mój młodszy brat Willie. Nad nim klęczała Myra. Parę minut temu wyszła z nim za bramę i zgodziła się, żeby na swoim rowerku towarzyszył jej w wyprawie do pobliskiego sklepu. Dziadek, Jimmy i nieznajomy, który był świadkiem wypadku, właśnie stanęli nad Myrą i moim bratem. Zobaczyłam jego rower, zgięty w literę L, wbity w żywopłot.

– Dziadku! Czy Williemu coś się stało?! – zawołałam.

Dziadek ukląkł przy nim.

– Nie podchodź, Claro Sue. – Powstrzymał mnie gestem, niczym policjant kierujący ruchem. – Stój tam.

Zamarłam, przerażona nutą hysterii w jego głosie. Dziadek zwrócił się do Jimmy’ego, który podtrzymywał głowę Williego, żeby nie leżała na chodniku. Nieznajomy przykląkł przy Myrze i próbował ją uspokoić. Za moment wstał, podszedł do pikapa i zaczął wrzeszczeć na kierowcę, ale tamten milczał i tylko na moment uniósł głowę znad kierownicy. Wycie syreny się przybliżało. Po chwili ratownicy medyczni wyskoczyli z karetki i biegli ku nam. Delikatnie podnieśli Williego i położyli go na noszach. Strużka krwi spływała mu z lewej strony twarzy. Gwałtownie wciągnęłam powietrze. Gardło tak mi się zacisnęło, że nie mogłam przełknąć śliny. Drżałam na całym ciele.

– Dziadku! – krzyknęłam. Nawet nie spojrzał na mnie. Znów uczynił ten gest, zakazujący mi się zbliżyć. Patrzył, jak ratownicy wyciągają drugie nosze i pomagają Myrze się na nich położyć. Zacisnęła powieki, musiało ją bardzo boleć. Za moment zatrzaśnięto drzwi ambulansu. Dziadek i Jimmy Wilson minęli mnie w pośpiechu.

– Chodź, Claro Sue! – zawołał nagle dziadek, więc ruszyłam za nimi. Pokojówki, ogrodnicy z resztą służby stali w bramie i patrzyli na nas. Jimmy zaczął im tłumaczyć, co się stało, a ja wskoczyłam do samochodu dziadka. Ruszył tak szybko, że ledwie zdążyłam zamknąć drzwi. Z piskiem opon zakręcił na jezdni, wcisnął gaz i pomknął za ambulansem. Na miejsce wypadku dotarły już dwa wozy policyjne. W lusterku widziałam, że kierowca pikapa usiadł prosto i odpowiada na pytania policjantów. Opony przeraźliwie zapiszczały na zakręcie. Nigdy nie widziałam, żeby dziadek tak szaleńczo prowadził.

– Czy Willie wyzdrowieje, dziadku? – spytałam.

– Nie wiem – odparł.

Dotychczas, kiedy działo się coś złego, dorośli zapewniali mnie zawsze, że wszystko będzie dobrze. Tylko dziadek Arnold nigdy nie okłamywał mnie ani Williego. Przy tym zawsze starał się nas pocieszać i łagodzić nasze lęki. Tak było, kiedy rodzice zginęli cztery lata temu we Włoszech, pod Neapolem, w wypadku jachtu na morzu. My w tym czasie byliśmy u dziadków. Dla naszych rodziców miała to być ich wymarzona podróż.

– Ten człowiek był pijany – wycedził nagle dziadek przez zaciśnięte zęby. Nie znałam żadnego mężczyzny, który miałby bardziej twarde i silne rysy niż dziadek Arnold. Jakby jego twarz wyrzeźbiono z granitu. Nie czerwieniała z gniewu, tylko szarzała. Kiedy kierował na ludzi spojrzenie orzechowych oczu, uderzał w nich swoim gniewem i zaczęli drżeć.

– Pijany?

– Pijany! O tej porze dnia! Pijany!

– Jak on to zrobił?

– Jak? Stracił panowanie nad kierownicą i wpadł na chodnik. Zamiast hamulca zapewne nacisnął gaz, więc oboje nie mieli szans. Jest winien tak samo, jakby zrobił to celowo.

– Kim on jest? – spytałam. Potrzebowałam tej rozmowy, żeby zagadać ciszę. Serce nadal waliło mi jak młotem i byłam pewna, że w ciszy dziadek usłyszałby ten łomot.

– To jakiś obibok. Jimmy powiedział, że pracuje w hurtowni hydraulicznej Mackingberry. – Urwał i nabrał powietrza. – Już tam nie popracuje, zadbam o to – warknął.

Dziadek prowadził tak szybko, że dojechaliśmy zaraz po ambulansie. Ratownicy wieźli właśnie Williego i Myrę na oddział ratunkowy. Dziadek stanął w strefie zakazu parkowania i wyskoczył z samochodu, z trzaskiem zamykając drzwi. Ledwie za nim nadążałam. Miało się wrażenie, jakby chciał przebić szklane drzwi szpitala, zamiast tracić cenne ułamki sekund na otwarcie ich. Pchnął je z taką siłą, że omal nie wyrwał ich z zawiasów. Twarz płonęła mu furją, a oczy ciskały błyskawice. Na jego widok wszyscy w holu zamilkli.

W poczekalni był straszny tłok; ludzie z mniej poważnymi urazami czy chorobami czekali na swoją kolej, przeważnie w towarzystwie bliskich. Dziadek nigdy nie miał zwyczaju czekać, aż pojawi się ktoś, kto udzieli mu informacji, więc tym bardziej nie zamierzał czekać teraz. Wszedł do ambulatorium razem z pielęgniarką, pomimo jej protestów, mnie pociągnął za

sobą. W tym momencie jeden z lekarzy wyłonił się z gabinetu.

– Tu jest mój wnuk – oznajmił krótko dziadek.

– Który?

– Jak to?

– Prawie jednocześnie trafili do nas dwaj chłopcy – wyjaśnił lekarz. – Jednego przywiozła karetka, a drugiego zostawił jakiś idio... – Urwał, gdy spostrzegł, że stoję obok. – Ktoś przyprowadził malca i zniknął bez słowa.

– Mój wnuk był w karetce. Potracił go pijany kierowca. Razem z nim przywieziono jego nianię.

– Dobrze. Proszę chwilę poczekać. Sprawdzę w rejestracji, dokąd trafił pański wnuk. Wiem, że jego niania jest w ostatnim gabinecie na prawo.

Pospieszaliśmy na koniec korytarza, gdzie widać było grupę lekarzy i pielęgniarek.

Właśnie wtoczono do sali jakieś dziwne medyczne urządzenie. Dziadek spojrzał na mnie ponuro.

– Zostań tutaj – nakazał i wszedł tam, choć personel usiłował go zatrzymać.

Czekałam, wstrzymując oddech. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Wszyscy byli zbyt zapracowani. Pielęgniarki wbiegały i wybiegały. Pojawił się jeszcze jeden lekarz, tym razem w kitlu narzuconym na garnitur, ze stetoskopem na szyi. Szybkim krokiem wszedł do sali, w której czekał już dziadek. Nie miałam pojęcia, ile czasu minęło od tej chwili; dla mnie każda sekunda stawała się minutą, a minuta – godziną. Wreszcie zobaczyłam wychodzącego dziadka. Szedł wolno, z opuszczoną głową, a lekarz w garniturze mówił coś do niego uspokajającym głosem, trzymając mu dłoń na ramieniu. Wreszcie pożegnał się i odszedł, a dziadek zatrzymał się i stał ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Nagle w mojej głowie rozległ się ten sam przenikliwy, alarmujący dźwięk, który po raz pierwszy usłyszałam na chwilę przedtem, kiedy powiedziano mi o śmierci rodziców w dziwnym wypadku jachtu, tysiące mil stąd, na błękitnym morzu, w promieniach słońca, wśród szczęścia i śmiechu. Miałam wrażenie, jakby ktoś wyssał ze mnie całe powietrze. Potem znów usłyszałam ten sam sygnał alarmowy – kiedy dziadek wrócił ze szpitala i powiedział mi, że babcia Arnold umarła na skutek rozległego wylewu. Wtedy zapomniałam o oddychaniu i tak samo było teraz.

Kiedy dziadek Arnold w końcu uniósł głowę i popatrzył na mnie, już wiedziałam – Willie odszedł.

Wkrótce miałam się dowiedzieć, że jednak nie odszedł na zawsze.

1

Tak samo jak wtedy, kiedy usłyszałam koszarne wieści o naszych rodzicach, a potem o babci Arnold, nie rozplakałam się od razu. Jakaś częśćka mnie nie chciała przyjąć tego wszystkiego do wiadomości. Słowa przepływały koło mnie jak banieczki unoszone przez wiatr, które pękały, zanim zdążyłam je złapać. Ale przecież wiedziałam. Głęboko w mojej duszy, dokąd sięgałam po nadzieję i miłość, gdzie jak książki na półkach leżały moje najpiękniejsze sny, czekając, aż sięgnę po nie nocą, legła się zimna, mroczna świadomość. Wzbierała, grożąc przejęciem mojego umysłu. Walczyłam z tą falą, ale rozlewała się niepowstrzymanie. Pomimo wysiłków wiedziałam, że za moment poddam się rozpacz.

W milczeniu szliśmy korytarzem. Duża, silna dłoń dziadka spoczywała uspokajająco na moim ramieniu, a ja trzymałam go za koszulę. Mieliśmy potrzebę trzymania się siebie nawzajem, pocieszenia.

Usiedliśmy na krzesłach przed gabinetem zabiegowym. Dziadek trzymał mnie za rękę i trwał nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Jego twarde rysy wydawały się wykute w kamieniu. Nagle wydało mi się, że dźwięki wokół ucichły, jak gdybym straciła słuch. Teraz czekaliśmy na wiadomość, co z Myrą. Właśnie robiono jej prześwietlenie. Czy ona też umrze? Wtem dziadek uniósł głowę. Lekarz, z którym rozmawialiśmy jako pierwszym, wyłonił się z gabinetu. Rozmawiał z pielęgniarką. Dziadek podszedł do niego. Nie miałam pojęcia, o co spytał, ale jego słowa wyraźnie przyciągnęły uwagę lekarza. Poprowadził dziadka w stronę innych sal. Po chwili zniknęli za rogiem. Może dziadek chciał się dowiedzieć czegoś o Myrze?

Nie ruszyłam się z miejsca. Nie byłam pewna, czy nogi mnie utrzymają. Ciągłe mi drżały. Bałam się patrzeć na innych ludzi, choć czułam ich spojrzenia. Czy wiedzieli o Williem? A może czekali, aż się załamie i wybuchnę płaczem? Niektórzy sami byli bliscy płaczu.

Nagle, nie wiadomo czemu, zaczęłam się zastanawiać, co teraz robią moje

przyjaciółki. Szykują się do lunchu? Oglądają telewizję? Paplają przez telefon i chichoczą? A co robią nauczyciele Williego? Czy ktoś teraz o nim myśli? Jaka jest atmosfera w domu dziadka? Czy ktokolwiek się uśmiecha? Czy raczej cała służba czeka w napięciu na telefon z wiadomością ze szpitala? A może ktoś już tam zadzwonił?

Zerknęłam na małego chłopca, ściskającego mamę za rękę, tulącego się do niej i ssącego kciuk. Większość ludzi starała się omijać innych wzrokiem, jakby obawiali się widoku rozpacz czy tragedii. Siedzieli wpatrzeni w podłogę, nieruchomi jak posągi.

Wreszcie dziadek wyłonił się zza rogu, ale sprawiał wrażenie, jakby o mnie zapomniał. Pobiegłam ku niemu. Może to, o czym mówiliśmy, nie było prawdą. Może Willie wcale nie umarł.

– Założyli Myrze gips na lewą rękę – oznajmił. – Jest złamana, tak samo jak trzy żebra; poza tym biedaczka ma parę sińców i lekkie wstrząśnienie mózgu. Niedługo wyjdzie do domu.

Jego troska nie była niczym dziwnym, bo Myra Potter stała się już częścią rodziny. Od niepamiętnych czasów prowadziła moim dziadkom dom, a potem opiekowała się mną i Williem po tragicznej śmierci naszych rodziców. Nianczyła również moją mamę i jej młodszego brata, wujka Bobby'ego. Wspólnik dziadka w interesach polecił mu kiedyś Myrę, która dawniej pracowała dla lorda i lady Willowsby w Londynie. Po śmierci lady lord Willowsby przeniósł się do Kornwalii, aby zamieszkać z synem i synową, Myra przybyła do Ameryki i podjęła pracę u dziadków. Trudno było wyobrazić sobie ten dom bez niej. Wszystko, co się w nim znajdowało, traktowała jak osobistą własność i – jak mówiła babcia – „dbała o nasz majątek bardziej niż ja i dziadek”.

Myra była drobna i niepozorna, ale jej ciemnoszare oczy robiły się niemal dwa razy większe, kiedy coś ją zdenerwowało lub rozgniewało. Miała szczupłą twarz o surowych rysach, a jej uśmiech – jeśli sobie na niego pozwoliła – zdawał się wydobywać z ukrytej głębi. Wiedziałam, że pokojówki dziadków strasznie się jej bały i zwykle żadna nie wytrzymała dłużej niż pół roku. Z kolei ludzie zajmujący się terenem – ogrodnicy, opiekun basenu czy sezonowo zatrudniani pracownicy – starali się, jak mogli, żeby swoją pracą zasłużyć na jej uznanie, zanim jeszcze skontrolował ich dziadek.

– Dobrze, ale co z Williem? – zapytałam, mając nadzieję na inną odpowiedź niż wcześniej.

Dziadek pokręcił głową. Jego twarz nadal miała odcień popiołu. Kiedy był czymś głęboko zmartwiony lub zdenerwowany, sprawiał wrażenie, jakby zatrząskiwiał się, zamykał w sobie, nie chcąc dać ujścia gniewowi, rozpaczyci ani innym uczuciom, które nim targały. Ciśnienie narastało w nim jak para w kotle i wydawało się, że eksploduje. Ale jedyną oznaką wewnętrznego wrzenia były lekko drżące dłonie i usta. Ktoś, kto go nie znał, nawet by tego nie zauważył, albo zauważył zbyt późno – zwłaszcza kiedy dziadek Arnold był wściekły. Wtedy babcia Arnold mawiała: „Biada temu, kto wszedł mu w drogę!”.

Dziadek był najsilniejszym i najbardziej imponującym mężczyzną, nie tylko w moich oczach. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ważył dziewięćdziesiąt kilogramów i był masą twardych mięśni, bez grama tłuszczu. Kiedyś pracował jako kierowca ciężarówki, a obecnie szefował własnej firmie przewozowej, jednej z największych w kraju. Dawniej cierpiał, kiedy długie trasy zmuszały go do rozłąki z rodziną, toteż z czasem założył firmę i rozbudował ją, szybko osiągnął finansowy sukces, kiedy weszła na giełdę. Nie miałam pojęcia, jak bogaty jest dziadek, ale większość ludzi, których znałam, uważała go za jednego z najbogatszych przedsiębiorców w kraju. Gdziekolwiek był, ludzie strasznie mu nadskakiwali.

Dziadek położył mi rękę na ramieniu, a potem przyciągnął do siebie i przytulił. Staliśmy tak, a lekarze i pielęgniarki mijali nas obojętnie, jakbyśmy byli niewidzialni, co jeszcze bardziej podkreślało dziwną, nierealną atmosferę tej sytuacji.

– Chodź – powiedział wreszcie, rozluźniając uścisk. Wziął mnie za rękę i poprowadził korytarzem do gabinetu, w którym personel zajmował się bardzo małym chłopcem. Malec, choć obstawiony złowrogo wyglądającym sprzętem, nawet nie pisnął. Nie płakał i w przeciwieństwie do dzieci w jego wieku nie wzywał mamy. Po prostu leżał na stole zabiegowym, a jego otwarte, niebieskie oczy były tak samo nieruchome i szkliste jak oczy ludzi w poczekalni. Błada twarzyczka zdawała się zlewać z białą poduszką, obramowana pozlepianymi, jasnymi włosami. Pomyślałam, że wygląda jak upadły anioł; cherubinek, którego przykuto do szpitalnego łóżka i który nie ma siły powiedzieć słowa.

– Co z nim jest? – zapytałam, łykając łzy.

– Podobno został otruty.

– Otruty?

– Tak, arszenikiem. Lekarze nie wiedzą, czy ktoś świadomie podał mu truciznę, czy mały zjadł na przykład trutkę na szczury.

Skrzywiłam się, powstrzymując odruch wymiotny.

Spojrzałam na dziadka i zobaczyłam na jego twarzy nowy, nieznany mi wyraz. Grozę, gniew i głęboki smutek, obecne w chwili, kiedy jechaliśmy do szpitala, zastąpiły współczucie i zainteresowanie – uczucia, które ujawniał bardzo rzadko, w takich chwilach jak śmierć moich rodziców czy śmierć babci Arnold. Na co dzień był niezwykle opanowany, jakby ustanowił sobie jasno określoną granicę, do jakiego stopnia szczerze może się uśmiechać czy śmiać się, a na ile musi powściągać swoje uczucia w stosunku do innych ludzi. Zaspokajał wszystkie potrzeby moje i Williego, ale ciągle miałam poczucie, że robi to niemal automatycznie, główną troskę o nas scedował zaś na Myrę.

Zastanawiałam się, o co dziadkowi chodzi. Dlaczego tak długo przyglądamy się temu chłopcu? Czy ma to zmniejszyć nasz żal po stracie Williego? Nie sądziłam, że cokolwiek mogłoby tu pomóc.

– Porzucono go tutaj – wyjaśnił dziadek, uważnie obserwując działania lekarzy i pielęgniarek przy chłopcu.

– Porzucono?

Wreszcie spojrzał na mnie.

– Tak powiedział mi doktor. Ponoć ktoś przywiózł dziecko do szpitala i zaraz odjechał, nie podał żadnych danych. Nie powiedział nawet, co dolega dziecku. Wszystko stało się tak szybko, że nikt nie zdążył zareagować.

– Ale co to ma wspólnego ze mną i z Myrą, dziadku?

Spojrzał na mnie, ale nie odpowiedział. Znów przeniósł wzrok na chłopca i skinął głową, jakby ktoś jeszcze przemawiał do niego.

– Gdzie jest Willie? – zapytałam, kryjąc zniecierpliwienie. Dlaczego nie idziemy do Williego, tylko do jakiegoś obcego chłopca? Może mój brat wyglądał tak okropnie, z twarzą odmienioną przez śmierć, że nie powinnam go oglądać? A przecież bardzo chciałam go dotknąć, popatrzeć na niego ostatni raz, pożegnać go! Może nawet, gdyby wiedział, że jestem przy nim, wróciłby do życia? Choć nie byłam już małym dzieckiem, wciąż wierzyłam w cuda.

– Na razie przeniosą go do takiego specjalnego miejsca w szpitalu i stamtąd zabierze go przedsiębiorstwo pogrzebowe – wyjaśnił dziadek. Głos mu się łamał, jakby zaciskało mu się gardło. Wargi i dłonie znów zaczęły mu drżeć.

Słowo „pogrzebowy” wywołało nagłą falę gorąca na mojej twarzy. Miałam wrażenie, że nagle wyssano ze mnie całe powietrze z płuc. Nogi się pode mną

ugięły.

– Nie – szepnęłam tak cicho, że dziadek Arnold mnie nie usłyszał. Moja śmiałość wzrosła. – Nie – powtórzyłam głośniejszym głosem. Odwrócił się i popatrzył na mnie. Ciągle trzymał mnie za rękę. – Nie! – wrzasnęłam. Przykucnęłam, wyszarpując dłoń z jego dłoni, i zaczęłam machać rękami. – Nie! Nie wierzę, że Willie nie żyje! Neeeeee! – Pielęgniarka i lekarz przerwali zabiegi przy chłopcu i popatrzyli w naszą stronę.

Dziadek poderwał mnie w górę. Natychmiast uświadomiłam sobie, jak głupio to musiało wyglądać – szesnastolatka w napadzie hysterii, którą trzeba potrząsnąć jak małym dzieckiem. Dla dziadka musiał to być jednak naturalny odruch. Na moment zabrakło mi tchu.

– Cii! – Pogładził mnie po włosach, po czym opuścił na ziemię, a potem poprowadził do holu, gdzie mieliśmy poczekać na wieści o Myrze.

Ciężko opadłam na krzesło i oparłam głowę o ramię dziadka. Emocjonalny wybuch wyczerpał mnie i pozbawił resztek energii. Kiedy zjawiała się pielęgniarka z wiadomością, że Myra może już wrócić do domu, myślałam, że nie wstanę.

Poczułam, jak silna ręka dziadka podtrzymuje mnie w pasie. Ujął moją rękę. Pielęgniarka – kobieta, która trochę przypominała mi mamę – poklepała mnie po ramieniu i pogłaskała po włosach.

– Bardzo mi przykro z powodu twojego brata – powiedziała miękko. – Musisz być teraz silna, dla wszystkich – dodała.

Silna dla wszystkich? Co to za dziwne zdanie? Nie potrafiłam być silna dla nikogo.

Łzy zaszklily mi oczy. Musiałam wyglądać tak samo somnambulicznie jak pacjenci w poczekalni, jak tamten mały chłopiec o jasnych włosach. Pielęgniarka poprowadziła nas korytarzem do innego wyjścia. W holu Myra czekała już na wózku. Obok stał salowy gotów zawieźć ją do samochodu.

– Dostała silne leki przeciwbólowe i uspokajające – zwróciła się pielęgniarka do dziadka.

Myra wyglądała okropnie. Oczy miała przymknięte, a lewy policzek przecinała krwawa szrama. Szczękę miała złamaną i nie mogła domknąć ust. Szczupła ręka tkwiła w grubym kokonie gipsu. Nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Wydawała się znacznie starsza i jeszcze drobniejsza. Zastanawiałam się, czy wie o Williem. Pociągnęłam dziadka za rękę.

– Czy ona wie o Williem? – spytałam cicho.

– Jeszcze nie. Zaczekaj – rzucił i pospieszył do samochodu. Za chwilę Myra została umieszczona na tylnym siedzeniu.

Pielęgniarka podała dziadkowi receptę na środki przeciwbólowe. Wziął ją i ruchem głowy dał mi znak, żebym usiadła z nianią z tyłu.

– Musisz ją podtrzymywać na zakrętach, Claro Sue – polecił. – Jest półprzytomna.

Myra jęknęła i uniosła powieki.

– Gdzie jest Willie? – spytała.

Nie musiałam nic mówić. Moje łzy wystarczyły za odpowiedź.

Wydała z siebie przeraźliwy jęk i jeszcze szerzej otworzyła oczy. Objęłam ją i przytuliłam. Dziadek prowadził spokojnie i w milczeniu. Uniosłam głowę i zerknęłam do tyłu na oddalający się szpital.

Zostawiliśmy tam Williego, pomyślałam. Zostawiliśmy go.

Myra łkała cicho w moich objęciach, kiedy jechaliśmy do domu. Wszyscy witali nas, kiedy wjeżdżaliśmy przez otwartą bramę. Jimmy Wilson dosłownie rzucił się do samochodu. Otworzył drzwi, chwycił Myrę i poniosł ją w ramionach jak dziecko. Nie kryli łez, bo straszne wieści już do nich dotarły. Najgorzej przyjęła je nasza kucharka, Faith Richards. Rozpaczała jeszcze bardziej ode mnie. Bo też nikt nie rozpieszczał Williego tak jak ona.

Myra wreszcie oprzytomniała.

– Postaw mnie. Mogę chodzić! – krzyknęła. – Nie wygłupiaj się.

Jimmy zatrzymał się przed drzwiami i delikatnie postawił ją na ziemi. Spiorunowała go wzrokiem, ale widać było, że gniewem próbuje zamaskować rozpacz.

– Twoje łóżko jest przygotowane, Myro – powiedziała Faith.

– Nie muszę leżeć.

– Absolutnie musisz – oznajmił dziadek tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Bez dyskusji.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od wyjazdu ze szpitala. Myra spojrzała na niego, po czym ruszyła do swojego pokoju, który znajdował się z tyłu domu, obok pokoju Faith. Wtem przystanęła i popatrzyła na mnie. Wyczułam, że nie chce zostać sama. Ja też nie chciałam. Jednym skokiem znalazłam się przy niej i razem powoli przeszliśmy szerokim korytarzem, koło kuchni, a potem skręciliśmy w wąski korytarzyk, prowadzący do kwater służbowych. Szliśmy w milczeniu, nie patrząc na nikogo. Bałam się, że jeśli napotkam czyjeś spojrzenie, znów wybuchnę płaczem.

Miałam wrażenie podobne do tego, kiedy człowiek zaczyna budzić się z koszmaru i przez chwilę trwa pomiędzy snem a jawą. Jednocześnie nie chciałam się obudzić ani też wrócić do koszmarnego snu. Dlaczego los tak ciężko nas doświadczył? Jak to się mogło stać?

Mieszkaliśmy w Prescott, w Wirginii, w niewielkim miasteczku, trzydzieści pięć mil na północny wschód od Charlottesville, w prawdziwym siedlisku milionerów. Łatwo tam uwierzyć, że żyjemy w bezpiecznej bańce, w której zawsze będziemy chronieni przed wszystkimi nieszczęściami tego świata.

„Pożar nie ima się bogaczy”, kiedyś Myra powiedziała do Faith. „Bogaci nie idą do więzienia. Bogatym ratuje się zdrowie w najlepszych szpitalach i dbają o nich słynni lekarze. Może nawet milionerzy mają lepsze miejsce w niebie, a umierają bez cierpień, najczęściej we śnie, bez bólu. Tak umarła lady Willowsby. Zamknęła oczy, czekając na ulubioną herbatę z biszkoptem, i już się nigdy nie obudziła. Tak jest zapisane w angielskiej konstytucji. Izba Lordów jest wyższa, więc pewnie cała pójdzie do nieba”, podsumowała wtedy i obie kobiety zaczęły się śmiać. Myra w towarzystwie Faith traciła całą swoją surową powagę. Podobnie zachowywała się tylko przy nas, dzieciach, i czasami przy dziadku.

Wcale się nie dziwiłam, że właśnie teraz przypomniła mi się ta rozmowa. Słyszałam ją jeszcze przed śmiercią rodziców i utwierdziła mnie w przekonaniu, że jesteśmy wyjątkowi i nic złego nie może nas spotkać. Wszystko zdawało się to potwierdzać.

Zanim nasi rodzice zginęli tragicznie, jeździliśmy do dziadków i u nich zasypialiśmy w poczuciu błęgiego bezpieczeństwa. Czekały tam na nas czystyutkie pokoje, nowe zabawki i pościel z postaciami z naszych ulubionych kreskówek. Sceny z tych filmów były też na tapetach i na ścianach. Meble i lustra lśniły jak nowe, wykładzina była puszysta i mięciutka, a zasłony w oknach pyszniły się jak teatralna kurtyna. Kiedy Myra rozsuwała je rano, podświadomie oczekiwaliśmy, że zaraz rozbrzmi muzyka i wyskoczą kukiełki.

Willie i ja wyobrażaliśmy sobie, że zasypiamy w zamku otoczonym wysokimi murami i fosą, do którego żadne zmory ani straszdyła nie mają dostępu. Dopóki w nim mieszkamy, jesteśmy bezpieczni. Może fantazjował tak pod moim wpływem, gdyż uwielbiałam snuć opowieści o rycerzach i smokach, które zawsze dobrze się kończyły. Było dla mnie ważne, żeby braciszek czuł się pewny i spokojny, zwłaszcza po śmierci rodziców.

Łatwo jest wymyślać takie bajki w Prescott, gdzie każda posiadłość

powstała według indywidualnego projektu, a powierzchnię terenu mierzyło się w hektarach, strzeżonych przez kamienne mury, wysokie żywopłoty i potężne, zdobne bramy. Za każdym razem, gdy przejeżdżaliśmy obok jednej z nich, wyjątkowo efektownej, mówiłam Williemu, że to brama do bajecznej posiadłości księcia lub księżniczki. Niektóre rezydencje miały stawy z fontannami, otoczone wypielęgnowanymi klombami i ogrodami, zaprojektowanymi przez słynnych architektów krajobrazu.

Późną wiosną odbywał się konkurs na najpiękniejszą posiadłość, a nagrodę wręczano uroczyście w parku miejskim. Ludzie przybywali tam wystrojeni jak na Kentucky Derby, grała orkiestra i występowali znani wokaliści, a urzędnicy i miejscowi celebryci wygłaszali uroczyste mowy, o których Myra mówiła zgryźliwie, że ociekają wazeliną. Zawsze się z tego śmialiśmy.

Willie uwielbiał te imprezy, bo sprzedawano tam baloniki i lody, a wśród tłumu krążyli iluzjoniści, zonglerzy i klauni. Myra twierdziła, że ten piknik to kopia Covent Garden w Londynie. Zjechało się mnóstwo ludzi, także spoza Prescott. Nagroda dla zwycięzcy była imponująca. W ciągu ostatnich siedmiu lat nasz dziadek wygrał ją dwa razy. Tak wysoko oceniono wygląd naszej posiadłości.

W Prescott architekt miejski nie pozwalał na budowę bloków, więc klasa średnia, a już tym bardziej niższa – nie miały tu czego szukać. Chyba że jako służba zatrudniona w posiadłościach bogaczy. Mieszkańcy należeli do elity biznesowej i politycznej, a narzucone regulacje prawne i architektoniczne sprawiały, że trzeba było się wykazać odpowiednią pozycją i zasobnym kontem, aby dostąpić zaszczytu zamieszkania w tej okolicy. Rezydentom udało się nawet wyrugować wszystkie fast foody z miasteczka. Jediną działalnością handlową, jaką tu tolerowano, było parę sklepów, skupionych wokół stacji benzynowej. Restauracje w Prescott „mogłyby spokojnie karmić królów”, zgryźliwie mawiała Myra. Było ich tylko sześć, wszystkie wytworne i ekskluzywne, a ich szefami zostawali absolwenci prestiżowych szkół kulinarnych. Kilka z tych lokali należało do mieszkańców.

Owe restauracje odwiedzali nie tylko ludzie z Prescott, ale i śmietanka towarzyska z całej okolicy. Wszystkie znajdowały się w eleganckich budynkach. Wystarczyło wejść do którejkolwiek z nich, aby zrozumieć, że bez grubego portfela nie ma tu czego szukać. Wyfraczeni kelnerzy i nienagannie ubrane kelnerki pojawiali się jak duchy, boje odprowadzali auta i zapraszali do środka, gdzie gości ceremonialnie witał maître, znający imiona, nazwiska

i tytuły przybyłych.

Czy było w Prescott cokolwiek, co odstawało od ideału?

Słyszałam kiedyś anegdotę o tym, jak dziennikarz robił nagranie z moim dziadkiem w trakcie konkursu na najpiękniejszą posiadłość. Reporter zażartował, że do konkursu powinien być także zakwalifikowany miejscowy cmentarz, gdyż niewątpliwie jest jedną z najpiękniejszych posiadłości w okolicy.

„Pan, panie Arnold – powiedział – robi więcej dla umarłych niż dla żywych. A zapłatę za to otrzyma pan dopiero wtedy, kiedy dołączy do nich”.

Miał rację. Nagrobki i pomniki nekropolii były równie imponujące jak domy i rezydencje żyjących. One także musiały spełniać sztucznie zawyżone wymagania. Myra mówiła, że wypielegnowana zieleń, fontanna i kaplica wyglądają jak żywcem wyjęte z jakiejś brytyjskiej, królewskiej posiadłości. „Jakby się wchodziło do Buckingham Palace albo czegoś w tym stylu” – skomentowała kiedyś. Groby kopano tylko nocą i kiedy pojawiali się żałobnicy, mogli mieć wrażenie, że ziemia rozstąpiła się elegancko, aby przyjąć ich drogiego zmarłego. Słyszałam nawet, jak Myra mówi Faith, że trzeba mieć rekomendację od królowej angielskiej, aby zyskać tam miejsce na wieczne odpoczywanie.

Teraz jednak mój dziadek aż nazbyt boleśnie się przekonał, że pieniądze, nawet jego wielki majątek, nie chronią przed nieszczęściem. Każdy zna tę prawdę, ale tu, w Prescott, usiłowano ją ignorować – trzymać śmierć na dystans, tworząc cmentarz tak atrakcyjny i imponujący, że niższe sfery dworowały sobie z tego przepychu: „Tuzy z Prescott umierają z chęci położenia się tutaj” – mawiali.

Willie na pewno tego nie pragnął, pomyślałam. Ani moi rodzice czy babcia Arnold.

Faith i ja siedziałyśmy przy Myrze, dopóki nie usnęła. Zaledwie biedna niania zamknęła oczy, Faith szybko wstała i powiedziała, że idzie do kuchni zrobić coś do jedzenia.

– Nie jestem głodna – powiedziałam. – I nie wiem, czy kiedyś będę.

Z uśmiechem pogładziła mnie po włosach.

– Będiesz, kochanie – zapewniła łagodnie. – Trzeba czymś ugościć znajomych i przyjaciół twojego dziadka, którzy wkrótce się zejdą, żeby złożyć kondolencje i pocieszać go... jak tylko się dowiedzą – dodała i oddaliła się, mamrocząc coś na temat błyskawicznego rozchodzenia się złych wieści.

Ja zostałam. Oczywiście Faith miała rację. Pamiętałam, jak szybko rozprzestrzeniła się wieść o moich rodzicach, a jeszcze szybciej o śmierci babci Arnold.

Nasz dom, okazały budynek w stylu neoklasycznym, został już wcześniej naznaczony piętnem obu tragedii. Śmierć Williego pogłębiła mroczne cienie, które dla mnie już zaczęły się gromadzić w kątach, gdzie dotąd ich nie było. Siedziałam zeszywniała i spięta na łóżku Myry, lękając się wyjść i zmierzyć z pustką wielkich pokoi, której nie będą w stanie wypełnić cenne antyczne meble i okazałe klasyczne obrazy na ścianach. Teraz głosy będą się odbijały echem od ścian, odgłos kroków będzie dłużej wisiał w powietrzu, a przez najbliższe parę godzin wszyscy będą mówić szeptem. A może już zawsze będą mówić szeptem.

Myra jęknęła przez sen. Spojrzałam na nią, ale obawiałam się jej dotknąć, taka była obolała i połamana. Wstałam powoli, nie bardzo wiedząc, dokąd iść i co robić. Naprawdę bałam się tego domu bez Williego. Bez niego czułam się tu mała i samotna. Oczywiście, czasami mnie denerwował, rozrabiał, domagał się uwagi, ale przecież był moją drugą połówką.

Skierowałam się do kuchni. Tam Faith i jedna z pokojówek w pośpiechu szykowały potrawy, co chwila pochlipywały i ocierały oczy. Na mój widok przerwały. Wyszłam, bo nie chciałam uczestniczyć w tych smutnych przygotowaniach, a nawet myśleć o nich.

Przez moment miałam ochotę zadzwonić do Lili, ale nawet tak zwyczajna czynność wydawała mi się niewykonalna. Świat powinien się zatrzymać. Nikt nie powinien się śmiać. Zegary nie powinny tykać. Nikt nie powinien pracować, bawić się, śmiać. Przeszłam przez salon i przystanąłam pod drzwiami gabinetu dziadka. Siedział przy biurku, ściskając siwe skronie dużymi, silnymi dłońmi i wpatrując się w swój ulubiony obraz – portret mojej mamy. Nie byłam w stanie wykrztusić słowa. Wreszcie dziadek uniósł głowę.

– Jak tam Myra? – zapytał.

– Zasnęła.

– To dobrze. Posłałem Jimmy’ego, żeby wykupił dla niej lekarstwa. – Wyprostował się za biurkiem. – Zadzwoniłem do twojej drugiej babci – ciągnął. Zawsze nazywał mamę taty „drugą babcią” i nie używał jej nazwiska – Sanders, które było także i moim. Nazywała się Patricia Sanders. – Przyjedzie na pogrzeb razem ze swoją siostrą Sally. Zdaje się, że ostatnio widzimy się z nimi tylko na pogrzebach. Pogrzeby... – Westchnął. – Śmierć

ma u nas używanie.

Dłonie same zacisnęły mu się w pięści. Sprawiał wrażenie, jakby miał wyskoczyć zza biurka i rzucić się z pięściami na cały świat. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Przypuszczam, że otrzeźwiła go moja mina. Rozprostował pięści i wstał.

– Moja sekretarka, pani Mallen, już tu jedzie. Załatwi wszystkie pogrzebowe formalności – wyjaśnił. – Twój wujek Bobby też wkrótce się pojawi – dodał bez zbytniego entuzjazmu.

Spojrzałam na niego z zainteresowaniem. I Willie, i ja uwielbialiśmy wujka Bobby’ego, ale stosunki wujka z dziadkiem mało przypominały relację ojca i syna. Moim zdaniem nie tylko dlatego, iż Bobby nie chciał mieć nic wspólnego z interesami dziadka.

Z wyglądu bardziej przypominał babcię niż dziadka. Był wysoki i szczupły. Miał oczy babci, niebieskie jak morze, kobiece, wysokie kości policzkowe i jej subtelne rysy. Mój dziadek był krępy, muskularny i na pierwszy rzut oka mógł raczej uchodzić za barmana czy wykidajkę niż za właściciela wielomilionowej fortuny, przeważnie paradującego w garniturach i pod krawatem.

Z tego, co wiedziałam, wujek Bobby zawsze bardziej interesował się muzyką i teatrem niż prowadzeniem przedsiębiorstwa przewozowego. Chciał zostać choreografem na Broadwayu. Aktualnie przygotowywał nową produkcję, wznowienie musicalu *Anything Goes*. Dziadek czasami przychodził na jego występy w szkolnych przedstawieniach w liceum, ale nie oglądał już studenckich popisów syna i tylko raz pojawił się na Broadwayu na jego spektaklu – i to jedynie dlatego, że do teatru wybrała się cała rodzina. Tymczasem babcia Arnold i moja mama śledziły karierę Bobby’ego, tyle że starały się nie rozmawiać o niej z dziadkiem. Jeśli przypadkiem poruszano ten temat, dziadek po prostu wstawał od stołu i wychodził.

– Lepiej idź na górę i trochę odpocznij, Claro Sue – powiedział, wychodząc zza biurka. – Zajrzę do ciebie, kiedy wrócę.

– Dokąd się wybierasz, dziadku?

Nie odpowiedział od razu. Widać było, że ma zamiar wykręcić się od odpowiedzi.

– Jadę do przedsiębiorstwa pogrzebowego – wyjaśnił w końcu. – A potem do szpitala.

– Po co? Chcesz zobaczyć Williego? W takim razie jadę z tobą!

– Nie jadę tam, żeby zobaczyć Williego – powiedział. – Dla niego nic już nie mogę zrobić.

– Więc dlaczego jedziesz do szpitala, dziadku? Zapłacić rachunki?

Omal się nie uśmiechnął.

– Nie – odparł. Na moment zacisnął usta, jak ktoś, kto wolałby nie wypowiadać pewnych słów, a potem powiedział coś bardzo dziwnego: – Twoja babcia chce, żebym tam wrócił.

– Co?

– Do tego drugiego chłopczyka – dodał. Miał dziwny wyraz twarzy; takiej miny nigdy u niego nie widziałam. – Była ze mną przez cały czas. Pocieszała mnie po stracie Williego, ale kiedy spojrzałem na tego drugiego chłopczyka, naprawdę zaczęła mi szeptać do ucha.

– Tamtego otrutego chłopczyka?

– Tak.

– Dlaczego?

– To dziecko przeżywa ogromny dramat.

Mimo woli zmrużyłam powieki. Wściekłość, która wzbierała we mnie razem z żalem i rozpaczą, gwałtownie domagała się ujścia. Babcia Arnold mawiała, że Willie i ja jesteśmy najbardziej pokrzywdzonymi dziećmi, jakie można sobie wyobrazić, gdyż straciliśmy oboje rodziców w strasznym wypadku.

– On nie ma nikogo, Claro Sue – rzekł dziadek, widząc zmieszanie i wzburzenie na mojej twarzy. – Pamiętasz chyba, jak babcia współczuła dzieciom okrutnie potraktowanym przez los. To dziecko nie ma nikogo i niczego. Chcę zapewnić mu najlepszą opiekę medyczną.

W głębi serca czułam, że powinnam być dumna z takiego nastawienia dziadka, lecz z drugiej strony uważałam, że nie czas na współczucie dla innych, skoro to my wymagamy współczucia. Teraz wszyscy powinni pomagać nam, a nie na odwrót.

Nagle poczułam nienawiść do tego dziwnego chłopca. Czy ktoś miałby prawo mnie za to obwiniać? Pragnęłam włożyć całą swoją energię i siłę, jakie mi jeszcze zostały, w opłakiwanie brata i spodziewałam się tego samego po dziadku. Nie życzyłam sobie, żeby ktoś stanął między nami w tym momencie. Cała nasza uwaga ma być poświęcona Williemu i martwienie się o czyjeś dziecko – a zwłaszcza dziecko osoby, która porzuciła własne potomstwo – w moim pojęciu było niestosowne i uwłaczało pamięci mojego brata. Z drugiej strony było jasne, że dziadek bardzo chce pomóc tamtemu chłopcu.

A wszystko za sprawą mojej babci, której duch pojawił się w szpitalu i szeptał mu do ucha!

A przecież dziadek nie był typem człowieka wierzącego w duchy ani w żadne cuda. Kiedyś ulegał babci Lucy i od czasu do czasu wybierał się do kościoła, lecz po jej śmierci przestał to robić i zjawiał się tam jedynie na śluby i pogrzeby. Tragedie, które nas nawiedziły, uczyniły go bardziej cynicznym. Nie cierpiał „pastorskiego przynudzania”, jak je nazywał. „Oni też nie wiedzą, jak radzić sobie z tym podłym światem” – mruczał pod nosem, może nawet bardziej z żalem niż z gniewem.

Pokręciłam głową. Łzy zakręciły mi się w oczach. Dziadek niespodziewanie położył mi dłonie na ramionach i popatrzył wnikliwie w moje załzawione oczy, a potem delikatnie ujął moją prawą dłoń w swoją lewą. Ścisnął tak mocno, że zabolalo, ale bałam się nawet pisnąć.

– Czy wiesz, Claro Sue – dziadek zniżył głos do szeptu – że w tej samej chwili, kiedy odszedł twój brat, do szpitala przywieziono tego chłopczyka, walczącego o życie? To musi coś znaczyć. – Ostatnie zdanie powtórzył jeszcze ciszej i zdawał się przenikać mnie wzrokiem, jakby zamiast wnuczki widział swoją zmarłą żonę. – To musi coś znaczyć...

Upłynęło wiele czasu, zanim zaczęło znaczyć na tyle, abym zgodziła się przyznać dziadkowi rację.

Należało powiedzieć prawdę.

Której nie chciałam do siebie dopuścić.

2

Nie byłam pewna, czy Faith powiedziała kiedykolwiek dziadkowi, co się ze mną działo pierwszej nocy po śmierci rodziców. Obudziłam się w środku nocy, czując, że nie mogę oddychać. Jakby ściany sypialni napierały na mnie ze wszystkich stron i zamknęły w ciasnej przestrzeni. Śmierć Williego była nowym koszmarem. Bałam się, jak teraz zareaguję.

Cicho wyszłam z pokoju, poruszając się jak lunatyk. Zanim zdążyłam się zorientować, już stałam przed drzwiami pokoju Williego. Otworzyłam je cicho i podreptałam na paluszkach, żeby go nie obudzić. Ale łóżko było puste i zasłane. Zaczęłam znów płakać, stojąc tak i gapiąc się w miejsce, gdzie powinien leżeć Willie. Żołądek ścisnął mi taki ból, że musiałam przykucnąć, zgięta wpół. Nikt nie przyszedł, na pewno myśleli, że jestem u siebie i leżę w łóżku. Położyłam się na dywanie i zakrywszy twarz rękami, zasnęłam, wyczerpana koszmarowymi przeżyciami.

Faith znalazła mnie kilka godzin później. Poszła do mojego pokoju, bo Myra prosiła ją, żeby sprawdziła, jak się czuję. Kiedy mnie nie zastała, od razu pospieszyła do pokoju Williego.

– Och, biedne dziecko. – Uklękła, żeby mnie przytulić. – Biedne, biedne dziecko.

Bardzo rzadko zdarzało się, że wypłakiwałam się w ramionach innych niż mamy i babci, tuląc głowę do czyjejś piersi. Teraz nie mogłam się powstrzymać. Po chwili Faith pomogła mi wstać i odprowadziła do mojego pokoju. Położyła mnie na łóżku i troskliwie okryła. Znów zasnęłam. Rano obudziłam się i czekałam w łóżku, aż przyjdzie dziadek Arnold. Nie pojawił się. Faith powiedziała mi, że już wyjechał załatwić sprawy związane z pogrzebem Williego, a potem zamierzał wstąpić do szpitala. Widać było, że Faith nie wie, po co dziadek wybiera się do szpitala. Za to ja wiedziałam. Na pewno chodziło o tamtego otrutego chłopca.

Nie potrafiłam jednak powiedzieć, jakie dziadek miał co do niego dalsze

plany. Ponieważ ktoś przywiózł tego biedaka w stanie śpiączki, zostawił w szpitalu i uciekł, nie było wiadomo, kim jest i jak się nazywa. Choć łóżko brata było puste, mój umysł nadal nie chciał się pogodzić z rzeczywistością. Ile razy może czyjeś życie wywracać się do góry nogami? Ja musiałam się z tym zmierzyć w chwili śmierci rodziców. Potem umarła babcia, a teraz Willie. Bałam się spojrzeć w lustro, żeby nie zobaczyć Śmierci, szczerzącej zęby zza moich pleców. A w tym domu było pełno luster! Wisiały na prawie każdej ścianie, w większości stare i cenne. Nie pomagało wykręcanie głowy. Musiałabym chodzić po domu z zamkniętymi oczami.

Przyszła Myra, choć wejście po schodach musiało być dla niej bolesnym wysiłkiem. Nie chciałam jej męczyć pytaniami o dziadka, bo sprawiała wrażenie, że każda wzmianka o tragedii może ją załamać. Nie dziwiłam się jej, gdyż samo obserwowanie przygotowań do stypy było nieznośne. Wróciłam do swojego pokoju i kiedy zadzwonił telefon, postanowiłam go wreszcie odebrać. Jak się spodziewałam, dzwoniła Lila.

– Każdy, z kim rozmawiam, jest zdruzgotany – zaczęła. – Dwa razy wybierałam wasz numer, ale odkładałam słuchawkę. Żeby cię jeszcze bardziej nie dołować.

– Rozumiem.

– Nie potrafię uwierzyć, że już nigdy nie zobaczę Williego – dodała.

Nie zdołałam wykrztusić słowa. Lila musiała wyczuć, że słowa ugrzęzły mi w gardle.

– Chciałabym być teraz z tobą – zapewniła. – Naprawdę!

– Przyjdź po południu – poprosiłam zdławionym głosem. – Niedługo przyjedzie wujek.

– A jak się ma dziadek?

– Nie wiem. Nie widziałam go dzisiaj.

Teraz ona zamilkła na moment.

– Musi załatwić sprawy pogrzebowe – wyjaśniłam, żeby przerwać ciszę.

– Wszyscy, zwłaszcza moi rodzice, ogromnie mu współczują. Za dużo tragicznych strat jak na jednego człowieka. Tobie oczywiście także współczują.

– Podziękuj im – powiedziałam. Usłyszałam, że wujek Bobby wchodzi do domu. – Słuchaj, muszę kończyć. Chyba wujek przyjechał.

– Wpadnę później – obiecała Lila.

Zaledwie odłożyłam słuchawkę, wujek Bobby zapukał do drzwi mojego

pokoju i wszedł, nie czekając na odpowiedź. Siedziałam na łóżku, oparta plecami o poduszki. Nie przywitał się. Po prostu zbliżył się, objął mnie i tulił przez długą chwilę. Oparłam mu głowę na ramieniu i rozplakałam się. Czułam, że Bobby z trudem powstrzymuje łzy.

– Cześć, Księżycowy Promyku – szepnął. Zawsze twierdził, że kojarzę mu się z czystym księżycowym blaskiem.

– Cześć, wujku – odpowiedziałam, z trudem przepychając słowa przez gardło. Mój głos brzmiał, jakby należał do kogoś innego.

– To się wydaje nierealne. Wszystko – stwierdził. Kiwnęłam głową. – Urosłaś, wiesz? Jesteś coraz bardziej podobna do mamy.

– Serio?

– Twój tata był przystojniakiem, ale wolę widzieć w tobie moją siostrę, z tymi rudozłotymi włosami i orzechowymi oczami. Odziedziczyłaś też jej mały nosek. Ile masz lat? Szesnaście? Siedemnaście?

– Szesnaście.

– Powinnaś być gwiazdą okładek młodzieżowych magazynów, choć nie do końca popieram takie rzeczy.

Usiłował się uśmiechnąć, z marnym rezultatem. Udało mi się odpowiedzieć mu tym samym. Popatrzył na mnie. Moim zdaniem wujek Bobby należał do ludzi, którzy długo zachowują młody wygląd. Od chwili, kiedy widziałam go ostatni raz, nie przytył ani grama. Ciągle miał te miękkie, jasnokasztanowe włosy, zdaniem dziadka za długie jak na mężczyznę, i fascynujące niebieskie oczy o długich rzęsach, których mogły mu pozazdrościć kobiety. Wiedziałam, że bardzo kochał Williego – a mój brat, puszczać mimo uszu cierpkie uwagi dziadka o karierze syna, uwielbiał, kiedy wujek Bobby śpiewał i pokazywał mu nowe taneczne kroki. Usiłował go nawet naśladować. Wujek zawsze przywoził nam ciekawe prezenty – dla mnie lalki z różnych krajów, w których występował ze swoim zespołem, ręcznie wykonane zabawki i proste, ale fajne rzeczy, jak magiczne pudełka, drewniane układanki i ręcznie malowane jo-jo.

– Dziadek już jest? – zapytał.

– Nie. A wiesz, dokąd pojechał i co robi? – Z jego miny i spojrzenia, które nagle się wyostrzyło, wywnioskowałam, że wie.

– W tej chwili nie jest sobą i trudno go za to winić – zauważył.

– Ale czy wiesz o otrutym chłopcu? I że dziadek pojechał w jego sprawie?

– Tak. Powiedział mi o tym w rozmowie telefonicznej, zanim wyjechałem z St. Louis.

– Mówił ci o nim? Nie rozumiem tego, wujku Bobby. Skąd nagła troska o obce dziecko? Czy nie powinien teraz myśleć tylko o Williem?

– Na pewno o nim myśli, wierz mi. Ale... po prostu się boi.

Nie wierzyłam własnym uszom. Co ten wujek wygaduje?

– Boi się? Dziadek Arnold? Czego?

– Że zabije go rozpacz. Z tych, których kochał, zostałaś mu tylko ty.

– Kocha także ciebie!

– Nie wypada mu inaczej, bo jestem jego synem, ale tak naprawdę po śmierci twojej mamy najważniejsi dla niego byliście wy – ty i twój brat. Teraz stracił Williego i przypomina statek, który nabrał za dużo wody. Myślę, że jest zdesperowany i zagubiony, a dzisiaj uświadomiłem sobie, że w jego pojęciu uratowanie tego małego chłopca może pomóc mu w wydobyciu się z rozpaczyny i przywrócić siły potrzebne, aby dalej opiekować się tobą.

Wzruszyłam ramionami. Co przyszłość obcego dzieciaka mogła mieć wspólnego z naszą rozpaczą?

– Naprawdę, Claro Sue. W tej chwili przepełnia go wściekłość i chęć odwetu. Znam mojego ojca. Nie wyobraża sobie, że mógłby się poddać, nawet jeśli patrzy w oczy kłesce. Pragnie zemsty.

– O czym ty mówisz? Jaka zemsta? Na kim? Na kierowcy tej furgonetki?

– Na nim też, ale sądzę, że głównie na śmierci – powiedział wujek, nie patrząc na mnie.

– Wszystko mi jedno, co on ma w głowie. Powinien być tutaj, z nami, a nie w szpitalu, gdzie troszczy się o obcego chłopaka. Wyznał mi, że babcia kazała mu zająć się tym dzieckiem.

Wujek Bobby zerknął na mnie.

– Tak? Mnie nic o tym nie mówił.

– Podobno szeptała mu do ucha w szpitalu.

Zastanawiał się przez chwilę, aż wreszcie na jego wargach zaigrał uśmiech.

– Może mój staruszek na starość łagodnieje? – rzucił pogodnie, jakby stosunki z ojcem nagle przestały być problemem.

– Ludzie dzwonią i zaraz zaczną się zjeżdżać, a jego dalej nie ma. Jego sekretarka, pani Mallen, urzęduje w gabinecie i załatwia pogrzeb Williego, jakby to była zwykła dostawa towaru do jego firmy. Myra nie powie tego dziadkowi, ale wyznała mi, że słyszała, jak pani Mallen targuje się o cenę pochówku z szefem zakładu pogrzebowego!

– Zajmiemy się gośćmi pod jego nieobecność. – Wujek Bobby wstał. –

Zejdźmy na dół i zjedzmy coś. Widziałem, że Faith upichciła swoje przepyszne pieczone kurczaki.

– Willie je uwielbiał.

– Cóż, zjemy za niego. Chodźmy, Claro Sue. Musimy trzymać się razem. Potrzebuję cię. – Wyciągnął do mnie rękę. Wiedziałam, że mówi tak, aby mnie podnieść na duchu. Ale przecież ja także go potrzebowałam.

Włożyłam buty i pozwoliłam mu wyprowadzić się z pokoju. Idąc korytarzem, zgodnie odwróciliśmy głowy, żeby nie patrzeć na pokój Williego. Pojawiło się już paru przyjaciół dziadka oraz jego współpracowników z firmy. Wujek przywitał się z nimi i wyjaśnił, że dziadek załatwia sprawy pogrzebu Williego, ale wkrótce do nas dołączy. Nie wspomniał o otrutym chłopcu. Spojrzeliśmy na siebie. Nie musiał zastrzegać, abym nie poruszała tego tematu. Sama się domyśliłam.

Wkrótce zjawił się dziadek i przywitał się z gośćmi. Chciał zapędzić Myrę z powrotem do łóżka, ale odzyskała już siły. Uwijała się dzielnie wśród gości, z ręką w gipsie, i ani myślała go posłuchać. Dziadek i ja dobrze wiedzieliśmy, że potrafi być uparta. Jednocześnie, pomimo zapewnień dziadka, czuła się winna wypadku Williego. Miała to wypisane na pobrużdżonym zmarszczkami czole – gdyby wtedy nie wzięła go do sklepu, teraz by żył. Ta świadomość zapewne będzie ją dręczyła już zawsze, choć nikomu nie przysłoby do głowy obciążać winą tę nieszczęsną kobietę.

Zjawiała się Lila. Ucieszyłam się na jej widok jak nigdy dotąd. Chciałam odejść od tych wszystkich dorosłych, którzy patrzyli na mnie z takim współczuciem i litością, że z trudem tłumiłam płacz. Wujek Bobby usiłował mnie pocieszać, ale ludzie ciągle odciągali go i rozpraszaali pytaniami o jego muzyczną karierę i najnowsze plotki z Broadwayu, jak gdyby pragnęli zagadać nieszczęście. I tak im to dobrze szło, że gdyby ktoś nagle powiedział głośno o tragedii, unieśli by brwi z zaskoczonymi minami. „Och, serio? Naprawdę ktoś przejechał małego Williego?”

Szybko chwyciłam Lilę za rękę i pociągnęłam na górę. Kiedy wpadliśmy do mojego pokoju, zamknęłam za nami drzwi. Miałam wrażenie, że wyrwałam się z większego i głębszego grobu niż ten, jaki szykowano na jutro dla Williego. Dopiero tam, w bezpiecznym zaciszu pokoju, rzuciłyśmy się sobie w ramiona.

– Tylko nie płacz – ostrzegłam Lilę. – Bo jeśli ty zaczniesz, ja już nie będę mogła przestać.

Przełknęła łzy i skinęła głową. A potem, jak często robiłyśmy, położyłyśmy

się obok siebie na łóżku i wpatrywałyśmy się w plafon na suficie. Lila sięgnęła po moją dłoń. Przymknęłam powieki, bo zakręciło mi się w głowie.

– Nie wiem, jak przetrwałaś ten szpital – powiedziała. – Myślałam o tym przez całą noc i nie mogłam spać. Co musiałaś czuć, kiedy na niego patrzyłaś.

– Nie widziałam go. Dziadek widział. Był w sali, kiedy usiłowali przywrócić Williego do życia, ale nie pozwolił mi tam wejść. – Urwałam, otworzyłam oczy i dodałam: – Za to pokazał mi innego chłopczyka.

– Co? Jakiego znowu chłopczyka?

– Którego otruto – wyjaśniłam i opowiedziałam jej o wszystkim, nie wyłączając nakazu babci z zaświatów.

Lila zamilkła na długą chwilę, przetrawiając moje słowa.

– Pewnie nie mógł sobie dać rady i pragnął coś zrobić – stwierdziła w końcu.

– Tak też uważa wujek Bobby, ale dziadek zawsze panował nad sobą i nad wszystkim, co robi – zaprotestowałam.

– Nie winisz go chyba za to, że próbuje komuś pomóc z dobrego serca?

– Dobrze, ale dlaczego akurat teraz? W takim momencie?

– A co mógłby zrobić dla... – Urwała i odwróciła wzrok. Nie dokończyła, ale było to jedno z tych zdań, które raz zaczęte, nie cichną, lecz pędzą przed siebie niczym wystrzelona rakietą, która musi dotrzeć do celu.

– Dla Williego – dokończyłam cicho. – Już nic nie może dla niego zrobić. Ale ciągle o nim myśli, tak jak ja.

– Wiem. Czy rozmawiał z tym drugim chłopcem?

– A co to za różnica? – warknęłam.

Przygryzła usta, jakby nie chciała powiedzieć o jedno słowo za dużo.

– Nie można z nim rozmawiać – dodałam już spokojniej. – Jest w stanie półśpiączki, jak nazywają to lekarze. Oczy ma otwarte, ale wydaje się, że nie widzi i nie słyszy.

– Kto go otruł?

– Nie wiem i nie obchodzi mnie to! – Zerwałam się i podeszłam do okna. Ludzie wchodzili i wychodzili; ciągle podjeżdżały samochody. – Mój brat nie żyje – powiedziałam, wpatrując się w perspektywę długiego podjazdu i parkingu. Przed oczami stanął mi obraz Williego, uparcie próbującego opanować sztukę jazdy na swoim dziecięcym rowerku. Zawsze chciał być starszy i bardziej niezależny. Pragnął sam pojechać do sklepu, kupić tam coś sobie i wrócić. Marzył o dalszych wycieczkach w moim towarzystwie, dlatego

ćwiczył pilnie, żeby dziadek mu wreszcie pozwolił.

– Cała klasa wydzwania do mnie i pyta, czy można cię odwiedzić. Niektórzy zapowiadali, że przyjadą tu z rodzicami – oznajmiła Lila. – I oczywiście kto może, zjawi się na pogrzebie.

Nie odpowiedziałam i dalej wyglądałam przez okno.

– Wszyscy bardzo cię lubią, Claro Sue – mówiła dalej. – A już na pewno Aaron Podwell – dorzuciła, chyba w nadziei, że zdoła zmienić temat i wciągnąć mnie w jedną z tych naszych sekretnych, dziewczynskich rozmówek o chłopakach, którzy nam się podobają. Nawet kiedy odrabialiśmy razem lekcje, po jakimś czasie temat chłopców powracał i w najlepsze zaczynałyśmy o nich paplać i opowiadać sobie swoje marzenia. Byłyśmy przyjaciółkami od niedawna, ale zżyłyśmy się szybko i nie miałyśmy przed sobą tajemnic, zwłaszcza w sprawach dotyczących erotyki, bo te właśnie coraz bardziej nas zajmowały.

Lila była nieco bardziej rozwinięta fizycznie niż ja; zaczęły jej pączkować piersi, a pupa była apetycznie okrągła. Pierwszą miesiączkę dostała w wieku jedenastu lat, gdy ja musiałam czekać jeszcze dwa lata. U niej zainteresowanie seksem i chłopakami było głębsze i bardziej naturalne. Poza tym miała mamę, z którą mogła porozmawiać o tych sprawach, oraz starszą siostrę, studentkę. Ja zaś miałam tylko Myrę, ale choć kochałam ją jak własną babcie, wstydziłam się poruszać z nią takie tematy. Kiedyś nazwała swoją matkę „królową pruderii” – ponoć wstydziła się nawet kupować podpaski! Czy mogłam więc pytać Myrę, jak daleko mogę się posunąć na randce z chłopakiem?

– Aaron? – powtórzyłam. W momencie, w którym wypowiedziałam jego imię, zrobiło mi się głupio, bo zapomniałam o jego istnieniu. Tylko czy w takich chwilach jest czas na myślenie o przystojnych chłopakach? Jutro pogrzeb mojego brata. Znow wróciła gniewna myśl, że dziadek nie powinien teraz zawracać sobie głowy obcą osobą.

– Tak, dzwonił i pytał o ciebie – potwierdziła skwapliwie Lila, zadowolona ze zmiany tematu. Nie winiłam jej za to.

– Miło z jego strony, ale nie jestem w stanie teraz o nim myśleć – odparłam.
– Powinnam porozmawiać z dziadkiem o pogrzebie Williego. Pewnie już na mnie czeka.

– Och...

– Zejdźmy na dół, dobrze? Nie mogę teraz odciąć się od tego wszystkiego, choć bardzo bym chciała, wierz mi.

– Jasne, Claro Sue. Możesz na mnie liczyć. Rozmawiałam już z rodzicami i jeśli trzeba, zwolnią mnie ze szkoły, żebym mogła zostać z tobą do końca tygodnia.

– Dzięki.

Wstała z łóżka i przytuliła mnie. Wzięłam ją za rękę i wróciłyśmy do salonu, który już wypełnił się ludźmi. Dziadek siedział w swoim ulubionym fotelu i ściszone głosem rozmawiał z gośćmi. Podszedł do nas wujek Bobby.

– Twoja druga babcia będzie za godzinę – oznajmił. – Przylatuje z siostrą. Odbiorę je z lotniska. Chcesz pojechać ze mną? – Popatrzył na Lilę. – Twoja przyjaciółka może nam towarzyszyć, jeśli zechce.

Zerknęłam na nią. Byłyśmy przyjaciółkami od serca, ale pomyślałam, że chyba wymagam od niej za dużo, oczekując, by towarzyszyła mi w powitaniu rozpaczającej babci. Dlatego odpowiedziałam za nią.

– Nie, nie ma sensu jej tam ciągnąć. Lila przyjdzie później albo wróci tu jutro. Jej rodzice będą na pogrzebie.

– Tak, oczywiście – zapewniła.

– Czy dziadek wspomniał coś o...? – zwróciłam się do wujka. Wolałam nie kończyć pytania, liczyłam, że się domyśli.

– Obiecał, że porozmawia z nami, kiedy...

– Kiedy wrócimy z babcią z lotniska – dokończyłam szybko, a wujek się uśmiechnął. – Babcia nazywa się Patricia Sanders i przyleci ze swoją starszą siostrą Sally. Babcia mówi, że obie są jak dwa groszki w strączku – wyjaśniłam Lili.

Lila kiwnęła głową. Ona ciągle miała komplet dziadków. Jej Święta Dziękczynienia, Boże Narodzenie czy urodziny były znacznie bardziej rodzinne i fajniejsze od moich. Rodzina jest jak twierdza, pomyślałam. Kiedy ktoś ważny umrze, w murach powstaje wyłom, przez który przenikają nieszczęścia.

– W takim razie jedźmy – powiedział wujek Bobby. – Podrzucić cię do domu? – zwrócił się do Lili.

Spojrzała na mnie.

– Nie, dzięki... przyjechałam tu rowerem – bąknęła, jakby jeżdżenie rowerem było zakazane od czasu śmierci Williego.

– Okay. Claro Sue?

Zerknęłam w stronę dziadka, aby zawiadomić go, że jadę z wujkiem, ale był tak zajęty rozmową, że zrezygnowałam. Wyszliśmy z domu. Lila wsiadła na rower i odjechała. Ja i wujek samochodem dziadka ruszyliśmy na lotnisko.

– Chyba muszę ci coś powiedzieć, Claro Sue. Właśnie dowiedziałem się tego od ojca. Może poprawi ci to samopoczucie.

– Co takiego? – Nie wierzyłam, aby coś mogło mi teraz poprawić samopoczucie. Chyba tylko wiadomość, że wszystko było pomyłką, w szpitalu pomyłono chłopców i Willie żyje.

– Tata wynajął prywatnego detektywa, żeby ustalił tożsamość otrutego chłopczyka. Kiedy już będzie wiadomo, kto go podrzucił do szpitala i gdzie jest jego rodzina, mały na pewno wróci do domu. Może został porwany.

Mimo wszystko zaintrygowało mnie, że można porwać dziecko, a potem je otruć.

– Powiedział, że po to właśnie był w szpitalu – żeby spotkać się z detektywem i zapewnić chłopcu najlepszą opiekę...

– Aha.

– Dziadek już o wszystko zadbał – stwierdził i uśmiechnął się znacząco. – Lubi wszystkim sterować. Zresztą ty też to wiesz, prawda?

– Tak. – Nie przyznałam się do tego, ale jego słowa poprawiły mi samopoczucie. Powinniśmy znów skupić się na Williem.

Babcia Sanders rozpląkała się, kiedy wysiadła z samolotu. Jej siostra dyskretnie ocierała oczy. Na mój widok łzy popłynęły im obu niepowstrzymanym strumieniem.

Wujek Bobby czule uściskał babcię, a potem babcia i cioteczna babcia przytuliły mnie.

Teraz dopiero pomyślałam, że to mnie należy współczuć najbardziej. Nie było już babci Arnold ani rodziców, którzy mogliby mnie pocieszyć. Wątpiłam, czy gdyby żyli, pocieszaliby także dziadka. Stosunki pomiędzy nimi były raczej chłodne. Rodzice chyba trochę się go bali.

Wujek Bobby wziął bagaże i poszliśmy do samochodu. Starsze panie usiadły z tyłu i zapytały o wypadek, choć czułam, że robią to wbrew sobie. Babcia powiedziała coś dziwnego: „Założę się, że Myra wolałaby być na jego miejscu”.

– Nie – zaprzeczył łagodnie wujek Bobby. – Wolałaby, żeby nikogo coś takiego nie spotkało.

Na tym rozmowa się urwała. Po chwili cioteczna babcia zmieniła temat i jak gdyby nigdy nic zaczęła mnie wypytywać o szkołę. Odpowiadałam monosylabami, niemal opryskliwie. Ucieszyłam się, kiedy dotarliśmy do domu, gdzie ciągle przybywali nowi goście, składali kondolencje i wyrażali

współczucie; wielu przyjechało z dziećmi, które czuły się równie niezręcznie jak ja.

Babcia Sanders i jej siostra od razu podeszły do dziadka, żeby go uścisnąć. Tkwił sztywno w ich ramionach, aż przerzuciły się na Myrę.

– Mam nadzieję, że nie zamierzają wypytywać o wypadek – szepnął wujek Bobby.

Obserwowaliśmy, jak Myra prowadzi je do pokoju gościnnego. Pomyślałam, że też pójde do siebie, ale mój wzrok przyciągnęło zachowanie dziadka.

Powiedział coś szybko do wujka Bobby’ego, a ten podszedł do mnie.

– Teraz pójdziemy z dziadkiem do gabinetu, żeby porozmawiać o jutrze.

Otoczył mnie ramieniem i wyszliśmy z salonu. Po chwili siedzieliśmy na ciemnobrązowej, skórzanej kanapie. Do gabinetu wszedł dziadek z panią Mallen u boku. Wezwano też babcię Sanders i cioteczną babcię Sally. Dziadek usiadł za biurkiem i na jego znak sekretarka zaczęła szybko odczytywać szczegóły z notatek na tabliczce z klipsem. Przez cały czas siedziałam nieruchomo, z opuszczoną głową.

Pani Mallen poinformowała, że ciało mojego braciszka spoczywa obecnie w trumnie, w kaplicy pogrzebowej. Opisała, jak jest ubrany. Dziwne. Nie widziałam, żeby ktoś zabierał ubranie z jego pokoju. Wspomniała, że opis wypadku znalazł się w „Prescott Gazette”, w artykule zamieszczono także informację o pogrzebie. Uniosłam głowę i spojrzałam na drzwi, wyobrażając sobie, że Willie zaraz wyjrzy zza nich, śmiejąc się z uciechą, że wyciął nam niezły numer. Oczywiście nic takiego się nie stało. I nigdy się nie stanie.

Weszła Myra. Widać było, że poczuła się urażona pominięciem jej osoby.

– Miałem nadzieję, że odpoczywasz, Myro – powiedział dziadek, zanim zdążyła się odezwać.

– Niestety, panie Arnold, mam aż za dużo czasu na odpoczynek – odparła niania. – Poza tym Clara Sue potrzebuje mojej pomocy w wyborze stroju na jutro. – Popatrzyła na mnie znacząco.

W ogóle nie pomyślałam o czymś takim. Nawet nie chciałam o tym myśleć. Oczywiście, że potrzebowałam rady Myry. Co będzie, jeśli ubiorę się niewłaściwie i przyniosę wstyd rodzinie? Mogłabym, co prawda, zapytać babcię Sanders, jednak czułam się bardziej związana z Myrą. Jak zauważył dziadek Arnold, ostatnio widywałam się z drugą babcią tylko na pogrzebach. Kiedy dowiedziała się, że Willie i ja zamieszkamy u dziadka, wyraźnie się od nas oddaliła.

Teraz siedziała nieruchomo, co chwila ocierając oczy i kręcąc głową. Trzymała siostrę za rękę. Na ten widok łzy napłynęły mi do oczu.

– Dobrze – powiedział dziadek.

– Zajmiemy się tym po kolacji, Claro Sue – zaproponowała Myra.

Milczałam. Poczułam na ramieniu dłoń wujka Bobby’ego. Popatrzyliśmy na siebie. Posłał mi pokrzepiający, łagodny uśmiech.

Pani Mallen dokończyła czytanie planu działań i wyszła, aby ustalić z Myrą i Faith szczegóły stypy, jak to nazwała. Dziadek Arnold odchylił się w fotelu i zwrócił wzrok w naszą stronę – choć miałam wrażenie, że patrzy przez nas jak przez szybę.

– Czy coś jeszcze trzeba zrobić, tato? – zapytał wujek Bobby.

– Nie, już nie. Dzięki, Bobby.

– Dobrze. W takim razie pójdę teraz na górę, wezmę prysznic i położę się na chwilę.

– Jasne.

– Powinieneś odpocząć, tato.

– Wiem.

Wujek Bobby wstał i popatrzył na mnie.

– Ty też.

– Słusznie – przytaknęła moja druga babcia. – Młodych ludzi dotyka to jeszcze mocniej.

– Dobrze, pójdę odpocząć – obiecałam i patrzyłam, jak wujek Bobby wychodzi. Lubiłam obserwować jego płynne, kocie ruchy tancerza. Nawet gdy zwykłym krokiem szedł przez salon, zdawał się płynąć nad podłogą. Babcia Arnold nazywała go Fredem Astaire’em. Kiedyś odszukałam stare filmy, żeby się przekonać, co to za gość, i byłam po prostu zafascynowana. Nawet mały Willie siedział cicho, wpatrzony w taneczne popisy aktora, z pewnością mając przed oczami wujka Bobby’ego.

Babcia Sanders z siostrą poszły za jego przykładem i oznajmiły, że również potrzebują chwili odpoczynku po locie... w całej tej sytuacji.

– Ale gdybyś nas potrzebował... – zaznaczyła babcia.

– Dzięki, Patricio. Odpocznijcie – zwrócił się do obu kobiet. Kiedy wyszły, przeniósł spojrzenie na mnie. – Wybacz, Claro Sue, że nie miałem dotąd dla ciebie czasu – rzekł. – Cieszę się, że Bobby jest tutaj. On cię bardzo lubi.

– I ja lubię jego. Willie też go lubił.

Dziadek kiwnął głową.

- Ten otruty chłopiec. – Zmienił nagle ton.
 - Co z nim?
 - Staram się ustalić, kim jest i kto mu to zrobił – odparł dziadek.
 - On nic nie mówi?
 - Nie. Poprosiłem, żeby sprowadzili do niego neurologa.
 - Tak jak Willie – powiedziałam, świdrując go wzrokiem. – Zupełnie jak Willie. Jeśli jesteś Bogiem, mógłbyś coś dla niego zrobić, nie uważasz?
- Z tymi słowami wybiegłam z gabinetu, nie oglądając się za siebie.

3

Być może dziadek powiedział coś o mnie wszystkim, bo kiedy rano zesłam na dół, stałam się ośrodkiem zainteresowania. Posadzono mnie przy stole i podsuwano mi jedzenie. Nie musiałam się zmuszać, miałam potrzebę napełnienia żołądka. W przeciwieństwie do innych, którzy prawie nie tknęli potraw. Poza babcią Sanders i babcią cioteczną Sally reszta towarzystwa zadowolili się kawą. Wczoraj wieczorem Myra przejrzała moją garderobę i starannie wybrała mi strój na pogrzeb. Wybranie odpowiednich podkolanówek urosło niemal do rangi decyzji państwowej. Wiedziałam, że celebrytuje te czynności, aby odwrócić moją uwagę od czarnych myśli o pogrzebie, ale i tak doskwierała mi świadomość, że muszę być idealnie ubrana, gdyż na mnie będą skierowane wszystkie spojrzenia.

Usiadłam w limuzynie pomiędzy dziadkiem i wujkiem Bobbym. Babcia Sanders z siostrą siedzące naprzeciwko nas wzdychały, pochlipywały cicho i unikały mojego wzroku. Wujek Bobby trzymał mnie za rękę przez całą drogę do kościoła. Dziadek siedział nieruchomo i sztywno, niczym kamienny posąg. Prawie nic nie mówiłam, nawet do Myry. Gardło miałam ściśnięte i obolałe. Słowa przychodziły mi z trudem.

Było bardzo ciepło jak na tę porę roku. Dobrze, że choć od czasu do czasu chmury zasłaniały słońce, które świeciło niczym reflektor na scenie wujka Bobby'ego. Minęliśmy niewielki park przy szkole. Siedziała tam gromada matek, a dzieci z krzykiem i śmiechem szalały na placu zabaw. Miałam ochotę opuścić szybę i krzyknąć: „Jak śmiecie dzisiaj się bawić?”.

Wreszcie zaparkowaliśmy i weszliśmy do kościoła pełnego ludzi. Kiedy spojrzałam na trumnę, miałam wrażenie, że moje ciało zanikło. Jakbym zapadała się w siebie. Usiłowałam nie patrzeć na ludzi, których spojrzenia czułam na sobie. Z obu stron trzymali mnie za ręce wujek Bobby i babcia Sanders. Wujek musiał wyczuć, co się ze mną dzieje, zanim dostrzegł to dziadek – może dlatego, że pracował ciałem i znał jego mowę. Puścił moją

dłoń i szybko otoczył mnie ramieniem. Tak doszliśmy do ławki.

Dziadek przez większość czasu siedział ze zwieszoną głową, a dłonie splótł tak mocno, że zbielały mu kłykcie. W pewnym momencie podniósł głowę, popatrzył na trumnę swojego wnuka, pokręcił głową i znów ją zwiesił. W kazaniu i w mowie pogrzebowej rozróżniłam tylko wiele razy wymieniane imię Williego. Reszta słów przepływała mi koło uszu. Siedziałam tam i myślałam z drzeniem, że najgorsza część ceremonii jest jeszcze przede mną. Na razie żałobna msza kojarzyła mi się ze spektaklem, z trumną jako rekwizytem. Wszyscy braliśmy udział w tym przedstawieniu.

I doczekałam się. W scenerii najpiękniejszego cmentarza w Wirginii okrutna rzeczywistość uderzyła we mnie jak młot. Tama puściła, popłynęła rzeka łez. Zanosłam się płaczem tak gwałtownie i długo, że dziadek skinął na wujka Bobby'ego, który objął mnie jeszcze mocniej i prawie zaniósł do limuzyny. Zdaje się, że mój atak rozpaczy wzruszył zebranych i doprowadził ich do płaczu bardziej niż widok dziecięcej trumny opuszczanej do idealnie wykopanego grobu.

W samochodzie padłam na siedzenie i na parę minut zasnęłam, oparta o ramię wujka. W głowie kołatały mi się słowa babci Arnold, która powiedziała kiedyś, że wujek Bobby „stąpa lekko jak anioł”. Willie był teraz aniołem. Przyśniło mi się, że wracam do domu, a tam w drzwiach wita mnie braciszek i z tym swoim łobuzerskim uśmiechem mówi: „Ha, ha, ale dałaś się nabrać!”.

Kiedy przyjechaliśmy do domu, Lila i jeszcze parę osób z mojej klasy zostały ze mną w pokoju. Widać było, że wcale nie mają ochoty tu być. Ja też nie chciałam, ale wszyscy mieli jak najlepsze chęci. Wreszcie zabrakło mi łez i zaproponowałam, żebyśmy zeszli na dół i zjedli coś.

– Zanim niektórzy goście sprzątną nam najsmaczniejsze kąski sprzed nosa – dodałam i wreszcie odpowiedziały mi uśmiechy.

To Faith powiedziała, że tydzień po tak smutnym pogrzebie był jak „dni po przejściu tornado”. Babcia Sanders z siostrą wyjechały nazajutrz rano, a wcześniej zaprosiły mnie w odwiedziny, kiedy tylko zechcę. Za życia Williego nawet nie przyszło mi to do głowy. Uściskały mnie, wyciąłowały i niemal wybiegły z domu, jakby uciekały z pożaru. Nie winałam ich za to. Ci, którzy zostali, poruszali się jak lunatycy i mówili ściszonymi głosami. Słowa zastąpiły spojrzenia i gesty. Cisza zdawała się koić.

Dla dziadka Arnolda powrót do pracy i jeszcze większa harówka były

sposobem radzenia sobie z rozpaczą. Wychodził z domu, zanim jeszcze wstałam z łóżka. Wujek Bobby został jeszcze na półtora dnia. Przed wyjazdem przyszedł do mnie do pokoju. Wiedziałam, że nie może zostać dłużej, choć pewnie by chciał. Wzywały go obowiązki w pracy. On też musiał radzić sobie ze smutkiem.

– Hej, Księżycowy Promyku – przywitał się. Właśnie zaczęłam coś, nie wiedząc, czy doprowadzę to do końca. Pisałam list do mojego brata Williego, adresowany do Nieba. Chyba podświadomie przerażała mnie myśl, że szybko o nim zapomnę i przestanę o nim myśleć. Wiedziałam, że dziadek nie przestał myśleć o mojej mamie ani o babci, ale rzadko o nich wspominał. Dlatego byłam taka zaskoczona, kiedy usłyszałam, że to babcia Arnold nakazała mu zająć się otrutym chłopcem.

– Cześć – powiedziałam. Wujek Bobby był ubrany jak do podróży i wiedziałam, że za chwilę wyjeżdża. – Znikasz?

– Tak, ale obiecuję dzwonić i pisać. I przyślę ci afisz z najnowszego przedstawienia.

Uśmiechnęłam się do niego. Jak dobrze jest się uśmiechać! Wiedziałam, że prędzej czy później wrócę do normalnego życia, choć jakaś część zawsze będzie spoglądała wstecz. Ta, która nie chciała się pogodzić z utratą Williego.

– Dobrze... W takim razie... idziesz do szkoły w poniedziałek?

– Chyba tak. Moja przyjaciółka Lila pomaga mi w uzupełnieniu materiału.

– Mądrze robisz, choć wiem, że nieprędko się odnajdziesz. Ile razy was widziałem, myślałem, że jesteś dla niego bardziej matką niż starszą siostrą. – Urwał i pokręcił głową. – Wiem, że straciliście mamę, ale zwykle starsze siostry nie matkują młodszym braciom. Jesteś niesamowitą osobą, Claro Sue.

Doceniałam, że wujek Bobby przez cały czas starał się mnie podnieść na duchu. Widać było jednak, że coś jeszcze go nurtuje. Wyczułam, że bije się z myślami, czy mi to powiedzieć, czy nie. Przygryzł usta.

– A co u dziadka? – spytałam, żeby go zachęcić. – Nie widziałam go dzisiaj rano.

– Jak to on. – Wujek się uśmiechnął. – Nie daje nic po sobie poznać, ale wiem, że wewnątrz toczy ciężką walkę. Pewnie nieraz się zastanawiałaś, jak bardzo syn jest różny od ojca. Kiedy byłem w twoim wieku, potrafiłem się rozpłakać na widok martwego motyla. Zresztą i teraz zbiera mi się na płacz, kiedy widzę, jak giną piękne rzeczy. Natomiast twój dziadek należy do ludzi, którzy tłumią łzy i nie ujawniają niczego na zewnątrz. A także ludzi, którzy

przewyciężają rozpacz za pomocą gniewu.

– I zemsty – dodałam.

– Właśnie.

– Czy mówił coś jeszcze o otrutym chłopcu? – Wyczułam, że o tę sprawę chodzi.

Skinął głową.

– Dziadek otrzymał raport od prywatnego detektywa.

– Mały wraca do domu? – spytałam szybko, z nadzieją, że na tym sprawa się zakończy.

– Nie. Śledztwo utknęło w ślepej uliczce.

– To znaczy?

– Tata powiedział dokładnie tak: „Nie wiem, jakim trzeba być człowiekiem, żeby podrzucić dziecko jak jakiś tobołek, a potem zniknąć jak duch”. Podobno ten facet miał postawiony kołnierz i kapelusz nasunięty na oczy. Był średniego wzrostu i przeciętnej budowy ciała, więc niczym się nie wyróżniał. Po prostu typ, którego na ogół się nie zauważa. Ubranie chłopca także nie miało żadnych cech charakterystycznych. W rezultacie twój dziadek zrezygnował z usług prywatnego detektywa. Oczywiście policja dalej prowadzi śledztwo.

– Dziadek odwiedza tego chłopca codziennie, prawda? Dlatego tak wcześnie wychodzi z domu.

Wujek Bobby przytaknął.

Myślałam o tym chwilę.

– Czy nie powinna się nim zająć opieka społeczna? – Nie chciałam mu zdradzić, że prosiłam Lilę, aby zapytała o to swojego tatę. Był prawnikiem wielkiej korporacji, która miała coś wspólnego z zaopatrzeniem marynarki wojennej, ale pomyślałam, że prawnik to prawnik i powinien coś wiedzieć o różnych przepisach. Nie bardzo się na tym znał, ale wspomniał coś o rządowej agencji.

– No właśnie. Tata nie chce, żeby malec trafił w „tryby systemu”, jak to określił. Czekałem tylko, aż mi wyzna, że duch mamy szeptał mu do ucha, co ma robić, ale okazało się, że tę rewelację zarezerwował tylko dla ciebie. Co świadczy o tym, że bardzo ci ufa i przejmuje się twoimi uczuciami dużo bardziej niż moimi.

– I co zamierza zrobić?

– Na razie zapewnił temu chłopcu najlepszą opiekę medyczną. Zatrudnił nawet psychiatrę, specjalnie dla niego. Stan małego jest poważny, zdaje się, że

zostały upośledzone czynności ruchowe.

– Czynności ruchowe?

– Tak, ma problem z nogami. Twój dziadek twierdzi, że jest coraz lepiej, ale przed nim jeszcze długa droga. Mówię ci o tym, abyś wiedziała, że nadal angażuje się w tę sprawę. I myślę, że pomagając komuś tak nieszczęśliwemu, pomaga zarazem sobie.

Chciałam powiedzieć, że ja też jestem nieszczęśliwa, a Williemu i tak już nic nie pomoże, ale zamilczałam. Kiwnęłam tylko głową.

– Znasz swojego dziadka – ciągnął wujek Bobby. – Kiedy coś postanowi...

Znów kiwnęłam głową. Pamiętałam, co mówiła babcia – że kiedy dziadek się uprze, nie ruszy go nawet buldożer. „Mam wrażenie, że z jego stóp wyrastają korzenie”, powiedziała kiedyś. Czasem ją to irytowało i sarknęła, że jest uparty jak muł, lecz w sumie była dumna z twardego i niezłomnego charakteru swojego męża, który gotów był zrobić wszystko dla osiągnięcia celu, który uważał za słuszny, a zwłaszcza dobry dla swojej rodziny. Mówiła, że przy nim czuje się bezpiecznie – bezpieczniej nawet, niż kiedyś czuła się przy własnych rodzicach.

„Jeśli w rodzinie po tym wszystkim została siła przetrwania” – powiedziała do mnie babcia Arnold jakiś czas po śmierci rodziców – „zawdzięczamy ją tym korzeniom, które wyrastają z naszych stóp. Tylko mu nie mów, że tak powiedziałam” – dodała, ścisząc głos. „Nie należy mu pompować ego, bo zrobi się nie do wytrzymania”. I zaśmiała się jak ktoś, kto przysięga, że przestanie się zajadać czekoladą, choć wie, że nie dotrzyma słowa. Nikt tak nie chwalił i nie komplementował dziadka jak właśnie ona. Na końcu wyznała: „Choćbyś nie wiem jak się zarzekała, że już nigdy nie skosztujesz czekolady, nigdy z niej nie zrezygnujesz”.

– Nie warto się martwić na zapas, Claro Sue – poradził mi wujek Bobby. – Każdy inaczej przeżywa żałobę. Pozwólmy, żeby czas leczył rany. Z pewnością będę teraz pracował jeszcze bardziej intensywnie, więcej tańczył. Nie pozwól, aby żal po stracie zawładnął tobą i zmienił twoje odczucia i zachowania. Pozostań sobą. Zawsze byłaś dumna ze swoich szkolnych sukcesów. Teraz powiedz sobie, że starasz się także dla Williego.

– Dobrze. – Łzy znowu napłynęły mi do oczu. Czy ciągle tam będą, gotowe wytrysnąć w każdej chwili? Jak tak dalej pójdzie, ludzie zaczną mnie unikać!

Wujek Bobby podszedł, uściskał mnie i pocałował w policzek.

– Przyjedź na moje przedstawienie – powiedział. – Prawdopodobnie w tym

roku będę występował na Broadwayu. Pokażę ci Nowy Jork. Co ty na to?

– Chętnie, o ile dziadek mi pozwoli. Czasami słyszę brzęczenie łańcuchów.

Wujek zachichotał.

– Wiem. Najpierw zapytamy o zgodę Myrę i w razie czego ją także zaprosimy.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia, ale na moment zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na mnie.

– Dbaj o niego, Claro Sue. Jest bardziej zagubiony, niż myślisz. – Z tymi słowami wyszedł.

Przypomniało mi się, jak dziadek zachowywał się po śmierci moich rodziców i babci Arnold. W obu przypadkach troszczył się o wszystkich i wszystko w charakterystyczny dla siebie, władczy sposób. I czułam się bezpiecznie, pomimo rozpacz. Czyżby utrata Williego uderzyła w niego mocniej, niż sądziłam? Może miał co do wnuka wielkie plany, może nawet wyobrażał sobie, że pewnego dnia przekaze mu firmę – czego nigdy by nie zaproponował wujkowi Bobby’emu. I wszystko legło w gruzach. Została piękna posiadłość, kwitnące interesy i miliony dolarów.

Jak często dziadek patrzył na portret babci, wiszący w jego gabinecie, i przeszywał go straszny ból? Jak puste musiały być jego noce? W ostatnich dniach nie miałam ochoty wstawać z łóżka, żeby stawiać czoło światu. Jak on się do tego zmusza? Jakim cudem potrafi wykrzesać z siebie energię?

Postanowiłam być bardziej wyrozumiała dla dziadka i jego zaangażowania w sprawę otrutego chłopca. Nadal mi się to nie podobało, ale pomyślałam, że jeśli chłopiec wreszcie odzyska zdrowie, dziadek uspokoi się i skupi na swoich sprawach. Zapewne znajdzie nowy dom dla chłopca. Dziadek działa na wielu polach, nie tylko swojego biznesu. Znał całe zastępy polityków i słyszałam, że planuje kandydować na burmistrza Prescott. Gdyby chciał, mógłby zostać nawet gubernatorem.

Wróciłam do biurka i listu do brata.

Wujek Bobby właśnie wyszedł. Już za nim tęsknię, wiesz, Willie? Kocham wszystkich, ale wujek Bobby jest wyjątkowy. Zresztą Ty to wiesz.

Ciągle nie mogę uwierzyć, że odszedłeś, Willie. Po tym wszystkim, co się ostatnio działo, choć tylu ludzi wyraziło nam swoje współczucie, ja nadal się łudzę, że to nieprawda. Że jak zwykle wpadniesz do mojego pokoju i będziesz

się ze mną drażnić, przeszkadzając mi w rozmowie telefonicznej czy odrabianiu lekcji. Nie znosiłeś być sam i chciałeś, żebym oglądała z Tobą telewizję albo w coś grała.

Przepraszam, że czasem opędzałam się od Ciebie. I tak zawsze w końcu ulegałam. Ponoć Myra i Faith Cię rozpieszczęły, ale oboje dobrze wiemy, że najbardziej rozpieszczęłam Cię ja. A raczej rozpieszczętałam.

Pocieszam się, że teraz już nie czujesz się samotny, bo jesteś z mamą, tatą i babcią. I pewnie bardziej współczujesz mnie niż ja Tobie.

Ciekawe, czy kiedy ja umrę i znów się spotkamy, ciągle będziesz małym chłopcem, czy w niebie ludzie też się starzeją? Bo Ty na pewno jesteś w niebie. Nie zdążyłeś jeszcze zrobić nic złego i pewnie byś nie zrobił.

Wujek Bobby miał rację – muszę być sobą i dbać o swoje sprawy, ale przeraża mnie powrót do szkoły. Boję się, że kiedy zobaczę moją klasę i wszyscy nadal będą mi współczuli, to znów się rozkleję i wybuchnę płaczem.

Ludzie czują się skrępowani wobec tych, którzy są w żałobie. Nie wiedzą, jak z nimi rozmawiać, i obawiają się, że mogą niechcący powiedzieć albo zrobić coś, co pogłębi ich rozpacz. Czuli by się z tym okropnie, więc na wszelki wypadek wolą unikać takich osób.

Obawiam się, że tak właśnie będzie ze mną, kiedy wrócę do szkoły. Zwłaszcza w pierwszym tygodniu.

Możliwe, że z tego powodu dziadek wcześniej wychodzi z domu. Ma po prostu nadzieję, że zdąży się wypłakać, zanim wróci. Wystarczyło, że raz zobaczyłam jego minę, abym nigdy już nie śmiała płakać w jego obecności. Zadzwoił po Myrę i uciekł do gabinetu, zatrzaskując za sobą drzwi. Poczułam się wtedy jeszcze gorzej.

Nie chciałam wspominać o tym w liście do Ciebie, Willie, a zwłaszcza w pierwszym, ale obawiam się, że w najbliższym czasie będę miała potrzebę coraz częstszego pisania o dziadku. Chodzi mi o otrutego chłopca. Wiem, że gdybyś tu był i zobaczył go, interesowałbyś się jego losem tak samo jak dziadek. I ja. Ale gdybym miała policzyć czas, który dziadek poświęca myślom o Tobie, i czas, który poświęca myślom o tamtym chłopcu, to jestem pewna, że dużo więcej myśli o nim.

Możliwe, że wujek Bobby ma rację, kiedy mówi, że dziadek boi się myśleć o Tobie i ucieka w myślenie o obcym chłopcu. Ale nie podoba mi się to.

W przyszłym tygodniu, któregoś dnia pojedę na rowerze na cmentarz, żeby

pogadać z Tobą, Braciszku. Obiecuję!

A przede wszystkim obiecuję, że nigdy Cię nie zapomnę.

Będę pisała do Ciebie stale, bo wierzę, że jak tylko skończę list, mama w niebie odczyta go na głos Tobie i tatusiowi.

Na zawsze Twoja

Odłożyłam długopis, złożyłam kartki i wsunęłam je do jednej ze swoich ozdobnych kopert. Wrzuciłam ją do dolnej szuflady biurka i zesłam na dół, żeby sprawdzić, co Faith szykuje na kolację. Poza tym potrzebowałam kontaktu z drugim człowiekiem. Nie wystarczało mi słuchanie radia ani oglądanie telewizji. Miałam zresztą poczucie, że nie wypada tego robić zaraz po pogrzebie Williiego. Nie radziłam sobie jednak z samotnością.

Lila chciała być ze mną od rana do wieczora, ale mama odmówiła zwolnienia jej ze szkoły. Tłumaczyła, że tak nie można, a poza tym od kogo bym wtedy uzupełniała zaległości, gdyby ona też nie chodziła na lekcje? A tak przynajmniej miałam coś do roboty po południu i choć nie chciałam pytać ani się do tego przyznać, naprawdę obchodziło mnie, co dzieje się w klasie. Pomyślałam nawet z niepokojem, że za wcześnie interesuję się światem, ale te wieści były mi potrzebne niemal na równi z oddychaniem.

Fajnie, gdyby Lila mogła dzisiaj zostać na kolację, pomyślałam. Od kiedy wyjechał wujek Bobby, przy stole panowało ponure milczenie. Ciągle się obawiałam, że dziadek zacznie mówić o otrutym chłopcu, i starałam się nie odzywać, żeby nie prowokować rozmów. Z kolei dziadek starał się nie mówić o Williim, podobnie jak kiedyś o moich rodzicach.

Niestety, Lila nie mogła zostać. Nie pochwaliła mi się wcześniej, że rodzice zabierają ją i siostrę na przyjęcie z okazji awansu jej ojca w korporacji. Widać krępowiała się przekazywać mi dobre wieści. Jak większość znajomych w tamtym czasie starała się ukrywać przede mną, że inni są szczęśliwi i mają przyjemności, podczas gdy ja tkwiłam na dnie rozpacz.

– Codziennie mnóstwo ludzi pyta o ciebie, zwłaszcza pan Leshner – powiedziała, aby poprawić mi humor.

Pan Leshner uczył wiedzy o społeczeństwie i potrafił uczynić ten przedmiot naprawdę atrakcyjnym. Dostawałam u niego najlepsze stopnie i często mnie zapewniał, że jestem odpowiednią kandydatką do wygłoszenia przemówienia na zakończenie szkoły.

– A przede wszystkim Aaron – dodała Lila.

Choć bardzo się starałam, nie udało mi się wypchnąć z myśli tego chłopaka i planów na nadchodzące ferie zimowe. Chciałyśmy z Lilą urządzić sylwestra, takiego dorosłego, z drinkami. Jej rodzice byli skłonni zostawić nam dom. Jeszcze kilkoro naszych przyjaciół zostawało na ferie, także chłopcy.

Ale te plany snułam przed śmiercią Williiego.

Tego popołudnia, jak zwykle w trakcie odrabiania pracy domowej, Lila plotkowała o różnych osobach w szkole. Żadna z nas nie wspomniała o Williem.

Dziadek zjawił się w domu chwilę przed jej wyjściem. Przyszedł na górę i zjrzał do nas. Zrobił to po raz pierwszy w tym tygodniu.

– Cześć, dziewczyny – przywitał się.

– Dobry wieczór, panie Arnold.

– Zostaniesz z nami na kolacji, Lilu?

– Chciałabym, ale dzisiaj nie mogę.

– Rodzice zabierają ją i siostrę na przyjęcie z okazji awansu taty – wyjaśniłam szybko.

– Och, świetnie. Słyszałem o tym. Przekaż tacie gratulacje.

– Oczywiście.

Dziadek skinął głową i poszedł do swojego gabinetu.

– Wszyscy się zastanawiają, czy twój dziadek ponownie się ożeni – powiedziała Lila, czym kompletnie mnie zaskoczyła. – Jak myślisz?

– Nie – zaprzeczyłam z przekonaniem. Sama myśl była dla mnie dziwna, wręcz niepokojąca.

– Słyszałam rozmowę mamy z przyjaciółkami. Uważają, że jest bardzo przystojnym i atrakcyjnym kawalerem, a do tego jest bogaty i odnosi sukcesy.

– Dziadek nie jest kawalerem, lecz wdowcem – zaznaczyłam.

– Ale nie jest jeszcze stary – odparła z naciskiem, który mnie zirytował.

– Nie jest zdolny pokochać kogoś równie mocno, jak kochał babcię. Inna kobieta byłaby rozczarowana.

Lila wzruszyła ramionami.

– Nie musiałyby kochać jak szalony, tylko tyle, żeby wystarczyło do małżeństwa, prawda?

Nie odpowiedziałam. Pochyliłam się nad podręcznikiem do matematyki.

– Chyba już pójdę – powiedziała Lila.

– Baw się dobrze. – Starałam się ukryć gorycz w głosie.

– Dzięki. Jeśli nie wrócę za późno, zadzwonię do ciebie. – Przystanąła na moment w drzwiach. – Masz ochotę wyskoczyć gdzieś w ten weekend?

– Nie – odpowiedziałam bez wahania. Lila kiwnęła głową. Wyczułam, że codzienne przesiadywanie w tym pokoju zaczęło ją nużyć. – Ale jeśli będzie impreza, idź i nie przejmuj się mną.

– Zobaczmy. No to pa.

Usiłowałam skupić się na matmie, ale nie zdołałam się skoncentrować. Wreszcie z hukiem zatrzasnęłam książkę i podeszłam do okna. Obserwowałam, jak Lila odjeżdża na rowerze. Kiedy znikła mi z oczu za bramą, poczułam się jak więzień żałoby.

Jadalnia wydawała się pusta i ponura bez Lili, Williego, wujka Bobby’ego czy nawet babci Sanders i ciotecznej babci Sally. Zwłaszcza ostatnie wieczory i noce były trudne. Widziałam, że dziadek stara się udawać spokój i pogodę ducha. Faith przygotowała na kolację nasz ulubiony przysmak – kotlet mielony własnego przepisu z wybornymi ziemniakami purée. Była to jedyna forma ziemniaków, jaką uznawał Willie, i zawsze czyścił talerz do czysta. Zwykle dziadek pił wino do kolacji, ale nie dzisiaj. Nadszedł moment, kiedy mogliśmy wreszcie porozmawiać o naszej tragedii. Ostatnio najczęściej towarzyszyła nam Lila albo dziadek musiał jeszcze popracować po jedzeniu. Dzisiaj jednak czułam, że będzie inaczej, tak przeczuwa się nadchodzącą burzę. Byłam coraz bardziej napięta i straciłam resztki apetytu.

Dziadek odezwał się, dopiero kiedy Faith podała posiłek. Jak zwykle pochwalił jej kulinarne umiejętności. Myra jadła w swoim pokoju. Wreszcie przestała udawać i nie kryła już swojego bólu, fizycznego i psychicznego. Na pewno była jeszcze bardziej wykończona niż my, bo cierpiała nie tylko jej dusza, ale i ciało.

– Zdołałem przeżyć najgorszą falę rozpacz, Claro Sue – zaczął – gdyż pracowałem jeszcze więcej niż zwykle. Dzięki temu nie miałem czasu rozpamiętywać tej tragedii. Nigdy nie przestanie nas boleć odejście Williego, ale musimy ze wszystkich sił się starać, aby ci, którzy odeszli, byli z nas dumni, prawda?

– Tak, dziadku.

– Zatem w poniedziałek wracasz do szkoły?

– Tak.

Przez chwilę jadł w milczeniu. A ja, unikając patrzenia na puste krzesło Williego, pochłaniałam kolację szybciej niż zwykle, żeby jak najprędzej

skończyć i móc odejść od stołu. Jak długo będę unikała każdego miejsca w tym domu, gdzie w myślach widziałam brata?

– Pewnie nie wiesz – zaczął znów dziadek – że ja i twoja babcia działaliśmy na rzecz organizacji dobroczynnej zwanej Anielską Perspektywą. Zajmuje się ona zapewnieniem wsparcia dzieciom pokrzywdzonym przez los. Jak wiesz, angażowaliśmy się w wiele akcji, lecz tę aktywność babcia ceniła najbardziej. Od czasu do czasu pracowała nawet jako wolontariuszka w ich centrum w Charlottesville. O tym pewnie też nie słyszałaś, prawda?

Pokręciłam głową.

– Babcia niechętnie mówiła o swojej działalności dobroczynnej. W przeciwieństwie do wielu ludzi, których znam, zwłaszcza tutejszych, po prostu robiła swoje, nie czekając na podziękowania i uznanie. A kiedy spotykały ją zaszczyty, była raczej speszona i zniecierpliwiona, gdyż odciągały ją od głównego celu – pomagania ludziom w potrzebie.

Robiłam się coraz bardziej czujna. Wyczuwałam, że dziadek zmierza ku czemuś, co ma związek z otrutym chłopcem.

– Dobrze jest myśleć nie tylko o sobie i własnej rodzinie, zwłaszcza jeśli przeżyło się silny zawód czy tragedię – ciągnął.

– Wiem, że zawsze będę myśleć o Williem – oświadczyłam twardo.

– Oczywiście, ja też. Będziemy pielęgnować jego pamięć, planuję też założyć fundację jego imienia.

– Jaką fundację, dziadku?

– Jeszcze nie wiem. Może taką, która przyznaje stypendia lub nagrody. Na przykład stypendium w twojej szkole. Wiesz co? Wymyślimy ją razem!

Przytaknęłam. Pomysł bardzo mi się spodobał. Wujek Bobby miał rację, pomyślałam. Muszę wykazać więcej tolerancji wobec dziadka i jego poczynań.

Widziałam, że się waha. Dojadł swój posiłek, popił wodą i odchylił się na oparcie krzesła.

– Mogłabyś pojechać dzisiaj ze mną do szpitala, oczywiście jeśli zechcesz. Mam porozmawiać z neurologiem na temat stanu tego chłopca. Mały jest smutny i przerażony. Prosiłem, żeby umieszczono go w pojedynczej sali ze wszystkimi wygodami, ale brakuje mu towarzystwa dzieci. Widuje wyłącznie pielęgniarki i lekarzy.

Milczałam.

– Byłoby miło, gdybyś do niego zagadała – podjął dziadek. – Dotychczas nie

odezwał się do nikogo.

Uniosłam głowę.

– Co miałabym mu powiedzieć, dziadku?

– To nieważne. Możesz go zapytać, jak się czuje. Po prostu nawiązać kontakt.

– Dlaczego miałby się odezwać akurat do mnie?

– Nie wiem. Ty też jesteś dzieckiem. Może ma starszą siostrę.

– Tak? A gdzie ona jest? Dlaczego nikt nie pyta o niego i nie chce go zabrać do domu? – zaatakowałam, nie kontrolując gniewu. – Jak można tak po prostu pozbyć się dziecka... jak śmiecia?

Dziadek potrząsnął głową.

– Próbuję to wyjaśnić.

– I utknąłeś w ślepym zaułku.

– Na razie. Ale szukam dalej.

– Komuś ten chłopiec się urodził, lecz go nie chciano, a my straciliśmy ukochanego Williego. To niesprawiedliwe.

– Zgoda, niesprawiedliwe. To jedna z lekcji, które musisz przerobić w życiu. Rzeczy nie wydarzają się dlatego, że powinny się wydarzyć czy są słuszne. Ty sama musisz sprawić, żeby tak się stało. Żeby wydarzyły się dobre rzeczy, Claro Sue. Jak więc będzie? Ty powinnaś wyjść wreszcie z domu, a ja liczę na twoją pomoc przy chłopcu.

– Sama nie wiem... – odparłam niepewnie.

– Dobrze, jak chcesz. Ja w każdym razie wyjeżdżam za... – spojrzał na zegarek – za pół godziny.

Zjawiała się Faith. Spojrzała na mój talerz.

– Zjadłam tyle, ile mogłam – usprawiedliwiłam się.

Skinęła głową.

– Było pyszne – zapewnił ją dziadek. – Jak się miewa Myra?

– Zasnęła podczas posiłku.

– Odwiedzę ją później – obiecał.

– A ja odwiedzę ją teraz. – Zerwałam się z krzesła, zanim dziadek zdążył się odezwać.

– Spróbujesz jeszcze szarlotki, kochanie?! – zawołała za mną Faith.

– Nie lubię szarlotki! – odkrzyknęłam. – To Willie ją uwielbiał!

Nagła cisza rozbrzmiała jak grom po moich słowach.

4

Spojrzałam na siebie w lustrze w korytarzu i pomyślałam, że więcej jest we mnie gniewu niż żałoby. Nie podobało mi się to. Gniew był niestosowny. Żal za Williem powinien zepchnąć wszystkie inne uczucia „na tylne siedzenie”, jak mawiał dziadek.

Cicho uchylałam drzwi do pokoju Myry i napotkałam jej badawcze spojrzenie. Emocje musiały się odbijać na mojej twarzy, bo Myra od razu zauważyła, że coś się dzieje. Pewnie już wcześniej podejrzewała, że dręczy mnie coś jeszcze poza rozpaczą po śmierci Williego. Nie byłam zaskoczona. Kto w końcu znał mnie lepiej niż Myra? Nawet za życia rodziców była dla mnie jak druga babcia. Piastowała moją mamę, więc tak jak babcia Lucy znała gesty, miny i zachowania, które odziedziczyłam po niej. I Myra, i babcia powtarzały mi często: „Wdałaś się w swoją mamę, wiesz?”.

Teraz wyciągnęła do mnie zdrową rękę. W paru krokach znalazłam się przy jej łóżku. Niania ujęła moją dłoń w swoją.

– Coś cię zdenerwowało? – spytała z troską. – Ktoś ze znajomych dziadka?

– Nie. Teraz w domu jest tylko dziadek. Jak się czujesz, Myro?

– Myślę, że będę mogła z detalami opowiedzieć Faith, jak się czuł Łazarz, kiedy wstał z grobu. – Krzywiąc się z bólu, usiadła na łóżku. – Ale nie mówmy o mnie, kochanie. Dam sobie radę. Niejedną rozpacz przeżyłam. Szkoda, że tobie tak wcześnie los zesłał straszne przeżycia. Więc co się stało? Powiedz mi! Widzę, że jesteś w bojowym nastroju. – Czułym gestem odgarnęła mi włosy z czoła.

– Dziadek chce, żebym jeszcze dzisiaj pojechała z nim do szpitala odwiedzić tego chłopca. Liczy, że zachęcę go do mówienia.

Niania kiwnęła głową.

– Domyślałam się, że o coś takiego chodzi. – Oparła się o poduszki, ale nie puściła mojej ręki. – Mogę powiedzieć ci coś, czego nauczyło mnie życie, kochanie? Świat jest pełen egoistycznych, podłych i bezlitosnych postępów.

Dlatego zawsze powinniśmy się temu przeciwstawiać i postępować właściwie. W tej chwili nie jesteś gotowa, by troszczyć się o kogoś innego. To zrozumiałe, ale powinnaś spojrzeć na tę sprawę inaczej, bardziej ze względu na dziadka niż na tego małego chłopca, choć jego los jest naprawdę godny współczucia.

– Tak właśnie radził mi wujek Bobby.

– Moja mama mawiała, że możesz spędzić całe życie, widząc głównie jego ciemną stronę, albo przeciwnie – jasną. Z kolei dla taty była to klasyczna sprawa szklanki do połowy pełnej lub do połowy pustej. I kłócili się, kto lepiej ujął ten problem. Spierali się, czy najpierw nalewać mleko do herbaty, czy odwrotnie, powoływali się przy tym na autorytet różnych władców, a jednocześnie kochali się i jedno nie mogło żyć bez drugiego.

Uśmiechnęłam się. Towarzystwo Myry było jak wyjście z domu w pochmurną pogodę i doznanie nagłej błogości, kiedy otulają cię ciepło promienie słońca, które przedarły się przez chmurę.

– Więc myślisz, że powinnam z nim pojechać?

– Nigdy nie zapomnimy naszego Williego, ale są także inne sprawy i warto zająć nimi umysł. Muszę przyznać, że jestem ciekawa losu tego dziecka. A ty nie? Skąd pochodzi? Czy człowiek, który go przywiózł, znalazł go gdzieś na ulicy? Bał się powiedzieć cokolwiek o dziecku, więc uciekł? Kto i dlaczego chciałby otruć malca? Może to się stało przypadkiem, ale ktoś bał się oskarżenia o rozmyślne otrucie?

– Dobrze – powiedziałam. – Pojadę z dziadkiem, a potem opowiem ci, jak było.

– Nie zasnę, dopóki nie wrócisz. Leżę, żeby całkiem dojść do siebie, ale przestałam już brać te ogłupiające pigułki – zapewniła z mocą.

Uścisnęłam ją i poszłam do dziadka. Rozmawiał przez telefon w swoim gabinecie. Gestem kazał mi zaczekać.

– Za chwilę tam jadę – powiedział do słuchawki. – Na razie nie mam nic więcej do powiedzenia. Trzeba szukać dalej – dodał i odłożył słuchawkę.

– Policyjny detektyw – wyjaśnił. – Wcześniej już dzwonił i zasypał mnie pytaniami o chłopca, ale nie miałem czasu z nim rozmawiać. Nie rozumiem, czemu policja się do mnie przyczepiła. Człowiek robi coś dobrego, a oni go jeszcze męczą. To ja powinienem zadawać im pytania o chłopaka! – dodał ze złością. – A oni myślą, że podam im sprawę na srebrnej tacy, z gotowym rozwiązaniem!

– Jadę z tobą do szpitala – oznajmiłam.

– Świetnie. Ruszamy o dziesiątej.

Pobiegłam do swojego pokoju. Nigdy nie uważałam mojej mamy za próżną, nie dbała przesadnie o swój wygląd, ale zawsze – co w niej podziwiałam – wychodziła z domu starannie ubrana i umalowana, nawet jeśli wybierała się do supermarketu.

„Niechlujny wygląd w miejscu publicznym mówi wiele o tym, jak żyjesz, Claro Sue” – mawiała. Myra starała się uczynić zadość wymaganiom mamy. Pilnowała, żebym była uczesana i schludnie ubrana, w czyste rzeczy, bez plam czy oberwanych guzików.

Pomna tej zasady, wybrałam najładniejszą bluzkę, zmieniłam buty na nowsze, a potem uczesałam włosy i spięłam je klamerkami. Ale wciąż gryzło mnie poczucie winy, że myślę o swoim wyglądzie, choć tak niedawno pochowałam brata. Z drugiej strony pamięć o wymaganiach mamy nie dała się zatrzeć.

Dziadek powitał mnie z aprobatą. Uśmiechnął się, położył mi dłoń na ramieniu, a potem za rękę poprowadził do samochodu. Jimmy Wilson i dwóch ogrodników powiedli za nami wzrokiem. Wykopywali właśnie cebulki z klombów wzdłuż podjazdu i usuwali lampki z trawnika. Jimmy uśmiechnął się i pomachał nam, wyraźnie zadowolony, że wreszcie ruszyłam się z domu.

Dotąd rzadko wyjeżdżałam gdzieś z dziadkiem bez Williego. Czasami zabierał mnie do swoich przyjaciół, ale nawet kiedy jechaliśmy na zakupy, Willie nam towarzyszył. Wiedział, że przy okazji dziadek kupi mu coś fajnego. Zwykle siadałam z przodu, a braciszek z tyłu. Zaczynał gadać, kiedy ruszaliśmy, i buzia mu się nie zamykała, dopóki nie dojechaliśmy do celu. Dziadek nazywał go „Autogadułką” i liczył szybkość jego potoku wymowy w liczbie słów na milę. Mawiał również, że Willie byłby idealnym pasażerem dla kierowców ciężarówek, jeżdżących na długie dystanse. „Z nim nikt nie zaśnie za kierownicą” – żartował. Te komentarze wcale nie zniechęcały mojego braciszka. Przeciwnie, nawijał jeszcze więcej.

Być może cisza panująca w aucie sprawiła, że i ja, i dziadek milczeliśmy przez długą chwilę.

– Ten otruty chłopiec naprawdę nic jeszcze nie powiedział, dziadku?

– Nawet nie zapłakał. Ani razu nie zawołał mamy. Najpierw myśleli, że jest głuchy, bo nie odwracał głowy w kierunku rozmówcy, lecz okazało się, że nie. Moim zdaniem ten malec nie ufa nikomu.

– Dlaczego?

– Ktoś, komu ufał, boleśnie go zawiódł, może wręcz skrzywdził. Taką teorię wygłosiła doktor Patrick. Mimo wielu starań nie skłoniła go do mówienia.

– A kim ona jest?

– Psychiatrą. Zatrudniłem ją do niego.

Nie znałam nikogo, kto leczyłby się u psychiatry, a już zwłaszcza kogoś tak młodziutkiego. W sumie dziwne. Czy urazy psychiczne dzieci są mniej ważne?

– Wujek Bobby mówił, że on nie może poruszać nogami.

Dziadek przytaknął.

– Zdaniem doktora Friedmana, neurologa, system nerwowy chłopca częściowo odmówił posłuszeństwa. Spotkał się już z podobnymi przypadkami. Arsenik mógł uszkodzić nerwy i upośledzić mięśnie. Leczenie i rehabilitacja wymagają czasu. Ale zdarza się, że niektórzy pacjenci nie wracają już do zdrowia. Dzisiaj doktor będzie na dyżurze, więc może powie coś więcej.

– Czy ten chłopiec też umrze?

– Zagrożenie życia już minęło, choć jeszcze niedawno mały był o włos od śmierci. Gdyby trafił do szpitala godzinę później, prawdopodobnie by umarł. Ale przez jakiś czas będzie jeździł na wózku... może do końca życia.

– Och. I trafi do specjalnego zakładu, tak? – spytałam pospiesznie. Choć zgodziłam się pojechać do szpitala i nawet pogadać z tym dzieckiem – głównie pod wpływem Myry – wciąż jednak miałam nadzieję, że ten intruz zniknie z naszego życia.

– Zobaczymy – powiedział dziadek.

Na miejscu powitał nas w holu policjant, który wcześniej szukał dziadka. Przedstawił się jako porucznik Bronson i pokazał swoją odznakę. Dziadek nie krył niechęci.

– Powiedziałem już wszystko, co wiem, przez telefon – warknął dziadek. – Nigdy wcześniej nie widziałem tego chłopca. – I zanim detektyw zdążył się odezwać, dorzucił ostro: – Ani moja wnuczka.

– I nie znał pan mężczyzny, który dostarczył dziecko do szpitala? – upewnił się porucznik Bronson. Udawał, że nie zauważa irytacji dziadka, albo nie zamierzał się tym przejmować. – O ile wiem, wynajął pan prywatnego detektywa, czy tak?

Dziadek wydał się zdziwiony, że policja wie o tym. Pokręcił głową.

– Owszem, ale detektyw niczego się nie dowiedział. A tamtego człowieka nie znam i nie wiem nawet, jak wyglądał. W chwili, kiedy przywieziono tu mojego wnuka, nie zwracałem uwagi na ludzi w poczekalni.

Dziadek Arnold nie miał w zwyczaju okazywać irytacji w stosunku do swoich rozmówców. Pomimo imponującego, wręcz groźnego wyglądu był uprzejmym dżentelmenem. Śmiał się, że to zasługa babci, która złagodziła jego obyczaje. Dlatego zaskoczyło mnie, że tak ostro potraktował policjanta, pełniącego przecież swoje obowiązki. Czyżby w jakiś sposób oskarżał policję o wypadek Williego?

– Rozumiem, panie Arnold. Bardzo panu współczuję. Stało się straszne nieszczęście – powiedział porucznik Bronson. – Pomyślałem po prostu, że pańskie zainteresowanie tym chłopcem, troska o niego i zaangażowanie finansowe mogą świadczyć, że coś pan o nim wie i pomoże w wyjaśnieniu tej sprawy.

– Nie ma usprawiedliwienia dla tak podłego postępuku – odrzekł twardo dziadek. – Wszystkie informacje, jakimi dysponuję, pochodzą od pielęgniarek z izby przyjęć oraz od lekarzy, którzy ratowali chłopca. Niczego nie ukrywam. Marzę, aby sprawca został odnaleziony i aby spotkała go kara.

Porucznik Bronson kiwnął głową, zerknął na mnie i przez dłuższą chwilę stał w milczeniu, jakby zastanawiał się, czy ma coś jeszcze powiedzieć, czy nie. Albo jakby na moment opuścił swoje ciało i przebywał w innych rejonach.

Pewnie każdy od czasu do czasu ma takie chwile. Przypomniały mi się czasy, kiedy przy śniadaniu zamyślałam się nad nietkniętym jedzeniem, a babcia strofowała mnie, że „odpłynęłam” i marnuję czas. W takich chwilach myśli uciekają i człowiek czuje się jak zawieszony w przestrzeni. Mówiła, że sekundy ulatują jak bąbelki i czas buzuje, jakby chciał wykipieć, rozejść się jak para. A czas stracony to czas stracony na zawsze. „Nawet Jezus nie potrafiłby go wskrzesić” – podsumowała pewnego razu. „Amen” – powiedziała na to Faith. Wiedziała wszystko o Jezusie i często cytowała Biblię. Co niedziela przemierzała trzydzieści pięć mil do kościoła w Charlottesville i regularnie jako wolontariuszka gotowała tam obiady dla biednych.

– Cóż – odezwał się w końcu porucznik Bronson. – Przyznam, że na razie nie dotarł do nas żaden raport o zaginionym dziecku, pasujący do tego chłopca. Doprawdy dziwne.

Dziadek odchrząknął. Miałam wrażenie, że to samo usłyszał od prywatnego detektywa.

Policjant podał dziadkowi wizytówkę.

– Gdyby dowiedział się pan czegoś, co mogłoby nam pomóc, proszę...

Dziadek wsunął sobie karteczkę do kieszeni.

– Będziemy kontynuowali dochodzenie – obiecał porucznik Bronson.

– Róbcie swoje, a ja w tym czasie zaopiekuję się chłopcem – zakończył dziadek tak twardym głosem, że wyobraziłam sobie zatrzaskiwane stalowe drzwi. Nie powiedział: „na razie”, tylko: „w tym czasie”, jakby przewidywał, że opieka może trwać równie długo jak śledztwo. Zdawał się instynktownie wyczuwać, że ten, kto zrobił krzywdę chłopcu, chciał pozostać anonimowy. Otrute dziecko było niczyje, zostało porzucone i narażone na śmierć, więc dziadek za wszelką cenę pragnął złagodzić jego cierpienia.

Porucznik Bronson pożegnał mnie uśmiechem i oddalił się pospiesznie.

– Chodź. – Dziadek wziął mnie za rękę. Wjechaliśmy windą na piętro, gdzie w jednoosobowej sali leżał chłopiec.

Dziadek od razu wszedł do sali, ale ja zatrzymałam się na moment w progu. Chłopiec wyglądał prawie tak samo jak w dniu, kiedy do szpitala przywieziono Williego. Nadal był blady, wymizerowany, a jego drobne ciało było prawie niewidoczne pośród przewodów i aparatury. Z wahaniem zbliżyłam się do łóżka. Chłopiec patrzył na nas i wydało mi się nawet, że na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech.

– Cześć, zuchu – przywitał się dziadek. – Jak się czujesz?

Chłopiec w milczeniu przenosił spojrzenie z dziadka na mnie i z powrotem.

– Poznaj moją wnuczkę, Clarę Sue.

W oczach chłopca pojawiło się pewne zainteresowanie. Dziadek ponaglił mnie wzrokiem.

– Cześć. – Przysunęłam się do łóżka. – Jak się nazywasz? W której klasie jesteś?

Czekaliśmy, wstrzymując oddech, gdyż jego wargi drgnęły, jakby chciał coś powiedzieć, ale za moment się zacisnęły i chłopiec odwrócił głowę. Zerknęłam na dziadka. Dał mi znak, żebym kontynuowała.

– Ja jestem w dziesiątej – ciągnęłam. – Lubisz swoją szkołę?

Nie drgnął. Nie odwrócił głowy.

– Skąd wiadomo, że on nie jest głuchy? – spytałam.

– Lekarze potrafią to zbadać. Próbuje dalej. Widziałem na korytarzu neurologa. Pójdę do niego.

Zostawił nas samych. Ten chłopiec był taki drobny i mały! Miał ręce jak patyczki i cieniutkie przeguby, na pewno cieńsze niż Willie. A brwi cienkie, prawie niewidzialne. W ogóle jego rysy były drobne, ale regularne.

Wyobrażałam sobie, jak musiały nad nim płakać pielęgniarki i jak po matczynemu się z nim obchodziły. Sprawiał wrażenie kruchego, jak jedna z tych kolekcjonerskich laleczek mojej mamy, które dostała kiedyś w dzieciństwie. Pomimo tragedii, która go dotknęła, cerę miał gładką jak porcelana. Jakim cudem matka i ojciec nie mogli pokochać takiego dziecka? Jak ktoś mógł być zdolny do zniszczenia kogoś tak pięknego i delikatnego?

Kiedy tak stałam i patrzyłam na to biedne dziecko, czułam, jak opuszcza mnie gniew. Nie spodziewałam się tego. Powtarzałam sobie, że powinnam być teraz w domu i wspominać Williego; pisać kolejny list do zmarłego brata, a nie stać tutaj, nad tym dziwnym, żalonym stworzeniem. Gniew powrócił i znów wziął mnie we władanie.

– Ktoś przywiózł cię do szpitala w tym samym czasie, kiedy mój brat Willie przyjechał tu karetką – zaczęłam. – Został potrącony przez pijanego kierowcę, kiedy jechał na rowerze po chodniku.

Słowo „rower” wywołało w nim pewną reakcję. Popatrzył na mnie, jakby chciał usłyszeć więcej.

– Willie umarł. Tak naprawdę umarł już w karetce i lekarze nie mogli go uratować.

Chłopiec nie okazał ani zainteresowania, ani współczucia. Po prostu gapił się na mnie tępo.

– Willie miał zaledwie dziewięć lat. Tak się cieszył, że będzie mógł wyjechać na rowerze poza naszą posiadłość. – Wciąż nie doczekałam się żadnej reakcji. – Słyszałeś, co powiedziałam? Mój młodszy brat nie żyje; zabił go pijany kierowca, rozumiesz?

Zamrugął ledwie dostrzegalnie, ale milczał.

– Czy wiesz chociaż, skąd tu się wzięłeś? Wiesz, że zostałeś otruty? A może zjadłeś coś, czego nie powinieneś? Prawie umarłeś, ale jakoś cię odratowali i teraz mój dziadek ci pomaga.

Umknął spojrzeniem w bok. Ale wkurzający smarkacz, pomyślałam.

– Mój brat odszedł – podniosłam głos. Znów patrzył na mnie. – Willie nie może już nic powiedzieć, nawet gdyby chciał, ani się uśmiechnąć, ani podziękować za wysiłki przy jego ratowaniu, zwłaszcza naszemu dziadkowi. On zapłacił za wszystko, co zrobiono dla ciebie, rozumiesz? Wynajął nawet prywatnego detektywa, żeby dowiedzieć się, kim jesteś i kto ci to zrobił.

Chłopiec zamrugął, ale nadal milczał.

– Czy nie możesz wydusić z siebie słowa „dziękuję”? Czy rodzice nie

nauczyli cię dobrych manier? Kim oni są? Gdzie mieszkają? Dlaczego nie troszczą się o ciebie? Dlaczego nikogo poza moim dziadkiem nie obchodzi twój los? Nie chcesz wrócić do domu?

Wargi mu zadrżały, ale nadal milczał. Uciekł spojrzeniem w bok.

– Któregoś dnia wreszcie przemówisz. Głupio udawać niemowę. Ludzie chcą wiedzieć, co ci dolega i jak mogą ci pomóc. A co najważniejsze, mogą dzięki tobie zapakować do więzienia tych, co ci to zrobili, rozumiesz?

Patrzył na mnie rozszerzonymi strachem oczami. Czy wreszcie sprowokuję go do mówienia?

– Tak, do więzienia, jeśli faktycznie cię otruli. Jak można coś takiego zrobić? Czy to był ktoś, kogo znałeś? Komu ufałeś? A może zostałeś porwany i teraz nikt się nie poczuwa, żeby zapłacić za ciebie okup? Tak było? No mów! – naciskałam. Ten sposób wydawał się najlepszy i wydawało mi się, że zaraz rozwiążę tajemnicę. Czytałam o takich amatorskich, genialnych śledztwach. Nie mogłam się doczekać, kiedy wróci dziadek i odtrąbię zwycięstwo. A wtedy on pobiegnie na policję, zagadka zostanie rozwiązana i chłopak wróci na łono rodziny.

Powiódł językiem po wargach, a potem nagle odwrócił głowę, jakby ktoś zawołał go z drugiej strony łóżka.

– Jak się nazywasz? Powiedz! Kto ci to zrobił? – prawie krzyczałam. – Głupio robisz! Nikt ci nie pomoże, jeśli nie zaczniesz mówić! Wiem, że potrafisz mówić! Musisz nam zaufać, rozumiesz? Dzięki nam wrócisz do domu. Mów!

W drzwiach pojawiła się pielęgniarka.

– Dlaczego na niego krzyczysz? – zapytała z pretensją.

– Bo jest upartym małym łobuzem! – wyjaśniłam. – Mój dziadek mu pomaga, a on nawet nie raczy powiedzieć dziękuję.

– Myślę, że powinnaś już iść – odparła.

– Chętnie – warknęłam i wymaszerowałam z sali. Na korytarzu dziadek rozmawiał z lekarzem przy dyżurce pielęgniarek. Oparłam się o ścianę i skrzyżowałam ramiona na piersiach.

Pielęgniarka wyszła z pokoju chłopca, obrzuciła mnie pełnym nagany spojrzeniem. Podeszła do dyżurki i powiedziała coś do doktora i dziadka. Obaj spojrzeli na mnie, po czym wrócili do przerwanej rozmowy. Wzdrygnęłam się. Dziadek miał poirytowaną minę. Wtem pielęgniarka siedząca za kontuarem zawołała go i podała mu słuchawkę. Porozmawiał

chwilę, a potem podszedł do mnie.

– Ja na niego nie krzyczałam, dziadku – zaczęłam się tłumaczyć. – Po prostu próbowałam sprowokować go do mówienia, bo wiem, że mógłby mówić, gdyby zechciał.

– Jasne, że mógłby. Rzecz w tym, dlaczego nie chce – odparł.

Tym razem trzymałam się z tyłu, kiedy dziadek podszedł do łóżka chłopca. Nie słyszałam, co do niego mówił. Wydawało się, że malec słucha go uważnie. Dziadek pogładził go po dłoni, a potem odwrócił się do mnie.

– Muszę jechać do biura – oznajmił.

– Teraz?

– Pani Mallen dzwoniła. Jedna z naszych ciężarówek godzinę temu miała wypadek.

– Ojej! Coś poważnego? – Znałam z imienia wielu kierowców dziadka. Najbardziej lubiłam gościa, którego nazywano Zwijasem. Dziadek wytłumaczył mi, skąd się wzięła ta ksywka – ponoć kierowca słynął z tego, że potrafi zwinąć się niemal w kłębek w każdym kącie i zasnąć. Choć był wysokim drągalem, wystarczyły mu dwa zestawione krzesła, żeby smacznie spać, jak na najwygodniejszym łóżku. Zwijas nazywał mnie Gwiazdeczką i mówił, że mam oczy błyszczące jak gwiazdy.

– Kilka złamanych kości – powiedział, kiedy szliśmy do windy.

– Czy to był Zwijas?

– Nie – odpowiedział z uśmiechem. Wiedział, jak lubię tego dryblasa. – Nowy kierowca. Nic mu nie będzie, ale mamy kłopoty z dostawą. Podrzucę cię do domu.

– Co powiedział lekarz? – zapytałam, kiedy zasunęły się za nami drzwi windy.

– Według niego chłopak jest na dobrej drodze do wyzdrowienia, choć proces będzie długi i żmudny. Ale rokowania są niezłe. Potrzebuje rehabilitacji. Wciąż nie ma pełnego obrazu szkód spowodowanych przez truciznę. Doktor jest coraz bardziej pewien, że arsenik był stopniowo wchłaniany przez organizm dziecka, więc nie chodzi o jednorazowe, przypadkowe zatrucie. Mały potrzebuje troskliwej opieki.

Wyszliśmy z windy.

– A kto nie potrzebuje? – mruknęłam.

Musiał to usłyszeć. Przez długą chwilę milczał i widziałam, że jest zatopiony w myślach. Podejrzywałam, że chodzi o wypadek i sprawy firmowe, lecz

wkrótce miałam się przekonać, że byłam w błędzie. Niestety...

– Żałuję, że pojechałam do szpitala – wyznałam Myrze i Faith po powrocie.
– Pielęgniarka wyprosiła mnie z pokoju.

– Dlaczego? – spytała Myra.

– Straciłam cierpliwość i podniosłam głos, zupełnie niepotrzebnie – wyjaśniłam.

– Och, nie przejmuj się. Potrzebujesz czasu.

– Nie mam ochoty – warknęłam. – Czas Williego skończył się na zawsze i nikt mu już go nie zwróci. – Natychmiast zrobiło mi się głupio, że jestem niemila dla Myry. – Przepraszam – bąknęłam.

– Nic się nie stało, kochanie, nie musisz przeproszać. Wiem, jak ci ciężko – powiedziała, po czym uraczyła nas opowieścią z czasów, gdy miała piętnaście lat – o małym chłopcu, którego lora, czyli ciężarówka, potrafiła na londyńskiej ulicy. Myra była nianią tego chłopca i czuła, jakby straciła rodzonego brata. – Jego rodzice straszliwie rozpaczali i już się nie podnieśli po tej stracie. Jestem pewna, że rodzice tego chłopca desperacko go poszukują – dodała.

Faith z przekonaniem kiwnęła głową.

– Dzieci są błogosławieństwem i darem Pana – orzekła. – Po mojemu ktoś chciał zwrócić ten dar albo przynajmniej próbował. Twój dziadek na pewno rozwiąże tę tajemnicę – zapewniła, odwracając się do mnie.

Później poszłam do swojego pokoju. Wielu moich przyjaciół miało starsze rodzeństwo. Nagle pożałowałam, że ja nie mam. Szkoda, że wujek Bobby nie mógł zostać dłużej. Dobrze, że są Myra i Faith! Dzięki nim czułam się mniej samotna po śmierci rodziców, a potem babci Arnold. Dziadek był zbyt zapracowany, żeby dotrzymywać mi towarzystwa, a teraz wydawało się, że nieliczne wolne chwile poświęca głównie otrutemu, obcemu chłopcu, który wiądl jak kwiatek spragniony wody.

Chłopiec miał śliczną buzię złotowłosego aniołka, której mogłaby mu pozazdrościć niejedna dziewczynka. Jaki potwór usiłował zrobić krzywdę takiemu cudownemu dziecku, odtrącić je? Aż chciało się go utulić, taki był kruchy i bezbronny. Kiedy mój gniew minął i przemyślałam spokojnie całą sprawę, przestałam się dziwić, że dziadek mu pomaga. Będzie płacił lekarzom, aż wyleczą chłopca, i zafunduje mu rehabilitację. Jeśli nie pojawią się jego rodzice, ktoś na pewno zaadoptuje tego ślicznego aniołka i wszystko dobrze się skończy.

Zaczęłam myśleć o poniedziałku i powrocie do szkoły. Nauczyciele będą mi

współczuć, ale nie chciałam pokazywać klasie smutnej twarzy. Mój żal i tak nie pomoże Williemu, a mnie tylko zaszkodzi. Muszę przestać się winić za to, że żyję. Inaczej nie da się żyć.

Usiadłam przy biurku i zaczęłam kolejny list do brata.

Kochany Willie!

Uszczęśliwiłam dzisiaj dziadka i pojechałam z nim do szpitala, w odwiedziny do otrutego chłopca. Bezsensowna wizyta. Nie byłam w stanie mu pomóc. Pomyślałam tylko, że ma szczęście, bo nasz dziadek tak się o niego troszczy. A ten niewdzięcznik nie chce mu podziękować!

Coś jest nie tak z tym dzieciakiem. Może nie umie się zachować? Powiem dziadkowi, że to jego sprawa, jeśli chce dbać o niego i płacić za leczenie. Mnie nic do tego. Powiem i wyrzucę tę sprawę ze swoich myśli.

W poniedziałek idę do szkoły. Trochę się boję. Wiem, że odruchowo będę rozglądała się za Tobą w nadziei, że to tylko zły sen i zaraz się pojawisz.

Czasami myślę, że jesteś szczęściarzem. Wróciłeś w objęcia rodziców i babci. Nigdy nie powiem tego głośno, bo dostałoby mi się za takie myśli.

Zaraz pójdę spać i zasypiając, będę myślała tylko o Tobie, a nie o tamtym chłopcu. Obiecuję.

Niedługo pojedę na cmentarz na rowerze. Będę Cię odwiedzać w każdej wolnej chwili.

Clara Sue

Włożyłam list do kolejnej koperty i schowałam w tej samej, dolnej szufladzie. Pomyślałam, że czas wziąć się do lekcji. Lila przyniosła mi swoje zeszyty. Nagle w korytarzu rozległy się kroki. Wyrzałam zza drzwi. To był dziadek. Musiał już wrócić z firmy. Stał przed pokojem Williego tak zamyślony, że – jak mawiała babcia Arnold – „potrzeba mikroskopu, żeby zobaczyć jego myśli”.

Na paluszkach wyszłam na korytarz i cichutko podeszłam do niego, spodziewając się widoku łez, płynących mu po twarzy. Tak działo się ze mną za każdym razem, kiedy zaglądałam do pokoju Williego. Raz widziałam, jak nawet wujek Bobby skrycie ocierał łzę. Dziadek jednak był spokojny i opanowany. Wujek miał rację – jego ojciec płakał tylko w duszy. Sądziłam, że dziadek mnie nie zauważy, ale znów się myliłam.

– Zostawimy wszystko tak, jak jest, Claro Sue – powiedział, nie odwracając nawet głowy. – Czy jest gdzieś chłopiec, któremu nie podobałby się ten pokój? Wątpię.

Serce mi zadrzało, a krew ścięła się w żyłach.

– Co zostawimy tak, jak jest?

– Pokój Williego – wyjaśnił.

– Chodzi o chłopca? Tego ze szpitala? Chyba nie chcesz sprowadzić go tutaj?

– Owszem, właśnie tego chcę – przytaknął ze wzrokiem utkwionym w pokoju.

– Ale... on nie może tu być! Przecież w końcu znajdzie się jego rodzina i zabierze go!

– Wątpię, Claro Sue. Bardzo w to wątpię. – Wreszcie odwrócił się do mnie i posłał mi uśmiech. – Jestem pewien, że w końcu zostanie z nami.

– W końcu? Na jak długo?

– Sądzę, że na zawsze.

Elektryczny dreszcz przeszył moje ciało. Spojrzałam w głąb pokoju Williego i pokręciłam głową. Chyba się przesłyszałam. Tak, na pewno. Ten chłopak miałby tu tak po prostu zamieszkać? Bawić się zabawkami Williego? Czyżby dziadek gotów był wymazać z pamięci wspomnienie swojego wnuka tak łatwo, jak wyciera się szkolną tablicę? „Nie!”, krzyknęłam bezgłośnie. Pokój Williego powinno się zamknąć, zwłaszcza dla obcych, i traktować jak kapliczkę. Chciałam tu często przychodzić, aby rozmyślać o moim braciszku i opłakiwać go. Nie życzę sobie obcego chłopca śpiącego w łóżku Williego! Moje serce zaczęło nierówno łomotać, a żołądek ścisnął się boleśnie.

– On jest taki drobny, wyraźnie niedożywiony – ciągnął dziadek z przejętą miną. – Ale tutaj szybko dojdzie do siebie. Nie ma sensu wyrzucać ubrań Williego. Mały do nich dorośnie. Do butów też. Niektóre rzeczy są jeszcze nienoszone.

– Nie możesz tego zrobić, dziadku – powiedziałam zduszonym głosem.

Spojrzał na mnie nieobecny wzrokiem i chyba dopiero teraz zauważył, że stoję obok niego.

– A co twoim zdaniem mamy z tym począć, Claro Sue? Przecież nie wyrzucę rzeczy w dobrym stanie! Nie znoszę, jak się coś marnuje. Po co się czegoś pozbywać, a potem zaraz kupować coś nowego? – Omiótł spojrzeniem pokój Williego. – Grzechem byłoby tego nie wykorzystać.

– Ale to są rzeczy Williego – zaprotestowałam.

Jeszcze niespełna tydzień temu mój braciszek spał w tym łóżku albo siedział na tym dywanie, bawiąc się samochodzikami i żołnierzykami. Tu zdrowiał po przeziębieniach i innych chorobach. Tu, u jego wezgłowie siadywała babcia Arnold, a później Myra. I czasami ja. Bez względu na to, ile razy prana będzie ta pościel, na zawsze zachowa zapach Williego – jego mydeł i szamponów, pluszowych misiów, które tulił, kwiatów, które wachał, i trawy, którą ubrudził sobie dłonie i kolana. Byłam pewna, że gdzieś w pościeli znalazłabym jeszcze jego włos. Łóżko Williego jest miejscem świętym!

– Nie! – krzyknęłam. – Nie możesz. Nie pozwolę! Nienawidzę jego i nienawidzę ciebie! – Wyrzuciłam w górę dłonie zaciśnięte w pięści. Chciałam rzucić się na dziadka.

Jego wzrok był pełen dezaprobaty, jakiej jeszcze u niego nie widziałam. To mnie przeraziło, więc odwróciłam się na pięcie i jednym susem znalazłam się w swoim pokoju, z hukiem zamknąwszy za sobą drzwi. Upadłam na łóżko i wybuchnęłam płaczem, gwałtownym i niepowstrzymanym jak na pogrzebie Williego. Nic dziwnego – czułam, jakby brata jeszcze raz pogrzebano na moich oczach.

Usłyszałam skrzypnięcie otwieranych drzwi. Odwróciłam głowę i zobaczyłam sylwetkę dziadka na tle jasnego prostokąta. Twarz była maską z cienia. Przez długą chwilę nic nie mówił. Stłumiłam łkanie i otarłam łzy wierzchem dłoni.

– Jestem gotów zapomnieć o tym, co mówiłaś – zaczął wreszcie. Głos miał dźwięczny, głęboki, a jego postać wydawała się jeszcze bardziej imponująca. – Wiem, że nie jesteś złą, egoistyczną dziewczyną. Wiem, że nie skrzywdziłabyś nikogo, zwłaszcza kogoś bezbronno i opuszczonego. Tak postępując, sprzeniewierzyłabyś się pamięci swojego brata. Życie przypomina sztafetę. Kiedy umiera dobry człowiek, przekazuje coś ważnego od siebie ludziom, którzy biegną dalej z tym przesłaniem. Pomyśl o tym w ten sposób, a po prostu dalej będziesz starszą siostrą. A ja... ja nie przestanę być dziadkiem – zakończył i cicho zamknąwszy za sobą drzwi, wyszedł. Jak gdyby ktoś opuścił kurtynę w teatrze po pierwszym akcie.

Poczułam się okropnie.

Nie przekonały mnie jego słowa.

I bałam się drugiego aktu.

5

Słusznie obawiałam się powrotu do szkoły. Przechodząc z sali do sali, starałam się patrzeć w podłogę, bo jeśli przypadkiem napotkałam czyjeś spojrzenie, widziałam zakłopotanie. Koledzy nie bardzo wiedzieli, jak witać kogoś pogrążonego w głębokiej żałobie. Choć nie ubrałam się na czarno. Przeciwnie, specjalnie założyłam niebieską bluzkę i jasnoniebieską spódnicę. A jednak czułam czarny welon, który mnie okrywał. Jak gdyby cienie, zrodzone z grobu Williego, podążały za mną wszędzie.

Dyrektorka, pani Greene, sekretarka i moi nauczyciele, zwłaszcza pan Leshner, po kolei podchodzili do mnie i wyrażali swoje współczucie. Nawet nasz woźny Henry Hull przerwał sprzątanie i złożył mi kondolencje. Tego dnia musiałam powiedzieć „dziękuję” więcej razy niż w całym swoim dotychczasowym życiu.

Lila nie odstępowała mnie prawie na krok od chwili, kiedy weszłam do szkoły. Odprowadzała mnie do kolejnych pracowni i wraz z dzwonkiem czekała przy drzwiach. Podczas okienka w bibliotece paplała nieprzerwanie, choć siedziałam wciśnięta w krzesło, z pochyloną głową, trzymając się go kurczowo jak rozbitek tratwy. Po każdym dzwonku na przerwę Lila dopadała mnie i prowadziła do następnej klasy. Bałam się, że ustanowi siebie moją protektorką, osobistą ochroniarką czy nawet agentką, za pośrednictwem której będzie można się ze mną kontaktować. Pomyślałam, że niesie moją żałobę jak order na własnej piersi. Przypadkiem usłyszałam też, jak mówi szeptem do Ellie Patterson, Cory Burns i Aarona Podwella, który stał z nimi, w jakiej byłam rozpacz i jak trudno było wszystkim, w tym także jej, namówić mnie, żebym zjadła choć kęs. Och, jaką mękę przeżyła, biedaczka, westchnęłam i oddaliłam się od nich jak najszybciej.

Nie na długo. Po chwili zaczęła się za mną rozglądać i szybko mnie dopadła.

– Dobrze się czujesz? – zadała swoje dyżurne pytanie.

– A ty? – zapytałam, obracając się ku niej. Czułam, że wzrok mi płonie.

Wreszcie miałam cel, na którym mogłam wyładować swoją frustrację. Osłupienie na jej twarzy tylko mnie ośmieliło.

– Ja? O co ci chodzi?

– Bardzo ci współczuję, że tak się męczysz, usiłując wytłumaczyć wszystkim, jak ja cierpię – rzuciłam z niewinną miną. – Przykro mi.

Zamrugła zdziwiona, ale nie wyczuła mojego sarkazmu.

– Och. Nie, nie musisz przepraszać. Jako twoja najbliższa przyjaciółka muszę trwać przy tobie i ci pomagać.

Kiwnęłam głową.

– Słuchaj, Lila, wyświadczyć mi przysługę i spadaj – powiedziałam i pobiegłam na ostatnią lekcję, zostawiwszy przyjaciółkę znieruchomiałą jak słup soli.

Jedyną zaletą tej presji pierwszego dnia był fakt, że nie miałam czasu myśleć o przerażających mnie planach dziadka wobec otrutego chłopca. Cała sprawa przypomniła mi się dopiero w taksówce, którą dziadek wynajął do przywożenia Williego i mnie ze szkoły. Dzień był raczej pochmurny, piękne babie lato się skończyło. W jego miejsce wdzierła się zimna jesień, zła, że tak ją przetrzymano. Liście ze złotych stawały się brązowe. Jesieni deptała po piętach zima, chętna do огоłocenia lasów z liści i zostawienia szkieletów gałęzi. Przyszłość wyglądała ponuro. Nie zbliżały się żadne ferie czy imprezy. Zaczęłam się obawiać, że w nocy będę śniła koszmary.

Unikałam patrzenia w kierunku domu. Miałam mroczne przecucie, że jeśli na niego spojrzę, mój wzrok powędruje od razu do okien pokoju Williego. Nie miałam pojęcia, kiedy dziadek zamierza przywieźć do nas otrutego chłopca, ale już się obawiałam, że zobaczę, jak wygląda zza zasłony i obserwuje mnie; jego wymizerowana twarzyczka miała kolor kości słoniowej.

Samochód zatrzymał się na podjeździe, wyskoczyłam szybko, wbiegłam po schodach i jak bomba wpadłam przez frontowe drzwi. Nie skręciłam jak zwykle do kuchni, gdzie Faith i Myra o tej porze piły herbatę. Willie zawsze gnał najpierw do nich, bo wiedział, że Faith na pewno upiekła dla niego ciasteczka, które najbardziej smakowały mu z ciepłym mlekiem. Ja też je lubiłam. Z kuchni o tej porze dobiegały cudowne zapachy, którym trudno było się oprzeć.

Przyspieszyłam kroku i skacząc po dwa schodki, dotarłam do swojego pokoju, gdzie z hukiem zamknęłam za sobą drzwi. Ktoś mógłby sobie pomyśleć, że ścigają mnie duchy albo zmary. W rzeczywistości ścigały mnie

wytwory własnej wyobraźni, mrocznych myśli i lęków. Bo jak mogłam dalej robić to, co przez całe lata robiłam z Williem, i nie myśleć o nim; nie wypatrywać go w naszych ulubionych miejscach. Przecież koszmarem było nawet siedzenie w taksówce, która jeszcze niedawno przywoziła nas razem ze szkoły!

Nasz ostatni szofer, pan Beal, który wyglądał, jakby miał siedemdziesiątkę na karku, choć dopiero dobiegał pięćdziesiątki, w drodze powrotnej powiedział tylko jedno zdanie: „Przykro mi z powodu Williego”. Nie odpowiedziałam i dalej jechaliśmy w milczeniu. Starłam się nie patrzeć na niego, kiedy wsiadałam do samochodu przed szkołą. Czy jutro też powie: „Przykro mi z powodu Williego”? Lepiej, żeby zapomniał o moim bracie. Żeby wszyscy jak najszybciej zapomnieli. Żeby nie musiała codziennie czuć tego mdłego ucisku w żołądku, którego uniknąć mogę tylko w jeden sposób – jeśli sama zapomnę.

Lila była tak wstrząśnięta moimi słowami, że nie odprowadziła mnie do samochodu po lekcjach. A ja nawet się z nią nie pożegnałam. Być może zachowałam się brzydko, ale nic nie mogłam na to poradzić. Marzyłam już tylko o tym, żeby się znaleźć w domu, w swoim pokoju, z dala od współczujących spojrzeń i smętnych uśmiechów. Z dala od twarzy przypominających balony szarpane lodowatym wiatrem – tym samym, który hulał na cmentarzu, czekając na kolejne pogrzeby, aby zabawiać się zdmuchiwaniami łez z twarzy żałobników.

Rzuciłam się na łóżko i ukryłam twarz w poduszce. Jeszcze nigdy nie czułam się tak samotna. Widok kolegów z mojej klasy, słuchanie ich gadania o zwykłym, szczęśliwym życiu zaostrzały tylko mój ból. Unikałam ich jak ktoś, kto boi się utonąć, więc wzdraga się wejść do wody. Czy kiedykolwiek wrócę do normalności?

Usłyszałam pukanie do drzwi, ale nie odpowiedziałam. Myra zapukała jeszcze raz i weszła. Jeśli potrzebowałam potwierdzenia, że to wszystko wydarzyło się naprawdę, wystarczył widok niani w gipsie, z gojącymi się szramami na czole i policzku. Ciągle chodziła pochylona, zgięta z bólu, z lekko zaciśniętymi ustami, bo chyba dotrzymała słowa i nie brała środków przeciwbólowych.

– Cześć, kochanie. – Podeszła do mnie. Odwróciłam się do niej.

– W szkole było okropnie – wyznałam. – Marzyłam, żeby stamtąd uciec.

Skinęła i przysiadła na krawędzi łóżka.

– Tego się spodziewałam. Mogę cię tylko pocieszyć, że będzie lepiej.
– Jasne, czas leczy rany – westchnęłam z rezygnacją. – Nie chcę o tym myśleć.

Wzruszyła ramionami.

– Ale tak jest, naprawdę. Czas leczy rany, ale wspomnień nie zatrze, jak mówią.

Spojrzałam na nią i uśmiechnęłam się mimo woli.

– Faith ma zawsze na podorędziu cytaty z Biblii, a ty przysłowia.

– Czyli we dwie posiadamy całą mądrość świata – odpowiedziała z uśmiechem i zdrową ręką odgarnęła mi włosy z czoła, tym samym gestem jak wcześniej mama czy babcia Arnold.

Usiadłam na łóżku.

– Czy on ci mówił?

– Kto?

– Dziadek. Mówił ci o tym chłopcu i o swoich planach?

– Tak, dziś rano powiedział to Faith i mnie, zanim pojechał do pracy.

– Kiedy go tutaj sprowadzi?

– Zależy od lekarzy. A wtedy zatrudni dla chłopca prywatną pielęgniarkę.

– Ona też u nas zamieszka?

– Chłopczyk jeszcze długo będzie potrzebował specjalistycznej opieki.

– Skoro jest tak chory, chyba powinien przebywać w jakiejś specjalistycznej klinice.

– Ludzie szybciej zdrowieją w domu niż w szpitalu.

– To nie jest jego dom! – wybuchnęłam.

Myra na moment odwróciła wzrok i kiwnęła głową.

– W każdym razie twój dziadek oczekuje, że zrobimy wszystko, aby malec poczuł się tu jak w domu. – Wstała. – Masz ochotę na ciasteczka owsianorodzynkowe, upieczone dziś rano przez Faith? Wie, że to twoje ulubione.

– Nie jestem głodna – burknęłam.

– A jadłaś lunch?

– Trochę.

– Cóż... – Z westchnieniem podeszła do drzwi. – Przyda się pielęgniarka w domu, na wypadek gdybyś zaczęła chorować.

– Nie chcę pielęgniarki w domu. Nie chcę jej widzieć.

– W takim razie jeśli zachorujesz, sama o siebie zadbasz, Claro Sue. Ja jeszcze długo nie dam rady kursować do ciebie na górę, a Faith będzie miała

jeszcze więcej roboty niż dotąd.

Odwróciłam się z naburmuszoną miną.

– Rozumiem twój gniew, ale nie powinnaś karać siebie – dodała. – Czy ty mnie słuchasz?

Wciągnęłam powietrze i kiwnęłam głową. Jak zwykle miała rację. Nagle doznałam wrażenia, jakby w moim umyśle otworzyło się okno. Teraz dopiero zrozumiałam, co miał na myśli wujek Bobby, kiedy mówił mi, że dziadek jest wściekły i pragnie zemsty. Ten gniew napędzał dziadka, pomagał mu przetrwać rozpacz. Mogłabym posłużyć się tym samym sposobem.

– Zaraz zejść na dół – powiedziałam i w tym samym momencie zadzwonił telefon.

Myra wyszła, a ja sięgnęłam po słuchawkę.

– Powiedz, co ja ci zrobiłam? – zapytała Lila bez wstępów.

– Nic. To nie twoja wina. Po prostu byłam sfrustrowana i wściekła na wszystko i wszystkich. Przepraszam. Nie powinnam się tak zachowywać.

Ze słuchawki dobiegło westchnienie ulgi.

– Ja tylko chciałam, żeby ludzie rozumieli, co czujesz – usprawiedliwiała się.

– Jeśli nie rozumieją, to ich problem. Zrozumieją, kiedy ich samych spotka coś podobnego – stwierdziłam zgryźliwie.

– Wiem. Masz rację, i to ja przepraszam. Przyjść do ciebie? Raczej nie uważałaś na lekcjach, więc mogłybyśmy powtórzyć materiał.

Uśmiechnęłam się do siebie. Odmowa nie wchodziła w grę.

– Słusznie. W takim razie wpadnij. Skosztujesz specjalnych wypieków Faith.

– Super! A ja mam dla ciebie megaplotę! Wyobraź sobie, że rodzice Ellie Patterson chcą się rozejść, bo jej mama odkryła, że mąż ją zdradza ze swoją sekretarką. Nie uwierzysz, jak to odkryła!

– Nie mogę się doczekać, kiedy mi powiesz – zapewniłam i rozłączyłam się.

Czy jeszcze kiedyś będą mnie bawić plotki? – pomyślałam smętnie.

Jak zwykle z ulgą zdjęłam szkolny strój; zdzierałam go z siebie, jakby mnie palił. W naszej szkole obowiązywały wyjątkowo surowe zasady dotyczące ubioru. I tak dobrze, że nie musieliśmy nosić mundurków, jak w innych prywatnych placówkach, ale każde odstępstwo od regulaminu było karane. Mnóstwo osób z mojej klasy było odsyłanych do domu z ostrzeżeniem, że jeśli niesubordynacja się powtórzy, delikwent może zostać wyrzucony ze szkoły bez zwrotu chesnego.

Dziewczyny miały zakaz eksponowania gołego brzucha i noszenia ubrań, pod którymi zaznaczałyby się bielizna. Żadnych topów na cienkich ramiączkach, dekoltów ani obcisłych, prześwitujących bluzek. Zakazano szortów i obowiązywały spódnice nie krótsze niż do kolan. Z makijażu tolerowano tylko szminki nałożone cienko, o dyskretnych kolorach. Jeśli któraś miała zbyt jaskrawe usta, musiała natychmiast wytrzeć je w łazience. Nienawidziliśmy tych zasad i każda dziewczyna marzyła, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu i rzucić te nudne szmaty.

Założyłam obcisły T-shirt i dżinsy, w które ledwie się mieściłam. Takie, które „nie uchodziły” w szkole, jak mówiła Myra. Założyłam sandały na bose nogi, a na koniec rozpuściłam włosy i potrząsnęłam głową, żeby w nieładzie rozsypały mi się na ramiona. Od razu poczułam się lepiej. Zbiegłam na dół. Nie chciałam się przyznać sama przed sobą, że niecierpliwie czekam na Lilę. Samotność zaostrzała ból i żal po stracie.

Ona też musiała się spieszyć, bo zjawiała się w drzwiach wejściowych dokładnie w chwili, kiedy stanęłam w holu. W domu słychać było głośną reprimendę Myry, niezadowolonej z pracy jednej z pokojówek, która niedostatecznie dokładnie wypolerowała meble w salonie. Uśmiechnęłam się na widok zdziwionej miny przyjaciółki. Wzruszyłam ramionami na znak, że nic się nie stało, i zaprowadziłam ją do kuchni, gdzie Faith układała już dla nas górę ciasteczek na półmisku. Wzięłyśmy jeszcze napoje i udałyśmy się na górę. Zauważyłam, że kiedy mijaliśmy pokój Williego, Lila ukradkiem zerknęła w tamtym kierunku. Drzwi pokoju były otwarte. Słowa cisnęły mi się na usta, aby zdradzić najnowsze plany dziadka, ale ugryzłam się w język i poczekałam, aż znajdziemy się same w pokoju.

– No – zaczęła od razu Lila, kiedy usiadłyśmy po turecku na dywanie. – Po lekcjach poszłam do łazienki i usłyszałam chlipanie z sąsiedniej kabiny. Nasłuchiwałam przez chwilę, aż rozpoznałam Ellie Patterson. Zagadałam do niej i umilkła, a potem otworzyła drzwi. I tak, siedząc na klapie kibla, opowiedziała mi o swoich rodzicach. Dusiała to w sobie przez cały dzień, a wiesz dlaczego?

– Chyba wiem...

– No właśnie, ze względu na ciebie. Pomyślała, że jej problem jest...

– Mało ważny w porównaniu z moim – dokończyłam. – I tak jest.

– Cóż... ciasteczka są fantastyczne. W każdym razie jej mama szpiegowała jej tatę w kancelarii prawnej, w której on pracuje. I dowiedziała się, że na

lunch wyskoczył do motelu, wiesz, tego przy wjeździe do Prescott. Pojechała tam i czekała pod drzwiami pokoju, aż się doczekała, bo wyszedł ze swoją sekretarką. Uważasz, że to wystarczający dowód zdrady?

– A co niby oni robili w tym pokoju? – zauważyłam sucho. Zmieniłam pozycję i położyłam się na brzuchu, podpierając się na łokciach. Nie byłam już w stanie tłumić tego w sobie. Myślałam o tym nawet wtedy, gdy Lila relacjonowała mi szkolne nowiny.

– On tu będzie mieszkał – wyrzuciłam z siebie.

– Kto?

Przekręciłam się na plecy i wpatrzyłam w sufit.

– Ten otruty chłopiec.

– Czemu?

– Dziadek postanowił, że powinien u nas dochodzić do zdrowia. Ma zatrudnić dla niego prywatną pielęgniarkę, i ona też u nas zamieszka.

– Och.

Popatrzyłam na przyjaciółkę. Ona myśli, że dziadek Arnold chce po prostu spełnić dobry uczynek, pomyślałam. Nie kuma, o co tu naprawdę chodzi.

– Chłopak zajmie pokój Williego – dodałam.

Teraz dopiero Lila zrobiła wielkie oczy.

– Dlaczego? Przecież macie pokoje gościnne. Wasz dom jest większy od naszego.

– Chce też dać mu rzeczy Williego, jego zabawki, ubrania, wszystko.

Lila otworzyła usta w osłupieniu i przez chwilę milczała z głupią miną. Nie była piękną; miała pospolitą, lecz miłą buzię, którą Myra nazywała „niebrzydka”. Według mnie nie brzmiało to zbyt pochlebnie i wolałabym, aby o mnie tak nie mówiono. Wyjątkowo nie znosiłam słowa „przeciętny”. Brzmiało tak, jakby wszystko, co się robi, było zwykłe i nudne, już dawno wypróbowane przez innych.

Czyżbym była snobką?

– Ubrania Williego będą na niego pasować? – spytała Lila.

– Nie o to chodzi! To rzeczy Williego.

Kiwnęła głową, usiłując robić wrażenie tak samo oburzonej jak ja, ale nie bardzo jej wyszło.

– Och – powiedziała. – Przecież nic się nie stanie, jeśli pożyczysz je na chwilę.

– Lila, zrozumi, jeśli zaczniesz ich używać, będą już jego – jęknęłam.

– To straszne. Słuchaj, mam pomysł – dodała po chwili.

– Jaki?

– Rzeczy, których według ciebie nie powinien nosić ani używać, zabierz i schowaj w swoim pokoju!

Zastanawiałam się nad tym przez moment. Wiele było rzeczy Williego, których nie chciałam oddać obcemu, ale przerażała mnie myśl, że miałabym pójść do jego pokoju. A jeśli znów się rozryczę? I będzie mi głupio, że coś wynoszę potajemnie? Czy nie ma innego sposobu na ostateczne przyjęcie do wiadomości śmierci Williego? A jeżeli się wyda? Co pomyśli dziadek? Bardzo będzie na mnie wściekły?

– W sumie nie musiałabym zabierać dużo – zauważyłam, jakbym chciała przekonać samą siebie.

– Czy byłaś tam... od czasu...?

– Tylko pierwszego wieczoru.

Skinęła głową.

– Pójdę z tobą – zapewniła. Widziałam, że jest spięta, ale postanowiła poświęcić się dla mnie. W końcu była moją najlepszą przyjaciółką.

– Dzięki. Więc do dzieła – powiedziałam z determinacją i wstałam. Wyszliśmy z pokoju i na korytarzu odruchowo zaczęliśmy poruszać się cicho, na palcach, niemal jak złodziejki. Nic dziwnego – nie chciałam, żeby Faith albo Myra mnie przyłapały.

Przed drzwiami pokoju Williego przystanąłam, żeby powtórzyć w myśli listę rzeczy do zabrania. Zaczynała się od nakręcanego pociągu, który dostał od rodziców na piąte urodziny. I choć później dostał od dziadka cały zestaw kolejki elektrycznej, której tory co roku układaliśmy wokół choinki, stary pociąg pozostał jego ukochaną zabawką.

I jeszcze jego ukochana zimowa czapka z klapkami na uszy. Nie do pomyslenia, żeby bez niej wyszedł w zimie na sanki. Nosił ją ciągle i wydawało się, że czapka rośnie razem z nim. Willie nie należał do chłopców, którzy bawią się lalkami, ale miał figurkę Supermana, którą trzymał na półeczce wbudowanej w oparcie łóżka. Ostatnio już tego nie robił, ale kiedy był mniejszy, parę razy podsłuchałam, jak rozmawia z Supermanem o jakimś wymyślnym złoczyńcy, którego mają ścigać. Oczywiście postanowiłam zabrać też *Baśni* Andersena, które kiedyś czytała mu mama, a po jej śmierci – ja.

Bałam się, że poczuję się jak ktoś, kto ucieka z domu przed pożarem i może

zabrać tylko parę niezbędnych rzeczy. Co wtedy ludzie chwytają w panice? Za chwilę znajdę się w podobnej sytuacji. Zerknęłam na Lile, skinęłam głową i nacisnęłam kławkę. Sięgnęłam od razu po wybrane rzeczy, ułożyłam je na łóżku, po czym rozejrzałam się po pokoju. Były też inne zabawki i książki, które lubił. Na przykład pies Cienki. A rakieta z piłeczką? Też. I oczywiście woreczek z marmurowymi kulkami oraz rękawica baseballowa i pałka, które dostał w prezencie w ostatnie Boże Narodzenie. Graliśmy sobie w śniegu i była z tego kupa śmiechu. Mogłabym tak wybierać bez końca, ale wiedziałam, że muszę przestać, bo nie mam tyle miejsca.

– Dobra – powiedziałam. – Wystarczy.

Zebrałyśmy rzeczy i zaniósłszy do mojego pokoju. Wpakowałam wszystko do szafy, tylko figurkę Supermana postawiłam sobie na biurku, a obok niej położyłam czapkę.

– Jeśli coś ci się przypomni, możemy tam wrócić – zapewniła Lila.

– Nie, wystarczy. Jest jeszcze dużo rzeczy Williego na dole, ale nie sądzę, żeby ten otruty chłopiec je dostał.

– Jasne. Zresztą nie będzie tu siedział wieczność, przecież wreszcie wyzdrowieje.

– Na to liczę.

– Rodzina na pewno go szuka, nie?

– Rodzina? – Roześmiałam się. – Do tej pory nikt nie zadzwonił na policję ani nie dał ogłoszenia o zaginięciu.

– Mówiłaś, że może chodzić o porwanie i okup, na który rodzice nie mają pieniędzy.

– No dobra, ale nawet gdybyś nie miała na okup, walczyłabyś o odzyskanie dziecka, prawda?

Lila kiwnęła głową.

– Dziwne.

– Nie mówmy już o tym – poprosiłam, jakbym wierzyła, że o problemie da się zapomnieć. – Weźmy się do lekcji.

– Dobrze – przytaknęła z wyraźną ulgą. – Najpierw matma.

Zabrałyśmy się do roboty. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo nie uważałam na lekcji. Przez cały dzień byłam jak otumaniona. Obiecałam sobie, że nazajutrz wezmę się w garść. Pracowałyśmy pilnie kilka godzin i mówiłyśmy tylko o zadaniach. Po wyjściu Lili otworzyłam szafę i popatrzyłam na stos rzeczy Williego, które wyniosłyśmy z jego pokoju.

Czułam pewną satysfakcję. Prosiłam Lilę, żebyśmy nie rozmawiały już o tym wszystkim, a ona dotrzymała słowa. Chciałam poprosić, żeby została na kolację, ale wyczułam, że spieszy się już do domu, do rodziców. Przypadek Ellie Patterson, koszmar rozvodu jej rodziców musiał ją przerazić. Nie winałam przyjaciółki za to, że zapragnęła pobyć ze swoimi bliskimi. Mój przykład na pewno jej uświadomił, jak łatwo jest stracić rodzinę i ile ona znaczy.

Nastolatki myślą, że wszystko będzie trwało wiecznie. Rozwody nie były wcześniej tak powszechne. Wydaje nam się, że choroby i inne tragedie dotyczą kogoś innego. Karmiliśmy się naiwnością, bo nie zdążyliśmy wyrosnąć z dziecinnej ufności i niewinności. W naszym uprzywilejowanym świecie nie musieliśmy przejmować się rzeczywistością. Na to przyjdzie czas, kiedy dorośniemy, prawda?

Idź do domu, Lilo, pomyślałam gorzko. Ciesz się każdą chwilą z bliskimi, bo może być ostatnią. Gdzieś nad nami Bóg przewraca stronę Księgi życia i może lepiej nie wiedzieć, co tam jest napisane.

Dziadek wrócił do domu. Miałam nikłą nadzieję, że zajrzy do mnie, ale poszedł do swojego pokoju, a potem prosto do gabinetu i został tam do kolacji.

Kiedy Willie siedział z nami przy stole, dziadek mówił chętnie i dużo. Cokolwiek Willie powiedział o swoim dniu w szkole czy pochwalił się czymś, dziadek zaraz zaczynał opowiadać, co sam robił, kiedy był w jego wieku. Mówił to do nas obojga, ale czułam, że swoje słowa kieruje głównie do wnuka. Chłopcy potrzebują ojców i dziadków. Ja z wiekiem czułam się coraz bardziej osierocona bez mamy i babci.

Dziadek zapytał mnie o szkołę, a ja zapewniłam, że dobrze sobie radzę i nie mam zaległości. Na próżno czekałam, aż powie coś o otrutym chłopcu. Zamiast tego opowiadał mi o swojej firmie i innych sprawach, których nigdy dotąd nie poruszał w rozmowie ze mną. Sprawiał wrażenie, jakby usiłował zagadać ciszę. Udawałam zasłuchaną, ale równie dobrze mogłam słuchać kogoś przemawiającego w nieznanym mi języku.

Nazajutrz przy stole znowu mówił o swoich interesach, ale znacznie mniej, a następnego dnia przeważnie milczał. Nasze wspólne posiłki stawały się coraz krótsze i odbywały się w ciszy. Myra i Faith serwowały nam przysmaki, ale pod koniec tygodnia dziadek opuścił dwa posiłki z rzędu. Myra usiadła ze mną do stołu, a drugiego wieczoru Lila została u nas na kolację. Wcześniej

odrabialiśmy lekcje, a przy stole plotkowaliśmy o chłopcach.

Ucisk, w jakim trzymała mnie rozpacz, zelżał. W szkole miałam już więcej energii, powrócił też zapał do nauki. Pierwsze sprawdziany po przerwie poszły mi całkiem dobrze. Odmawiałam zaproszeń towarzyskich na weekend i trochę tego żałowałam. Jednak w połowie następnego tygodnia dziadek przedstawił mi panią Dorian Camden, prywatną pielęgniarkę, i od tej pory mogłam myśleć tylko o jednym.

W końcu postanowił przedstawić mi plan sprowadzenia chłopca do naszego domu. Wyjaśniał, jak go u nas zainstaluje i co będzie niezbędne do rehabilitacji. Rozgadał się na temat szczegółów leczenia, diagnozy i niszczącego wpływu dawek arszeniku na organizm, szafując terminami medycznymi, które słyszał od lekarzy. I podkreślał, jak ważna będzie profesjonalna, całodobowa opieka pielęgniarki.

Siedziałam i słuchałam, milcząca i pełna urazy. Jeśli nawet dziadek to zauważył, nie dał nic poznać po sobie, tylko tłumaczył i tłumaczył, jakby liczył, że w końcu mnie przekona i wyrażę chęć do współpracy. A może nawet udzieli mi się jego entuzjazm.

– Przedstawiłem mu panią Camden w szpitalu – dodał.

– I co, rozmawiał z nią? – spytałam ostro.

– Nie. Wciąż nie chce mówić.

– Może ona jednak nie jest dobrą pielęgniarką – stwierdziłam zgryźliwie. – One są nauczone odpowiednio postępować z pacjentami, prawda?

– Polecił ją doktor Friedman. Absolutnie za nią ręczy.

Więcej nic nie mówiłam. Zrozumiałam, że nic nie wskóram, próbując zniechęcić dziadka do tych pomysłów.

Musiałam przyznać, że Dorian Camden jest atrakcyjną kobietą o niebieskich oczach i inteligentnym spojrzeniu, krótkich, świetnie ostrzyżonych włosach koloru dojrzałej cytryny. Zastanawiałam się, czy dziadek świadomie wybrał pielęgniarkę w pewien sposób podobną do chłopca, którym się miała opiekować – blondynkę o niebieskich oczach. Widać było, że przemyślał sprawę opieki w najdrobniejszych szczegółach. Nie powiedział mi, ile lat ma pani Camden, ale z jej opowieści o czasach i miejscach, w których pracowała, wywnioskowałam, że musi mieć co najmniej czterdzieści pięć lat.

– Mam nadzieję, że mogę liczyć na twoją pomoc – powiedziała pani Camden. Nie odpowiedziałam, ale ona nie przestała się uśmiechać. Miała łagodny, ciepły uśmiech. Szkoda, bo wolałabym, żeby była brzydka i wredna,

a tymczasem miałam do czynienia z miłą i kulturalną osobą. W sumie jednak takie powinny być pielęgniarki, jeśli miały się należycie opiekować pacjentami.

Dziadek poprosił Myrę, żeby pokazała pani Camden jej pokój. Miała zamieszkać na piętrze, w pokoju, w którym zawsze mieszkali rodzice, kiedy przyjeżdżaliśmy do dziadków. Przylegał do pokoju Williego. Oczywiście drażniło mnie, że zamieszka właśnie tam. Nikt nie spał tam od czasu, kiedy dowiedzieliśmy się o ich śmierci, ale Myra utrzymywała go w nienagannym porządku, jakby liczyła, że któregoś dnia stanie się cud i wróci.

Fakt, że pielęgniarka już się pojawiła, świadczył o tym, że lada chwila dziadek przywiezie tu chłopca. Jednak wciąż nie podał konkretnej daty. Ale Faith i Myra wpadły w szal przygotowań. Nie zamierzałam dawać nikomu satysfakcji i pytać o termin przybycia chłopca. Wolałam, aby mieli wrażenie, że kompletnie mnie to nie interesuje. Spodziewałam się, że Myra mimo to zechce mnie powiadomić – a tymczasem nic takiego się nie stało. Jeśli rozmawiano o chłopcu, musiało się to dziać za zamkniętymi drzwiami, z dala od moich uszu. Dom był pełen szeptów i nowych sekretów; nagle poczułam, że jestem tutaj bardziej obca niż chłopiec, który miał z nami zamieszkać.

Oczywiście Lila dopytywała się o niego przy każdym naszym spotkaniu. Odpowiadałam krótko: „Nie wiem. Nie obchodzi mnie. Nikt mi nic nie mówił”.

– Może jednak nie zamieszka u was? – powiedziała dzień po przyjeździe Dorian Camden.

– Więc po co zamieszkała tu pielęgniarka?

– Na wszelki wypadek? – odparła bez przekonania.

– Nie chcę o tym mówić – ucięłam i Lila porzuciła drażliwy temat. Trzeba przyznać, że w szkole koleżanki próbowały mnie rozweselić i nie zważając na moją ponurą minę, wciągnąć do wszystkich wspólnych zajęć. Myśli o otrutym chłopcu i planach dziadka jednak nie dawały mi spokoju. W drodze ze szkoły do domu mój nastrój pogarszał się z minuty na minutę i przypominał ten z pierwszego dnia, kiedy wróciłam po tygodniu żałoby. Serce biło mi coraz mocniej, w miarę jak zbliżaliśmy się do bramy. Każdy miesiąc mojego ciała tężał z napięcia. Jeśli chłopak już jest, wszystkie spojrzenia skierują się na mnie, ciekawe mojej reakcji.

Na widok samochodu dziadka zrozumiałam, że stało się najgorsze. Że chłopiec już zamieszkał w pokoju Williego.

Zaczęło się. Muszę stawić temu czoło. Teraz, zaraz, myślałam gorączkowo. Postanowiłam udawać, że nic się nie zmieniło, i zachowywać się jak zwykle. Jak gdybym nie zdawała sobie sprawy z obecności obcego w domu i nie słyszała, jak o nim mówią. Kiedy weszłam do domu, dziadek przerwał rozmowę z Dorian Camden i skinął mi głową.

– Już jest – oznajmił.

Wpatrywałam się w podłogę. Przez moment stałam nieruchomo, a potem ruszyłam w stronę schodów.

– Claro Sue! – zawołał.

– Co?

– Chciałbym, żebyś się z nim przywitała. Pójdę z tobą na górę. Nie musisz robić nic więcej, wystarczy, że będziesz dla niego miła w tym pierwszym momencie.

– Wcześniej nie raczył powiedzieć słowa i nawet na mnie nie spojrzeć. Teraz też tak będzie – burknęłam. – Szkoda mojego czasu – dodałam i zanim zdążył zareagować, popędziłam schodami do pokoju. Słyszałam, jak dziadek woła za mną, ale nie zwolniłam kroku. Obok pokoju Williego odwróciłam głowę i wpadłam do siebie, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi.

Serce waliło mi jak młotem. Stałam, nasłuchując, bo spodziewałam się, że dziadek zaraz tu wejdzie.

Nie pojawił się.

Cisza była trudna do zniesienia, ale cieszyłam się z niej.

Później usłyszałam ruch na korytarzu, ale nie wyjrzałam, żeby sprawdzić. Grube ściany domu dziadka nie przepuszczały żadnych odgłosów z sąsiednich pomieszczeń. Przyłożyłam ucho do ściany, ale usłyszałam tylko niewyraźny szmer głosów. Nie zdołałam rozróżnić słów, więc dałam sobie spokój z podsłuchiwaniami. Zganiłam się za niestosowną ciekawość, bo przecież nie powinno mnie to interesować. Ale czy uda mi się zachować obojętność? Ten chłopak był jedną wielką tajemnicą; a jego głębokie emocjonalne i psychologiczne problemy w połączeniu z niesamowitą determinacją dziadka, pragnącego je rozwikłać, kusiły mnie niczym kryminalna zagadka.

Przy kolacji Dorian Camden zasugerowała, że przez pierwsze dni powinna jadać posiłki z chłopcem w pokoju. Po czym wyjaśniła Myrze i Faith, które były wyraźnie zafascynowane jej osobą, że przede wszystkim musi zdobyć jego zaufanie.

– Moi pacjenci, którzy doznali poważnych uszkodzeń, początkowo byli

wściekli na cały świat. Bowiem pierwsze pytanie, jakie człowiek zadaje w takiej sytuacji, brzmi: „Dlaczego ja? Przecież nie zasłużyłem sobie na taki los!”.

– Nawet ktoś tak młodziutki? – spytała Myra. Nie kryła zainteresowania, w przeciwieństwie do mnie.

– Och, zwłaszcza ktoś taki. O dzieci zawsze ktoś dba i chroni je. W jego wypadku tak nie było albo ktoś to uniemożliwił. Rozmawiałam z doktor Patrick. Jej zdaniem temu dziecku wpajano, że jest nic niewarte.

– Że jest złe? – podchwyciła Faith.

– Niewykluczone. Dlatego, poza terapią doktor Patrick i moimi staraniami, potrzebujemy waszego wsparcia. Musimy sprawić, żeby chłopiec uwierzył w siebie.

Spojrzała na mnie.

– Razem możemy mu pomóc – dodała. Miałam ochotę zapytać: „A jeśli on naprawdę jest zły?”. Faith byłaby pewnie przerażona. Postanowiłam więc milczeć.

Dziadek, wyraźnie zły na mnie, prawie nie odzywał się przy kolacji. Atmosfera pomiędzy nami była ciężka i napięta, jak dzień czy dwa po pogrzebie Williego. Pilny telefon wywołał go z jadalni, a ja skończyłam jeść, zanim wrócił. Poszłam do siebie, bo miałam jeszcze lekcje do odrobienia. Na paluszkach minęłam drzwi pokoju Williego, aby siedząca w nim Dorian nie usłyszała moich kroków i nie zaprosiła mnie do środka. Cichutko zamknęłam się w swoim pokoju.

Trudno było mi skoncentrować się na pracy. Zadzwoiła Lila. Poinformowałam ją, że chłopak już jest. Jej współczucie zaczęło mnie irytować, więc oznajmiłam, że muszę kończyć, bo tak się zdenerwowałam, że nie mogłam zacząć lekcji. Przeprosiła mnie, że nie może przyjść „w takim dniu”.

– Lepiej, żebyś „w takim dniu” nie przychodziła – powiedziałam i rozłączyłam się.

Po paru godzinach, kiedy uznałam, że wszyscy są już w łóżkach, cicho otworzyłam drzwi i wyjrzałam. Światło sączyło się z otwartego pokoju Williego. Czy ten chłopak boi się ciemności? Czy Dorian Camden ciągle z nim siedzi? Czy jest podpięty do takiej samej aparatury, co w szpitalu? Ciekawość dręczyła mnie coraz bardziej. Uległam jej i podreptałam na palcach korytarzem. Przy drzwiach usłyszałam głos dziadka.

– Jesteś w pokoju Williiego. Tak będzie dla ciebie lepiej – usłyszałam, jak mówi.

Podeszłam bliżej i zajrzałam do pokoju.

Chłopiec leżał w łóżku Williiego, ale nie było tam żadnej aparatury. Po prostu leżał sobie w pościeli, a dziadek siedział przy jego łóżku. Wydawało mi się, że trzyma chłopca za rękę.

– Na wielu jego rzeczach wyszyte są inicjały W.S. – ciągnął dziadek. – Ale ty nie będziesz Williem Sandersem, bo tak nazywał się mój wnuk. Chcę, żebyś nazywał się Willie Arnold... William Arnold. Łatwiej mi będzie w ten sposób uznać cię za swojego kolejnego wnuka. Tak, to moje nazwisko, ale chłopcy często przejmują nazwisko po ojcach czy dziadkach.

Nie zdawałam sobie sprawy, że od dłuższej chwili wstrzymuję oddech, i miałam wrażenie, że za chwilę pękną mi płuca. Dziadek dał obcemu nie tylko swoje nazwisko, ale także imię mojego brata!

– Tak zostanie, dopóki nie przypomnisz sobie swojego imienia – dodał. – Dobrze?

Czekałam, aż chłopiec odpowie, ale milczał.

Dziadek zdawał się tym nie przejmować.

– Dobrze – powtórzył. – Dobrze.

Poczułam, że kolacja pali mnie w żołądku. Zatkaną dłonią usta i tłumiąc jęk, pobiegłam z powrotem do siebie. Wpadłam do łazienki, gdzie zaczęłam gwałtownie wymiotować, aż w końcu nic już nie zostało mi w żołądku i osunęłam się na podłogę obok sedesu.

Tam rano znalazła mnie Myra.

6

Dorian Camden siedziała przy moim łóżku z tak zatroskaną miną, jakby była moją matką. Myra wywołała ją z pokoju Williego. Na pewno się cieszyli, że mają pod ręką pielęgniarkę, która może pomóc w potrzebie. Ja nie przywykłam jeszcze, że w naszym domu mieszka ktoś chodzący w białym fartuchu i czepku, wnosząc tu szpitalną atmosferę.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Źle – odpowiedziałam. Chciałam dodać: „Co z ciebie za pielęgniarka? Nie wiesz, jak mogę się czuć po paru godzinach rzygania i nocy spędzonej na podłodze przy kiblu?”. Ale milczałam. W ogóle nie miałam ochoty mówić. Zamknęłam oczy i otworzyłam je, gdy położyła mi dłoń na czole.

Popatrzyła na Myrę, której twarz aż poszarzała ze zmartwienia. Trudno się dziwić. Willie umarł, a teraz ja się rozchorowałam. Co się jeszcze straszego wydarzy? Zawali się dom?

– Często chodzisz do toalety? – spytała Dorian.

– Chcesz zapytać, czy mam rozwolnienie? – Czy ona myśli, że jestem małym chłopcem? Niech mówi do mnie jak do dorosłej osoby!

– Tak.

– Nie mam.

– Ale to może być grypa żołądkowa – zwróciła się do Myry. – Gorączki raczej nie ma, ale na wszelki wypadek zmierzymy. Grypa bywa bezgorączkowa.

– Poproszę Faith, żeby zrobiła herbatę z miodem – powiedziała Myra i wyszła w pośpiechu.

Dorian spojrzała na mnie podejrzliwie.

– A może zjadłaś albo napiłaś się czegoś, czego próbować nie powinnaś, Claro Sue?

– Oczywiście, że nie. – Czy podejrzewała, że przemyciłam whisky do mojego pokoju? – Może pani przeszukać mój pokój – warknęłam i odwróciłam

się do ściany, tak samo jak ten otruty chłopiec, kiedy ktoś mówił do niego albo zadawał mu pytania.

– Ale wymiotowałaś?

Nie odpowiedziałam. Czułam na sobie jej badawcze spojrzenie.

– Boli cię jeszcze brzuch?

– Nie.

– A masz mdłości?

– Nie – zaprzeczyłam trochę głośniej. Nie życzyłam sobie więcej pytań.

– Człowiek jest zdolny sam wywołać u siebie objawy choroby, wiesz? Przy silnym zdenerwowaniu mogą u niego wystąpić objawy albo po prostu traci odporność i choruje. Czyżby to był twój przypadek?

Obróciłam się i zmierzyłam ją wzrokiem.

– To pani jest pielęgniarką, więc po co pani mnie wypytuje?

Ledwo dostrzegalnie zacisnęła usta i wyszła. Ucieszyłam się, ale zaraz wróciła z termometrem i nakazała: – Otwórz buzię. – Włożyła mi termometr pod język. Kiedy Myra przyniosła herbatę, Dorian wyjęła termometr i powiedziała: – Temperatura normalna.

– To dobrze.

– Powinna dzisiaj być na lekkiej diecie i dużo pić – poradziła Myrze. Jeszcze raz spojrzała na mnie, jakby czekała, że jej podziękuję, ale znów odwróciłam się do ściany, więc wyszła.

Myra postawiła mi herbatę przy łóżku. Na talerzyku leżał tost i dżem.

– Ona jest bardzo dobrą pielęgniarką, Claro Sue – powiedziała. – Widziałam, jak zajmuje się chłopcem. Widać, że mały ją polubił.

– Chłopcem? Chodzi ci o Williama? – zapytałam z pogardą.

– Słucham?

– Dziadek wam nie powiedział?

– Co mianowicie?

– Ta-daam! Otruty chłopiec został ochrzczoney.

Myra pokręciła głową.

– Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć, Claro Sue.

– Dziadek nazwał go Williamem Arnoldem.

Upiłam łyk herbaty, obserwując ją spod oka.

– Powiedział ci, że chce mieć drugiego Williego? – spytała z niedowierzaniem.

– Nie. Podśledzałam, gdy był u niego w pokoju i nadał mu imię William,

przynajmniej do czasu, kiedy tamten przypomni sobie, jak się nazywa. I nazwisko Arnold. Zupełnie jak gdyby dziadek bez pytania pożyczył to imię od mojego brata.

– Myśl, że nie można sobie przypomnieć własnego imienia, musi być okropna. – Myra usiłowała jak zwykle usprawiedliwiać innych. – Twój dziadek chciał mu tylko pomóc.

– Tak? To dlaczego nie nazwał go Jackiem, Markiem albo Tomem? Mógł na razie nazywać go po prostu Chłopcem. No właśnie, gdyby wszyscy nazywali tego małego Chłopcem, wkurzyłby się wreszcie i przypomniał sobie własne imię.

Myra pokręciła głową.

– Mówił mi, że na wielu rzeczach w pokoju są inicjały W.S., ale chciałby dać mu nazwisko Arnold. Jeśli chłopak się zgodzi, dziadek pewnie zmieni inicjały.

– Tak myślisz?

– Tak. Szczęściarz z tego chłopaka, nie?

– No, raczej nie nazwałabym go szczęściarzem, przynajmniej na razie, nie sądzisz, Claro Sue?

– Wszystko mi jedno. Na pewno ma więcej szczęścia od Williego.

Myra zacisnęła usta, a jej oczy zalśniły od łez. Ze wstydem uświadomiłam sobie, że w ten sposób umacniam w niej poczucie winy za śmierć Williego, a tego nie chciałam.

– To nie była twoja wina, Myro – powiedziałam, sama łykając łzy. – Zły los sprawił, że znaleźliście się na drodze tego drania, pijaka, który pędził ulicą. Właściwie to jest... jeszcze gorsze!

Poklepała mnie po ręce i wstała.

– Zobaczmy, co będzie. A na razie zjedz tost z dżemem. Jeśli nie poczujesz się po tym gorzej, na lunch dostaniesz puszysty omlet Faith – powiedziała.

– Złe rzeczy przytrafiają się także dobrym ludziom, Myro. Wiem, że Faith nie lubi o tym mówić, bo nie rozumie, jak Bóg może do tego dopuścić, ale tak bywa. I nie ma znaczenia, czy masz majątek i gdzie mieszkasz.

Pomyślałam, że zaprzeczy.

– Nie zadręczaj się, Claro Sue. Nie myśl o takich rzeczach. Wiele przeszłaś i musisz odzyskać siły – powiedziała tylko, zanim wyszła.

Miałam ochotę krzyknąć i walić pięściami w ścianę. Jak mam o tym nie myśleć? Czarne myśli zdawały się wsączać zewsząd, szparą pod drzwiami

i przez zamknięte okna. Okręzały mnie rojem jak wir. Koszmary nocne tańczyły wokół mojego łóżka, a postępowanie dziadka czyniło rzeczywistość jeszcze bardziej nieznośną. Chciałam krzyknąć, by przerażona Myra wezwała dziadka, żeby przyjechał tu z pracy, zobaczył, co się dzieje, i oddał chłopca do jakiejś kliniki lub domu opieki. Z wysiłkiem odegnałam te myśli i zamknęłam oczy. Wreszcie zasnęłam.

Kiedy Myra wróciła z kolejną herbatą, poczułam wyrzuty sumienia, że musi tak koło mnie chodzić. Przecież nie doszła jeszcze do siebie, wciąż nosiła gips i była obolała. Chwilę wcześniej usłyszałam głosy na dole w holu. Jeden z nich należał do Dorian Camden, ale drugiego nie znałam; wiedziałam tylko, że jest kobiecy. Miałam nadzieję, że przyszedł ktoś z agencji rządowej z nakazem zabrania chłopaka i powie dziadkowi, że nie może tak po prostu wziąć sobie obcego dziecka i zajmować się nim, gdyż w ten sposób łamie przepisy.

– Och, to psychiatra – wyjaśniła Myra. – Doktor Patrick. Są bardzo podekscytowani, bo chłopak powiedział wreszcie parę słów.

Poczułam rozczarowanie.

– Serio? A co mianowicie? – W sumie to chyba dobrze, bo może wreszcie przypomni sobie, jak się nazywa, i będzie można odnaleźć jego rodzinę.

– Że bardzo się cieszy, że trafił do nas.

– Trudno, żeby się nie cieszył, skoro tyle dostał – mruknęłam wrogo.

– Jesteś niemiła, Claro Sue. To przecież nieszczęśliwe dziecko.

– My też jesteśmy nieszczęśliwi – odparowałam, a Myra rzuciła mi jedno z tych swoich belferskich, pełnych nagany spojrzeń, których siła powinna osadzić w miejscu rozpedzonego byka na arenie. – Wstanę i zejdę na lunch – dorzuciłam.

– Pani Camden będzie zachwycona, kiedy się o tym dowie. Podejrzewała, że to były objawy żołądkowe wynikłe ze stresu.

– Jasne – burknęłam. – Zaraz, powiedziałaś „pani”? Nie pamiętam, aby dziadek wspomniał, że jest mężatką. Może mieszkać tutaj? Jej mąż się zgodził?

– Mąż pani Camden zmarł trzy lata temu. Mówiła, że miał ciężką cukrzycę i pojawiły się komplikacje.

– A ma dzieci?

– Nie. Nie zdążyli. To piękna i miła kobieta, a do tego świetna pielęgniarka – oświadczyła Myra. – Twój dziadek ją zatrudnił, a ona dobrze wywiązuje się ze swojego zadania.

Innymi słowy, nie powinnam się na niej wyżywać z powodu mojej frustracji, pomyślałam. To chciała powiedzieć Myra. Odchrząknęłam i upiłam parę łyków herbaty. Oczywiście Dorian Camden miała rację. Sama zafundowałam sobie kłopoty zdrowotne – i po co mi to było?

– Powiedz Faith, że marzę o jej omlecie – poprosiłam Myrę.

Uśmiechnęła się.

– Dobrze.

– Czy doktor Patrick jest tu jeszcze? – spytałam. Pomyślałam, że powinnam zapytać ją o parę rzeczy.

– Już wyszła, ale zaraz wróci dziadek.

– Mówiłaś mu, że byłam chora?

Zmieszała się, a po chwili pokręciła głową.

– Nie rozmawiałam z nim. Zadzwoił, żeby zawiadomić Jimmy’ego, że przysyła budowlańców. Mają dokonać paru zmian. Chodzi o to, żeby ten chłopiec mógł jeździć wózkiem – wyjaśniła. – Pani Camden sądzi, że za parę dni będzie mógł usiąść.

– Co to znaczy „przebudować parę rzeczy”?

– Dziadek zamierza dostosować dom do wózka inwalidzkiego.

– Czyli jak?

– Nie znam szczegółów, Claro Sue. Po prostu trzeba coś przebudować. Powiem Faith, że wkrótce zejdziesz, dobrze? – I wyszła.

Dlaczego dziadek postanowił przebudować dom? Jak długo ten chłopak u nas zostanie? Czy długo ma jeździć na wózku? O co tu chodzi? Chce zmienić nasz dom w szpital czy coś w tym stylu? Szpitale mają zapach... szpitalny. Czy tak będzie pachniał korytarz przed moimi drzwiami? Jak będę mogła zapraszać koleżanki?

Poszłam do łazienki, żeby wziąć prysznic i się ubrać. Ciekawość nie pozwalała mi zostać w łóżku. Kiedy zesłam na dół, dziadek już tam był.

– Cześć – powitał mnie. – Słyszałem, że nie poszłaś do szkoły, bo źle się czułaś.

– Miałam problemy żołądkowe, ale już jest dobrze – zapewniłam.

Kiwnął głową. Wiedziałam, co myśli. Dziadek Arnold słabo się znał na tak zwanych babskich sprawach i jeśli podejrzewał taki temat, od razu wycofywał się rakiem. Szybko wrócił do przerwanej rozmowy z mężczyzną w bluzie z napisem na plecach TLC Wyposażenie Rehabilitacyjne. Nastawiłam ucha. Dziadek chciał, żeby ten facet zainstalował mu podnośnik schodowy. Tamten

narzekał, że ma napięte terminy, gdyż po epidemii polio dramatycznie wzrosło zapotrzebowanie na windy inwalidzkie, zwłaszcza dla dzieci, które dziś były już nastolatkami albo dorosłymi ludźmi. I zasugerował, że chłopiec zachorował na polio po szczepionce Salk.

– Ze szczątkowych informacji, jakie mamy o dziecku, i sposobu, w jaki było traktowane, wynika raczej, że rodzice nigdy go nie szczepili – odparł dziadek.

Podnośnik schodowy? – pomyślałam w osłupieniu. Na schodach, z których babcia Arnold była taka dumna? Z piękną, rzeźbioną, mahoniową poręczą i słupkami z jednego pnia drzewa? Pokazywała je każdemu nowemu gościowi. Te schody były naszą chlubą. Czasami, kiedy miała dobry humor, babcia udawała, że jest wielką aktorką, która schodek po schodku kroczy w dół w świetle jupiterów. Pamiętam, jak moja mama śmiała się i nazywała ją Scarlett O’Harą. Jak teraz będą wyglądały z windą?

Po lunchu odkryłam, że dziadek planuje także rampę podjazdową do domu. Ustalił wszystko z robotnikami, którzy od razu wzięli się do pracy. Jakie jeszcze miał pomysły? Czy kupi ambulans, który na stałe będzie parkował na podjeździe?

Wróciłam do swojego pokoju. Spodziewałam się, że za parę godzin zadzwoni Lila z pytaniem, czemu nie byłam w szkole. Postanowiłam poczytać lekturę z angielskiego. Tym razem przystanąłam przed pokojem chłopca i zerknęłam do środka. Mały siedział na łóżku, a na kołdrze leżał przed nim stos komiksów. Willie zawsze dostawał komiksy od dziadka, kiedy chorował. Nowy Willie miał na sobie żółtą pizamę w kropki, należącą do mojego brata. Kiedy uniósł głowę i spojrzął na mnie, uciekłam.

Jak się spodziewałam, Lila zadzwoniła od razu po powrocie ze szkoły i dopytywała, co się stało. Wyjaśniłam, że rano źle się czułam, ale ta niedyspozycja żołądkowa już mi przeszła.

– Zdarza się – stwierdziła. – Ja mam od czasu do czasu bolesne miesiączki i czuję się tak paskudnie, że nie chce mi się iść do szkoły, ale mama zawsze mnie mobilizuje. – Chyba widziała mój problem jako skutek przeżytej tragedii i sprzeciwu wobec zawłaszczania rzeczy Williego przez obcego chłopca.

– Nie w tym rzecz, ale już dobrze się czuję – odparłam.

Powiedziała mi, co przerabialiśmy i co było zadane, gdyż nie mogła przyjechać osobiście. Wybierały się z mamą na zakupy, bo Lila potrzebowała nowych rzeczy na zimę.

– Masz ochotę pojechać z nami? Kupisz sobie coś fajnego i od razu poprawi

ci się humor.

Jedną z cech, które ceniłam u Lili, była chęć dzielenia się ze mną swoim życiem rodzinnym. Inne dziewczyny zachowywały w tych sprawach powściągliwość. Myślały chyba, że uczestnictwo w różnych sprawach w towarzystwie ich mamusi czy tatusiów może być dla mnie bolesne. I rzeczywiście, w takich razach zawsze uświadamiałam sobie na nowo, że nie mam rodziców, tylko dziadków. Nawet kiedy babcia Arnold jeszcze żyła i miała się dobrze, nigdy nie robiłyśmy razem tylu rzeczy, ile one ze swoimi matkami. Czułam się jak odmieniec, uczestnicząc w życiu rodzinnym swoich przyjaciółek. Zwłaszcza że pamiętałam czasy, kiedy jeździłam w różne miejsca z rodzicami albo tylko z mamą. Lila albo nie zauważała moich problemów, albo nie przywiązywała do nich wagi i ciągle ponawiała zaproszenia.

– Dzięki, ale wolę się nie ruszać, żeby na jutro wydobrzcć. Zajmę się lekcjami.

– Montujemy imprezę na następny weekend – oznajmiła Lila. – Rodzice Audrey O’Brian zgodzili się udostępnić sutereneń, a wiesz, że jest spora. Mają tam szafę grającą i bilard. Będzie fajnie.

– Może mnie nie zaproszą.

– Coś ty, już rozmawiałam z Audrey – zapewniła zbyt szybko, niemal połykając słowa.

– Rozmawiałaś z nią? Jak mam to rozumieć?

Nie od razu odpowiedziała, jakby wiedziała, że się wygadała, i teraz próbowała się wycofać.

– Och, po prostu pytała mnie, czy już dojrzałaś do imprez – wyjaśniła wreszcie.

– Czy raczej się obawia, że będę smęcić i popsuję zabawę? – dorzuciłam zgryźliwie.

– No co ty?! Ależ skąd!

– Jak przekonałaś ją, że już dojrzałam? – spytałam.

Czy powinnam w ogóle myśleć w ten sposób? – zastanawiałam się. Czy można tak po prostu odhaczyć wyjście z rozpaczki po śmierci młodszego brata w rubryce „zrobione”?

Lila znów zamilkła.

Naszła mnie przerażająca myśl.

– Lila? Chyba nie wygadałaś dziewczynom o tym chłopcu, który mieszka w pokoju Williego, ani o tym, co zrobiłyśmy z zabawkami?

– Och, nie! Wspomniałam, że potrzebujesz się wyrwać z domu i spędzić trochę czasu z przyjaciółmi. I że to dobrze ci zrobi.

– Dobrze mi zrobi?

Zabawne, jak szybko można się stać celem działalności dobroczynnej – przyszło mi do głowy i miałam na myśli nie tylko siebie, ale i otrutego chłopca.

– Tak – potwierdziła Lila. – Audrey bardzo się cieszy, że przyjdiesz. Serio! Wszyscy chcą, żebyś...

Tylko nie mów: „Wróciła do normalności”, zaklinałam ją w duchu. Chyba odgadła moje myśli.

– Żebyś znowu była z nami – dokończyła.

– Zastanowię się – obiecałam.

– Aaron też ma nadzieję, że przyjdiesz – dodała z naciskiem.

– Zastanowię się – powtórzyłam.

– Fajnie. Zdzwonimy się później.

– Dobra.

Sprawdza mnie, pomyślałam.

Co by było, gdybym naprawdę zachorowała i teraz źle się czuła? Albo umarła? Czy dziadek Arnold znalazłby jakąś nieszczęśliwą dziewczynę w moim wieku i zainstalował ją w moim pokoju? Czy dałby jej moje rzeczy, moje ubrania i nazwał ją Clarą Sue?

Wróciłam do odrabiania lekcji. Potrzebowałam skoncentrować się na pracy, żeby nie myśleć o takich rzeczach, zwłaszcza tak mało prawdopodobnych. Ostatnio wszystkie piękne wspomnienia – o rodzicach, babci Arnold, naszym szczęśliwym życiu, o wspaniałych niespodziankowych prezentach, które tata przynosił do domu dla mamy, Williego i mnie, o śmiechu i radościach – wydawały mi się nierealne. Czasy, kiedy czułam się bezpieczna i szczęśliwa, odeszły w przeszłość, czasy, kiedy jedynym rozczarowaniem był nakaz wczesnego pójścia do łóżka albo deszcz w dniu wyprawy do wesołego miasteczka. Żyliśmy wtedy beztrosko jak w czarodziejskiej krainie.

Nie chodzi o to, że mieliśmy drogie ubrania, samochody i domy. Naszą rodzinę spajała miłość. Pocałunki spadały na nas bezustannie, jak ciepły deszcz. Nie było dnia bez czułych uścisków. Uwielbialiśmy siebie nawzajem i czuliśmy swoją bliskość. Śmiech był naszą codzienną muzyką. Chwile smutku i bólu należały do rzadkości.

Te piękne wspomnienia stały się teraz częścią mnie, troskliwie chronioną,

która świadomie udostępniała mi obrazy dobrych czasów jako odległe wizje, spowite mgłą. Każdy, kto, tak jak ja, przeżył tragedię, ma tendencję do wycofywania się z życia w ciemny zaułek, gdzie tkwi, nienawidząc słońca, uśmiechów na twarzach innych ludzi; nienawidząc nawet własnego imienia, bo nikt nie wymawiał go tak czule i pięknie jak kochani zmarli. Jak moi rodzice i Willie. Nawet nie jak Myra i Faith. „Pamiętaj i cierp”, mówiłam sobie. „Albo idź do przodu i rób wszystko, żeby zapomnieć, bo musisz dalej żyć”.

Może to był prawdziwy powód, dla którego znienawidziłam myśl o obcym chłopcu w pokoju Williego. Za każdym razem, kiedy go widziałam albo mijalam jego pokój, przypominał mi się Willie umierający na chodniku; jego drobne ciało zgruchotane przez samochód. Jak mogę patrzeć na innego chłopca w jego wieku, w jego ubraniu, bawiącego się jego zabawkami i śpiącego w jego łóżku, nie opłakując zmarłego braciszka? Dlaczego nikt nie rozumie, co przeżywam? Czy moja reakcja jest taka dziwna?

Wrócił gniew i paradoksalnie dał mi siłę, żeby się pozbierać. Dziadek właśnie wrócił do domu. Przez uchylone drzwi mojego pokoju słyszałam, jak idzie od razu do pokoju Williego. Rozmawiał przez chwilę z Dorian Camden. Ze względu na chłopca utrzymywali optymistyczny ton i chwalili go za zwykłe, proste rzeczy, jak zjedzenie śniadania, lunchu czy umycie zębów. Ich śmiech drażnił mnie jak zgrzytanie paznokcia po tablicy. Wreszcie zapadła cisza. Spodziewałam się, że dziadek zajrzy do mnie i zapyta o moje samopoczucie, ale nie doczekałam się. Albo poszedł do siebie, albo na dół. Zgłodniałam, więc postanowiłam też zejść na kolację.

Przechodząc obok pokoju Williego, zerknęłam do środka i zobaczyłam panią Camden, przygotowującą dla chłopca stolik do łóżka. Przystanęłam. Opowiadała mu, co dostanie do jedzenia, łącznie z czekoladowym ciastem na deser. Mały był bardziej niż zwykle ożywiony i słuchał jej uważnie. Słuchałam przez chwilę jej łagodnego głosu. Nie byłam zazdrosna. Przeciwnie, cieszyłam się, że jest wspaniałą pielęgniarką, bo to budziło nadzieję, że chłopak szybko dojdzie do siebie i zniknie stąd.

Przy kolacji panował o wiele weselszy nastrój. Pani Camden usiadła z nami przy stole. To mnie zaskoczyło. Myślałam, że będzie jadła posiłki na górze, z chłopcem – chociażby po to, żeby się nie zakrztusił, czy coś w tym stylu. Myra towarzyszyła mi przy stole tylko wtedy, kiedy dziadek nie mógł być na kolacji. Istniała chyba niepisana zasada, że służba ani pracownicy nie jadają z domownikami, lecz dziadek wyraźnie złamał tę regułę dla Dorian Camden.

Wyraźnie cieszył się z jej towarzystwa. Zdawali się zapominać, że siedzą z nimi przy stole, co mi nie przeszkadzało, gdyż dziadek – wyjątkowo jak na siebie – zwierzał się jej ze swoich spraw. A ja, pomimo wcześniejszych uprzedzeń, słuchałam ich z zainteresowaniem.

– Jak długo pracowała pani w szpitalu dla weteranów? – spytał.

– Prawie dziesięć lat. Jak się pan domyśla, oprócz zwykłych obowiązków odgrywałam rolę terapeutki i pocieszycielki, zwłaszcza w przypadku tych, którzy na froncie odnieśli ciężkie rany i zostali kalekami. Byli też tacy, którzy ucierpieli w czasie zwykłej służby albo po prostu nie wytrzymali psychicznie. Rezultat był taki sam dla wszystkich – gorycz i depresja. Trudno im się dziwić, że chcieli jak najszybciej zapomnieć o koszmarze.

– W takim szpitalu pacjenci potrzebują znacznie więcej troski i wyrozumiałości niż w innych, prawda?

– Owszem – przyznała i spojrzała na mnie. – Cieszę się, że już ci lepiej, Claro Sue.

– Dzięki.

Przeniosła spojrzenie na dziadka.

– Mam nadzieję, że w ten weekend uda mi się zachęcić chłopca do wypróbowania nowego wózka inwalidzkiego. Do tego czasu powinna już działać winda, prawda, panie Arnold?

– Och, proszę, jestem William. Tak, winda ruszy lada chwila.

– Świetnie. Pokażemy mu dom, a nawet teren posiadłości. Claro Sue, mogłabyś go oprowadzić.

– Oprowadzić? Czy to jakieś muzeum?

– Nie, to przecież twój dom. Możesz po prostu mu o nim opowiedzieć. Posiadłość jest piękna, a krajobraz zapiera dech w piersi.

– Zdobyliśmy za nią parę nagród, co, Claro Sue? – powiedział z dumą dziadek.

– Owszem.

– Pokażę ci trofea – dodał, spoglądając na Dorian.

– Masz też wspaniały basen, Williamie – pochwaliła. – Latem będzie go można wykorzystać do terapii.

– Latem? – Posłałam dziadkowi ostre spojrzenie. – On tu będzie jeszcze latem?

– Sądzę, że zostanie u nas na długo, Claro Sue – odpowiedział. – Nie zapowiada się, żeby przypomniął sobie, kim jest. Złożyłem oficjalny wniosek

o ustanowienie mnie jego rodzicem zastępczym, przynajmniej tymczasowo.

– Rodzic zastępczy? Ale... on sobie na pewno niczego nie przypomni? – zwróciłam się do pani Camden.

– Według doktor Patrick nastąpiła podświadoma selekcja wspomnień. Po to, aby nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, co się stało. To musiało być tak traumatyczne, że jego umysł ocenzurował wspomnienia, odsiewając te najgorsze, i ten proces może potrwać wiele lat. Rozumiesz?

– Tak – odparłam z zaciśniętymi ustami. – Będzie udawał, że nic nie pamięta, aby zawłaszczyć sobie na zawsze pokój mojego brata.

Ani ona, ani dziadek nie odpowiedzieli. Po prostu wpatrywali się we mnie jak w jakiś wybryk natury. Wstrzymałam oddech i pomyślałam jednocześnie, że Myra miała rację. Za każdym razem, gdy dawałam upust swojej goryczy i frustracji, wychodziłam na egoistkę. A jednak patrzyłam hardo na dziadka.

– Nigdy, przenigdy nie nazwę go Williem – oświadczyłam. – On nie jest moim bratem.

Twarz dziadka nawet nie drgnęła.

– Rozumiem. Lepiej, żeby był Williamem.

– Bez różnicy. Nie jest też Williamem.

– Tego nie wiemy na pewno. Przypadkiem imię może się zgadzać.

– Ale William Arnold już nie. – Nie dałam się zbić z tropu. Czułam, jak napięły mi się mięśnie karku.

– Nie przejmuj się tak – poradziła mi pani Camden.

Opuściłam oczy, ale po chwili podniosłam głowę i uśmiechnęłam się.

– Ma pani rację. Nie będę się przejmować. Po prostu postąpię tak jak ten chłopak.

– O co ci chodzi, kochanie?

– Zapomnę. Stracę pamięć. Zapomnę, że on tu jest – powiedziałam. Ze szczękiem odłożyłam widelec i wstałam.

– Claro Sue! – upomniał mnie ostro dziadek. – Niegrzecznie jest wstawać od stołu w trakcie posiłku.

– Och, już się najadłam, dziadku. Nie chcę się przejeść, żeby nie przeciążyć żołądka. Mam rację, pani Camden?

Pielęgniarka kiwnęła głową.

Odwróciłam się i oddaliłam wolnym krokiem. Dopiero na schodach przyspieszyłam i wbiegłam na górę, tupiąc jak słoń, aby ten chłopak, który udawał, że nie słyszy, wiedział, że nadchodzę. Zatrzymałam się w progu

pokoju Williego. Chłopak siedział wyprostowany na łóżku i patrzył w stronę drzwi.

Może, pomyślałam, może uda mi się go skłonić do powiedzenia prawdy. Obejrzałam się na schody, nasłuchiwałam przez chwilę, a potem weszłam do pokoju Williego. Przyglądał się uważnie, jak podchodzę do jego łóżka. Z bliska wyglądał jeszcze bardziej krucho i bezbronne. Czy tylko z powodu trucizny? Skórę miał tak cienką, że widać było błękitne żyłki na skroniach i policzkach. Jego kości sprawiały wrażenie ptasich.

Czekałam chwilę z nadzieją, że przemówi pierwszy, ale on patrzył na mnie zaniepokojonym spojrzeniem niebieskich oczu. Nie był tak ładny, jak Willie. Wyglądał trochę jak laleczka, z idealnie regularnymi, drobnymi rysami i kędziorami złotych włosów. Dłonie też miał drobne, a ramiona cienkie jak gałązki, które mogłyby się złamać, gdyby machnął nimi mocniej.

– Bardzo cię bili? – zapytałam.

Oczy rozszerzyły mu się lekko.

– Wiesz, że byłeś truty, prawda? Powiedzieli ci o tym?

Niedostrzegalnie skinął głową.

– Omal nie umarłeś i pewnie byś już nie żył, gdyby nie mój dziadek.

Wciąż milczał.

– Podoba ci się pokój mojego brata? – napierałam.

Rozejrzał się wokół, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, gdzie jest.

– Założę się, że tu jest o niebo lepiej niż w twoim domu. Co nie?

Popatrzył na mnie.

– Miałeś tam takie duże łóżko?

Wyglądał, jakby się zastanawiał.

Podeszłam jeszcze bliżej.

– Miałeś?

– Łóżko? – powtórzył. Dźwięk jego głosu zaskoczył mnie, ale i zachęcił.

– Tak, łóżko. Miejsce, gdzie spałeś. Pamiętasz je?

Pokręcił głową.

– Och, nie bujaj. Jak można zapomnieć, na czym się spało? Powiem ci coś – ciągnęłam. Stałam nad nim. – Zdradzę ci sekret tego pokoju, jeśli ty zdradzisz mi jeden ze swoich sekretów – na przykład to, jak się nazywasz i kto twoim zdaniem zatruwał twoje jedzenie. Umowa stoi?

Popatrzył na mnie wielkimi oczami, jakby się zastanawiał, czy jestem istotą ludzką, czy kosmitką z odległej galaktyki.

– Dobra, powiem ci. Mój brat miał w tym pokoju tajne miejsce, gdzie trzymał różne ciekawe owady – bo nie chciał, żeby sprzątnęły je pokojówki. Badał swoje znaleziska, a potem je wypuszczał. W szafie stoi mikroskop. Prawdziwy, nie żadna zabawka. Dziadek podarował mu go dwa lata temu. Pokażę ci, jak się używa mikroskopu, żebyś mógł sobie obejrzeć swój włos albo inne rzeczy. Mówię ci, widok jest niesamowity. Chciałbyś?

Kiwnął głową.

– Fajnie. To teraz powiedz, jak się nazywasz – zazałam.

Uśmiechnął się. Zaraz się dowiem! Serce zabiło mi szybciej. Zerknęłam na drzwi. Wydobędę z niego to, co im się nie udało. I sprawa wreszcie się rozwiąże. Może nawet sama pójde z tym na policję. Jak najszybciej, żeby dziadek nie zdążył przerobić domu.

Odczekałam chwilę.

– Jak masz na imię? A nazwisko? Jeśli mi teraz nie powiesz, już nigdy nie zdradzę ci żadnego sekretu. Żałuj, bo znam ich wiele. Obiecuję, że powiem ci wszystko, jeśli zdradzisz, jak się nazywasz, zgoda?

Kiwnął głową i uśmiechnął się.

– Super. Więc jak się nazywasz?

– William – odpowiedział. – William Arnold.

7

Odwróciłam się i wybiegłam z pokoju. Teraz siedziałam na łóżku i się trzęsłam. Prześladowała mnie jego triumfująca mina, kiedy powiedział: „William Arnold”. To było dziwne. Sprawiał wrażenie, jakby wierzył, że naprawdę pamięta, jak się nazywa. Oczy mu się rozjaśniły jak komuś, komu wróciła pamięć. I uśmiechnął się z satysfakcją, bo wreszcie mu się udało. Wzdrygnęłam się. Siedziałam, obejmując się ciasno ramionami, zła na siebie, że tak łatwo daję się ponieść lękom i nastrojom. Może tego właśnie chciał otruty chłopak.

Kiedy usłyszałam kroki na schodach i w korytarzu, zerwałam się szybko i zamknęłam drzwi. Nie miałam ochoty z nikim rozmawiać ani pokazywać się nikomu w tym stanie i wysłuchiwać pełnych troski pytań. Nie chciałam widzieć nawet Faith i Myry. Ale kiedy zadzwonił telefon, szybko sięgnęłam po słuchawkę. Moje „halo” zabrzmiało wręcz entuzjastycznie. Prawdopodobnie brzmiałam jak ktoś, kto spędził wiele dni w zawalonej kopalni i wreszcie zyskał kontakt ze światem.

- Clara Sue?
- Tak, tak.
- Cześć, tu Lila.
- O, witaj.
- Dobrze się czujesz?
- Tak, oczywiście. Co jest?
- Nic. Po prostu się upewniam, że jutro spotkamy się w szkole.
- Tak, idę do szkoły. Wszystko w porządku. – Nabrałam powietrza w płuca i dodałam z determinacją: – Wybieram się też na imprezę u Audrey.

Postanowiłam więcej się nie dręczyć i nie karać. Los wystarczająco mnie już skrzywdził, a ten chłopiec tylko wzmacniał jego wyroki.

- Och, super. I dobrze wiesz, kto najbardziej się z tego ucieszy!
- Przekonamy się. Moim zdaniem jego zdjęcie powinno w słowniku

ilustrować słowo „flirt”. – Wróciły zapomniane obrazy i zrobiło mi się ciepło na sercu, gdy pomyślałam o chłopcach, imprezach, muzyce i śmiechu. Padłam płasko na łóżko. – Nie zapominaj, że to ty powiedziałaś, że on ma „pościelowe spojrzenie” – zachichotałam.

Lila mi zawtórowała.

– Nareszcie jesteś sobą – stwierdziła.

Wyobrażałam sobie, jak przygryza wargę i wstrzymuje oddech po tych słowach, niepewna mojej reakcji. Szczerze jej współczułam.

Kiedy ktoś wyłania się z mrocznych odmetów wielkiej rozpacz, jak teraz ja, zrozumiałe, że inni obawiają się, że popełnią nietakt jakimś słowem albo zachowaniem. Nie chcą, aby posądzono ich o brak szacunku dla żałoby. Ale jak długo mam wymagać współczucia od przyjaciół?

Nikt nie lubi chodzić ciągle ukradkiem, na palcach, waząc każde słowo i usiłując wyczuć, kiedy wolno mu się uśmiechnąć lub roześmiać.

– Jestem sobą. Wreszcie jestem sobą – wyznałam. – A muszę teraz odrobić matkę.

– Ja też się jeszcze nie zabrałam – przyznała Lila.

– Zatem do roboty. Nie chcę, żebyś opuściła się w nauce.

Zaśmiała się, tym razem swobodniej. Z przyjemnością słuchałam jej śmiechu, choć jego dźwięk brzmiał dla mnie dziwnie. Kiedy śmiałam się ostatni raz, tak głośno, z serca? A kiedy po raz ostatni słyszałam śmiech Williego? Faith twierdzi, że śmiech jest „darem aniołów”. W przeciwieństwie do płaczu.

– Jasne – powiedziała Lila. – Ach, czekaj. Jutro wszystkie dziewczyny z klasy przyjdą ubrane na czerwono.

– Czemu?

– Chodzi o pana Leshnera. A, kurczę, przecież ty nie wiesz. To był pomysł Rose Mosely. Podrzuciła mu karteczkę, że zabujała się w nim na amen. Szaleje z miłości, nie może spać, straciła apetyt i usycha z tęsknoty. Przepisała całe zdania z jakiegoś romansidła o nauczycielu, który uwodzi uczennicę, albo odwrotnie. Bombardowała go anonimowymi liścikami cztery dni z rzędu, aż we wczorajszym zapowiedziała, że jutro przyjdzie ubrana na czerwono i dzięki temu Leshner ją pozna. No i wszystkie przyjdziemy na czerwono.

– Dobra, zastanowię się – obiecałam.

– Ale jeśli nie zechcesz, nikt nie będzie miał pretensji.

– Nie powiedziałam nie, tylko że się zastanowię – burknęłam ze

znieczierpliwieniem. – Zajrzę do szafy – zapewniłam, żeby się wreszcie odczepiła.

– Super. W takim razie widzimy się rano. – Szybko odłożyła słuchawkę.

Pomyślałam, że przypominam tykającą bombę, która w każdej chwili może wybuchnąć. Miałam wrażenie, że iskrzą mi połączenia nerwowe. W każdym momencie mogłam eksplodować i rozpaść się na kawałki, jak laleczka z kruchej porcelany. Zdusiłam krzyk, narastający mi w gardle, i zobaczyłam, że wciąż ściskam w dłoni słuchawkę, jakbym pragnęła desperacko pozostać w kontakcie ze światem zewnętrznym. Wreszcie wzięłam głęboki oddech i usiadłam przy biurku, żeby odrobić matematykę. Tym razem rozwiązanie zadania okazało się proste. Z satysfakcją zamknęłam książkę i zaczęłam szykować się do spania. Kiedy myślałam zęby, usłyszałam pukanie do drzwi. Przez chwilę zamierzałam udawać, że już śpię, ale pomyślałam, że to może dziadek przyszedł, aby powiedzieć mi wreszcie coś miłego.

– Momencik! – zawołałam i założyłam szlafrok. Byłam tylko w majteczkach i staniku, pamiętałam, że dziadek, kiedy raz zobaczył mnie w neglizu, spłoszył się jak na widok ducha.

Za drzwiami stała Dorian Camden. Musiała zauważyć moją rozczarowaną minę. Babcia Arnold wytykała mi, że nie umiem ukrywać swoich uczuć. „Kobieta szkodzi sobie, jeśli nie posiada takiej umiejętności” – mawiała. „Na przykład nie okazuj radości zbyt pochopnie. Chłopcu wystarczy dać palec, a będzie chciał złapać całą rękę. Rychło się o tym przekonasz”.

Bardzo mi jej brakowało!

– Chciałam tylko spytać, jak się czujesz po jedzeniu – usprawiedliwiła się pani Camden.

– Dobrze. Już mi przeszło, cokolwiek to było.

– Mogę wejść na moment? – spytała. Nadal stałam w drzwiach, przytrzymując je, gotowa w każdej chwili zamknąć je przed nosem pielęgniarki.

Kiwnęłam głową, wpuściłam ją do środka i usiadłam na krześle przy biurku. Weszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Jak to mówią, brzuszek i główka to szkolna wymówka – powiedziała z uśmiechem, wyraźnie starając się ocieplić atmosferę.

Milczałam z kamienną twarzą, więc rozejrzała się po pokoju, jakby szukała pretekstu do dalszej rozmowy.

– Masz piękny pokój – rzekła w końcu. – Wczoraj nie zdążyłam mu się

dobrze przyjrzeć. Zwłaszcza śliczne są meble. Lubię okna na wschód. Rano budzi człowieka słońce.

– Jeśli jest słońce – stwierdziłam sucho. – Mnie każdy dzień wydaje się pochmurny – dodałam z goryczą.

Przeniosła spojrzenie na książki na regale i kolekcję ludowych laleczek z różnych krajów. Mama zapisała się na subskrypcję, kiedy miałam pięć lat, i odtąd co dwa miesiące, od lat, przysyłano nam kolejne laleczki.

– Co to za figurki?

– Laleczki z różnych krajów.

– Potrafisz powiedzieć, która z jakiego kraju pochodzi?

– Tak. Przecież można poznać po stroju, prawda?

– Owszem, ale...

– Wystarczy znać kolory flag ich krajów – dodałam.

– Och. – Kiwnęła głową. – Sprytne. – Uśmiechnęła się. – Ja miałam tylko jedną, szmacianą lalkę. Zabrałam ją nawet na studia – wyznała. – Dziewczyny się ze mnie śmiały, ale nie przejmowałam się tym. Jak mawiała moja mama, albo ktoś mnie akceptuje taką, jaką jestem, z pryszczami lub bez, albo do diabła z nim.

Znów czekała na moją odpowiedź, ale milczałam, zastanawiając się, ile życiowych mądrości nie zdążyłam poznać przez brak mamy i babci Arnold.

Znów przeniosła spojrzenie na lalki.

– Wciąż zbierasz te laleczki?

– Nadal je przysyłają, ale po śmierci mamy straciły dla mnie znaczenie. To ona zapoczątkowała tę kolekcję.

Pani Camden skinęła głową i usiadła na stołeczku w stylu chippendale, stanowiącym komplet z łóżkiem i toaletką. Złączyła palce dłoni, jakby chciała podkreślić tym gestem, że będzie ważyć każde słowo.

– Twój dziadek nie pokazuje tego po sobie, ale bardzo się o ciebie martwi – zaczęła.

– Ma pani rację. Nie pokazuje tego po sobie.

– Bardzo rozpacza po stracie twojego brata, wierz mi. Musisz też zrozumieć, że czuje się zagubiony.

– Jak ten nowy William Arnold?

Łagodny uśmiech znikł.

– Nie wie, jak wyładować energię. Ten chłopiec pomógł mu bardziej niż on jemu.

„A ja?”, miałam ochotę zapytać. Mógłby zainwestować swoją energię we mnie, pomyślałam gorzko. Nie musiałam mówić tego głośno; moja mina mówiła wszystko.

– Mężczyźnie, zwłaszcza takiemu jak twój dziadek, lepiej wychodzi poświęcanie się dla synów i wnuków.

– On nie jest ani tym, ani tym. Jest obcy – nie ustępowałam.

– Na razie – odparła, a ja aż się wzdrygnęłam. Co to ma znaczyć?

– Posłuchaj – ciągnęła. – Nie wiem, jak długo potrwa rehabilitacja. Jestem w stałym kontakcie z lekarzem prowadzącym, także z neurologiem, znam wszystkie wyniki badań i diagnozy, ale...

– Kiedy? – przerwałam jej.

– Długo rozmawiałam z twoim dziadkiem, zanim przyjął to zlecenie. Musiałam wiedzieć, na co może liczyć ten chłopiec i czy cała sprawa ma szanse powodzenia. Nie wiadomo, czy w pełni odzyska zdrowie. I nie chodzi tylko o rany emocjonalne i urazy psychiczne. To naprawdę wielkie wyzwanie. Muszę przyznać, że zaskoczyła mnie determinacja twojego dziadka. Dlatego sądzę, że lepiej byłoby się pogodzić z pewnymi faktami, zamiast je negować. Stać się częścią całej sytuacji.

– Stać się częścią?

– Tak. Nie musisz uważać go za swojego brata. Po prostu myśl o nim jak o dziecku, które potrzebuje opieki i wsparcia.

– A nie miłości?

Widziałam w jej spojrzeniu, że wyczuwała mój sarkazm.

– Oczywiście, że tak, Claro Sue, ale nie sposób jej mieć na zawołanie. Miłość może przyjść z czasem. Wiem, że jesteś bystrą dziewczyną. I całkiem atrakcyjną. Na pewno także popularną w szkole. A do tego bardzo dojrzałą jak na swój wiek.

– Skąd pani wie? Jest pani u nas od niedawna i rzadko ze sobą rozmawialiśmy – zapytałam wyzywająco. Zarówno babcia Arnold, jak i dziadek swoim przykładem zaszczepili we mnie nieufność wobec fałszywych komplementów.

– Powiedzmy, że jesteś bardziej dojrzała, niż ja byłam w twoim wieku. Po prostu to widzę. Poznałam wiele takich osób. Tragedia sprawia, że dojrzewasz w przyspieszonym tempie.

– Dziękuję za taką dojrzałość! – prychnęłam.

– Los nie pozostawia nam wyboru. Na pewno byłaś autorytetem dla swojego

młodsze go brata.

To była prawda, ale nie zamierzałam przyznawać jej racji w żadnej sprawie.

– Dlatego proszę cię, abyś pomyślała o swojej sytuacji po śmierci rodziców. Jaka byłaś wtedy nieszczęśliwa i zagubiona, choć przecież miałaś jeszcze dziadków. I wyobraź sobie, jak on musi się teraz czuć. Cała jego rodzina nagle zniknęła. Ten biedak nie ma nawet dalekich krewnych, nikogo!

– Co do tego nie ma pewności – zauważyłam cierpko.

– Taki jest na dzisiaj stan naszej wiedzy i tylko ją możemy brać pod uwagę, prawda? – Jej ton był niemal błagalny.

– Wszystko mi jedno – burknęłam. – W ogóle nie chcę o tym myśleć.

– Posłuchaj, rzeczywiście przypomina to inwazję... kompleksowa opieka medyczna, kosztowne przebudowy, maszyneria, która trafi do domu – ale skoro już to wszystko jest, czemu ma nie posłużyć dobremu celowi?

– Jaka znowu maszyneria?

Pielęgniarka wyprostowała się niedostrzegalnie.

– Twój dziadek zamieni suterенę w salę rehabilitacyjną. Zatrudnił profesjonalnego rehabilitanta, żeby ją zaprojektował, a potem zajął się Williamem.

– William. – Wypowiedziałam to imię niczym obelgę i odwróciłam wzrok.

– Twój dziadek dba o jego samopoczucie. Każdy przyzna, że jeśli chłopiec będzie się tutaj czuł dobrze i bezpiecznie, szybciej dojdzie do siebie.

– Dbaj o jego samopoczucie, o jego samopoczucie! – warknęłam. – A kto zadba o moje?

– Och, przecież wiesz, że dziadek bardzo się o ciebie troszczy – zapewniła z tym swoim dodającym otuchy, profesjonalnym uśmiechem, który zdążyłam znienawidzić. Widać było, że jest ekspertem w kontrowaniu niemiłych uwag, które serwowali jej rozżaleni na los pacjenci.

– Mówi pani tak, bo zależy pani na tej posiadce. Pewnie płaci pani lepiej niż inni, prawda?

– Dostaję wiele propozycji pracy, Claro Sue. To nigdy nie stanowiło dla mnie problemu.

– Równie intratnej posiadki na pewno pani nie miała – stwierdziłam z przekonaniem. Trochę się uspokoiłam. – Dziadek musiał przebić inne oferty. Czyż nie?

– Mówmy o tobie, a nie o mojej pensji – rzekła z naciskiem. – O tym, jak pomóc w tej sytuacji.

– Nie mogę pomóc, nawet gdybym chciała. Nie znam się na rehabilitacji.

– Och, nie o to mi chodziło. Po prostu... trzeba dać mu poczucie, że jest mile widziany w tym domu. Gdybyś nam pomogła, uszczęśliwiłabyś dziadka, a ty nie byłabyś taka...

– Wiecznie wściekła? – dokończyłam.

– Właśnie – przytaknęła z uśmiechem.

Zastanawiałam się przez chwilę. Nie wątpiłam, że to dziadek ją tu przysłał, i nie mogłam się zdecydować, czy mam być zła, czy przeciwnie, zadowolona, że się o mnie martwi.

– Jak długo będzie tu pani pracować?

– Tak długo, jak będzie potrzebne – odparła, wstając.

– Praktycznie przez siedem dni w tygodniu, tak?

– Tak.

– Nie ma pani własnego życia, przyjaciół, rodziny? – spytałam z autentycznym zainteresowaniem.

– Jestem bezdzietną wdową. Mam młodszą siostrę, mężatkę z trójką dzieci – najstarsze ma dwadzieścia pięć lat – która mieszka z rodziną w Oregonie. Rzadko się widzimy. Prywatna pielęgniarka o pewnej renomie, trzeba się pogodzić z brakiem czasu dla rodziny i przyjaciół. Przez lata pracowałam w różnych miejscach.

– A teraz ma pani szansę na stałą pracę na wiele lat – zauważyłam.

– Nie wybiegam myślą tak daleko w przyszłość. Zależy mi na tym, aby mój podopieczny szybko się usamodzielił i odzyskał zdrowie.

– Może pani powinna go adoptować – rzuciłam, kiedy dochodziła do drzwi. Stała jak wryta.

– Słucham?

– Williama. Mogłaby pani go adoptować. Dzięki mamie pielęgniarce szybciej by wyzdrowiał. Proszę to zasugerować dziadkowi. Może nawet zapłaci pani. I kupi wam nowy dom.

Patrzyła na mnie przez długą chwilę. Nie musiałam zgadywać, że emocja, która maluje się na jej twarzy, jest frustracją. Sporo takich min widziałam we własnym lustrze.

– Przemyśl naszą rozmowę. – Z tymi słowami wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Posłuchałam jej. Myślałam tak intensywnie, że długo nie zdołałam zasnąć. Ale rano, kiedy się obudziłam, mój stosunek do chłopca i postępowania

dziadka nic się nie zmienił. Może tyle tylko, że uległam niemej prośbie pani Camden i nie demonstrowałam już tak otwarcie swoich uczuć, ale i tak wszyscy domownicy byli świadomi mojego nastroju. Babcia Arnold powiedziałyby pewnie, że „myśli wyświetlają się na moim czole natychmiast, gdy tylko przyjdą mi do głowy”.

W szkole czułam się podobnie, choć starałam się być taka, jaka byłam przed śmiercią Williego. Ubrałam się na czerwono i byłam zachwycona osłupiałą miną pana Leshnera, jaką zrobił na nasz widok. Potem śmiał się już za każdym razem, kiedy widział którąś z nas, i wkrótce cała szkoła wiedziała o tym numerze. Wszystkim poprawiły się humory, a ja powtarzałam sobie, że nie powinnam mieć wyrzutów sumienia z powodu każdego uśmiechu i zaangażowania w życie szkolne i towarzyskie.

Aaron Podwell znów zaczął mnie zauważać. Tak jak większość osób – poza Lilą – czuł się skrępowany i uważał na słowa, ale widocznie zaszła we mnie zmiana, która musiała go ośmielić, skoro wcześniej trzymał się z daleka. Ucieszyłam się, choć nie byłam do końca pewna jego intencji. Chodziłam już wcześniej z paroma chłopcami, umawiałam się na zabawy taneczne, imprezy i do kina. Całowałam się z nimi i obściskiwaliśmy, ale poza zwykłą dziewczynską ciekawością i podekscytowaniem nie doznałam żadnych głębszych uczuć. Wiedziałam, kiedy przerwać i do czego służyć prezerwatywy. Od czasu do czasu chłopcy robili dziewczynom świńskie kawały – przeważnie niedojrzałe świry pokroju Steviego Randolpha, przyłapanego, jak wypisywał bezceństwa na ścianach damskiej łazienki i podrzucił nam do szafek podkradzione ojcu kondomy, opatrzone kolejnymi sprośnymi tekstami.

Ale nie zaznałam jeszcze „miłosnego ukąszenia”. Kilku chłopców, zwłaszcza starszych, podobało mi się i uważałam ich za przystojnych, na przykład Winston Kettner, często porównywany do seksownego aktora Troya Donahue. Winston najwyraźniej o tym wiedział, bo nosił się tak, jakby już był na studiach i przewodził snobistycznemu bractwu. Ubierał się lepiej niż inni chłopcy i starał się, żeby to jego wybrano mównicą na zakończenie szkoły. Zauważyłam parę razy, jak mi się przygląda, ale kiedy odwzajemniałam spojrzenie, uciekał wzrokiem w bok, jakby zrobił coś zdroźnego. Od dłuższego czasu nie chodził z żadną i plotkowano, że dziewczyny go nie interesują, ale składałam to na karb babskiej zazdrości.

Aaron był zupełnie inny, choć wyczuwało się w nim podobny rys zadufania i arogancji. Również przystojny, ale bardziej męski, w stylu mojego dziadka,

nie miał ładnej buzi, jak Winston, za to trochę zbyt wydatny nos i drwiący uśmiech, który budził obawy, że ten gość igra z tobą. Za to oczy miał niezwykle, zielone, po mamie. Pod nazwiskiem Elaine Calvin pracowała jako modelka dla jednego z największych kobiecych magazynów. Kiedy Aaron na mnie patrzył, przychodziło mi na myśl, że jest Supermanem, którego spojrzenie przenika na wskroś, przez ubranie. Intrygujący, ale też lekko przerażający typ. Trochę niebezpieczny. Jednak nigdy nie zwierzałam się Lili ani innym przyjaciółkom z moich odczuć wobec niego.

Czułam, że chłopcy uważają mnie za łatwą zdobycz, bo nie miałam nadopiekuńczych rodziców. Nie zdawali sobie sprawy, jak krótko trzymał mnie dziadek, i z pewnością przypuszczali, że mogę wracać do domu, o której chcę, bo nikogo nie interesuje, z kim się spotykam.

W naszej szkole jeszcze dwie dziewczyny straciły ojców – jeden z nich umarł po długiej chorobie, a drugi zginął w wypadku samochodowym. Ale one były młodsze i jeszcze nie „czuły bluesa”, jak mawiały moje przyjaciółki.

Na wszelki wypadek próbowałam być miła dla Aarona, lecz starałam się nie okazywać nadmiernego entuzjazmu. Jak większość mieszkańców Prescott rodzina Aarona była bogata, a ich posiadłość dorównywała posiadłości mojego dziadka. Jego ojciec był właścicielem jednej z największych kompanii w Wirginii, produkujących olej opałowy. Starsza siostra Aarona, Tami, była uznaną pięknością. Poszła w ślady matki i rozpoczęła pracę w jednej z nowojorskich agencji modelek.

Aaron od razu stanął ze mną w kolejce do bufetu w stołówce, która przypominała wytworny fast food. Na stolikach nie było obrusów, ale wszędzie panowała nienaganna czystość. Bardzo aktywnie działała rada rodzicielska, której członków dziadek określał mianem udziałowców. Rodzice często kontrolowali budynek, a zwłaszcza sanitariaty, szatnię i stołówkę. Najchętniej założyliby białe rękawiczki i szukali przysłowiowych pyłków. Uczniowie, którzy przechodzili do nas z publicznych szkół z okolicy, musieli pewnie tłumić odruch wycierania nóg przed wejściem. Czasami coś komentowali, ale dla większości z nas była to po prostu szkolna normalność. Zwykłe placówki wydawały się nam egzotyczne, jak z dalekich krajów.

– Słyszałem, że wybierasz się w weekend na imprezę do Audrey. Bardzo mnie to cieszy – powiedział Aaron, kiedy usiedliśmy przy stoliku razem z Lilą.

– Nie rozmawiałam jeszcze o tym z Audrey, więc skąd wiesz?

– Od niej. – Wskazał Lilę ruchem głowy. Zrobiła minę, jakby przyłapano ją

na oszustwie.

– Lila jest moim osobistym rzecznikiem prasowym – oznajmiłam głośno, spoglądając na nią znacząco.

Aaron zaczął się śmiać, a Lila odetchnęła.

– Zawiozę cię – zaproponował.

– Jedziemy z mamą Lili.

– Och, ja mogę się zabrać z Gerrym Okunem – zapewniła pospiesznie Lila. – Zapomniałam ci powiedzieć. Wspomniał mi o tym rano. – Skinęła na Gerry'ego, który przepychał się właśnie do naszego stolika. Gerry był Tonto Aarona, jak go nazywaliśmy. Aaron, niczym Lone Ranger, zawsze miał go u boku. Gerry, chudy i wysoki jak tyka, z krzywym uśmiechem i leniwym spojrzeniem małych, ciemnych oczu, był całkiem miłym chłopakiem, ale nieśmiałym i pozbawionym wiary w siebie. Przysięgłabym, że gdyby nie Aaron, to nie odważyłby się na połowę tych rzeczy, które robił. Oczywiście potraktowałam podejrzliwie jego propozycję. Aaron musiał mu podsunąć ten pomysł.

– W takim razie ja cię zabieram – zwrócił się do mnie, kiedy Gerry usiadł obok Lili. – Będziesz miała okazję przejechać się moim nowym samochodem. Dostałem go w prezencie za ukończenie szkoły.

– Do końca szkoły jeszcze trochę brakuje – zauważyłam.

– Och, mój staruszek zrobił dobry interes, a poza tym chce, żebym wправиł się w prowadzeniu, zanim wyjadę na studia – wyjaśnił.

Cechą większości ludzi z mojej szkoły było przekonanie, że swój dobrobyt winni uważać za coś oczywistego.

– Bardzo przewidująco – skomentowałam.

Aaron znów zaczął się śmiać.

– To plymouth fury.

– Nie zwracam uwagi na samochody, chyba że przechodzę przez ulicę.

– Na ten na pewno zwrócisz uwagę – zapewnił, uśmiechając się ze skrywaną dumą i zarazem rozbawieniem. Wbił we mnie spojrzenie tych niesamowitych oczu, jakby celował do mnie z pistoletów.

Wzruszyłam lekko ramionami i sięgnęłam po tost z serem. Pomyślałam, że Willie byłby kiedyś takim samym fanem samochodów jak on, a mój dziadek zepsułby go równie szybko jak ojciec Aarona swojego syna. Mężczyźni mieli słabość do swoich wnuków i synów. Prawdopodobnie widzieli w nich siebie albo za ich pośrednictwem pragnęli jeszcze raz przeżyć młodość. Mój tata

z pewnością nie byłby wyjątkiem. Nagle zrozumiałam, jakiego zawodu musiał doznać dziadek, który nie mógł w ten sposób traktować wujka Bobby'ego. Dlatego przerzucił całą uwagę na Williego, a kiedy jego zabrakło, zainstalował w jego pokoju drugiego chłopca i ubrał go w rzeczy wnuka.

Wyrzuciłam tę myśl z głowy równie szybko, jak się pojawiła. Nie chciałam dołączać do grona tych, którzy wiecznie szukali usprawiedliwień dla postępowania dziadka Arnolda. Nie chciałam ich rozumieć, a już na pewno nie chciałam ich wspierać. Ani wybaczyć dziadkowi jego postępowania.

– Chyba cię rozczaruję – powiedziałam do Aarona.

Wzruszył ramionami słynnym gestem Aarona Podwella, który wyglądał, jakby chciał pokazać, że ignoruje bombę atomową.

– Zobaczymy. Zaryzykuję.

Spojrzałam na Lilę. Wydawała się bardziej ekscytować Aaronem i mną niżli ja sama.

– Dobrze, skoro tak ci zależy – zgodziłam się.

– Na czym? – zapytał Gerry i popatrzył na Lilę. Pokręciła głową, ale się uśmiechała.

– Po prostu ona nie ekscytuje się moim nowym samochodem tak jak wy – wyjaśnił mi Aaron. Gerry kiwnął głową tak gwałtownie, że omal wyskoczyło mu jabłko Adama.

Uśmiechnęłam się. Czułam się fajnie, naprawdę fajnie.

W drodze do klasy Aaron wpadł na kolejny pomysł.

– A może zadzwonisz do domu i powiesz komuś, kto odwozi cię do domu, że dzisiaj ma wolne. W ten sposób wcześniej będziesz mogła podziwiać moje auto.

Zastanawiałam się przez chwilę. Dziadek zawsze musiał wiedzieć, kto mnie wozi i dokąd. Rzadko robiłam coś bez jego przyzwolenia, ale teraz nagle zapragnęłam sama zdecydować o sobie, choćby tylko w tej błahej sprawie.

– Zgoda. – Zatrzymałam się przed sekretariatem. Mogliśmy tam korzystać z telefonu, kiedy trzeba było skontaktować się z rodzicami albo – jak w moim przypadku – z dziadkiem. Postanowiłam zadzwonić do domu i zostawić wiadomość Myrze, postawić ich przed faktem dokonanym.

Pani Heinz, sekretarka, przyzwalajaco skinęła głową, kiedy poprosiłam o pozwolenie na rozmowę z domem.

– Źle się poczułaś? – spytała szybko.

– Nie, skąd. A wyglądam? – warknęłam. Zwykle tak się nie zachowywałam.

Zobaczyłam zdziwienie w jej oczach. Zapewne zastanawiała się, czy załoba nadal uniemożliwia mi funkcjonowanie w szkole.

– Nie, w żadnym wypadku – zapewniła skwapliwie i wróciła do papierkowej roboty.

Tak jak się spodziewałam, Myra odebrała telefon.

– Odwołaj dzisiaj mojego szofera, Myro – poprosiłam. – Kolega odwiezie mnie do domu.

– Czy dziadek o tym wie?

– Zadzwoń do niego – skłamałam. – Ale później, bo teraz spieszę się na lekcje.

– Dobrze, ale...

– Dzięki, Myro – ucięłam i odłożyłam słuchawkę. Podziękowałam pani Heinz, która ledwie kiwnęła mi głową, i wróciłam do Aarona, czekającego na korytarzu. – Załatwione. Możesz mnie olśnić.

– Już się robi!

Rodzice większości moich przyjaciół nie robiliby problemu z takiej sprawy, ale mój dziadek, ze względu na nasze doświadczenia, zachowywał się zupełnie inaczej niż inni rodzice.

Aaron nie domyślił się moich dylematów.

Co powie dziadek?

8

Kiedy wychodziłam z ostatniej lekcji, Lila posłała mi domyślny uśmiech. Wiedziała, że porywa mnie Aaron.

– Tylko odwozi mnie do domu – zaznaczyłam.

– Uważaj na objazdy – zachichotała i zmyła się szybko, bo Aaron już czekał w holu. Miałam nadzieję, że nie zauważy, jaka jestem spięta. Zwyczajna podwózka niepotrzebnie urosła w moich oczach do rangi wielkiego wydarzenia. Inne dziewczyny z klasy traktowały takie sprawy normalnie, w przeciwieństwie do dorosłych. Obowiązywała zasada, że wolno jeździć tylko z uczniami ostatnich klas, którzy mieli pisemne pozwolenie od rodziców z zapewnieniem, że ich dziecko prowadzi spokojnie i bezpiecznie. Dyrektor McDermott obserwował takie wyjazdy jak rasowy glina.

Udawałam luz, ale na dźwięk ostatniego dzwonka moje serce ruszyło galopem. Wyszliśmy na szkolny parking, gdzie nabrałam powietrza i powoli wypuściłam, jak ktoś, kto wchodzi do głębokiej wody. Szłam z opuszczoną głową, kurczowo ściskając w rękach książki, niczym tarczę przy piersi. Aaron paplał przez cały czas; narzekał, że za dużo mu zadają. Zwłaszcza pan Fine z matmy, „jak gdyby nie było innych przedmiotów”. Najbardziej się bałam, że nagle wyrośnie przede mną dziadek, któremu z wściekłości dym będzie szedł z uszu. Jeszcze nigdy nie czułam się tak spanikowana.

Kamień spadł mi z serca, bo nie zastałam dziadka na parkingu. Przekonałam się, co go zajęło, gdy dojechaliśmy do posiadłości. Na podjeździe stała duża furgonetka, z której wyładowywano sprzęt rehabilitacyjny. Dwóch ludzi umieszczało go na wózkach i wiozło do domu po nowo wybudowanej rampie. Dziadek w towarzystwie Jimmy’ego nadzorował wyładunek. Był tak zajęty, że nie zauważył naszego przyjazdu.

W małym Prescott postać dziadka Aarona cieszyła się sporym zainteresowaniem. Był jednym z ulubionych bohaterów miejscowych plotek, a każda nowina o nim tak rozgrzewała linie telefoniczne, że spadały z nich

ptaki. Sądząc jednak ze zdziwionej miny Aarona, doszłam do wniosku, że dziadek nie zdradził nikomu, że przygarnął chłopca i oddał mu pokój Williego.

– Co tu się dzieje? – zapytał Aaron. Do tej pory nawijał jak nakręcony o swoim nowym samochodzie, żebrząc u mnie o coraz to nowe komplementy.

– Założę się, że czyścisz go częściej niż swój pokój – skomentowałam z rozbawieniem, kiedy opisywał mi każdy zawór i każdą kłamkę, niczym jakieś cenne klejnoty.

– A żebyś wiedziała – przyznał. – I pewnie spędzam w nim więcej czasu niż u siebie. Pierwszą noc, po tym, jak go dostałem, na serio chciałem w nim spać. Uwielbiam zapach nowego auta.

Teraz jego uwaga skupiła się na urządzeniach. Uważnie przyglądał się sprzętowi.

– To jest chyba maszyna do ćwiczenia łydek – skomentował. – Twój dziadek organizuje wam domową siłownię czy co? Mój stary też kiedyś myślał o czymś takim. Jeśli się dowie, że twój dziadek już to ma, zaraz zrobi u nas. Zawsze ze sobą rywalizowali. Nie rozumiem, jak mogą grać w golfa, bo jeden drugiego bez przerwy oskarża o oszukiwanie. Więc chodzi o siłownię, tak?

Milczałam. Siedziałam, wpatrzona w wyładunek, i zastanawiałam się, czy potwierdzać wersję o domowej siłowni. W końcu postanowiłam jednak wyznać prawdę – po pierwsze, dlatego że i tak prędzej czy później wyszłaby na jaw, a po drugie, dlatego że ciekawiła mnie reakcja Aarona na moje rewelacje. Czy oceni, że zachowuję się egoistycznie i nierozsądnie? Lila mówiła mi tylko miłe rzeczy, bo nasza przyjaźń była dla niej ważniejsza niż szczerłość. Niełatwo jest spotkać ludzi, którzy są wierni swoim uczuciom. I nie oszukują siebie. Babcia Arnold powiedziała kiedyś, że spośród cech dziadka najbardziej cenna jest niezdolność do okłamywania siebie. Uświadomiłam sobie w tym momencie, że gdyby Aaron usłyszał rozpacz w moim głosie, podobnie jak Lila mówiłby mi wszystko, co chcę usłyszeć. Przecież zależało mu na mnie, prawda?

– Inny chłopiec, trochę młodszy od mojego brata, został przywieziony do szpitala jednocześnie z nim – zaczęłam i zdałam mu raport z suchych faktów, gdyż musiałam trzymać w ryzach emocje.

– Jeszcze jedna kraksa? Co to za dzieciak? Nie słyszałem o innym wypadku w Prescott.

– On nie jest z Prescott. Nikt nie wie, jak się nazywa i skąd pochodzi. Ktoś przywiózł go do szpitala. I nie chodziło o wypadek. Chłopak został otruty.

- Otruty? Rozmyślnie?
 - Co do tego też nie ma pewności. Dzieci często pchają do buzi to, czego nie powinny.
 - Jaka trucizna?
 - Arsenik. Trutka na szczury.
 - Jak można świadomie zjeść trutkę na szczury? – dziwił się Aaron. – Na pewno jest obrzydliwa!
 - Niekoniecznie. Zajrzałam do encyklopedii medycyny, którą dziadek ma w bibliotece. Tam jest parę tysięcy różnych mądrych książek.
 - Przeczytał je wszystkie?
 - Nie, wątpię. Ale zbierali je z babcią przez całe lata. Ta biblioteka mieści się w jego gabinecie. Trzy ściany książek, od podłogi po sufit; wiele oprawnych w skórę i rzadkich egzemplarzy.
 - Ciekawe, czy mój ojciec o tym wie. Sam ma chyba tylko parę setek. No i czego się dowiedziałaś? Jak smakuje trucizna?
 - Można ją mieszać z jedzeniem i wtedy trudno ją wyczuć.
 - Serwowanie komuś jedzenia z domieszaną trucizną to już zaplanowana zbrodnia, nie? Tylko kto próbowałby otruć dziecko arsenikiem?
 - Wiem, że nasze organizmy potrzebują śladowych ilości arsenu. Są na przykład w soku jabłkowym – powiedziałam.
 - Rzadko pijam sok jabłkowy.
 - Zawierają go także inne owoce i warzywa oraz ziarna i ryby. Po zjedzeniu nadmiar jest wydalany.
 - Co?
 - Musisz bardziej uważać na biologii.
 - Och, wiem, o co chodzi, tylko... jestem w lekkim szoku. Myślisz, że on pił za dużo soku jabłkowego?
 - Mało prawdopodobne.
- Aaron zastanawiał się przez moment.
- Dobrze, ale nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego z tym sprzętem. – Pokazał na furgon.
 - Mój dziadek bardzo współczuł temu chłopcu i zapewnił mu najlepszą opiekę. Gdyby nie on, mały prawdopodobnie by nie przeżył.
 - Dlaczego twój dziadek? A gdzie jego rodzice?
 - Nic o nich nie wiadomo... na razie.
 - Co? Jak to? Przecież minęło już sporo czasu. Notabene, jak trafił do

szpitala?

– Jakiś mężczyzna przywiózł go na izbę przyjęć i uciekł, zanim ktoś zdążył zapytać o cokolwiek. Panował tam wielki ruch i nikt nie był w stanie opisać go dokładnie.

– No, no! I twój dziadek od początku się nim... – Odwrócił się do mnie. – Kiedy umierał twój brat...

Uciekłam spojrzeniem w bok.

– Rozumiem, że zrobił, co mógł, dla Williego – dodał szybko Aaron.

– Willie zmarł w karetce – wyjaśniłam, zdumiona, że zdołałam wypowiedzieć te słowa. – Próbowali go reanimować.

– Rozumiem.

Milczeliśmy przez chwilę.

– Czekaj, ale to nadal jest niejasne – podjął Aaron, nie spuszczać wzroku z mężczyzn, wyładowujących kolejne urządzenie. – Co ma z tym wszystkim wspólnego arszenik? I ta siłownia?

– Chłopak przeżył, ale trucizna spowodowała spustoszenia w jego organizmie. Poza tym był wyraźnie niedożywiony. W rezultacie pojawiły się problemy neurologiczne i niedowład kończyn dolnych. To, co tu widzisz, jest sprzętem do rehabilitacji.

– Problemy neurologiczne? Niedowład kończyn? Czy ty wybierasz się na medycynę? – Aaron był bardziej zaskoczony niż zdziwiony.

– Jak już mówiłam, czytałam co nieco na ten temat.

– Ale ten cały sprzęt trafia do domu twojego dziadka, a nie do szpitala. On tak zarządził?

– Tak. Przywiózł tu chłopca.

– Jeszcze lepiej! Czemu?

– Bo chce... zaopiekować się nim.

Aaron wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem, po czym przeniósł spojrzenie na dom.

– Rodzice nie interesują się losem swojego dziecka? – spytał.

– Już ci mówiłam – nie wiadomo, kim są, nic też nie wiadomo o krewnych. Nie miał dokumentów, a policja sprawdziła, że nikt nie szukał chłopca o podobnym wyglądzie. Prywatny detektyw też nic nie wskórał.

– A nikt nie zapytał dziecka?

– Chłopiec ma amnezję – wyjaśniłam, ale tym razem nie zdołałam już ukryć niechęci w moim głosie.

- Amnezja? Nie pamięta swoich rodziców?
- Ani imienia i nazwiska.
- O rany!
- Nazywają to traumą, urazem psychologicznym. Pamięć o dramatycznych przeżyciach zostaje zablokowana, jakby podświadomość blokowała wspomnienia.
- I myślisz, że to ten przypadek?
- Tak przypuszczają lekarze.
- Jednym słowem – twój dziadek sprowadził do domu chłopaka, który rozmyślnie bądź przypadkiem został otruty i dopóki policja nie ustali jego tożsamości, będzie trzymał go tutaj i przywracał mu zdrowie za pomocą tego oto sprzętu, tak?
- Oraz prywatnej pielęgniarki, zatrudnionej na stałe – dodałam. – Która także zamieszkała u nas.
- Aaron pokręcił głową.
- Przychodzi również psychiatra oraz inni specjaliści. A zaraz dołączy do nich rehabilitant, który zacznie codzienne zajęcia.
- O rany! Brakuje jeszcze Sherlocka Holmesa, co? – mruknął, a ja parsknęłam śmiechem. Aaron obdarzył mnie swoim firmowym uśmiechem i nonszalancko wzruszył ramionami.
- To bardzo ładnie ze strony twojego dziadka, że zatroszczył się o tego biedaka. Wątpię, żeby mój ojciec zrobił coś takiego. Mama też raczej nie, choć przeznaczają spore sumy na działalność dobroczynną.
- Niektórzy mówią, że dobroczynność zaczyna się w domu.
- Jak to?
- Dzięki za podwózkę – powiedziałam, wysiadając. – Masz piękny samochód.
- Piękny samochód dla pięknej dziewczyny. Już nie mogę doczekać się piątku.
- Ja też. – Zatrzasnęłam drzwi i ruszyłam do domu.
- Hej! – Aaron wychylił się przez okno. Przystanęłam. – Jeśli on nie pamięta swojego imienia, może nazwiemy go Arseniuszem? – zaproponował ze śmiechem.
- Dziadek postanowił nazwać go Williamem.
- Uśmiech Aarona zgasł. Poszłam dalej. Przy schodach i rampie obejrzałam się, ale już odjechał.

Dziadek wyłonił się zza drzwi frontowych i stanął na podeście z rękami opartymi na biodrach.

– Myra powiedziała, że rzuciłaś słuchawkę, zanim zdążyła zapytać, kto cię odwiezie do domu.

– Myra nie jest moją mamą. – Wyminęłam go i weszłam do środka. Nie obejrzałam się za siebie. Kątem oka widziałam służbę, pomagającą przy wyładunku. Windę schodową już zainstalowano. Na dole stał wózek inwalidzki. Spojrzałam na niego i weszłam na schody.

– Chwileczkę, Claro Sue! – zawołał dziadek, idąc ku mnie.

Zatrzymałam się na stopniu.

– Słucham?

– Od kiedy to przestałaś mnie informować o swoich poczynaniach?

– Nie chciałam ci zawracać głowy, bo jesteś ostatnio bardzo zajęty – odparłam. – Poza tym nie masz chyba nic przeciwko Aaronowi Podwellowi? Kuba Rozpruwacz miał dzisiaj wolne.

Nienawidziłam pyskować mu w ten sposób, ale nie mogłam się powstrzymać. Nie miałam pojęcia, że gdzieś głęboko we mnie egzystują brzydkie, zdeformowane demony furii o czerwonych, nabiegłych krwią twarzach. Tańczyły zwycięski taniec wokół mojego serca, które trawił palący żar. Ten żar popychał mnie naprzód.

Kiedy mijałam pokój Williego, zobaczyłam panią Camden, która pomagała mu przenieść się z wózka na łóżko. Zerknął na mnie ponad jej ramieniem. Był kruchy i bezbronny. Jego spojrzenie błagało o współczucie, ale szybko odwróciłam wzrok i pospieszyłam do swojego pokoju. Dzielnie przeciwstawiłam się dziadkowi, lecz w środku byłam roztrzęsiona. Długą chwilę leżałam na łóżku, gapiąc się w sufit i usiłując się opanować. Ucieszyłam się, kiedy zadzwonił telefon. Domyślałam się, że Lila pożąda sprawozdania z podróży z Aaronem, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Poza tym stwierdziłam, że chętnie o nim pogadam.

– Zabrał cię gdzieś? – zapytała, gdy tylko usłyszała mój głos.

– Nie, ale wiozł mnie naokoło, żebym mogła dłużej podziwiać to jego cudo na czterech kółkach.

– Zjechaliście na parking?

– Nie było macanek, jeśli o to pytasz.

– Ale mieliście ochotę, przyznaj się – zachichotała. Pomyślałam, że Lila fantazjuje za mnie. Nagle coś mnie podkusiło i zapragnęłam ją podpuścić.

– O, tak – wydyszałam namiętnie. – Zrobiłam się rozpalona i wilgotna na samą myśl o jego dłoniach pod moją bluzką, które zaczynają rozpinać mi stanik. Marzyłam, żeby całował każdy milimetr mojego ciała, a potem... no wiesz, jego głowa pomiędzy moimi udami...

Lila gwałtownie wciągnęła oddech.

– Serio?

– No, prawie – odpowiedziałam, wracając do swojego normalnego tonu. – Bo potem przypomniały mi się ciasteczka Faith.

– Co? – Była tak rozczarowana, że aż się uśmiechnęłam.

– Niestety, wszyscy byli tak zajęci szykowaniem sali ćwiczeń dla Williama, że nie myśleli o jedzeniu. Dziadek właśnie sprowadził sprzęt.

– Sprzęt?

– Tak, urządzenia do ćwiczeń rehabilitacyjnych. Teraz mamy w domu pielęgniarkę, psychiatrę, lekarzy i rehabilitanta, którzy tańczą wokół tego dziecka.

– Och.

– Przy okazji, opowiedziałam o wszystkim Aaronowi, więc możesz już zdjąć pieczęć z ust. Może im więcej ludzi zaczniesz wypytywać dziadka o to wszystko, zrozumie, co robi.

– Ja już powiedziałam rodzicom – przyznała się.

– Świetnie. A jak z Gerrym? Staliście już na poboczu?

– Och, nie.

– A chciałaś tego?

– Nie! – wrzasnęła. – Uch, Gerry? Zlituj się!

– Dlaczego w takim razie pozwoliłaś mu się odwiedzić do domu? Zresztą nieważne. Wiem dlaczego. Zdzwonimy się później.

– Koniecznie. Jesteś naprawdę dobra z matmy. Nie dam rady bez twojej pomocy.

Odłożyłam słuchawkę i poszłam się odświeżyć do łazienki, po czym zesłam na dół. Naprawdę miałam apetyt na ciasteczka Faith. Upiekła je, ale okazało się, że więcej odłożyła dla Williama niż dla mnie.

Przez chwilę obserwowałam ustawianie sprzętu. Dziadek pracował w gabinecie. Zaskoczyła mnie pani Camden. Zamyśliłam się tak głęboko, że nie zauważyłam, jak podchodzi.

– Ciekawa jesteś, co to jest? – zapytała, wskazując na urządzenia.

– Niekoniecznie.

- Pytał o ciebie.
- Kto?
- William.
- Naprawdę? – Siliłam się na obojętny ton, by ukryć zainteresowanie.
- Dobry znak. On się powoli otwiera. Tak jakbyś rozwierała zaciśniętą pięść
- stopniowo palce rozluźniają się i dłoń się rozprostowuje. Masz szansę uczestniczyć w wielkiej sprawie.
- Skaczę do góry z radości.
- Czy on cię w ogóle nie interesuje? Nie chcesz wiedzieć, skąd pochodzi i co się z nim stało?
- Jeśli dzięki temu miałby wrócić do siebie – odrzekłam. – Mieszka w pokoju mojego brata i używa jego imienia i nazwiska.
- Zastanawiała się przez chwilę.
- Cóż, może być tak – odezwała się w końcu. Popatrzyłam na nią z nadzieją.
- Oczywiście wszystko zależy od tego, jaki okaże się ten dom, bo odesłanie chłopca może okazać się złym pomysłem. I władze dojdą do wniosku, że lepiej będzie chłopcu u krewnych albo w innym miejscu.
- W innym miejscu? Czyli w sierocińcu? W rodzinie zastępczej?
- Możliwe.
- Założę się, że dziadek na to nie pozwoli.
- Spojrzała na sprzęt.
- Cóż, dobrym uczynkiem jest pomóc komuś, żeby mógł odnaleźć siebie. Wystarczy dać mu szansę. Kiedyś zrozumiesz, co mam na myśli. – Uśmiechnęła się do mnie i poszła do kuchni.
- Nie każdy marzy, żeby być pielęgniarką! – zawołałam za nią. Nie odwróciła się, choć na pewno usłyszała. – Mowy nie ma – mruknęłam do siebie i wróciłam na górę odrobić lekcje. Kiedy mijałam pokój Williiego, usłyszałam cichy głosik.
- Clara Sue.
- Przystanąłam, ale wołanie się nie powtórzyło, więc pomyślałam, że się przesłyszałam. Albo wyobraziłam sobie, że brat mnie woła jak zawsze, kiedy chciał przyciągnąć moją uwagę, a ja usiłowałam go ignorować, bo chciałam robić lekcje albo pogadać z przyjaciółką. A potem dręczyło mnie poczucie winy. Z pewnością Williemu brakowało rodziców jeszcze bardziej niż mi, a po śmierci babci Arnold się załamał. Poruszał się jak ktoś, kogo tak wiele razy użądliły wściekłe pszczoły, że boi się zrobić krok i wyjść na zewnątrz.

I przecież był jeszcze dzieckiem. Potrzebował więcej miłości, niż mogłam mu dać, i prawdę mówiąc, wydzielałam mu ją tak jak wędrowcy na pustyni racje wody.

W korytarzu panowała cisza, więc zamknęłam się w swoim pokoju. Usiadłam do lekcji. Miałam wrażenie, że zwykłe czynności, które wykonywałam, napędzane były bardziej energią mojego gniewu niż prawdziwą chęcią i poczuciem obowiązku. Ciągłe kopałam się ze światem. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek przestanę.

Zadzwoił telefon. Wujek Bobby zdawał się z odległości słyszeć moje myśli.

– Cześć – powiedział. – Jak się ma mój Księżycowy Promyk?

– Jakoś żyję.

– To już dobrze. Chodzisz do szkoły, prawda?

– Chodzę. I wybieram się w piątek na imprezę – oznajmiłam, jakbym ogłaszała wielką nowinę. I może tak było.

– Jeszcze lepiej. Trzeba płynąć z nurtem życia. Nasza premiera została świetnie przyjęta, więc mogę już ci się pochwalić, że za rok będę dalej w Nowym Jorku.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, wujku Bobby!

– Dzięki. A jak się miewa generał?

– Zapracowany. Będziesz chyba musiał się umówić na audiencję.

– Serio?

– Sprowadził sprzęt rehabilitacyjny do sutereny. Zatrudnił prywatną pielęgniarkę na pobyt stały oraz rehabilitanta, który ma przychodzić codziennie. I jeszcze psychiatrę, nie wiem, ile razy ona się pojawia. Nie śledzę tego dokładnie. Żyję w innym świecie.

– Co to za pielęgniarka?

– Ona... jest w porządku. Chce, żebym pomogła jej z tym otrutym chłopcem, który – gdybyś nie wiedział – ma teraz na imię William.

– Tylko dlatego, że używa pokoju Williego?

– Nie, wujku. Dziadek nadał mu to imię do czasu, aż przypomni sobie, kim jest naprawdę... o ile kiedykolwiek sobie przypomni. Na razie jest Williamem Arnoldem Drugim.

– O tym mi ojciec nie wspomniał – przyznał zaskoczony wujek Bobby. – Rozumiem, że musiał nadać małemu jakieś imię, ale...

– Ale nie mojego brata! – wykrzyknęłam o wiele za głośno.

– Spokojnie, kochanie. Na razie płyn z nurtem. Na pewno wszystko się

zmieni, kiedy chłopiec wydobrzeje.

– Oby. Przyjedziesz na Święto Dziękczynienia?

– Niestety, nie dam rady. Czeka nas bardzo pracowity okres, bo przecież gramy. Zobaczymy się raczej na Boże Narodzenie. Jutro wyślę ci plakat – obiecał. – Wkrótce powinnaś go dostać.

– Dzięki.

– Głowa do góry, mała. I baw się dobrze na imprezie. Mam nadzieję, że kiedy następnym razem zadzwonię, uruczysz mnie pikantnymi szczegółami.

– Postaram się – zapewniłam.

Roześmiał się.

– Kocham cię, Księżycowy Promyku.

– Ja też cię kocham, wujku Bobby. Bardziej niż zwykle – dodałam, a głos mi zadrżał. Z trudem się pożegnałam.

Odłożyłam słuchawkę i leżąc na łóżku, rozmyślałam. Szybko zakończył się dla mnie czas wychodzenia z żałoby. Obecność otrutego chłopca przyspieszyła ten proces. Jeszcze trochę, a obraz Williego zblaknie w mojej pamięci. Jak mogę temu zapobiec?

Spojrzałam na biurko, po czym podniosłam się niespiesznie z łóżka i usiadłam na krześle. Głupio robię, może nawet podle.

Wyjęłam kartkę z perfumowanej koperty i sięgnęłam po specjalne wieczne pióro. Pochyliłam się nad blatem i zaczęłam pisać.

Kochany Willie!

Ciekawe, czy patrzysz z nieba i widzisz nas – bo jeśli tak, musisz być równie nieszczęśliwy przez dziadka jak ja. Na pewno jesteś. Wiem, jak lubiłeś swoje zabawki i inne rzeczy. Zapewne widziałeś, że schowałam te najważniejsze, aby ten nowy chłopak, ten otruty, nigdy nie dostał ich do rąk. I nie dostanie, obiecuję.

Żałuję, że nie zdążyłam pożegnać Cię na cmentarzu, ale nie mogłam znieść widoku trumny, w której mieli Cię opuścić do grobu. Faith tłumaczy mi, że Twoja dusza już dawno opuściła ciało i teraz jest wolna. I jest prawie pewna, że krążysz wokół mnie. Zwykle bawią mnie te jej bajki, ale tym razem się nie śmiałam. Chciałam, żeby to była prawda.

Dziadek, Myra, Faith, nawet wujek Bobby liczą, że też będę się zajmować tym otrutym chłopcem, któremu dziadek usiłuje przywrócić zdrowie.

Obawiam się, że jeśli nas widzisz i słyszysz, to musisz wiedzieć, że dał temu chłopakowi Twoje imię. Dla mnie jest to okropne i przysięgam, nawet nie próbuję nazywać go Williamem, a tym bardziej Williem. Jeśli już muszę się do niego odezwać, mówię „ty”.

Wróciłam do szkoły. I do przyjaciół. Wybieram się na imprezę – nie dlatego, że chcę zapomnieć o Tobie, tylko dlatego, że nie mogę już znieść tego, co się dzieje. Chcę zająć umysł innymi sprawami, żeby nie płakać i nie myśleć ciągle o tym chłopaku, który mieszka w Twoim pokoju.

Ale nie smuć się tym. Dzisiaj postanowiłam, że w sobotę pojedę odwiedzić Twój grób. Nigdy Cię nie zapomnę i nie przestanę myśleć o Tobie. Będę Cię wspominać codziennie do końca swoich dni albo dopóki zachowam zdolność myślenia.

Jeśli jeszcze możesz myśleć i czuć, błagam, pomyśl o mnie. I błagam, Braciszku, czuwaj nade mną.

Twoja kochająca siostra, Clara Sue

Przeczytałam list ponownie, złożyłam i wsunęłam do koperty. Wrzuciłam ją do szuflady, gdzie leżały poprzednie. Byłam pewna, że zapełnię całą.

Wróciłam do pracy domowej i odrabiałam lekcje aż do kolacji. Kiedy wyszłam, zdziwiłam się, widząc zamknięte drzwi pokoju Williego. Nie zatrzymałam się jednak, żeby sprawdzić dlaczego. Zbiegłam na dół, ale wyhamowałam przed jadalnią, bo usłyszałam śmiech, dobiegający z gabinetu dziadka. Od czasu śmierci Williego nie śmiał się ani razu. Wtórowała mu pani Camden. Oboje odwrócili się do mnie, gdy stanęłam w drzwiach. Oboje siedzieli na sofie obitej perłową skórą i wyglądali, jakby wypili parę drinków. Moja osłupiała mina wypłoszyła uśmiechy z ich twarzy. Zastanawiałam się, co ich tak rozbawiło.

– Jak minął dzień w szkole? – zagadnął dziadek. – Nie mieliśmy okazji porozmawiać po twoim powrocie do domu.

– W porządku. Czy jest już kolacja? – spytałam, patrząc na panią Camden.

– Tak, właśnie wybieraliśmy się do jadalni.

My, pomyślałam. Więc ona będzie już stałym gościem przy naszym stole?

– Chciałam cię zawiadomić, że w piątek wybieram się na imprezę – oznajmiłam. – Do Audrey O’Brian.

– Wspaniale – powiedziała pani Camden.

– Przecież pani jej nie zna – warknęłam.
– Po prostu dobrze, że wyjdiesz z domu i spotkasz się z przyjaciółmi – tłumaczyła się.
– Zawieźć cię? – zapytał dziadek.
– Nie, Aaron Podwell po mnie przyjedzie. A potem z nim wrócę.
– O jedenastej.
– Jedenastej?
– Nie uważasz, że to trochę za wcześnie, Williamie? – spytała łagodnie pani Camden. – Ona już jest w wieku Kopciuszka.
Spojrzał na nią.
– Nie do wiary, jak te dzieci szybko rosną.
– Te dzieci? – podchwyciłam.
Rysy mu stężały.
– Zgoda, o północy. – Kiwnął głową. – Ale nie później.
– Żeby samochód Aarona nie zmienił się w dynię – dodałam.
Pani Camden uśmiechnęła się szeroko.
– I żeby jego ojciec się o tym nie dowiedział – dorzucił dziadek.
Uśmiech pani Camden się pogłębił.
Najbardziej nienawidziłam w tej kobiecie tego, że coraz trudniej było mi ją znienawidzić.

9

Byli nazbyt zajęci sobą przy kolacji, ale nie złościłam się, bo odzyskałam swój dawny apetyt i mogłam się cieszyć smakami kuchni Faith. Często mieliśmy gości na kolacji, zwłaszcza za życia babci Lucy, ale później dziadek rzadko obdarzał kogoś tak żywym zainteresowaniem jak teraz panią Camden. Już mówili sobie po imieniu, Dorian i William. I to ona, bardziej niż dziadek, starała się wciągnąć mnie do ich rozmowy. Na próżno, bo rozprawiali głównie o piosenkarzach i aktorach, których nie znałam. Byli zdumieni.

– Gdyby w naszych szkołach nie uczono historii, dzieci nie wiedziałyby, kim jest George Washington – zauważył dziadek. Zdumiewające, jak szybko powrócił do swojego dawnego ja.

– Nieprawda – odparłam. – Mamy z nim do czynienia za każdym razem, kiedy mamy w ręku dolary.

Pani Camden wybuchnęła tak szczerym śmiechem, że mimo woli się uśmiechnęłam. Dziadek jej zawtórował.

– Bystra z niej dziewczyna – zwróciła się do niego.

– Jej mama też była bystra, a babcia specjalizowała się w ciętych ripostach i zwykle zostawała sama na placu boju.

Urwał i ucichł, jakby nagle zobaczył ją siedzącą naprzeciwko przy stole. Potrząsnął głową i podjął wcześniejszy wątek ich rozmowy. Kiedy doszliśmy do słynnej cytrynowej tarty Faith, pani Camden spojrzała na mnie.

– W co wy, dzisiejsze dziewczyny, ubieracie się na imprezy? Bo za moich czasów byłyśmy tak wystrojone, jakbyśmy szły na kolację do hotelu Waldorf Astoria.

– W nic specjalnie strojnego – odparłam.

– Clara Sue potrzebuje pewnie nowych ciuchów – zauważył dziadek. – Jeszcze nie spotkałem kobiety, która by nie wykorzystała takiej okazji jako pretekstu do zakupów.

– Mam się w co ubrać – zapewniłam.

– Gdybyś jednak chciała pobiegać po sklepach, służę swoim towarzystwem – zaoferowała pani Camden. – Choć nie bardzo wiem, co się teraz nosi – dodała i zerknęła na dziadka.

– Ja tym bardziej. Nie kupowałem sobie żadnych ubrań od czasu... od kiedy straciłem Lucy – odparł.

– W takim razie zapraszamy i ciebie – powiedziała pani Camden.

Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby dziadek Arnold się czerwienił. Wyglądał jak uczeń. Wymamrotał coś pod nosem i uciekł pod pretekstem załatwienia pilnych rachunków. Zanim wyszedł, pochwalił Faith za jej pyszności. Pani Camden przyłączyła się do tych komplementów. A potem we trzy z Myrą omawiały tygodniowy jadłospis dla chłopca w pokoju Williego. Należało podawać mu ciepłą kolację, gdyż pielęgniarka uważała, że to ułatwia zasypianie.

– Jeszcze tyle przed nim – powiedziała. – Biedak waży nie więcej niż dwadzieścia pięć kilogramów, a w tym wieku powinien ważyć około czterdziestu. Kiedy go podnoszę, mam wrażenie, że popękają mu kości.

– Ale to nie są tylko skutki trucizny, prawda? – zauważyła Myra.

Zostałam przy stole i słuchałam, nie kryjąc ciekowości. Nasłuchiwałam odpowiedzi pani Camden.

– Oczywiście trucizna mogła wywołać brak apetytu, ale doktor Friedman sądzi, że w diecie chłopca przez dłuższy czas brakowało podstawowej dawki kalorii, jakiej należy dostarczać dziecku w jego wieku. Stąd też zahamowanie wzrostu i zbyt słabe kości. Stymulujemy jego przysadkę mózgową.

– Ma się wrażenie, jakby był więziony i głodzony, czy coś w tym rodzaju – zauważyła Myra.

Pani Camden pokręciła głową.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia się dowiemy, ale to wymaga czasu. – Spojrzała na mnie znacząco. – Musi nabrać zaufania.

Wstałam od stołu.

– Idę skończyć lekcje.

– Oferta aktualna! – zawołała za mną pani Camden. – Sama wybierz dzień. Ja się dostosuję.

Nie odpowiedziałam. Szłam, choć całą sobą chciałam przyjąć jej propozycję. Ostatni raz byłam na takich zakupach z babcią i oczywiście wcześniej z mamą. Potem parę razy wybrałam się z Myrą, ale kupowałyśmy tylko niezbędne rzeczy. Niania była praktyczna i konkretna do bólu. Nie było

mowy o przyglądaniu się wystawom, podziwianiu nowych fasonów i włączeniu się od sklepu do sklepu. Zawsze się spieszyła, bo miała coś pilnego do zrobienia w domu, nawet w wychodne. Jeśli ostatnio cokolwiek kupiłam, to tylko na wypadach z przyjaciółkami, zwłaszcza z Lilą i jej mamą. Ale straciłam już nadzieję, że będę kiedyś miała cały dzień dla siebie.

Przyspieszyłam kroku. Zamierzałam jak zwykle minąć pokój Williego, ale kiedy się zbliżyłam, usłyszałam jęki chłopca. Zatrzymałam się, nasłuchując, czy pani Camden już idzie na górę, ale na schodach panowała cisza. Wobec tego podeszłam cicho do drzwi i uchyliłam je. Jęki stały się głośniejsze. Czy powinnam zejść na dół i zawołać panią Camden? A jeśli on umiera? Gdyby umarł tutaj, po tych wszystkich staraniach, jak dziadek by to zniósł? Czy pozałowałby swojego kroku? Czy winiłby siebie? Jakaś straszna, podła częśćka mnie zapragnęła śmierci chłopca jako zemsty na dziadku – za to, że śmiał tak wiele uwagi poświęcić obcemu. Byłam wściekła na siebie za te uczucia, ale nie mogłam zaprzeczyć ich istnieniu.

Otworzyłam szerzej drzwi i weszłam do pokoju. Pani Camden zostawiła zasłony rozsunięte, ale słońce już zaszło i na zewnątrz zapadał zmrok. Na horyzoncie migotały gwiazdy. Faith powiedziała kiedyś do Williego i mnie, że gwiazdy to dusze ludzi pięknych i dobrych. I potem Willie dopytywał, które są naszymi rodzicami.

Gwiazdy nie zajaśniały jeszcze pełnym blaskiem. Na razie tylko światło z korytarza sączyło się do pokoju. Chłopiec leżał nieruchomo na plecach, z głową wtuloną w jedną z wielkich, puchatych poduszek Williego. Twarz miał bladą jak zjawa. Czasami mój brat zasypiał z tą poduszką w objęciach, tuląc ją, jakby była mamą – bo mama zawsze spała z nim, kiedy był chory albo czegoś się bał. Babcia Arnold nigdy tego nie robiła, więc potem ja starałam się zastąpić mamę.

Chłopiec jęknął. Śnił mu się koszmar czy coś go bolało? Może we śnie zacznie rozmawiać ze swoją rodziną i opowie, co się z nim działo? Pomyślałam, że posłucham chwilę. A nuż czegoś się dowiem?

Stałam nad chłopcem, kiedy znów zajęczał i nie otwierając oczu, gwałtownie szarpnął głową.

– Mickey chory – powiedział nagle.

– Mickey? Kto to jest Mickey? – spytałam. Jego powieki nie drgnęły. – Jak ma na nazwisko? Ty jesteś Mickey?

Obejrzałam się na drzwi i nasłuchiwałam. Cisza. Delikatnie dotknęłam jego

ramienia.

– Masz na imię Mickey? Jesteś chory, prawda?

Oczy miał nadal zamknięte, ale jego wargi rozchyliły się delikatnie.

– Mickey chory – powiedział i zatrzęsł głową.

Potrząsnęłam nim lekko.

– Kto to Mickey? Mów! Mickey to ty? Powiedz mi! – nalegałam głośniejszym głosem.

Nagle pokój zalało światło lampy. Drgnęłam zaskoczona. Odwróciłam się i zobaczyłam stojącą w drzwiach panią Camden.

– Co się stało? – zapytała.

Chłopiec jęknął i tym razem otworzył oczy. Rozszerzyły się z przerażenia, kiedy zobaczył moją postać pochyloną nisko nad nim.

Wyprostowałam się szybko.

– Jęczał, więc weszłam, żeby sprawdzić, co się z nim dzieje – wyjaśniłam.

Kiwnęła głową i podeszła do łóżka. Odsunęłam się na bok.

– Cześć, kotku – szepnęła miękko. – Może jesteś głodny?

Popatrzył na mnie, potem na nią i kiwnął głową.

– Powiedział „Mickey” – poinformowałam. – Sama słyszałam. To pewnie jego prawdziwe imię. Zapytaj go. Zapytaj!

– Spokojnie, Claro Sue. Nie należy podnosić głosu przy nim, bo to go przeraża i znów zamyka się w sobie.

– Trzeba go zapytać – powiedziałam ciszej, tłumiąc podekscytowanie. – Proszę – nalegałam. Niecierpliwie skrzyżowałam ramiona na piersi.

Chyba dostrzegła moją determinację.

– Czy masz na imię Mickey, kotku? – zwróciła się do niego.

Nie odpowiedział, ale dźwięk tego imienia wyraźnie go zaskoczył.

– Widzi pani? Zareagował. Założę się, że zna to imię.

– Zobaczymy. Na razie muszę go uspokoić, żeby mógł zjeść, więc nie wpytajmy go już, dobrze?

– Dobrze.

Jasne, pomyślałam. Niech się uspokoi. A co ze mną?

Odwróciłam się na pięcie i wyszłam, ale czułam, że dotknęłam tajemnicy i słowa chłopca muszą być ważne, a może nawet sprawią, że zniknie on z pokoju Williego i z tego domu.

Usiadłam do lekcji, ale nie byłam w stanie się skupić. Na szczęście zadzwoniła Lila i przypomniała, że obiecałam jej pomóc w matmie. Zaczęłam jej tłumaczyć i skoncentrowałam się na tyle, że potem szybko dokończyłam

swoje zadania. Rozmawiałyśmy jeszcze przez chwilę o imprezie u Audrey i rozłączyłam się. Zanim jednak zdążyłam zabrać się do angielskiego, telefon znów zadzwonił. Tym razem w słuchawce usłyszałam głos Aarona.

– Czy to szpital rehabilitacyjny w Prescott? – zapytał.

– Ale śmieszne! Jak zareagował twój tata, kiedy usłyszał o poczynaniach mojego dziadka?

– Och, jeszcze mu nie powiedziałam.

– Czemu?

– Nie chcę podsycać rywalizacji obu panów i narażać się twojemu dziadkowi w chwili, kiedy uwodzę jego wnuczkę.

– Uwodzisz? Przesada. Poza tym upoważniłam cię do roztrąbienia po całej okolicy wieści o pomysłach mojego dziadka. Myślę zresztą, że wiele osób już wie, więc nie musisz się obawiać jego gniewu.

– Dobrze, postaram się.

– Nie podziękowałam ci jeszcze za podwózkę.

– To ja powinienem ci podziękować.

– Nie rozumiem?

– Za to, że pozwoliłaś się odwieźć. W sumie dlatego zadzwoniłem. Mogę przyjechać po ciebie rano? I tak jest mi po drodze.

Tempo było stanowczo zbyt szybkie. Czyżby szkolny Casanova przypuścił szturm? Czy jestem gotowa na to wyzwanie?

– Czyżbyś potrzebował okazji, żeby się rozbijać swoim nowym cudem?

Roześmiał się.

– Nie zaprzeczę, że to jeden z powodów, ale mniej ważny.

– Zapytam dziadka.

– Szepnij mu słówko, że prawko zdałem celująco!

– Nie zdziwiłabym się, gdyby pojechał za nami, aby to sprawdzić. Zadzwonię później do ciebie, dobra? Och, podaj mi numer.

– Proponuję, żebyś zapisała go na dłoni i nie zmywała – odpowiedział. – To dlatego wiele dziewczyn w szkole ma takie brudne ręce – dodał ze śmiechem.

– Mam dobrą pamięć – zapewniłam. – Zapamiętam wszystko, jeśli zechcę.

– Twarda z ciebie zawodniczka!

Czyżby?

– Przekonamy się – mruknęłam i odłożyłam słuchawkę.

Zastanawiałam się przez chwilę, zanim ruszyłam na dół do gabinetu dziadka.

Pani Camden i Myra były w pokoju Williama i zabawiały go rozmową, podczas gdy jadł kolację. Głos Myry przyciągnął moją uwagę. Przemawiała czułym, łagodnym głosem, takim samym, jakim mówiła do Williego. I teraz tego chłopaka nazywała pieszczotliwie „kotkiem” i „słodkim chłopczykiem”. Ze złością pomyślałam, że ten żaloszny smarkacz okręcił sobie ich wszystkich wokół palca, a im bardziej koło niego tańczą, tym bardziej zapominają o moim braciszku.

Dziadek uniósł głowę, kiedy otworzyłam drzwi gabinetu. Nie podeszłam do biurka, tylko stanęłam w progu, żeby w każdej chwili móc się wycofać.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytał.

Od czego by zacząć? – zastanawiałam się. Tak, potrzebowałam wielu rzeczy. Na przykład rodziców. I Williego. Potrzebowałam, aby ktoś mnie zapewnił, że to wszystko było tylko złym snem, albo że nie doświadczę już żadnych nieszczęść przez resztę życia.

– Aaron chce zawieźć mnie jutro do szkoły – oznajmiłam. – Nie będę więc potrzebowała kierowcy.

Usiłowałam nadać swojemu głosowi twarde, zdeterminowane brzmienie i sprawiać wrażenie kogoś, kto panuje nad swoim życiem. Jednak każdy nerw w moim ciele dygotał na myśl o tym, że za chwilę spadnie na mnie gniew dziadka. Po raz pierwszy ośmieliłam się oświadczyć, że zrobię coś bez pytania go o pozwolenie. Tymczasem dziadek milczał, co było niezwykle. Rysy miał nieruchome, stężale niczym cement. Nie zacisnął ust; nawet nie uniósł brwi. Przedłużająca się cisza obudziła motyli trzepot w mojej piersi. Nie wiedziałam, czy mam się wycofać, czy zostać i czekać, aż przemówi.

Wreszcie dziadek odchylił się na oparcie fotela.

– O ile pamiętam, istnieje zarządzenie, w myśl którego rodzic bądź opiekun uczennicy musi wydać pozwolenie na przewożenie jej autem przez innego ucznia. Tymczasem zostałam zaskoczony już wcześniej, kiedy przyjechałaś do domu z Aaronem Podwellem.

– Takie pozwolenie jest konieczne jedynie wtedy, gdybym chciała opuścić szkołę przed zakończeniem lekcji – zaznaczyłam.

– Rozumiem. Czy to się przerodzi w nowy zwyczaj?

– Nie wiem – przyznałam szczerze. – Możliwe.

Dostrzegłam falę smutku, która przemknęła przez jego oczy i twarz. Przez moment pożałowałam swojej napastliwości i arogancji, postanowiłam jednak twardo, że już nie pozwolę, żeby traktowano mnie jak małą dziewczynkę.

Dziadek kiwnął głową i nawet uśmiechnął się nieznacznie.

– Twoja babcia mnie ostrzegła – rzekł. – Mówiła, że nagle wyrośniesz na młodą damę, może nawet w ciągu jednej nocy, więc muszę być gotowy na taki przewrót. I dodała, że to będzie straszniejsze niż ujeżdżanie byka na rodeo.

– Nie ma w tym nic strasznego, dziadku. Nie wychodzę za mąż ani nic w tym stylu. Jeszcze nie.

– Jeszcze nie? – Znów się zjeżył, ale za moment pokręcił głową. – Dobrze, powiem Billowi, że jutro ma wolne, a dalej zobaczymy.

Odwrociłam się, żeby wyjść, ale zatrzymałam się w progu.

– Myślę, że ten otruty chłopiec ma na imię Mickey – powiedziałam. – Twój detektyw powinien to sprawdzić.

Nie dałam mu szansy na odpowiedź. Wybiegłam z gabinetu i pognałam na górę, żeby zadzwonić do Aarona. Odpowiedział po pierwszym sygnale, jakby siedział z dłonią na słuchawce.

– Załatwione – oznajmiłam.

– Super. Oczywiście do domu także cię odwiozę.

– Oczywiście.

– Słuchaj, a może któregoś popołudnia wyskoczymy do Butler Heights na ich słynne lody, co? To godzina jazdy w jedną stronę, ale warto!

– Chodzi ci o lody czy bardziej o jazdę?

– Ha, ha. A jak pacjent? – zapytał. Podobało mi się, że nie nazwał go „Williamem”.

– Przypadkiem usłyszałam, jak mówi we śnie, i moim zdaniem wypowiedział swoje prawdziwe imię.

– Mianowicie?

– Mickey.

– Mickey? Brzmi jak zdrobnienie. Może od Michaela? Nie wpisuje się zdrobnień w oficjalnych dokumentach.

– Och. – Nie kryłam rozczarowania.

– Albo... może dostał imię po Mickeyu Mantle’u. Dowiedz się, czy nie jest fanem Yankees – dodał. Żartował sobie, ale w końcu każdy trop był dobry.

– Spróbuję. Dzięki.

Aaron się roześmiał.

– Służę pomocą. Już mniej niż dwanaście godzin, wiesz?

– Do czego?

– Do chwili, kiedy znów cię zobaczę.

– Ależ z ciebie romantyk.

– Nie zdradzę tajemnicy mojego uroku!

Nie tylko się uśmiechnęłam, ale i poczułam dreszcz ekscytacji, który przeniknął całe moje ciało. W sumie myśl o chodzeniu z Aaronem pojawiła się w mojej głowie niedługo po śmierci Williego. Wcześniej nie miałam okazji ani ochoty fantazjować na ten temat, ale teraz, kiedy jego czuły głos sączył się w moje uszy, wiedziałam, że będę śnić o nas. Od razu poczułam się senna.

– Słuchaj, muszę skończyć lekcje – powiedziałam.

– Chodzi ci o te książki i zeszyty, które zawalają moje biurko? Myślałem, że ktoś mi je podrzucił dla żartu.

– Lepiej odrób, bo żarty się skończą – ostrzegłam. – I bądź jutro punktualnie. Ja nigdy się nie spóźniam i dziadek byłby niepokieszony, gdyby stało się tak po raz pierwszy.

– Rozkaz, szefowo!

Odłożyłam słuchawkę i jeszcze chwilę myślałam o Aaronie, zanim wzięłam się z powrotem do pracy domowej. Już tylko minuty dzieliły mnie od upragnionych snów. A przynajmniej tak mi się wydawało. Niestety, kiedy umyłam się, przebrałam w piżamę i umościłam w pościeli, na korytarzu rozległ się hałas, więc wstałam, żeby zobaczyć, co się dzieje. Dziadek wchodził właśnie na górę z lekarzem, a pani Camden stała w progu pokoju Williego.

– Co się stało? – zapytałam.

Pielęgniarka spojrzała na mnie, ale nikt nie odpowiedział. Lekarz z dziadkiem pospiesznie weszli do środka, a za nimi pani Camden, która zamknęła drzwi. Chwilę nasłuchiwałam, ale stałam za daleko, więc podeszłam i przyłożyłam ucho do drzwi. Wyłowiłam słowa „atak paniki”, „hiperwentylacja”, „serce w porządku”. Lekarz przemawiał cicho do chłopca, a pani Camden wtrącała słowa otuchy. Martwiło ich, czy przyspieszony i zbyt głęboki oddech jest wynikiem jakichś zmian w płucach, czy bólu, ale po chwili doktor zapewnił dziadka, że nic złego się nie dzieje. Potem znizyli głos do szeptu, więc wróciłam do siebie.

Zalała mnie fala egoistycznych myśli. Po co nam to wszystko, zwłaszcza teraz? Chłopak nie powinien być u nas, tylko w szpitalu albo w klinice psychiatrycznej. Ten atak jest najlepszym tego dowodem. Czy sama śmierć Williego nie przewróciła naszego życia do góry nogami? Czy to nie wystarczy? Lepiej wpłać tysiące na leczenie dzieci, dziadku, myślałam. Albo

nawet finansuj tego chłopaka, ale na odległość. Wszystko, byle nie ten szpital w naszym domu, błagam.

Wtem powrócił obraz drobnego, bezbronego chłopczyka w łóżku Williego, z głową tonącą w wielkiej poduszce. Zacisnęłam powieki, usiłując odegnąć negatywne myśli. Nie znosiłam, kiedy robiłam się taka zła i mściwa. Z drugiej strony zdawałam sobie sprawę, że ta reakcja przynajmniej w połowie jest wynikiem zazdrości. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebowałam teraz troski i uwagi dziadka. Trudno było jednak zaprzeczyć, że chory chłopiec także jej potrzebował.

Myślałam, że wreszcie zasnę, lecz usłyszałam pukanie do drzwi. To mógł być tylko dziadek. Nigdy nie pukał delikatnie, kiedy miał do mnie ważną sprawę. Usiadłam na łóżku. Drzwi otworzyły się i zobaczyłam potężną sylwetkę na tle poświaty z korytarza.

– Ta sprawa z imieniem Mickey – zaczął bez wstępów. – Nie wspominaj mu o tym więcej.

– Chcę się dowiedzieć, kim on naprawdę jest – odparłam.

– Nie życzę sobie, abyś chodziła tam i rozmawiała z Williamem, dopóki nie porozmawiasz z doktor Patrick.

– Z psychiatrą?

– Tak. Będzie tu jutro po południu. Zastaniesz ją po szkole. Wracaj od razu do domu – nakazał. – Zadzwoń, jeśli będziesz potrzebowała Billa.

– Dobrze, ale powiedz, co się stało – nalegałam.

– Pewne rzeczy mogą wywołać w nim bardzo złe wspomnienia i spowodować to, co pani Camden nazywa hiperwentylacją, czyli zbyt szybkim oddychaniem, połączonym z atakiem paniki. Takie ataki nie są śmiertelne, ale mogą być niebezpieczne. I wyglądają strasznie. Na szczęście teraz już czuje się dobrze – dodał. – Pamiętaj, o co cię prosiłem – zakończył i wyszedł.

Czy ja się przesłyszałam? Dziadek wymagał ode mnie rozmowy z psychiatrą? Bo ten atak nastąpił z mojej winy?

Mam nie wspominać o Mickeyu? Cholera, w ogóle przestanę się odzywać do tego chłopaka, postanowiłam z irytacją i gwałtownie rzuciłam się na poduszki. Najlepiej zrobię, jeśli jutro pojedę z Aaronem na lody i oleję tę psychiatrycę. Niech gada do siebie!

Miałam wrażenie, że moje ciało jest z gumy napiętej do granic wytrzymałości, a łóżko to szalupa, miotana falami. Wierciłam się i przewracałam z boku na bok, usiłując zasnąć. Ledwie mi się udało, a już

wyrwał mnie ze snu dźwięk budzika, choć zwykle budzę się, zanim zadzwoni. Gwałtownie otworzyłam oczy. A potem dłużej popracowałam nad wyglądem, bo pragnęłam olśnić Aarona i moje przyjaciółki już przy wejściu. Nieraz widziałam, że dziewczyny, zwłaszcza starsze, rozkwitają, kiedy nawiązują fajne znajomości. Te, które nie mają chłopaków, rzucają zazdrosne spojrzenia. Te, które mają, szepczą podekscytowane. Oczy im błyszczą, jakby żyły w świecie, w którym panuje wieczne święto, jak Boże Narodzenie albo urodziny.

Miałam szansę w jednej chwili z osoby, której wszyscy współczują i obchodzą się z nią jak z jajkiem, stać się obiektem powszechnej zazdrości. I choćby moje przyjaciółki nie wiem jak zaprzeczały, same też o tym marzyły. Uparcie walczyły o sławę, stroiły się w najmodniejsze ciuchy, robiły sobie najbardziej wymyślne fryzury, wzorowane na fotosach młodych gwiazdek, obwieszały się błyskotkami i rozgłaszały wszem wobec, że chłopcy wydzwanniają do nich bez przerwy. Skromność i umiar w tym świecie nie istniały.

Kiedy zjawiłam się w szkole, żałowałam, że nie spędziłam więcej czasu w garderobie. Wiele moich koleżanek nosiło spódniczki o ryzykownej długości – nad kolana. Niepisany szkolny regulamin mówił, że jeśli klękiesz i twoja spódnica nie dotyka ziemi, dyrekcja może odesłać cię do domu. Niestety, wszystkie moje spódniczki były grzeczne. Z nowych rzeczy miałam tylko jasnozieloną koszulową bluzkę i kraciastą rozszerzaną spódnicę. Tak właśnie się ubrałam, a sweterek w warkocze w kolorze butelkowej zieleni zastąpił zakiet, w którym chodziłam na co dzień. Całości dopełniały dzianinowe podkolanówki koloru swetra i czerwone sznurowane półbuty. Przejrzałam się w dużym lustrze w drzwiach szafy. Bładość na moich policzkach ustąpiła rumieńcom. Obracałam się przed lustrem, żeby zobaczyć, jak wyglądam z różnych stron.

Kiedy dziadek powiedział, że babcia ostrzegała go przed moją nagłą przemianą w młodą kobietę, przypomniałam sobie, jak gwałtownie moje ciało zaczęło dojrzewać i zaokrąglać się. Chłopięca figura, którą zdążyłam już znienawidzić, nagle wypęczkowała piersiami i zwęziła się w talii. Nabrałam zwyczaju stania przed lustrem i podziwiania swojej krągłej pupy. Nogi z miesiąca na miesiąc stawały się bardziej kształtne. Uśmiechnęłam się do siebie na wspomnienie miny Williego, kiedy zobaczył mnie w takim momencie i uświadomił sobie, że jego siostra dojrzewa.

– Wyglądasz prawie jak mama – powiedział kiedyś.

Przeszukując własną pamięć i przeglądając rodzinne albumy, bezustannie doszukiwałam się podobieństw. Wujek Bobby kiedyś powiedział, że coraz bardziej przypominam moją mamę. Czy naprawdę? Czyżbym miała szansę być tak piękna jak ona?

Tego ranka postanowiłam, że mocniej umaluję usta, ale dopiero wtedy, kiedy wsiądę do samochodu Aarona.

Zbiegłam na dół i nawet nie zerknęłam w stronę pokoju Williego. Okazało się, że dziadek wyjechał już do pracy. Pani Camden była w kuchni z Faith i Myrą. Przygotowywały śniadanie dla chłopca. Wparowałam tam i nalałam sobie soku pomarańczowego. Zaraz miał przyjechać Aaron, więc chwyciłam parę upieczonych przez Faith domowych biszkoptów i pochłonęłam je w jednej chwili, po czym popiłam ciepłym mlekiem. Wszystkie trzy, a zwłaszcza Myra, zaczęły utyskiwać, że za szybko jem, ale puściłam ich uwagi mimo uszu.

Oczywiście wiedziały, że przyjedzie po mnie Aaron Podwell. Kiedy zadzwonił domofon z bramy, wcisnęłam piątkę i czekałam.

Faith pokręciła głową.

– Żaden chłopak nie może być ważniejszy niż twoje zdrowie – powiedziała.

– Są chłopcy, którzy wręcz mogą poprawić zdrowie – odparowałam.

Myra i Faith popatrzyły na mnie wielkimi oczami, ale pani Camden uśmiechnęła się lekko.

– Zobaczymy, kto ma rację! – zawołała za mną i wszystkie trzy się roześmiały.

Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni, pomyślałam buntowniczo i, gnana złością, wypadłam przez drzwi jak torpeda. Stałam przy aucie Aarona w momencie, kiedy otworzył przede mną drzwi.

– Wasza wysokość, karoca podjechała – przywitał mnie dwornie.

– Zawieź mnie do Rzymu – rozkazałam.

Ze śmiechem zatrzasnął drzwiczki. Kiedy sadowił się za kierownicą, wyciągnęłam szminkę i zaczęłam się malować. Zanim ruszył, spojrzał na mnie z zaskoczeniem i rozbawieniem zarazem.

– Omal nie zasnęłam – wyjaśniłam.

– Dla mnie wyglądasz bosko.

Pochyliłam się ku niemu i pocałowałam go w policzek.

– Uważaj na szminkę – ostrzegłam.

Oczy Aarona rozbłysły zachwytem i ruszył jak rakieta. Dobrze, że nie było już dziadka, bo pisk opon przyprawiłby go o palpitację.

– Ups!

– Nie bój się, dziadek jest w pracy. – Kiwnął głową, ale kiedy spojrzałam przez prawą szybę, zobaczyłam Jimmy’ego Wilsona, przyglądającego się nam z dezaprobatą. Nie wątpiłam, że doniesie dziadkowi.

10

Aaron nie stał szminki z policzka, kiedy stanęliśmy przed szkołą. Przypomniałam mu o tym, a on zatrzymał się i z szerokim, teatralnym gestem ramion oświadczył, że będzie nosił ten znak jak rycerz rękawiczkę i wyzwie na pojedynek w obronie honoru damy każdego, kto mu się narazi. Trudno o lepszy sposób przyciągnięcia uwagi! Wkroczyliśmy do holu, trzymając się za ręce, więc wszyscy już wiedzieli, że przywiózł mnie do szkoły. Szłam ze wzrokiem skierowanym przed siebie, ale czułam, że patrzą na nas wszystkie oczy, i słyszałam, jak cichną rozmowy, kiedy się zbliżamy, a potem wybuchają na nowo ze zdwojoną siłą. Jeśli chodzi o pary, szkolny kodeks moralny zezwalał jedynie na trzymanie się za ręce. Całowanie się na obszarze budynku było źle widziane, toteż kiedy zadzwonił dzwonek, rozłączyliśmy się i ruszyliśmy do swoich klas. Tajemnicą poliszynela było, że Sandra, blondynka z największym biustem w naszej klasie, leciała na Aarona od początku roku szkolnego. Robiła wszystko, żeby zechciał zwrócić na nią uwagę, ale nic nie wskórała.

– Jak ci się udało go zdobyć? – spytała teraz.

Obróciłam się gwałtownie, jakby uszczypnęła mnie w pupę.

– Dlaczego uważasz, że musiałam go zdobywać? – zapytałam.

Uśmiechnęła się kwaśno. Stojąca obok Lila nastawiła uszu.

– A ty co robiłaś, żeby go zdobyć? – Starłam się, by mój głos brzmiał niewinnie. – Może coś, czego się teraz wstydzisz? – Spojrzałam na Lilę, a potem na Sandrę. – Czemu milczysz? – naciskałam. – Nie wiesz, że wyznania są dobre dla duszy? – Tę ostatnią mądrość zapożyczyłam od Faith. Często ją powtarzała.

Krew napłynęła Sandrze do twarzy i wyglądała jak kulka wiśniowych lodów. Lila zachichotała. Nie miałam wątpliwości, że to będzie główny temat dzisiejszych plotek. I że Sandra spróbuje się na mnie odegrać. Ale znów byłam w grze i dumnie trzymałam głowę nad powierzchnią bagna plotek. Skończył

się okres ochronny. Zazdrośnice będą mogły celować we mnie bezkarnie i bez skrępowania łąć na mój temat. Współczucie poszło w ką.

Mimo to reszta dnia w szkole przebiegła gładko. Staraliśmy się z Aaronem spędzać jak najwięcej czasu ze sobą, choć on chodził do starszej klasy. Lunch i przerwy musiały nam wystarczyć. Miałam wielką ochotę olać rozmowę z doktor Patrick i pojechać z Aaronem na lody, ale bałam się gniewu dziadka, który za karę na pewno nie puściłby mnie na imprezę do Audrey. Aaron wyczuł, że coś mnie nurtuje i psuje mi humor. Zauważyłam, że usiłuje uważnie stąpać po polu minowym moich nastrojów.

Kiedy wyjechaliśmy spod szkoły, zerknął na mnie.

– A teraz powiedz, co leży ci na wątrobie, Claro Sue. Oczywiście wiem, że martwi cię mnóstwo spraw, ale teraz pytam o najświeższą. Trzy razy dzisiaj nie słyszałaś, co do ciebie mówię, a zwykle dziewczyny starają się nie uronić ani jednego słowa spływającego z moich ust.

Na ile jestem skłonna mu zaufać? – zastanawiałam się. Nie podobał mi się sposób, w jaki w domu traktowano moje uczucia, a sama Lila mi nie wystarczyła.

– Wprowadzenie tego chłopca do naszego domu i do pokoju Williego to nie jest dla mnie drobiazg. Czy chcę, czy nie chcę, ciągle o tym myślę.

– Fakt, widziałem, jak to wygląda, kiedy odwiozłem cię wczoraj. Coś się jeszcze zdarzyło?

– Nie mam ochoty przykładać do tego ręki, ta sprawa mnie frustruje, a teraz... – Zawahałam się jak ktoś, kto skoczył z trampoliny, zanim zdążył pomyśleć, że nie powinien.

– Co teraz?

– Dziadek kazał mi porozmawiać z psychiatrą, która zajmuje się tym chłopakiem.

– Zabiera cię do psychiatry?

– Ona czeka na mnie w domu.

– Ale dlaczego ty?

Jego zdziwienie nie zaskoczyło mnie. Nie chciałam, by pomyślał, że sama jestem psychiczna, i zniechęcił się do mnie. I nagle przyszło mi do głowy: A może to dlatego dziadek chce, żebym porozmawiała z psychiatrą? Czy uważa, że jestem zaburzona? Czy to pani Camden poradziła mu konsultację z doktor Patrick? Do tego momentu sądziłam, że rozmowa ma jedynie na celu przekonanie mnie do łagodniejszego traktowania tego chłopca, lecz pytanie

Aarona dało mi do myślenia.

– Domownicy zdają sobie sprawę, że nie życzę sobie tego chłopca u nas. Wiem, że to brzmi egoistycznie, wręcz okrutnie – przyznałam, choć zrozumiałam, że to słaby argument na moją obronę.

Kiwnął głową, ale nie wydawał się przekonany.

– Czy uważasz, że jestem egoistyczna i bezduszna, bo nie chcę go w domu? Myślisz, że ja naprawdę potrzebuję psychiatry?

Aaron wzruszył ramionami, a potem się uśmiechnął.

– Słabo cię jeszcze znam. Czy lubisz wyrywać skrzydła muchom?

– To nie jest śmieszne, Aaronie. Jeśli zadajesz mi poważne pytania, traktuj poważnie moje odpowiedzi. Albo w ogóle nie pytaj.

– Dobrze, dobrze, nie bierz tego tak bardzo do siebie.

Nie nalegał na wypad na lody, więc postanowiłam nie przypominać o tej propozycji. W drodze Aaron paplał o ludziach ze szkoły, o różnych swoich kumplach, o tym, kto kogo lubi, a kto nie, a potem pochwalił się siostrą, która miała szansę na lukratywny kontrakt reklamowy w Nowym Jorku. Miałam wrażenie, że jest bardziej gadatliwy niż zwykle, może nagle zaczęłam go wprawiać w nerwowy stan i bał się ciszy pomiędzy nami. Być może żałował, że podjął wyzwanie znajomości ze mną, i teraz kombinował, jak się wycofać. Czy mogłam go za to winić?

– Nie musisz po mnie przyjeżdżać każdego ranka – powiedziałam, kiedy zatrzymaliśmy się na podjeździe.

– Nie chcesz?

– Jeśli ty chcesz.

– Nie proponowałbym tego, gdybym nie chciał.

– Okay.

– Okay. Zadzwoń jeszcze dzisiaj.

Sięgnęłam ręką do klamki, ale się zatrzymałam. Przez moment siedziałam w milczeniu. Aaron czekał cierpliwie i przyglądał mi się.

– Jest coś jeszcze – wyznałam.

– Mianowicie?

– Chłopak jęczał wczoraj wieczorem. Weszłam do niego i usłyszałam, że mówi „Mickey”. Uznałam, że wymienił swoje imię, i zaczęłam naciskać, pewnie za mocno, aby to potwierdził i powiedział, kim naprawdę jest.

– Za mocno? W jakim sensie? Co mu zrobiłaś?

– Krzyczałam i trącałam go, co nie spodobało się pani Camden, tej

pielęgniарce.

– Używałaś przemocy?

– Nie, po prostu go trącałam. Rozumiesz, on był w transie, ale kiedy się wybudził i mnie zobaczył, to...

– To co?

– Wpadł w przerażenie. Później miał atak i dziadek mnie obciążył winą. I sądzę, że właśnie dlatego mam spotkanie z panią Patrick.

– Co to był za atak?

– Hiperwentylacja. Musieli wezwać lekarza. Orzekł, że to atak paniki, czy coś w tym stylu.

– Och. Chodzi o problemy z oddychaniem, tak?

– W skrócie.

– I oni myślą, że to przez ciebie?

– Tak.

– No, no!

– Pewnie myślisz, że mają rację? Że jestem okrutna? Bo kto by zrobił coś takiego choremu chłopcu?

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili, co mnie zaniepokoiło.

– Nie musisz mnie podwozić i jeśli chcesz, możesz zabrać Sandrę Roth na imprezę Audrey. Z nią się będziesz lepiej bawił, bo nie ma problemów i nie jest popsuj-zabawą jak ja – dodałam i wysiadłam, zanim zdążył odpowiedzieć.

– Zaczekaj! – zawołał.

Nie posłuchałam. Szłam szybko, a łzy paliły mi oczy. Nie obejrzałam się. Pani Camden siedziała w salonie z wysoką, ciemnowłosą kobietą, która wyglądała, jakby miała zamiast oczu soczewki mikroskopowe. Może sugerowała mi to wyobraźnia, skoro wiedziałam, że zagląda ludziom do umysłów. Doktor Patrick miała na sobie ciemnoniebieską spódnicę do kostek i nieco jaśniejszą niebieską bluzkę, która przypominała męską koszulę. Długie nogi założyła jedną na drugą i małymi łykami popijała herbatę z filiżanki. Na mój widok na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech, który złagodził linię wąskich warg, przecinając twarz wygiętą kreską. Spojrzenie też złagodziło i po chwili uśmiechnęła się szeroko. Pani Camden wstała.

– Cześć, Claro Sue – zwróciła się do mnie. – Poznaj doktor Patrick. Siadaj, proszę. Ja już wychodzę.

– Może najpierw odniosę książki i się przebiorę?

– Och, nie zajmę ci wiele czasu – zapewniła doktor Patrick. Jej uśmiech trwał, lecz w spojrzeniu był nakaz. Odstawiła filiżankę na boczny stolik, ustawiła nogi równo i odchyliła się na oparcie kanapy.

– Może zaczniemy od wzajemnego zapoznania – podsunęła.

– Co zaczniemy? – zapytałam i dalej stałam bez ruchu.

Pani Camden z uśmiechem przyklepionym do twarzy wyszła z salonu.

– Zgódź się, to naprawdę chwila – szepnęła, mijając mnie.

Znów przeniosłam spojrzenie na panią Patrick.

– Proszę cię tylko o chwilę rozmowy, Claro Sue. Zechcesz usiąść? – poprosiła. W jej głosie wyczuwalny był autorytatywny ton, który sprawiał, że prośby brzmiały jak komendy. Pani Rosner, moja nauczycielka ekonomii, brzmiała podobnie. Nawet największe klasowe chojraki podskakiwały ze strachu, kiedy wywoływała ich do odpowiedzi.

Jednak postanowiłam, że nie dam się zdominować. Nie próbowałam ukryć irytacji i niechęci. Podeszłam do fotela, stojącego przy kanapie, jak skazaniec do krzesła elektrycznego. Klapnęłam na siedzenie i z hukiem położyłam książki na stoliku, aż zachwiała się lampa. Doktor Patrick uśmiechała się przez cały czas. Paradoksalnie jej tolerancja na aroganckie zachowanie zwiększyła mój gniew.

– Jesteś w jedenastej klasie?

– Przecież pani wie. Zapewne wie pani o mnie wszystko.

Jedynie drobne drgnienie powiek zasygnalizowało jej niezadowolenie. Zdążyłam zniecierpliwienie ten uśmiech. Jej twarz wyglądała jak maska. Wyczuwałam, że doktor Patrick mnie ocenia, i mimo woli zaczęłam zwracać uwagę na swoje zachowanie – sposób, w jaki otwieram i zaciskam palce, nawet oddech. Czułam się jak pod mikroskopem.

– Nigdy nie oceniam człowieka na podstawie cudzych opinii – rzekła. – I mam przeczucie, że ty postępujesz tak samo. Masz własne zdanie i nie lubisz, kiedy ktoś ci coś wmawia.

– Owszem. To chyba dotyczy każdego.

Kiwnęła głową i wreszcie pozbyła się tego nieznośnego uśmiechu.

– Domyślam się, że świetnie radzisz sobie w szkole. Jaki jest twój ulubiony przedmiot?

Na moment odwróciłam wzrok.

– Jaki jest mój ulubiony przedmiot, jaki kolor, jaką muzykę lubię? Proszę, niech pani przestanie krążyć wokół tematu i od razu przejdzie do rzeczy. Mój

dziadek chciał, żebym porozmawiała z panią, bo uważa, że jestem głęboko zaburzona z powodu tego wszystkiego albo nawet chora psychicznie.

– Nie uważa, że jesteś chora psychicznie, Claro Sue.

– Ale nalegał, żebym się z panią spotkała. Pani jest psychiatrą, prawda?

– Tak. Psychiatrą dziecięcym. – Pochyliła się w moją stronę. – Większość ludzi sądzi, że dzieci nie potrzebują terapii. Co najwyżej więcej dyscypliny. Zdumiewające, jak często stykam się z takim poglądem.

– I tak myśli mój dziadek?

– Gdyby tak myślał, nie należałby na nasze spotkanie, nie sądzisz? I nie prosiłby mnie o rozmowę z tobą, gdybyś była chora psychicznie. Po prostu pogadajmy. Nie zamierzam robić ci testów psychologicznych. Nie ma powodu, żebyś się mnie obawiała.

– Niech pani sobie nie pochlebia. Wcale się pani nie obawiam.

– Dobrze. Po prostu chcę porozmawiać z tobą, żeby trochę pomóc. Przeżyłaś ogromną traumę i przepełniają cię żal i gniew. Nie trzeba być psychiatrą, żeby to stwierdzić. Nie ma zresztą nic złego w skorzystaniu z profesjonalnej pomocy, bo może naprawdę wiele ułatwić. Niejeden dorosły zniósłby taki wstrząs znacznie gorzej od ciebie, wierz mi.

– Szkolna psycholog rozmawiała już o tym ze mną. Ona też jest specjalistką, jak rozumiem.

Znów ten uśmiech.

– W swojej dziedzinie, tak. Psychiatra ma tytuł lekarski, a psycholog – stopień naukowy. Nasze metody w niektórych punktach wydają się podobne, ale ja nie tyle prowadzę terapię, ile diagnozuję choroby psychiczne i przepisuję leki.

– Więc jednak uważa pani, że mam problemy psychiczne – stwierdziłam.

– Ależ skąd. Nie przyjechałam tu z twojego powodu. Nie jesteś moją pacjentką. Zajmuję się dzieckiem, któremu pomaga twój dziadek.

– W takim razie znów miałam rację – zauważyłam z nieskrywaną satysfakcją.

– Ten chłopak ma problemy psychiczne. Czy nie powinien przebywać w klinice psychiatrycznej?

– Ma zdiagnozowaną ostrą paranoję – wyjaśniła. – Leczenie kliniczne przyniosłoby mu jednak więcej złego niż dobrego. Czy wiesz, na czym polega paranoja?

– Powiedziała pani, że świetnie sobie radzę w szkole.

Uśmiechnęła się lekko i nieco odprężyła.

- On się cały czas czegoś boi? I nie ufa nikomu? – podesunęłam.
- Boi się wielu rzeczy, a to przekłada się na jego stan fizyczny. Na przykład problemem jest namówienie go do jedzenia.
- Cóż, skoro został otruty, może mieć uraz do jedzenia. Ja też bym miała.
- Właśnie. Choć nie sądzę, aby w pełni rozumiał, że został otruty.
- Powiedziałam mu o tym.
- Albo w to uwierzył, bo ktoś o tym powiedział – dodała natychmiast.
- Co to może oznaczać?
- Może zrobił to ktoś, kogo kochał i komu ufał. A może nie chce się przyznać, że sam sobie zrobił tę krzywdę.
- Skrzywiłam się.
- Błagam, niech pani nie każe mi w to wierzyć. Lekarze na pewno wypyтали go o to w szpitalu.
- On nie pamięta, jak tam trafił. Dopiero po pewnym czasie uświadomił sobie, gdzie jest, ale przecież wiesz, że nie chciał nic mówić, Claro Sue. Naturalnie zdaje sobie sprawę, że jest chory, ale na razie nic więcej nie udało mi się z niego wyciągnąć.
- To znaczy, że rozmawia z panią?
- Rzadko i tylko jakieś pojedyncze słowa. Trzeba uzbroić się w cierpliwość. To wymaga czasu.
- Czas – mruknęłam. Nienawidziłam obecnie tego słowa. Dla mnie brzmiało jak bluźnierstwo. Wychyliłam się ku niej. – Skąd pani wie, może on tylko udaje, że nie pamięta swojego imienia i że nie potrafi sobie przypomnieć swojej rodziny ani tego, co się z nim działo.
- Zastanawiała się przez moment. Czyżby udawała, że moje pytanie było celne? Albo naprawdę tak myśli? Postanowiłam iść za ciosem. Może uda mi się wyjaśnić pani doktor, co tu naprawdę się dzieje – ona zaś przekaże to dziadkowi i problem z głowy.
- A jeśli chłopiec pochodzi z bardzo biednej rodziny i podoba mu się życie tutaj... I zobaczył, jak łatwo podbić serce mojego dziadka, któremu tak bardzo brakuje Williego, oraz reszty domowników, oczywiście poza mną, więc...
- Nie uważasz, że taki sposób myślenia jest zbyt wyrachowany jak na chłopca, który wygląda na dziewięć, dziesięć lat? – spytała.
- Nie.
- A jak owszem. Z drugiej strony muszę przyznać, że to, co oferował mi twój dziadek, jest dla niego ratunkiem po bardzo traumatycznych przeżyciach.

Chłopiec z pewnością docenia to i pragnie, aby tak pozostało, lecz nie współpracuje.

– Skąd pani wie, co on myśli, skoro prawie nic nie mówi?

– Zajmowałam się dziećmi z terenów ogarniętych wojną, które widziały straszliwe rzeczy. Różnica jest niewielka. Dlatego zasugerowałam twojemu dziadkowi, aby zatrudnił panią Camden. Ona opiekowała się weteranami wojennymi.

– On nie jest ofiarą wojny. Tu nie ma wojny.

– Są różne rodzaje wojen, Claro Sue. Na przykład wojny rodzinne.

– Słusznie. Jak tutaj. Jak u nas.

– Och, nie jest tak źle – zbagatelizowała moje słowa. – Wszyscy się bardzo o ciebie troszczą, nie mniej niż o tego chłopca.

– Pani tak twierdzi.

– Czyżbyś nie chciała w to uwierzyć? – spytała łagodnie. – To zrozumiałe – dodała szybko. – Nie zrobiłaś nic, o co można by cię obwinić. I zapewniam cię, że absolutnie nie uważam, abyś miała problemy psychiczne, które zmuszałyby mnie do przebadania ciebie i leczenia. Powtarzam: twoje reakcje są całkowicie normalne.

– Świetnie, więc niech pani to powie dziadkowi.

– Czujesz się jednak zagrożona, a to jest trochę paranoiczne.

– Trochę paranoiczne? Czy można być „trochę w ciąży”?

Uśmiech pani doktor się pogłębił i chyba miała ochotę wybuchnąć głośnym śmiechem.

– Możliwe. Posłuchaj, Claro Sue, jesteś bardzo ważną częścią wielkiego planu przywrócenia chłopca do zdrowia, jeśli oczywiście wyrazisz na to zgodę. Będiesz się czuć o wiele szczęśliwsza, jeśli zaakceptujesz ten fakt. Bo przecież widać, że teraz jesteś bardzo nieszczęśliwa.

– Owszem, wszyscy tak mówią, ale niedawno straciłam młodszego brata, a ten... dziwny chłopak mieszka w jego pokoju, nosi jego ubrania, bawi się jego zabawkami – po prostu przejął wszystko, nawet jego imię!

– Pomyśl o tym w kategoriach pewnej pożyczki, pomocy w wyjściu z ciemności do światła. Przecież pomagamy ludziom, kiedy są w wielkiej potrzebie, prawda?

– Nie wierzę, że mój dziadek tak po prostu mu pomaga. Myślę, że on... – Zawahałam się.

– Że on co?

– Chce zastąpić nim mojego brata – powiedziałam. – I to już jest prawdziwa paranoja. Moim zdaniem to dziadek potrzebuje pani pomocy, a nie ja.

– I pomagam mu – przytaknęła, czym na moment wprowadziła mnie w osłupienie. Dziadek u psychiatry? – Aktualnie spotykamy się dwa razy w tygodniu.

– Dobrze, choć trochę za mało. Powinien odwiedzać panią pięć razy w tygodniu – prychnęłam.

– Jestem pewna, że nie to chciałaś powiedzieć, Claro Sue. Według ciebie on nie cierpi po utracie wnuka?

Odwróciłam wzrok.

– Nie tak jak ja – wymamrotałam. – Zwłaszcza teraz, kiedy w pokoju Williego zainstalował tego chłopaka.

– A gdyby było odwrotnie? Gdyby to Willie został otruty i porwany, a pomagałby mu ktoś taki jak twój dziadek? Czy miałabyś pretensję do tego człowieka, czy raczej byłabyś mu wdzięczna?

– Ale nie jest odwrotnie! Nie zamierzam się bawić w gdybanie według pani widzimisię! – Wstałam. Łzy zakręciły mi się w oczach, ale postanowiłam, że nie dam jej satysfakcji i nie zobaczy, jak płaczę. Zgarnęłam książki ze stolika. – Niech pani robi, co chce. Ja będę się trzymać z daleka od tego chłopaka. Proszę przekazać dziadkowi, że obiecuję go nie skrzywdzić. I w niczym mu nie przeszkadzać. Nawet na niego nie spojrzę!

– Ależ nikt nie wymaga od ciebie, żebyś trzymała się od niego z daleka. Wręcz przeciwnie. Wszystkim nam zależy, abyś pomogła w uzdrowieniu go. Myślę, że w głębi serca też tego pragniesz.

– Nieprawda. On mnie nie obchodzi. Chcę tylko, żeby wszyscy dali mi spokój.

– Czy możemy jeszcze wrócić do tej rozmowy?

– Nie – uciełam i poszłam na górę. Gdy mijałam pokój Williama, kątem oka zobaczyłam, jak pani Camden obraca ku mnie głowę. Stała obok łóżka, na którym siedział ten chłopak. Zanim zdążyła się odezwać, byłam już w swoim pokoju. Aby uświadomić jej, co czuję, z hukiem zatrzęsłam za sobą drzwi.

Rzuciłam się na łóżko, zacisnęłam pięści i wbiłam wzrok w sufit. Dlaczego tylko ja dostrzegałam tak jawną niesprawiedliwość? Faith, Myra, pani Camden i teraz Aaron uważali, że zachowuję się niegodnie. Według nich to ja powinnam się zmienić, a nie dziadek. Jedynym moim sprzymierzeńcem była „ciepła klucha” – jak nazywał ją dziadek – Lila Stewart. Choć i ona

prawdopodobnie co innego mówiła mi w oczy, a co innego potem powtarzała naszym przyjaciółkom. A teraz jeszcze ta psychiatryca... Wkurzała mnie, choć nie mogłam zaprzeczyć, że zasiała w moim umyśle pewne wątpliwości. Może jednak jestem trochę paranoiczna...

Przewróciłam się na brzuch i wcisnęłam twarz w poduszkę, żałując, że nie mogę się udusić. Wtedy dopiero zrozumieliby swój błąd! Upajałam się tą zemstą zza grobu, wyobrażając sobie, jak gryzłoby ich sumienie; jak żałowałoby każdej pretensji, każdego zarzutu wobec mnie, każdego krytycznego słowa. Dom znów stałby się ponury jak kostnica; pełen żałobników dręczonych poczuciem winy. Siedzieliby tam, płacząc i jęcząc, że tak mnie traktowali. I spoglądaliby na dziadka z wyrzutem i złością. „Clara Sue żyłaby teraz, gdybyś nie wprowadził do domu tego chłopaka. Czemu nie usunąłeś go, choć widziałeś, jak ona cierpi?”. Wujek Bobby na pewno by wstał i wygarnął mu to prosto w oczy. A dziadek Arnold by się jąkał, usiłując się wytłumaczyć, aż wreszcie uciekłby do swojego gabinetu, gdzie nie śmiałby nawet spojrzeć na portret babci, a fotografie moich rodziców kłułyby go w serce jak ciernie.

Ten seans wyobraźni poprawił mi nastrój. Wzięłam głęboki oddech i usiadłam na łóżku, ocierając z oczu parę łez, które pociekły mi z żalu nad sobą. Następnie podeszłam do swojego zestawu stereo i rozkręciłam muzykę głośniej niż zwykle. Kiedy w jej rytmie zaczęłam się przebierać, przyszła mi do głowy nowa myśl. W dolnej szufladzie szafy leżał zestaw kosmetyków mojej mamy. Był stary i wyschnięty, ale po dolaniu odrobiny wody udało mi się uzdatnić tusz do rzęs i cienie do powiek. Mogłam też użyć szminek, a puder wyglądał nieźle. Wyniosłam kosmetyki do łazienki i usiadłam przed toaletką w staniku i w figach. Już ja im pokażę, myślałam. Zejdę na kolację w pełnym rynsztunku.

Zaczęłam z zapałem. Słabo już pamiętałam malującą się mamę, ale przypominałam sobie, jak pewnymi, szybkimi ruchami robiła sobie makijaż. Wyglądała zachwycająco, jak gwiazda filmowa. Dziadek Arnold nie popierał umalowanych dziewcząt, więc niewiele mogłam się od niej nauczyć. Oczywiście eksperymentowałam razem z przyjaciółkami, ale szkolny regulamin praktycznie zabraniał malowania się.

Teraz nie dbałam o szczegóły. Ktoś postronny mógłby pomyśleć, że atakuję własną twarz pędzelkami. Dolałam za dużo wody do tuszu i wszystko zaczęło mi się rozmazywać. Podkład nie pasował do mojej cery, a puder wydawał się

zbyt blady. Próbowałam nałożyć go więcej, ale uzyskałam tylko efekt klauna. Szminki też nałożyłam za dużo i musiałam ten nadmiar zetrzeć. Przy okazji usmarowałam sobie policzek.

Drgnęłam, słysząc pukanie do drzwi. Wstałam i poszłam otworzyć.

– Co się stało? – zapytałam, gwałtownie uchylając drzwi.

W szparze zobaczyłam zaskoczoną panią Camden. Wyglądała, jakby na moment straciła głos.

– Ta muzyka – wykrztusiła wreszcie. – Za bardzo ją rozkręciłaś.

Dopiero teraz dotarło do mnie, o co jej chodzi. Tak się skupiałam na malowaniu, że przestałam słyszeć ten łomot.

– Słyszać aż na dole. Dziadek prosił, żebym sprawdziła, co się dzieje.

Nie odpowiedziałam, tylko cofnęłam się i ściszyłam głośność prawie do zera.

– Lepiej?

– Co ty robisz, Claro Sue? – spytała, wchodząc do pokoju.

– Maluję się do kolacji – poinformowałam ją.

– Ojej. Może ci pomóc?

– Nie potrzebuję niczyjej pomocy – burknęłam.

Stała pośrodku pokoju i wpatrywała się we mnie.

– Chyba jesteś w podłym nastroju – stwierdziła. – Za szybko się denerwujesz.

– Ja się denerwuję? Śmieszne. Przepraszam, ale jestem zajęta. – Odwróciłam się na pięcie i wróciłam do łazienki. Ponownie usiadłam przed toaletką i spojrzałam na swoją twarz w lustrze. Była poznaczona rozmazanymi smugami. Wyglądałam jak klaun, który sfiksował.

Nie miałam wyjścia – musiałam zmyć to wszystko wilgotnym ręczniczkiem. Nagle odwróciłam się, gdyż poczułam, że ona ciągle tu jest. Stała w drzwiach łazienki.

– Mama zabraniała mi się malować. Nawet szminką – wyznała. – Przemycalam ją do szkoły, a potem ścierałam przed powrotem do domu. Czy dziewczyny w twojej szkole się malują?

– Nie. Regulamin zabrania prawie wszystkiego, dopuszcza tylko delikatną szminkę – wyjaśniłam. – Większość szkół stoi na fundamencie z betonu, a moja – na betonowym regulaminie.

Roześmiała się. Spojrzałam na nią, zaskoczona.

– Wcale nie potrzebujesz się malować – zapewniła. – Poczekaaj z tym, aż

będziesz w moim wieku.

– Moja mama się malowała.

– Tak, ale nie na co dzień, prawda? I nawet nie na zakupy.

– No dobrze, malowała się na bale i różne wyjścia.

– Wybierasz się w weekend na prywatkę? – podchwyciła pani Camden.

– Chyba nie.

– Dlaczego nie?

Nie odpowiedziałam.

– Nie możesz się karać bez końca, Claro Sue. To niczego nie zmieni. Jeśli jednak postanowisz pójść, zabiorę cię na zakupy i nawet pomogę w makijażu, o ile przypomnę sobie, jak to się robi.

Odwróciłam się do niej. Odruchowo zmrużyłam powieki i poczułam, że się czerwienię.

– Przecież wiesz, że to na nic, prawda? – wycodziłam, ze złości przechodząc na ty.

– Słucham?

– Próba skumplowania się ze mną. Nie zmienię zdania na temat sytuacji w domu. Szkoda twojego czasu. – Odwróciłam głowę do lustra i zaczęłam zmywać makijaż z twarzy.

Kiedy po chwili ponownie spojrzałam na drzwi, pielęgniarka znikła. Z jednej strony się ucieszyłam, lecz z drugiej czułam żal. Siedziałam zmieszana, nie wiedząc, czy mam płakać, czy się śmiać. Na szczęście dzwonek telefonu uciął te rozterki. Myślałam, że to Lila, ale w słuchawce usłyszałam głos Aarona.

– Powiedz mi, co ja źle zrobiłem – zaczął. – Muszę się uczyć na błędach, jeśli chodzi o dziewczyny.

– Postanowiłeś, że będziesz ze mną chodzić.

– Hę?

– To był twój błąd. Wcześniej jakoś nie mogłeś się zdecydować.

– Owszem, nie mogłem. Usiłowałem przyciągnąć twoją uwagę już od pierwszego dnia szkoły. Wycofałem się, kiedy zginął twój brat.

– Ja unieszczęśliwiam ludzi – ostrzegłam.

– A mnie uszczęśliwiłaś i nie wmawiaj mi, że jest inaczej. Jestem na to uodporniony.

– Kompletnie zgłupiałeś – powiedziałam, ale już łagodniej, i zerknęłam na swoje odbicie w lustrze. – Myślisz, że powinnam się umalować? Chodzi o coś

więcej niż tylko szminka.

– Nie znam się na makijażu, ale uważam, że nie musisz upiększać swojej twarzy.

– Byłabym bardziej seksowna.

– Moje serce mogłoby tego nie wytrzymać – odparł i po raz pierwszy tego dnia szczerze się roześmiała.

– Okay. Przepraszam, że tak cię potraktowałam. Wpadnij po mnie jutro rano.

– Rozłożyłaś na łopatki tę psychiatrycę?

– Już nigdy nie będzie taka sama. Współczuję jej przyszłym pacjentom.

Teraz Aaron się roześmiał.

– Daj spokój, nie mówmy o tym. Zostawmy te tematy, Aaron.

– Bardzo chętnie. Wolę mówić o tobie. W takim razie do zobaczenia rano.

Odłożyłam słuchawkę i od razu poczułam się lepiej. Nie zrobiłam się na bóstwo do kolacji. Zostało jeszcze kilka minut, więc poświęciłam je na odrabianie lekcji. Kiedy wreszcie wstałam, wzięłam głęboki oddech, zerknęłam na swoje odbicie w lustrze i w tym momencie postanowiłam porzucić tę słodką małą dziewczynkę, która dotąd zamieszkiwała moje ciało. Tak jak pozbywamy się butów, które wyszły z mody.

I nagle pokój Williego całkiem mi zubożał – jakby nie istniał. Nikogo tam nie ma, powiedziałam sobie. Nie ma też windy przy schodach i na dole nie czeka żaden wózek. Nie istnieje sala rehabilitacyjna w suterenie dziadka.

A pani Camden? Och, jest tylko gościem, zaproszonym na chwilę do naszego domu.

Poczułam, jak nowy, chytry uśmieszek wygina mi wargi. Zapewne stanę się tak trudna do zniesienia, że zaczną mnie ignorować. Najlepiej by było, gdybym zapomniała, co tu się wydarzyło.

Ale nie mogłam zapomnieć Williego. Nigdy. Wszystko, co uczynię od teraz, będzie służyć mojej pamięci, abym nigdy go nie zapomniała.

Głośno zbiegłam po schodach i ruszyłam do jadalni. Kiedy rozmowa zamilkła na mój widok, uśmiechnęłam się po raz kolejny.

– Umieram z głodu – oznajmiłam i usiadłam. Sięgnęłam po kromkę chleba i pożarłam ją łapczywie.

Cisza.

Widok ich min był bezcenny.

Zupełnie jakby ktoś zupełnie obcy nagle wparował do domu i zajął moje miejsce przy stole.

11

Przy kolacji dziadek Arnold ani razu nie nawiązał do mojej rozmowy z doktor Patrick, o nic nie pytał i nie wspomniał słowem, czy zrelacjonowała mu nasze ostre starcie. Być może powiedziała mu, że najlepszym sposobem okiełznania mnie będzie ignorowanie mojej osoby. I teraz wszyscy usiłowali mnie ignorować. Robili to praktycznie od czasu śmierci Williego. Nienawidziłam tego. Do dzisiaj. Spróbujcie mnie okiełznać, myślałam. Ignorujcie każde moje uczucie i każdą potrzebę. Potrafię być tak egoistyczna jak inni, jeśli trzeba.

Dziadek i pani Camden, jakby znali moje myśli, rozmawiali o wszystkim, tylko nie o mnie czy o chłopcu w pokoju Williego. Może dziadek odgrywał tę scenę, by mi udowodnić, że potrafi się zdystansować do spraw domowych nie gorzej ode mnie. Był żywo zainteresowany panią Camden, jej dzieciństwem i młodością, wykształceniem, karierą zawodową i okolicznościami, które sprawiły, że trafiła do Prescott. Nie powinnam zwracać na nich uwagi, ale ciekawiły mnie jej odpowiedzi.

Niedługo po śmierci męża, jak opowiadała, zatrudniła się jako prywatna pielęgniarka w domu jednej ze znaczniejszych rodzin w okolicy, u Brocktonów. Matka rodu była żwawą osiemdziesięciolatką, lecz demencja postępowała u niej błyskawicznie. Doszło do tego, że nie poznawała własnych dzieci, nie mówiąc już o wnukach.

Zastanawiałam się, jak można zapomnieć własną rodzinę. Od razu pomyślałam o chłopcu.

– A nie była to po prostu amnezja? – zapytałam w nagłym odruchu.

– Amnezja – odparła pani Camden – to zapomnienie o faktach, o osobistych doświadczeniach. Natomiast demencja wiąże się z utratą funkcji umysłowych, jak rozpoznawanie twarzy, racjonalne myślenie, rozumienie słów i zachowań. Następuje utrata pamięci, a nawet znajomości języka, ale to już jest etap skrajny. Pacjentów z amnezją do pewnego stopnia można leczyć.

Kiedy mówiła, patrzyłam na dziadka. Wpatrywał się w tę kobietę z nieskrywanym zachwytem. Zaskoczyło mnie to, gdyż wiedziałam, jak niełatwo jest zrobić na nim wrażenie. Musiał zauważyć, że go obserwuję, bo odchrząknął speszony i pochylił się nad talerzem.

– Cóż, w tych sprawach jestem równie mało oświecony jak Eskimos – stwierdził. – Pora posadzić cię na krę i posłać ją prosto w zachodzące słońce.

– Och, nie bądź taki skromny, Williamie – powiedziała z uśmiechem pani Camden. Zobaczyłam, że lewą ręką dyskretnie musnęła jego dłoń. Nie cofnęła swojej. Za moment podjęli nowy temat.

Piją sobie z dzióbków, pomyślałam. Bóg z nimi. Skończyłam jeść i przeprosiłam, tłumacząc, że muszę dokończyć lekcje. Byłam dumna, że znów udało mi się przejść obojętnie obok pokoju Williego i nie kusilo mnie, by do niego zajrzeć. Liczyłam, że jeśli chłopiec zobaczy moją obojętność, zniechęci się do nas i zapragnie wrócić do swojej rodziny. Usiadłam do lekcji, skupiłam się, porzucając niepotrzebne myśli, i szybko skończyłam pracę domową. A potem zaczęłam się zastanawiać, co założę na imprezę u Audrey. Coś wyjątkowego, wystrzałowego – coś, co by ogłosiło jasno całemu światu: „Ona już nie jest małą dziewczynką”.

Mogłabym poprosić Aarona, żeby pojechał ze mną na zakupy, ale wiedziałam, że szybko znudzi go chodzenie po sklepach. Poza tym chciałam go zaskoczyć swoim strojem. Kusila mnie oferta pani Camden. Interesująca byłaby obserwacja, jak bardzo stara się mi dogodzić. A może robiłaby to nie tyle dla mnie, ile dla dziadka, żeby mu się przypodobać? Ale czemu to właściwie ma mnie obchodzić? Kiedy chłopak stąd zniknie, ona zniknie wraz z nim i szybko o niej zapomnę, pomyślałam.

Szykując się do spania, przemyślałam jeszcze raz sprawę zakupów i postanowiłam jednak sprawdzić panią Camden. Byłam ciekawa, jak zareaguje, kiedy oznajmię, że chętnie skorzystam z jej oferty i pojedę z nią po szkole na zakupy. Czy będzie doradzała mi kreacje, które jej zdaniem zaaprobuje dziadek? Uznałam, że chłopiec na pewno już śpi, a ona wróciła do swojego pokoju, który wcześniej należał do moich rodziców. Uchyliłam drzwi i nastawiłam ucha. W pokoju Williego panowała cisza. Na palcach przesłam pod drzwi pani Camden. Już miałam zapukać, kiedy usłyszałam głęboki śmiech dziadka, a potem i jej. Zamarłam z ręką w powietrzu.

Co on tam robi? Dlaczego drzwi są zamknięte? Dobrze, że nie zapukałam! Nie rozumiałam, co mówią, ale znów usłyszałam śmiech. Odskoczyłam od

drzwi jak oparzona. Śmiech mojego dziadka brzmiał jakoś inaczej. Po raz pierwszy od śmierci babci słyszałam, jak śmieje się szczerze, pełną piersią. Dawniej zaśmiewali się z babcią tak, jakby byli młodymi kochankami. Teraz brzmiał podobnie.

Nie powinno mnie to irytować, a jednak poczułam gniew. Jak mogą się tak świetnie bawić, kiedy trwa jeszcze żałoba? I w domu jest ten nieszczęsny chłopiec? Nowe podejrzenie uniosło swój wstrętny łeb. Czyżby dziadek już wcześniej znał panią Camden? – myślałam, zawróciwszy do swojego pokoju. Może ta cała gadka o jej doświadczeniu w pracy z weteranami z wojenną traumą jest tylko zasłoną dymną, jak nazwałby to dziadek Arnold? Może prawdziwym powodem obecności obcego chłopaka w naszym domu była chęć sprowadzenia tu pani Camden?

Zamknęłam drzwi i usiadłam na łóżku, aby się zastanowić. Przypomniał mi się komentarz Lili, że dziadek jest wielce pożądaną partią. Przyszła mi do głowy niechciana, niewygodna myśl, czy już wcześniej interesował się kobietami. Z drugiej strony pamiętałam, jak bezustannie emablował i komplementował babcię. Ale czy szczerze? Czy tak bardzo mu jej brakowało, jak twierdził? Jak mógł zapragnąć innej kobiety, zwłaszcza tutaj? To babcia urządziła ten dom, dbała o niego, decydowała o każdym meblu i detalu. Pani Camden spała w łóżku, które babcia wybrała dla siebie!

Miłość, myślałam gorzko. Tak łatwo po nią sięgnąć, jak po książkę w bibliotece.

Długo nie mogłam się uspokoić. Umyłam się, położyłam i zamknęłam oczy, ale w uszach wciąż dźwięczał mi ich śmiech. Co teraz robią? Czy rozmawiają o chorym chłopcu? Nie bądź naiwna, Claro Sue. Przecież już dorosłaś. Chyba nie sądzisz, że siedzą i patrzą sobie w oczy?

Dość tego, pomyślałam. Zaczynam od jutra. Będę dorosła. Już teraz, choć na prawdziwą wolność muszę poczekać do czasu ukończenia szkoły i wyjazdu na studia. Jeszcze przez godzinę przewracałam się w pościeli, zanim wreszcie zasnęłam i odpłynęłam w krainę moich nowych sennych marzeń.

W czwartek poprosiłam Aarona, żeby po szkole zawiózł mnie do sklepu. W galerii poprosiłam go, żeby usiadł gdzieś i czekał na mnie, a ja poszukam nowych ciuchów.

– Nie chcę, żebyś snuł się ze mną – wyjaśniłam. – Czułabym się skrępowana. Aaron zaczął się śmiać.

– Moja mama zawsze tak mówi ojcu – powiedział i zniknął w tłumie.

W butik, do którego weszłam, mieli najnowsze fasony z Anglii. Byłam zaskoczona na widok tak krótkich spódniczek. Zmierzyłam jedną, sięgała do połowy uda. Nie schylę się w czymś takim, chyba że będę sunąć plecami po ścianie, pomyślałam. Ale przecież nie szukałam ubrania do szkoły. Spodobał mi się karmazynowy kolor spódniczki, więc dobrałam do niej obcisły top. Dzięki hojności dziadka mogłam sobie pozwolić jeszcze na parę czerwonych pantofli i komplet czerwonych majteczek. Pakowano moje zakupy, kiedy wrócił Aaron.

– Będę zaskoczony? – zapytał, kiedy wracaliśmy do samochodu.

– Myślę, że tak – odparłam. – Inni też.

W piątek atmosfera wyczekiwania gęstniała z godziny na godzinę. Dziewczyny wypytywały mnie, w co się ubiorę, ale kręciłam, że jeszcze nie wiem. Tylko Lila miała jakieś podejrzenia, bo dowiedziała się, że Aaron zawiózł mnie na zakupy. Nie pochwaliłam się dziadkowi ani Myrze, co kupiłam. W piątek późnym popołudniem do mojego pokoju zapukała pani Camden. Kupiłam także nowy podkład, puder oraz cienie do powiek i tusz do rzęs. Sprzedawczyni w sklepie z kosmetykami udzieliła mi kilku rad, zwłaszcza w kwestii cieni do powiek. Pomogła mi także dobrać szminkę. Zanim zjawiała się pani Camden, zdążyłam już wziąć prysznic, a teraz szczotkowałam włosy.

– Cześć – powiedziała. – Przyszłam zapytać, czy może potrzebujesz pomocy przy makijażu.

– Naprawdę umiesz robić makijaż? Przecież prawie się nie malujesz.

– Nigdy w pracy.

Odwróciłam głowę i kontynuowałam szczotkowanie włosów.

– Nie zawsze jesteś tu w pracy – mruknęłam na tyle głośno, żeby słyszała.

Milczała. Odczekałam chwilę i zerknęłam na nią. Przyglądała mi się z dziwną miną.

– Co się stało? – spytałam.

– Nic. Życzę ci dobrej zabawy – rzekła, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła.

Miotaly mną sprzeczne odczucia. Z jednej strony byłam z siebie dumna, gdyż rzuciłam ją na kolana, jak powiedziałaby dziadek, ale przykrość, malująca się na jej twarzy, poruszyła tę miękką część mnie, którą ostatnio uważałam za swoją słabość. Usiłowałam ignorować takie odruchy. Miałam już dosyć płaczu, poczucia krzywdy, lekceważenia i osamotnienia. Byłam zmęczona

ciągłym odgrywaniem ofiary. Niech oni będą ofiarami zmiany. Dzisiaj ja rządę, pomyślałam buntowniczo.

Sięgnęłam po kosmetyki i zaczęłam się malować.

Potem ubrałam się i stanęłam przed dużym ściennym lustrem. Naprawdę wyglądałam jak inna osoba. Teraz było widać, jak rozwinęło się moje ciało. Już wcześniej wychwytywałam taksujące spojrzenia dziewczyn w szatni. Zresztą, sama czyniłam podobne obserwacje, porównywałam swoją figurę do kształtów koleżanek, ciągle pełna obaw, że nigdy nie będę tak ładna i seksowna, jak większość z nich. Podziwiałam ich pewność siebie i zadowolenie z własnej urody. Liczyłam, że ja też będę tak czuła, kiedy wreszcie nabiorę kobiecych kształtów. Na szczęście nie popadłam w obsesję niektórych przyjaciółek, które mierzyły się co tydzień, a może nawet codziennie. Biedaczki z płaskimi biustami chodziły smętne i skwaszone.

Kupiłam dwa nowe staniki, przy czym jeden był naprawdę odważny i ten właśnie założyłam. Przechodziłam od rozmiaru A do B, a ten stanik miał poduszeczki powiększające biust do pełnego rozmiaru B. Kiedy założyłam obcisłą bluzkę, wyglądałam naprawdę seksownie. A może przesadziłam? Czy to nie nazbyt śmiałe?

Bunt nadal buzował we mnie. Zdusiłam w sobie zwątpienie, z zadowoleniem oceniłam makijaż i fryzurę, po czym odwróciłam się i wymaszerowałam z pokoju. Aaron powinien za chwilę się zjawić. Pani Camden, Myra i dziadek siedzieli w salonie i rozmawiali. Stanęłam w drzwiach. Cała trójka spojrzała na mnie, ale żadne nie powiedziało słowa. Dziadek się zaczerwienił. Pani Camden spojrzała na niego, a potem na mnie.

– Kogo my tu widzimy? – skomentowała wreszcie Myra.

Znałam dziadka na tyle dobrze, aby wyczuć, że zamierza wyrazić dezaprobatę, ale ubiegła go pani Camden.

– Ślicznie wyglądasz, Claro Sue – pochwaliła. – Bardzo kobieco i dorośle.

– Czy to takie dziwne? – warknęłam.

– Claro Sue! – fuknął dziadek. – Za komplementy należy dziękować!

Trzy pary oczu patrzyły na mnie.

– Dziękuję – powiedziałam niechętnie. – Idę przed dom. Aaron za moment powinien tu być.

– Pamiętaj, masz wrócić przed północą – zaznaczył dziadek.

Spojrzałam na zegarek, a potem na duży zegar w salonie.

– Spiesz się pięć minut – stwierdziłam i wyszłam.

Nogi mi lekko drżały, ale poczułam się tak świetnie, że chciało mi się śmiać. I śmiałam się, kiedy przyjechał Aaron. Wysiadł z auta, spojrzął na mnie i teatralnym gestem złapał się za serce, udając, że zaraz zemdleje.

– Idiota – prychnęłam i ruszyłam do samochodu.

Aaron obiegnął auto, żeby otworzyć mi drzwi.

– Chcesz mnie porazić swoją pięknnością?

Spojrzałam mu w oczy. Nasze twarze dzieliło parę cali.

– Działasz na własne ryzyko – ostrzegłam.

Uśmiechnął się, spojrzął na dom i pocałował mnie ukradkiem.

– Będziemy się dzisiaj dobrze bawić – obiecał.

– Zależy, co uważasz za dobrą zabawę – zripostowałam, wsiadając.

Omali nie potknął się o własne nogi, tak się spieszył, żeby usiąść za kierownicą.

Chwilę przed odjazdem popatrzyłam w górę, na pokój Williego. Wiedziałam, że to tylko gra mojej wyobraźni, ale zobaczyłam małego chłopca, obserwującego ze smutkiem mój odjazd. Tak zawsze robił Willie, kiedy wychodziłam gdzieś bez niego. Odwróciłam się szybko i podkręciłam radio. Aaron dodał gazu i pędziliśmy do bramy. Czułam się, jakby wystrzelono mnie w kosmos.

Dom Audrey, choć o połowę mniejszy od dziadkowego, był ładnym budynkiem, stylizowanym na ranczo. Jego największy atut stanowiła słynna, ogromna suterena, wyposażona w bilard, szafę grającą, a nawet stół do ping ponga. Był również bar, ale ojciec Audrey wpadł na chytry pomysł, jeśli chodzi o butelki z alkoholem. W napoczętych zaznaczył poziom trunku kawałkiem przyklejonej taśmy, aby później sprawdzić, czy goście nie połaszczyli się na wódkę, gin, scotcha albo bourbona. Piwo było zamknięte w lodówce i mieliśmy do dyspozycji tylko soki, wody i napoje. Charlie Martin natychmiast zasugerował, żeby Audrey dolewała wody do trunków.

– Ja tak robię w domu i rodzice jeszcze nigdy się nie połapali – powiedział.

– Ale mój tata może się zorientować, a wtedy będę miała szlaban do końca roku – odparła.

Była najniższą dziewczyną w klasie i wyglądała jak laleczka, z drobnymi rysami i wielkimi niebieskimi oczami. Od miesięcy prowadziła się z Tedem Davisem. Ted chodził do pierwszej klasy, miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był gwiazdą szkolnej drużyny koszykówki, a widok tej pary nieodmiennie wywoływał uśmiechy na naszych twarzach. Audrey mówiła, że

jej tata nazywa ich Muttem i Jeffem, bohaterami kreskówki z czasów jego młodości.

Było nas dwadzieścioro – spory tłumek, który rozstał się niczym Morze Czerwone, kiedy wkroczyłam z Aaronem do sutereny. Moje przyjaciółki pod wodzą Lili natychmiast mnie otoczyły i zarzuciły pytaniami, gdzie kupiłam spódnicę, bluzkę i pantofle. Wyraźnie się ucieszyły, że wreszcie wyszłam z depresji po śmierci Williego. Wszystkie dziewczyny narzekały na sztywny szkolny regulamin ubraniowy. I wszystkie – oprócz mnie – postanowiły poprosić rodziców, żeby zaprotestowali w naszym imieniu na zebraniu komitetu rodzicielskiego z nauczycielami. Milczałam, bo nie byłam sobie w stanie wyobrazić dziadka domagającego się takich rzeczy.

Szybko się okazało, że Audrey nie musiała uszczuplać zasobów rodzicielskiego barku, bo Tommy Koch przyniósł dwie butelki wódki. Jak nam wyjaśnił, wódki tak nie czuć w oddechu jak innych trunków. Wszyscy chcieli spróbować, ale niektórzy – a zwłaszcza Audrey – nie kryli zdenerwowania.

– Niech nikt mi nie rzyga w domu! – ostrzegła.

Oczywiście chłopcy zapewnili ją, że do niczego takiego nie dojdzie. Kiedy Ted tańczył z Audrey i przygaszono światła, Tommy i dwóch innych koleśków podprowadzili jeszcze trochę wódki z barku jej ojca i dolali wody do butelek. Picie zaczęło się rozkręcać.

Od alkoholu kręciło mi się w głowie i nawet zrobiło mi się trochę niedobrze po zjedzeniu pizzy i kanapek z anchois. Tańczyłam z Aaronem i tuliliśmy się do siebie. Prawie spałam w jego ramionach. Czułam jego wargi na policzku i szyi, a w pewnym momencie, nie zważając na innych, pocałowaliśmy się tak, jak to robią na filmach.

Audrey podeszła do nas.

– Możesz się położyć w mojej sypialni, tylko tam nie nabrudź – powiedziała do mnie.

Propozycja podnieciła mnie i przeraziła zarazem. Jeszcze nigdy nie byłam sama z chłopakiem w sypialni, cudzej ani własnej. Prawdę mówiąc, żaden chłopak nie był u mnie w domu. Aaron był podekscytowany. Oczy mu się rozjarzyły na myśl, jakie to stwarza możliwości. Byłam przekonana, że budzi się w nim podniecenie; że ma już wzwód i fantazje erotyczne, o których szeptałyśmy sobie w naszych dziewczynskich, sekretnych pogaduszkach. Jedna usiłowała udowodnić drugiej, że ma większe doświadczenie w tej dziedzinie. Przeważnie twierdziły, że „zdarzyło mu się to, kiedy tańczyliśmy”.

Zapewniały, że starały się udawać, że nie zauważyły. „Strasznie mi było głupio”, mówiły, choć były i takie, które opisywały, jak to przytulały się jeszcze mocniej i bawiło je zawstydzenie chłopaka. W końcu działało się to na oczach wszystkich.

– Co ty na to? – szepnął mi Aaron do ucha.

Rozmyślnie wybrałam seksowne ciuchy, łącznie z majtkami. Nałożyłam sobie mocny makijaż i zachowałam się jak buntowniczką wobec dziadka, pani Camden, nawet Myry. A skoro tak, mogę nawet złamać zakaz i wrócić później do domu. Raz się żyje, nie?

– Dobrze – odszepnęłam.

Słyszałam jego przyspieszony oddech. Mnie też serce zabiło szybciej. Objęci, tanecznym krokiem ruszyliśmy ku schodom.

– Dokąd idziecie? – zapytała Lila, zanim zdążyliśmy postawić nogę na pierwszym schodku.

Obrzuciłam ją spojrzeniem.

– Opowiem ci, jak wrócę – powiedziałam.

Lila gwałtownie zamknęła usta. Aaron zachichotał.

Wiedziałam, gdzie jest sypialnia, bo kilka razy byłam u Audrey. Dotarliśmy tam w parę sekund. Aaron zamknął za nami drzwi. Księżycowy blask wpadał przez okno z rozsuniętymi zasłonami i oświetlał łóżko. Nie musieliśmy włączać światła. Aaron obrócił mnie ku sobie i pocałowaliśmy się.

– Mam to, co potrzeba – powiedział.

Żadna z dziewczyn z mojej ani ze starszej klasy nie wstydziła się, że wciąż jest dziewicą. Niektóre podejrzewałyśmy o utratę wianka, choć oczywiście się do tego nie przyznawały. Nie wiem, czy słusznie, ale wydawały mi się bardziej dorosłe niż reszta i gardziły „dziecinnymi flirtami”, jak nazywały zaloty niektórych chłopców. Na lekcjach higieny dla dziewcząt uświadamiano nas i ostrzegano, jak ryzykowny jest seks bez zabezpieczeń. Oprócz tego dowiadywałam się na własną rękę i czytałam, co mi wpadło w ręce na ten temat. Nie miałam mamy, starszej siostry ani nawet babci, które doradzałyby mi w okresie dojrzewania. Tego wieczoru byłam zdana na siebie. Jak daleko zaprowadzi mnie wściekłość na dziadka i sytuacja we własnym domu?

Znów się całowaliśmy, a potem Aaron podprowadził mnie do łóżka Audrey i delikatnie na nim położył. Usiadł przy mnie i w trakcie kolejnego pocałunku zaczął rozpinać mi bluzkę. Zdusiłam wewnętrzny opór i pozwoliłam, żeby Aaron zdjął mi stanik i dotknął ustami sutków. Ileż razy fantazjowałam na

temat tej chwili, zastanawiając się, co będę wtedy czuła? I doczekałam się. Fala gorąca napłynęła mi do dołu brzucha i ud. Palce Aarona majstrowały przy zapięciu spódnicy. Przykryłam jego dłoń swoją.

– To jest łóżko Audrey – szepnęłam, jakby ktoś podsłuchiwał.

– No to co? Pozwoliła nam się położyć.

– Jestem dziewczicą, Aaron.

Czy on mnie rozumie? Czy jest uczciwy? Chłopcy lubią się przechwalać swoim doświadczeniem seksualnym. Usiłują udowodnić sobie nawzajem, że są mistrzami w tych sprawach, i puszą się jak pawie.

– No właśnie. Pora uwolnić cię od tego problemu!

– Boję się, że poplamie jej łóżko – wyznałam i Aaron przestał szarpać się z suwakiem.

– Zawsze możesz poplamieć moje – powiedział i znów mnie pocałował. Słyszałam jednak rozczarowanie w jego głosie i czułam to w jego pocałunku.

Usiadłam na łóżku, ściągnęłam bluzkę przez głowę i odrzuciłam stanik na bok. Aaron szybko zdjął koszulę. Ja pozbyłam się spódnicy, on spodni i za chwilę byliśmy nadzy, oszołomieni pożądaniem. Tak daleko nie posunęłam się z żadnym chłopakiem.

Leżeliśmy, tuląc się do siebie. Aaron oderwał usta od moich ust, nabrał powietrza i zaczął sunąć ustami po moim ciele, od rowka pomiędzy piersiami, po brzuchu, do ud. Słuchałam swoich jęków, jakbym słuchała kogoś innego. Słyszałam, jak Aaron wypakowuje prezerwatywę. Usztywniłam się.

– W porządku, jeśli trzeba, poczekam na następną okazję, ale muszę pozbyć się napięcia – powiedział.

Znów przyłgnęliśmy do siebie i zaczęłam wznosić się na fali, niosącej mnie ku spełnieniu. Osiągnęliśmy je razem, a potem trzymaliśmy się kurczowo siebie jak ludzie, którzy boją się utonąć albo odlecieć z wiatrem. Dopiero po długiej chwili przewróciliśmy się na plecy, lecz dalej trzymał mnie za rękę.

– Nie chciałeś mnie tylko wykorzystać, prawda? – upewniłam się.

– Co?

Oparł się na łokciu i popatrzył na mnie.

– Nie zadaję się z dziewczynami, którym chodzi wyłącznie o utratę cnoty czy zaliczenie chłopaka.

– Nie byłabym tu z tobą, gdybym nie chciała z tobą być, Aaron. Brzmi znajomo?

Roześmiał się.

- Czyli nie wyrzucisz mnie rano?
- Och, ty głupolu! – prychnęłam, lecz w głębi duszy byłam poruszona emocjonalną bliskością, jaka nas łączyła.
- Na pewno nie myślisz o bazie domowej? – zapytał.
- Nie rozumiem.
- Na razie zdobyliśmy trzecią, a domowa jest czwarta i ostatnia, jak wiesz. Wiesz, co się niedługo stanie?
- Oświeć mnie, nie mam pojęcia.
- Audrey sprawdzi łóżko i ogłosi wszystkim, że straciłaś cnotę.
- Trudno, zaryzykuję.
- Roześmiał się i znów się położył, otaczając mnie ramieniem. Oparłam mu głowę na piersi.
- Zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc – oświadczył.
- W czym pomóc?
- Wesprzeć cię w trudnej sytuacji w domu. Zrobię wszystko, o co mnie poprosisz.
- Nie trzeba na razie nic robić. Tylko czekać.
- Na co?
- Aż chłopiec przypomni sobie, kim jest i skąd pochodzi.
- A jeśli sobie nie przypomni?
- Wtedy przejdziemy do działania.
- Czyli?
- Pomożemy jego pamięci – odparłam.

12

Aaron odwiózł mnie do domu na długo przed północą. Jako jedni z pierwszych wyszliśmy z imprezy u Audrey. W korytarzu Steve Marks poufałym gestem trącił Aarona w bok.

– Tak wcześnie wychodzicie? – szepnął porozumiewawczo. – Rozumiem, że dostałeś, co chciałeś?

– Martw się o siebie – zbył go Aaron.

Ruszyliśmy z piskiem opon.

– Nie chcę ryzykować, że dostaniesz szlaban – powiedział żartobliwie. – Nie wyobrażam sobie, że miałbym wyć jak zakochany kundel pod oknem twojej sypialni.

Cieszyłam się, że Aaron wypił tylko odrobinę wódki. Ja piłam więcej, ale przestałam, kiedy zrobiło mi się niedobrze. Natomiast Lila chyba przesadziła. Kiedy zesliśmy z Aaronem na dół, siedziała z zamkniętymi oczami w kącie, trzymając się za brzuch. Gdybym w takim stanie trafiła do domu, dziadek chyba zamknąłby mnie w piwnicy. Zwłaszcza że ostatnio robiłam wszystko, żeby mu podpaść.

– Zadbaj, żebyście wytrzeźwieli przed powrotem do domu – Aaron ostrzegł Tommy’ego Kocha. – Bo inaczej się wyda, że przyniosłeś wódkę, a wtedy Audrey wpadnie w tarapaty.

Tommy zaśmiał się, ale minę miał nietęgą.

– Jakie masz plany na jutro? – zapytał Aaron, kiedy zbliżaliśmy się do mojego domu.

Odpowiedziałam, że zamierzam rano pojechać na rowerze na cmentarz, a on zaproponował, że mnie zawiezie.

– Dzięki, Aaron, ale chciałabym być sam na sam z Williem – odparłam.

– Rozumiem. Mogę poczekać w samochodzie tyle czasu, ile trzeba – upierał się. – W końcu jest ci chyba wszystko jedno, czym dotrzesz na cmentarz, nie?

– Dobrze, w takim razie widzimy się o dziewiątej.

– Będę punktualnie. – Zatrzymaliśmy się na podjeździe i Aaron pochylił się, żeby mnie pocałować na pożegnanie. – Ale ze mnie szczęściarz! – powiedział.
– Mam najcudowniejszą dziewczynę w szkole. A teraz jeszcze będzie głównym tematem gorących plotek!

– Założę się, że w domu też – mruknęłam.

Obszedł samochód i otworzył mi drzwi. Zastanawiałam się, czy odstawił taki wersal dla wszystkich dziewczyn, z którymi chodził. Wziął mnie za rękę i pomógł wysiąść.

– Mam nadzieję, że twój dziadek nie śledzi nas z okna? – zapytał, odwracając się plecami do domu.

– Nie – zapewniłam z uśmiechem. – Ukrył się w krzakach.

– Naprawdę? – zachichotał. – To do jutra.

Ruszyłam do drzwi. Czuję, że Aaron odprowadza mnie wzrokiem. Czy każda dziewczyna, czując na sobie spojrzenie chłopaka, zastanawia się, co on sobie myśli? I czy zawsze są to fantazje seksualne? Aaron był moim pierwszym prawdziwym chłopakiem i miałam wrażenie, że intensywnie uczę się nowego języka. Odwróciłam się przy drzwiach. Pomachał mi tym charakterystycznym gestem, który wyglądał jak salut, po czym wsiadł do samochodu i powoli ruszył. Zaczekałam, aż światła znikną w oddali, i weszłam do środka. Marzyłam o ciepłym łóżku, gdzie chciałam spokojnie przeżyć jeszcze raz w myślach wszystko, co zdarzyło się w sypialni Audrey.

W domu było ciemno. Wiele razy widziałam go o tej porze, ale tym razem wyglądał inaczej. On naprawdę się zmienił, pomyślałam. Jakby przestał być moim domem. Cienie się pogłębiły. Z pokoiów ziało pustką, choć wypełniały je cenne meble. Czy niepotrzebnie dramatyzuję, myśląc, że miłość opuściła to domostwo? Cisza zdawała się odpowiadać – tak, tak, tak! Spodziewałam się, że odprowadzi mnie do łóżka, ale kiedy byłam już przy drzwiach sypialni, usłyszałam, jak dziadek woła mnie z salonu.

Siedział w swoim ulubionym, wyściełanym fotelu bujanym. Wyglądał, jakby drzemał i właśnie się obudził. Był w swoim jasnoniebieskim szlafroku, narzuconym na pizamę, i w domowych pantoflach. Wszystkie te rzeczy dostał kiedyś pod choinkę od babci Arnold, w ostatnie Boże Narodzenie przed jej śmiercią. Wszyscy wstaliśmy wtedy o świcie i zgromadziliśmy się przy drzewku, bo Willie ciągle wierzył w Świętego Mikołaja.

Rozejrzałam się. Nikogo innego nie było w pokoju. Spodziewałam się pani Camden, może nawet Myry. Normalnie to ona czekałaby na mnie, ale ciągle

nie doszła do siebie po wypadku i kładła się wcześnie.

– I jak było na prywatce? – zapytał.

– W porządku.

– W porządku? Zabawne stwierdzenie. Kiedy ja byłem w twoim wieku i szedłem na prywatkę, to była albo świetna zabawa, albo nudy.

– Była świetna zabawa – uściśliłam zmęczonym głosem. Musiał mieć wrażenie, że wyciąga ze mnie słowa na siłę.

– W takim razie się cieszę. Bardzo mi zależy na twoim szczęściu, Claro Sue. Wiem, że nie podoba ci się obecna sytuacja, ale mam nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży.

– Jakoś się ułoży? Straciłam prawie całą rodzinę, dziadku!

– Ale zostałem ci ja.

Och, miałam ochotę mu odpowiedzieć, ale się powstrzymałam. Zamiast tego zacisnęłam usta i spuściłam głowę, bo nagle wróciła cała rozpacz.

– Miałem nadzieję, że twój wujek Bobby przyjedzie do nas na Święto Dziękczynienia, ale niestety nie da rady, bo jest zbyt zajęty.

Gwałtownym ruchem uniosłam głowę.

– Będziemy obchodzić Święto Dziękczynienia?

– Przecież zawsze je obchodzimy, Claro Sue. Przez lata przyjeżdżali tutaj twoi rodzice, a czasem my jeździliśmy do nich, choć tego pewnie nie pamiętasz, bo byłaś mała.

– Jak możemy świętować? Za co mamy być wdzięczni? – zauważyłam z goryczą. Na końcu języka miałam pytanie: „Za otrutego chłopca?”.

– Czy sądzisz, że twoi rodzice albo babcia chcieliby, żebyśmy ignorowali rodzinną tradycję? Przecież my żyjemy. I mamy więcej niż przeciętni ludzie w Ameryce. Dlaczego mamy udawać, że tak nie jest?

– Kto będzie na świątecznej kolacji?

– Cóż, Faith jak zwykle przygotowuje dla nas pyszności. Zaproszę do stołu Myrę, panią Camden i może...

– Chłopca? Ma być z nami przy stole?

– Jeśli poczuje się na tyle dobrze. Nic na siłę, choć doktor Patrick twierdzi, że to dobrze wpłynie na proces jego zdrowienia.

– Myślisz, że po indyku szybciej przypomni sobie, kim jest? – spytałam zgryźliwie.

Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu. Widać było, że targają nim sprzeczne uczucia. Miał ochotę huknąć na mnie i odesłać do pokoju, ale nie

chciał pogorszyć i tak już napiętej atmosfery w domu.

– W Dniu Dziękczynienia nie chodzi tylko o indyka, Claro Sue – przypomniał łagodnie.

– Dobrze. Przepraszam, dziadku, ale jestem zmęczona.

– Oczywiście, idź spać.

– Aaron przyjedzie po mnie jutro rano o dziewiątej – rzuciłam.

– Wybieracie się na piknik?

– Nie, dziadku. Na grób Williego. Zamierzam tam jeździć w każdy weekend – oznajmiłam i czekałam na jego odpowiedź. Milczał, więc obróciłam się na pięcie i odeszłam, płosząc ciszę tupotem moich kroków, kiedy pędziłam na górę po schodach. Nie miałam zamiaru przystanąć przy pokoju Williego, ale wyszła stamtąd pani Camden w nocnej koszuli, zostawiwszy drzwi na wpół uchylone.

– Och – powiedziała, zaskoczona moim widokiem. – Jak było na imprezie?

– Fajnie.

– Miał zły sen – poinformowała, ruchem głowy wskazując na drzwi Williego.

– Jaki?

– Nie wiem dokładnie. Pewnie śnił mu się jakiś potwór.

– Więc nie powiedział nic ważnego?

Zawahala się.

– A jednak. Co takiego?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Nic, co miałoby sens, przynajmniej dla nas. Ale powiem doktor Patrick.

– Raczej powiadom policję – rzuciłam i poszłam do swojego pokoju. Dlaczego mam jej ufać? – myślałam. Przecież będzie trzymała wszystko w sekrecie, jak najdłużej się da, żeby nie stracić posady... i może dziadka. Dam jej do zrozumienia, że ją przejrzałam.

Bardziej mnie to podkreśliło, niż sądziłam. Położyłam się do łóżka, pragnąc myśleć tylko o sobie i Aaronie, ale nie udawało mi się. Ten otruty chłopiec zrujnuje mi wszystko, nawet sny i marzenia, irytowałam się.

Wstałam wcześniej, żeby być gotowa na dziewiątą. Dziadek Arnold towarzyszył mi przy śniadaniu, ale niewiele rozmawialiśmy. Czytał gazetę, mamrocząc coś o kongresmenie, który żądał obostrzeń dla transportu drogowego, zwłaszcza w sferze przepisów na temat czasu jazdy kierowców i przebiegów bez odpoczynku. A potem wyszedł, nie wspominając, dokąd się

wybiera. Kiedy Aaron przyjechał, zobaczyłam, że jest jeszcze zaspany. Był w szkolnej czapce, szkolnej koszulce i w dzinsach.

– Czy jechałeś jak lunatyk? – spytałam.

– Nie, nie spałem. Może po prostu tyle śniłem o tobie tej nocy, że jeszcze nie otrząsnąłem się z marzeń sennych. Mama powiedziała, że jem śniadanie w zwolnionym tempie, co odbiera jej apetyt. Moi rodzice bardzo celebrują weekendowe śniadania. Czasami wychodzą nawet na brunch do miasta. – Zerknął na dom i pochylił się, żeby mnie pocałować. – Ty za to jesteś zupełnie rozbudzona – stwierdził.

– Furia mnie napędza.

– O masz, co znowu się stało?

Zaczekałam, aż ruszył.

– Obchodzimy Święto Dziękczynienia.

– Jak wszyscy.

– Myślę, że dziadek chce tego głównie ze względu na chłopca. Lekarze uważają, że dzięki temu szybciej dojdzie do zdrowia.

– Aha. – Aaron zastanawiał się przez chwilę. – Kto jeszcze będzie?

– Jego prywatna pielęgniarka i Myra. Wujek nie może przyjechać. Jego show podbija Broadway. – Spojrzałam na niego uważnie. – Czyżbyś sugerował, żebym zaprosiła i ciebie?

– Byłoby wspaniale, ale nie sądzę, by rodzice mnie puścili. Przyjedzie moja siostra, a do tego zaprosili przyjaciół. Zrobił się z tego niezły spęd.

– U nas też tak kiedyś było, ale wierz mi, że w tym roku nie mam za co dziękować.

Kiwnął głową.

– Może pomyśl o tym w inny sposób: jeśli będziecie pomagać temu chłopcu, szybciej zniknie z waszego życia.

Westchnęłam.

– Nie mam racji?

– Nie. Moim zdaniem dziadek chce zatrzymać go na stałe, choć nie zamierza się do tego przyznać.

– Ale kiedyś chłopiec zatęskni za rodziną, która może nie jest taka straszna, jak się wydaje. Kurczę, przecież każde dziecko kocha swoich rodziców, nawet jeśli nie są idealni.

– Sama już nie wiem – przyznałam. – Kiedy poruszam ten temat, wszyscy w domu skaczą mi do gardła. Usiłuję nie zauważać tego chłopca, co wcale nie

jest łatwe, bo w oczy kłuje mnie podjazd dla wózka, winda na schodach i sala do rehabilitacji, nie mówiąc już o pielęgniarce, która panoszy się tak, jakby była częścią rodziny.

Zamilkliśmy, gdy przed nami zamajaczyła brama słynnego cmentarza w Prescott. Aaron wolno jechał aleją. Pokazałam mu drogę. Zatrzymał się przy kwaterze, zgasił silnik, a ja wysiadłam i podeszłam alejką do grobu Williego. Na razie była tam tylko prowizoryczna tabliczka. Pomnik dopiero powstawał. Miał być wyjątkowy.

Nadal nie mogłam uwierzyć, że Willie jest w tym dole. Nie znosił zamkniętych pomieszczeń i cierpiał, zmuszony leżeć chory w łóżku albo długo jechać samochodem. Przypomniałam sobie, z jaką radością wybiegał z domu, wymachując drewnianym mieczykiem czy korkowcem i udając, że ściga złoczyńców. Każda cząstka jego ciała stale potrzebowała ruchu, żeby rosnąć i się rozwijać. Nie znosił za ciasnych ubrań, a kiedy babcia Arnold kładła go do łóżka i owijała ciasno kołdrą, żeby w nocy się nie rozkopał i nie spadł na podłogę, zawsze głośno protestował. Po wyjściu babci przychodziłam do niego i rozluźniałam kołdrę.

Teraz nie mogłam już nic zrobić dla jego wygody. Uklękałam przy grobie ze spuszczoną głową.

– Widzisz? – powiedziałam. – Obiecałam, że cię odwiedzę, i oto jestem. Wiem, że nie zawsze miałam do ciebie cierpliwość i pewnie bywałam okrutna, ale straszliwie za tobą tęsknię. Nikogo mi tak nie brakuje jak ciebie, Willie. Wierz mi, braciszku.

Rozejrzałam się wokół. Dzień był pochmurny. Wiatr się nasilał i czułam już w nim mroźne, zimowe powietrze. Wkrótce spadnie pierwszy śnieg. Willie zawsze go wyczekiwał z niecierpliwością. Zupełnie jakby śnieżynki miały dzwoneczki, którymi przyzywały na dwór i zachęcały do zabawy w białym puchu. Nigdy nie marzył. Czy teraz marznie?

Zerknęłam do tyłu na Aarona. Wydawało się, że rozmyślnie nie patrzy w moją stronę. Czy ma łzy w oczach? Czy zastanawia się, jaka będę, gdy wrócę do samochodu? Musi mnie naprawdę lubić, skoro zgadza się na takie rzeczy. Jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, że inni chłopcy ze szkoły wożą swoje dziewczyny na cmentarz. Nie potępiałam ich za to. Kto by chciał chodzić z dziewczyną, która wciąż jest w żałobie i więcej myśli o zmarłych niż o żywych? Tym bardziej doceniałam gest Aarona. A uważałam go za cynicznego podrywacza! Może złą opinię puściły w obieg zawistne

dziewczyny, które rzucił? – pomyślałam.

– Mam teraz chłopaka, Willie – wyznałam. – Chyba będę z nim chodzić długo, może nawet przez cały rok szkolny. Nie zdążyłeś go poznać, ale na pewno byś go polubił. W tym roku obchodzimy Święto Dziękczynienia, Willie. Nie chcę, bo ciebie nie będzie. Potem opiszę ci w liście, jak było, i znów do ciebie przyjadę. Nie obawiaj się, że o tobie zapomnę. Nie zapomnę nigdy.

Dotknęłam tabliczki z jego imieniem, a potem wstałam, nabrałam powietrza i wróciłam do samochodu Aarona. Wrona przeleciała mi nad głową. Obejrzałam się, bo zniżyła lot, i zobaczyłam, że wylądowała na grobie Williego.

Ma swoją pupilkę, pomyślałam. To dobrze.

Aaron nie odezwał się, kiedy wsiadłam. Włączył silnik i powoli wyjechaliśmy z cmentarza. Przemówił dopiero na ulicy.

– Masz ochotę na coś dzisiaj po południu? – zapytał.

– Na przykład?

– Może piknik? Pojedziemy nad jezioro Three Wrens i popływamy kajakiem. W sklepie nad brzegiem są kanapki i napoje.

– Niezły pomysł – powiedziałam. – Im mniej czasu spędzam w domu, tym lepiej.

– Chcesz wrócić na chwilę, żeby się przebrać?

– Nie, jest dobrze. Jedźmy. – Aaron spojrzał na mnie zaskoczony. – Dziadek powinien się domyślić, że jestem z tobą. Albo i nie.

Jezioro znajdowało się o godzinę drogi na południe. Wiedziałam, że Aaron usiłuje mnie zagadać, żeby odciągnąć moje myśli od sytuacji w domu i straty Williego. Podsuwał kolejne tematy, opowiadał o szkole, o swojej klasie i planach przyszłorocznych studiów. Miał nadzieję, że przyjmą go do koledżu Williama i Mary w Williamsburgu. Jego ojciec był absolwentem tej uczelni i zarazem hojnym donatorem, więc Aaron miał spore szanse. Do tego specjalizował się w baseballu, a uczelnia miała świetną drużynę.

– Tata chce, żebym studiował ekonomię – mówił Aaron. Gadał nieprzerwanie przez pierwsze pół godziny drogi. Ja milczałam, gdyż nie potrafiłam przegnać ze swoich myśli widoku grobu brata. – Często mi powtarza, że skoro nie tańczę ani nie śpiewam, będę musiał wyćwiczyć głowę do interesów.

Urwał i zerknął na mnie w oczekiwaniu na odpowiedź. A ja milczałam. Od tygodni nie myślałam o swojej przyszłości.

– To fajnie – bąknęłam w końcu i znowu zamilkłam.
– Masz ochotę na łódkę? – zagadnął.
– Nie – odparłam odruchowo. – Prawdę mówiąc, nigdy nie pływałam łodzią i nie umiem wiosłować.

– Serio? W takim razie cię nauczę, a potem ja się zrelaksuję, a ty będziesz wiosłowała godzinami.

Jakby pękły lodowe okowy. Uśmiechnęłam się i odchyliłam na oparcie fotela, nieco odprężona.

Dzień był coraz bardziej pogodny, chmury zniknęły i zrobiło się ciepiej. Zorientowałam się, że Aaron często tu bywał, bo sprzedawca w sklepie od razu go rozpoznał. Kupiliśmy kanapki, chipsy i napoje, a potem zeszliśmy na przystań i wynajęliśmy łódkę.

Jezioro Three Wrens miało trzy mile długości i milę szerokości. Pływały po nim małe motorówki, żaglówki i całe stado kajaków. Facet z wypożyczalni przypomniał, żebyśmy założyli kapoki. Po chwili łódź napędzana równymi pociągnięciami wiosła sunęła gładko i szybko po wodzie. Aaron wyraźnie starał się mi zaimponować.

– Tata dokupił wiosłarza do naszej domowej siłowni – wyjaśnił. – To świetny trening dla mnie jako pałkarza. W zeszłym roku zdobyłem cztery *home runy*. Wiedziałaś o tym?

– Nie chodzę na mecze.

– W tym roku zaczniesz – oznajmił z pewną miną, a ja się roześmiałam. Czułam, że ulatuje ze mnie napięcie. Przymknęłam oczy i wystawiłam twarz do słońca. Rozpuściłam włosy i potrząsnęłam nimi, a potem zanurzyłam palce w wodzie przy burcie, żeby poczuć jej chłód.

– Widzę małe rybki – powiedziałam.

– Powiedz mi, jak zobaczysz rekiny.

– Co?

Zachichotał.

– Chcesz powiosłować?

– Jasne.

Ostrożnie zamieniliśmy się miejscami. Aaron położył moje dłonie na wiosłach i pokazał, jak je trzymać, po czym usiadł za mną, ułożył swoje ręce na moich i pokazał, jak unosić pióra wiosła i ciągnąć nimi w wodzie, jak skręcać i jak unikać chlapania.

– Doskonale ci idzie – pochwalił, po czym przycisnął usta do mojej szyi

i obsypał mój kark pocałunkami.

– Nie mogę się skoncentrować na wiosłowaniu – fuknęłam na niego.

Aaron roześmiał się i usiadł na drugiej ławce.

Coraz sprawniej mi szło i cieszyłam się, że nauczyłam się czegoś fajnego. Jakaś motorówka śmignęła za blisko nas i fale zakołysały łódką. Aż pisnęłam z zachwytu.

– Może się zamienimy? – zaproponował. – Bo dostaniesz odcisków na tych ślicznych rączkach.

Przerwałam wiosłowanie i spojrzałam na swoje dłonie. Były zaczerwienione.

– Podryfujemy sobie chwilę – powiedział Aaron. Podniósł wiosła i ułożył je wzdłuż burty, a potem zsunął się na podłogę i dał mi znak, żebym zrobiła to samo. Oparłam się o niego i tuliliśmy się do siebie. Było zacisznie i ciepło. Głosy i wesołe pokrzykiwania innych ludzi niosły się nad wodą, a silniki motorówek buczały wokół nas. Śliczna żaglówka przepłynęła tuż obok; mężczyzna i kobieta pomachali do nas. Znów przymknęłam oczy. Aaron delikatnie muskał palcami moją twarz i usta. Po chwili zaczęliśmy się całować.

– Lepiej się czujesz? – zapytał. Czułam się wspaniale, ale ciężko mi było to przyznać. Aaron i tak się domyślił. – Nie obwiniaj się za to, że czujesz się lepiej, Claro Sue. Nikt nie wymaga od ciebie, żebyś się dręczyła.

Kiwnęłam głową. Miał rację. Ale nie było to łatwe.

– Wiem, jak poprawić ci samopoczucie – rzekł i wsunął mi rękę pod spódnicę.

– Ludzie zobaczą – zaprotestowałam.

– Nie przesadzaj. A kochanie się na wodzie jest fajne, wiesz, z tym kołysaniem i w ogóle.

Znów gada jak Casanova, pomyślałam i odsunęłam się od niego.

– Przyjechaliśmy tu powiosłować, więc bierz się do roboty – powiedziałam.

– A myślałem, że w innym celu. – Uśmiechnął się. – No dobra.

Znów wiosłował Aaron. Rozmawialiśmy o innych jeziorach, które znał, i o tym, co będziemy robili w czasie bożonarodzeniowych ferii. Jego rodzina nie planowała w tym roku wyjazdu, bo miała przyjechać siostra Aarona. Co najwyżej mieli polecieć razem do Nowego Jorku, żeby zobaczyć jakiś spektakl na Broadwayu. Powiedziałam mu o sukcesach wujka Bobby'ego i Aaron stwierdził, że chętnie obejrzy ze mną ten show. Miałam wrażenie, że snujemy

wspólne plany na przyszłość. On wybiegał myślami do czasu swoich studiów. Williamsburg nie był w końcu tak daleko. Aaron będzie przyjeżdżał do domu na weekendy i widywał się ze mną.

Czy to wszystko jest realne? – pytałam sama siebie.

Wiosłowanie i czyste, rześkie powietrze zaostrzyły nam apetyt. Zjedliśmy wszystko, co kupiliśmy. Trzy godziny później zawróciliśmy, by popłynąć do przystani. Powiedziałam Aaronowi, że to był mój najpiękniejszy dzień od śmierci Williego.

– W takim razie go przedłużymy – zaproponował. – Co powiesz na pizzę, a potem na kino? Odwiozę cię do domu około szóstej. Przebierzesz się, a ja pojedę szybko do siebie i zaraz wrócę. Dasz radę?

– Jasne.

Tyle że nie pomyślałam, że wracam do domu po dziewięciu godzinach nieobecności, podczas której domownicy nie wiedzieli, co się ze mną dzieje.

Dziadek musiał obserwować bramę, bo kiedy podjechaliśmy, czekał już na tarasie ze skrzyżowanymi ramionami i dłońmi wsuniętymi pod pachy – w postawie, która oznaczała, że jest bardzo, bardzo, bardzo wkurzony. Ciało miał napięte i wyprostowane jak struna – wyglądał jak pomnik Gniewnego Dziadka, który ktoś ustawił przed naszymi drzwiami. Zauważyłam, że pogłębiły się bruzdy na jego twarzy. Wyglądały jak podkreślone czarnym tuszem.

– Ups – westchnął Aaron. – Nie wygląda na zadowolonego.

Chciałam znów zademonstrować swoją buntowniczą postawę, ale w spojrzeniu dziadka pojawiło się coś nowego i groźnego, co mnie zmroziło i zdławiło moją świeżo nabytą pewność siebie. W ułamku sekundy znów stałam się małą dziewczynką, którą przerażała myśl, że mogłaby się przeciwstawić dorosłym. Gorączkowo szukałam w myślach usprawiedliwień.

Aaron nie wyszedł, żeby otworzyć mi drzwi auta. Czułam jego strach, więc mój jeszcze się pogłębił. Wysiadłam powoli.

– Powinienem się przywitać? – zapytał Aaron.

– Lepiej nie. Po prostu wyjedź stąd powoli i zadzwoń do mnie wieczorem. – Zatrzasnęłam drzwi. Na twarzy Aarona odmalowała się ulga.

Odwróciłam się i po paru krokach stanęłam twarzą w twarz z dziadkiem Arnoldem.

– Nie raczyłaś nawet zadzwonić, żeby zawiadomić nas, co się z tobą działo przez bite dziewięć godzin – zaczął.

– Pojechaliśmy na piknik nad jezioro Three Wrens – wyjaśniłam.
– Nie mogłaś zawiadomić o tym wcześniej? Rozmawiałem już z ojcem Aarona. I zapewniam cię, że był równie zdenerwowany jak ja.

Mogłam to sobie wyobrazić. Zrobiłam jeszcze parę kroków i stanęłam przed dziadkiem.

– Byłem wobec ciebie wyrozumiały ze względu na wstrząs, jaki przeżyłaś, lecz to nie upowaznia cię do lekceważenia zasad, Claro Sue. Jestem twoim prawnym opiekunem. Kocham cię, ale nie zamierzam tolerować takiego zachowania. Idź do siebie i przemyśl sobie moje słowa. Od jutra znów będzie woził cię Bill. Nie planuj żadnych wyjść na weekend, chyba że wyrażę zgodę. Możesz zaprosić tutaj swoje przyjaciółki, ale jeśli zamarzy ci się coś innego, będziesz musiała mi najpierw udowodnić, że jesteś odpowiedzialną osobą, której mogę ufać. – Otworzył drzwi wejściowe i usunął się na bok.

– To nie w porządku – burknęłam.

– Jest, jak jest – odparł. Nie brzmiał jak mój dziadek. Surowy ton i niewzruszona postawa sprawiły, że odechciało mi się pyskować.

Szybko weszłam do domu, ale przystanęłam na widok Myry i Faith, stojących w holu.

– Przysporzyłaś nam wielkiego zmartwienia – powiedziała Myra.

– Och, dziecko – westchnęła Faith, kręcąc głową.

– Nie jestem dzieckiem! – wrzasnęłam i wbiegłam na schody.

Przystanęłam przy drzwiach Williego. Pani Camden właśnie wyprowadzała chłopca na wózku. Widok tego dziecka o gładko uczesanych złotych włosach zaskoczył mnie. Szybko rozpoznałam koszulę i spodnie Williego. Spojrzałam na buty i skarpetki, po czym przeniosłam spojrzenie na pielęgniarkę.

– Ma ten sam rozmiar buta? – spytałam. Nie wiedzieć czemu, to zaskoczyło mnie najbardziej.

– Tak.

Popatrzyłam na chłopca. Buzia mu się zaokrągliła, a policzki były bardziej różowe niż wcześniej. Jego oczy miały przepiękny niebieski kolor, jakiego nie widziałam u nikogo. Zupełnie jakby to drobne ciało wynurzyło się z otchłani bólu i rozpaczy silniejsze niż wcześniej. Na mój widok na twarzy chłopca rozkwitł uśmiech. Najwidoczniej moje słowa i czyny nie zniechęciły go ani nie przstraszyły. Uśmiechał się dokładnie tak, jak młodszy braciszek uśmiecha się na widok starszej siostry, czekając na jej miłe słowa.

– Nie! – wrzasnęłam i pobiegłam do swojego pokoju.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi z hukiem, który zabrzmiał w moich uszach jak huk opadającego wieka własnej trumny. Rzuciłam się na łóżko i z oczu popłynął mi strumień łez, jakby gromadziły się tam od tygodni, a tama wreszcie puściła.

– Willie – szepnęłam. – Willie...

Wstałam chwiejnie i podeszłam do biurka. Drżącymi rękami wyjęłam papeterię, a z niej jedną kartkę. List miał być krótki.

Kochany Willie!

Nienawidzę dziadka! Pragnę uciec z tego domu, ale nie mam gdzie się podziać, a poza tym nie mogłabym wtedy chodzić na Twój grób. Nie chcę już nigdy odzywać się do żadnego z nich. Oni wszyscy są przeciwko mnie.

Clara Sue

Złożyłam kartkę, włożyłam ją do koperty, a kopertę jak zwykle do dolnej szuflady. Potem wzięłam głęboki oddech i poszłam do łazienki. Długo stałam pod prysznicem, pozwalając, żeby woda zmyła moje łzy.

Nikt nie może zobaczyć, że płakałam.

Zwłaszcza dziadek.

13

Nie zeszłam na kolację, więc Myra przysłała do mnie na górę. Leżałam na łóżku, gapiąc się ze złością w sufit.

- Wszyscy są już przy stole – oznajmiła. – Czekamy na ciebie, Claro Sue.
- Nie jestem głodna – odparłam, nie patrząc na nią.
- Kochanie, nie powinnaś się tak zachowywać.

Milczałam w bezruchu.

– Jezus, Maria, Józefie Świący! Ty i twój dziadek jesteście podobni jak dwie krople wody. Sama już nie wiem, które jest bardziej uparte. Przecież wiesz, że on by cię nie karał, gdyby nie musiał.

Odwróciłam się i spojrzałam na nią. Czułam, jak płomień z moich oczu rozpełza mi się po twarzy.

– Nie obchodzi mnie, co on czuje i czego chce albo nie chce – burknęłam. I nie czekając na odpowiedź, odwróciłam twarz do sufitu.

- Ostatnio w tym domu nikt nie jest szczęśliwy, Claro Sue.
- On jest – warknęłam.
- Kto?
- Chłopiec, którego dziadek każe nam nazywać Williamem.
- Nie wiem, czy chłopiec jest szczęśliwy, czy nie. Ale wiem, że dla niego każdy uśmiech jest jak kropla wody na pustyni – odparła Myra. – I myślę, że od szczęścia dzieli go jeszcze długa, bardzo długa droga. Dzisiaj siedzi z nami przy stole – dodała.

Gwałtownie odwróciłam głowę.

- Na czym miejscu?
- Przecież siedzi na wózku, Claro Sue.
- Ale przy którym nakryciu?
- Obok pani Camden.
- Tam zawsze siedział Willie.
- Ona musi nad nim czuwać. A może chcesz, żeby siedział obok ciebie?

Znów pokazałam jej plecy. Wiedziałam, że wciąż tam stoi, patrzy na mnie i próbuje wymyślić coś, co by mnie udobruchało. Niestety, mój gniew jeszcze się wzmógł.

– Dobrze, jeśli nie chcesz zejść, przyślę ci coś na górę. – W końcu wyszła.

Kiedy zadzwonił telefon, nie miałam ochoty odebrać, ale pomyślałam, że to może być Aaron. Podniosłam słuchawkę i ku swojemu niezadowoleniu usłyszałam głos Lili. Nie byłam w nastroju do słuchania jej opowieści.

– Wydzwaniam do ciebie cały dzień. Zapchałam ci wiadomościami automatyczną sekretarkę. Nie widziałaś, że dzwoniłam? Gdzieś ty się podziewała?

– Byłam z Aaronem – wyjaśniłam. – Nie miałam kiedy sprawdzić wiadomości.

– Cały dzień?

– Prawie.

– Co robiliście?

– Rano pojechałam na cmentarz, a potem wyskoczyliśmy nad jezioro Three Wrens i pływaliśmy łódką. To wszystko.

– Na pewno nie wszystko. – Zachichotała. – Wczoraj w nocy świetnie się bawiliście.

– Kiedy wychodziłam, widziałam, że ty przesadziłaś z zabawą.

– Och, jeszcze dzisiaj bolała mnie głowa, ale przynajmniej nie rzygałam i na szczęście mama się nie domyśliła. Czekala na mnie. Ojciec nigdy nie czeka.

– Dobrze masz.

– Słuchaj, nie bez powodu wydzwaniałam do ciebie cały dzień.

– Co się stało?

– Audrey i Sandra Roth sprawdziły łóżko po waszym wyjściu, a potem Sandra rozpuściła wieść, że kiedy wchodziłaś z Aaronem na górę, nie byłaś już dziewicą.

– Może nie posunęliśmy się tak daleko.

– Serio? Wszyscy mówią, że Aaron Podwell nie poświęciłby dziewczynie nawet pięciu minut swojego cennego czasu, gdyby nie spodziewał się nagrody. Niektórzy już na imprezie gadali o tym, co odkryły dziewczyny, a Sandra rozplotkowała dzisiaj wszem wobec. Sara Combes zadzwoniła do mnie jako pierwsza, a sama wiesz, jaka z niej plotkara! Uznałam, że powinnaś wiedzieć, zanim rozdmucha plotkę.

– One chyba nie mają innej rozrywki. Zwłaszcza Sandra – mruknięłam z niechęcią.

– Ciągłe mnie piłują, żebym zdradziła im wszystkie twoje sekrety – z kim był pierwszy raz, gdzie, kiedy, rozumiesz? Wydzwanają do mnie na okrągło i nie wierzą, kiedy mówię, że nie mam o niczym pojęcia.

Podejrzewałam, że sama chciałaby coś ze mnie wyciągnąć. Czy myśli, że skłamałam na temat siebie i Aarona? Albo uwierzyła w tę wersję, ale chciałaby jako pierwsza poznać moje tajemnice?

– Szczerze ci współczuję, jesteś pod prawdziwą presją – powiedziałam.

– Och, nie chciałam...

– Słuchaj, Lila, muszę kończyć. Zobaczymy się w poniedziałek.

– Poniedziałek? A dokąd się wybierasz dziś wieczorem? Znów gdzieś z Aaronem?

– Nie, mam zaległe prasowanie – wyjaśniłam. Nie miałam zamiaru opowiadać jej o dziadku i jego karach. I tak niedługo się domyśli.

– Co? Prasowanie?

– Zobaczymy się w poniedziałek – powtórzyłam.

– Mogłabym do ciebie wpaść jutro.

– Mam za dużo roboty. Pa. – Zanim Lila zdążyła odpowiedzieć, cisnęłam słuchawkę na widełki.

Jej telefon podsycił tylko mój gniew. Wzięto mnie na języki i osądzono, obrzydając mi radość ze świeżo uzyskanej kobiecości. Plotki, które opowiadano o Aaronie, nie były dla mnie zaskoczeniem. Słyszałam je już wcześniej, ale miałam nadzieję, że są tylko produktem wyobraźni innych, zawistnych dziewczyn, a zwłaszcza Sandry Roth. Nie mogłam jednak zaprzeczyć, iż kręcił mnie fakt, że ten bystry, uwodzicielski przystojniak postrzegany jest przez dziewczyny jako niebezpieczny drapieżca. To dodawało naszym randkom słodkiego posmaku ryzyka, jak zbyt szybka jazda czy zakazany alkohol. Jak szybko zmieniła się moja reputacja! Dawniej takie wiadomości by mnie oburzyły.

Prawdę mówiąc, byłam już zmęczona własnym buntem, ale nie miałam nastroju do lekcji ani też do zejścia na dół i oglądania telewizji. Poza tym słowa Lili wciąż dźwięczały w mojej głowie. Aaron, jakby usłyszał moje myśli, zadzwonił niedługo po niej.

– Duże miałaś pranie? – zapytał od razu.

– Szlaban do odwołania, więc nici z naszego dzisiejszego spotkania. Nie

możesz wozić mnie do szkoły i odwozić do domu. Wracam do limuzyny z kierowcą.

– To nawet dobrze się składa, bo ja przez tydzień nie mogę dotykać samochodu. Będę jeździł z Pauliem Richardsem, który mieszka w sąsiedztwie. Ucieszył się, bo zawsze chciał się ze mną skumplować. On się jeszcze bawi kolejką. To jedyny pociąg, jaki czuje!

Uśmiechnęłam się i opadłam na łóżko ze słuchawką przy uchu. Trzymałam się jej kurczowo, jakby kabel był liną ratunkową. W domu miałam wrażenie, że co chwila pogrążam się w odmętach rozpacz, żalu i gniewu. A teraz jeszcze byłam w nim uwięziona. Marzyłam, żeby Aaron magicznym sposobem wyzwolił mnie z tej opresji.

– Czemu twój ojciec się wściekł? – spytałam. – Też musisz mu się spowiadać, kiedy wrócisz?

– Raczej nie. Chyba podkreślił go twój dziadek, który mu wytknął, że pozwala synowi bez pozwolenia prowadzić się z nieletnią. Nie mogłabyś szybciej dorosnąć?

– Marzę o tym.

– Do kitu z tym szlabanem. Jak można się wkraść do twojego domu?

Roześmiałam się.

– Łatwiej byłoby mnie wykraść.

– A dałabyś radę?

– Zobaczymy. Na razie zaplanowałam strajk głodowy.

– Nie wydaje mi się, żeby to przekonało twojego dziadka. Twardy z niego zawodnik. Może nakazać, żeby cię karmiono przez rurkę.

– Wiem. Sądzę, że będę musiała raczej zastosować handel wymienny.

– W jakim sensie?

– Być miłą.

– Miła? – Niemal słyszałam, jak obracają się trybiki w jego głowie. – Dla otrutego chłopca?

– Jeśli nie będzie wyjścia, tak.

Aaron milczał przez chwilę.

– Zrobiłabyś to dla mnie?

– Dla nas – sprostowałam.

– Wybacz, że wpędziłem cię w kłopoty – powiedział. – Mój ojciec i twój dziadek mają rację, przecież wiemy o tym. Powinienem dopilnować, żebyś najpierw zapytała o pozwolenie. Jeszcze przez dwa tygodnie mógłbym trafić

za kratki, gdybym wywiózł cię poza granicę stanu albo gdybyśmy wpadli w inny sposób, bo w świetle prawa jesteś nieletnia.

– Za dwa tygodnie masz osiemnaste urodziny?

– Tak. Jest nadzieja, że mój staruszek zmięknie szybciej. Na razie urabiam miękkie serce mamy. Muszę cię wyciągnąć z aresztu domowego przed urodzinami, żebyś pomogła mi je przygotować. Planowałem swoją osiemnastkę już jako pięciolatek.

– Możesz liczyć na moją współpracę. Muszę się stąd wyrwać za wszelką cenę.

– Za wszelką cenę?

– Tak.

– Hmm. A dostanę ekstraprezent urodzinowy?

– Zobaczymy.

Zaśmiał się.

Przypomniało mi się w tym momencie, że już dawno temu postanowiłam sobie, że nie stracę cnoty przed osiemnastką. Choćbyśmy byli nie wiem jak niedojrzali, prawo mówi, że od osiemnastych urodzin zaczynamy być dorośli.

– Strasznie mi głupio – kajał się Aaron. – I tak masz ciężko, a ja jeszcze dołożyłem ci problemów.

– Przecież nie porwałś mnie siłą. Mogłam uprzedzić domowników. Nie myśl w ten sposób. – Zastanawiałam się przez chwilę, po czym zapytałam: – Jakie masz plany na jutro?

– Jak to jakie? Będę marzył o tobie cały dzień.

– Kojarzysz plac zabaw dla dzieci w pobliżu posiadłości mojego dziadka?

– Tak, a co?

– Wpadnę tam na rowerze o drugiej. Spotkamy się?

– Huśtawka czy karuzela?

– Zjeżdżalnia – sprostowałam z uśmiechem. – A potem karuzela.

Roześmiał się.

– Będę o drugiej, nawet gdybym musiał przyjść piechotą. Dałaś mi powód, żebym wyrwał się z pętli.

– Lepiej nie żartuj. – Szkoła przez długi czas żyła historią nastolatka, który powiesił się w swoim pokoju, gdy zerwała z nim dziewczyna.

– Dobra, to do zobaczenia.

– Do zobaczenia – potwierdziłam.

Odłożyłam słuchawkę i od razu poczułam się lepiej. Spojrzałam na talerz

z jedzeniem i zaczęłam wybierać co smaczniejsze kąski. Kiedy się najadłam, wstałam i postanowiłam zanieść resztę do kuchni. Przechodząc, zajrzałam do pokoju Williego i zobaczyłam, że nikogo tam nie ma. Z gabinetu dziadka dochodziły głosy, więc przystanąłam i zajrzałam przez szparę w drzwiach. Dziadek pokazywał swoje zdjęcia i trofea pani Camden i chłopcu. Chłopiec siedział wyprostowany na wózku inwalidzkim, słuchając uważnie, ale jak zwykle milczał. Głos dziadka ubarwiała duma, kiedy opowiadał o swoich znajomościach ze znanymi i wpływowymi politykami, z którymi pozował do zdjęć. Ciekawa byłam, co powie, kiedy dojdzie do fotografii, na której byliśmy ja i Willie. W tym momencie dziadek zauważył, że stoję i patrzę, więc szybko odeszłam.

Pani Camden za chwilę przysłała za mną do kuchni, jakby chciała się wytłumaczyć. Myra i Faith siedziały przy kuchennym stole, delektując się angielską herbatą z zapasów Myry. Niania uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła, że odnoszę prawie pusty talerz. Odwróciłyśmy się jak na komendę, gdy weszła pani Camden.

Pielęgniarka mówiła do wszystkich, ale patrzyła na mnie.

– Doktor Patrick uważa, że będzie dobrze dla Williama, jeśli wczuje się w atmosferę tej rodziny, w ciepło domu. To pomoże mu odzyskać pewność siebie.

– William – powtórzyłam z niesmakiem, spoglądając na Myrę. – Ty też tak do niego mówisz?

– Po prostu robimy, co w naszej mocy, żeby wyzdrowiał, kochanie. – Uśmiechnęła się. – Jak mawiał mój dziadek: „Wołaj na mnie, jak chcesz, ale wołaj mnie w porę na kolację”.

Faith zachichotała, pani Camden tylko się uśmiechnęła.

– Mądra rada – rzekła.

– A pytałaś go, czy naprawdę nazywa się Mickey? – zaatakowałam.

– Mickey? – zdziwiła się Faith.

– Nie mówiła wam? Słyszałam, jak wymawiał to imię we śnie.

– Rozmawiałam z doktor Patrick – odparła pani Camden. – Chłopiec nie reaguje dobrze na to imię. Kimkolwiek był Mickey, wzbudza w nim koszarne wspomnienia. To na pewno nie jest imię tego chłopca, Claro Sue.

– Ale nie ma też na imię William – burknęłam i z hukiem odstawiłam talerz na blat.

– Przy okazji proszę cię, Claro Sue, żebyś nie mówiła o nim jako o otrutym

chłopcu. Bo jeśli przypadkiem usłyszy, pamięć traumy zostanie na nowo wzmocniona.

– My zaś staramy się jak najrzadziej nazywać Williama Williem – dodała Myra. – Te imiona brzmią bardzo różnie.

– Nie dla mnie – upierałam się. – Nauczyciele nazywali mojego brata Williamem i słyszałam, jak dziadek parę razy tak się do niego zwrócił.

Odpowiedziała mi cisza.

Stałam tam chwilę, myśląc intensywnie, a potem zwróciłam się do pani Camden:

– Jak zareagował, kiedy dziadek pokazał mu zdjęcie moje i Williego?

– Bardzo posmutniał. Było to wyraźnie widać, więc dziadek szybko przeszedł do swoich pucharów.

– Czy powiedział coś?

– Nie.

– To dziwne, że minęło już tyle czasu, a on nadal normalnie nie mówi, choć wszyscy jesteście dla niego tacy mili.

– Znane są przypadki więźniów wojennych, którzy nie powiedzieli słowa wiele miesięcy po uwolnieniu, choć byli leczeni i trafili pod troskliwą opiekę.

– Tak, wiem, ciepłe kąpiele – przytaknęłam z kpina.

Myra i Faith zmarszczyły brwi, ale nie przejęłam się tym. Może nauczą się, że nie warto rozmawiać przy mnie o chłopcu.

– Planujemy zabrać go jutro na przejażdżkę – powiedziała pani Camden. – Doktor Patrick podoba się ten pomysł. Nowa sceneria mogłaby pobudzić jego pamięć. Dołączysz do nas?

– Jak to, nie wiecie, że mam areszt domowy? – burknęłam i wyszłam. Po drodze zerknęłam do gabinetu. Dziadek zdejmował z półek modele swoich ciężarówek i pokazywał je chłopcu. Williemu nigdy nie pozwalał się nimi bawić. Kupował mu inne. Właśnie zobaczyłam, jak położył chłopcu auto na kolanach. Mały patrzył na niego z uwielbieniem, a dziadek Arnold uśmiechał się do niego promiennie. Tym razem na mój widok nie przestał się uśmiechać.

Wkrótce, pomyślałam, pokocha go bardziej niż Williego, a już na pewno bardziej niż mnie. Mogę zapomnieć o handlu wymiennym, mającym znieść represyjną karę dziadka. Byłam zbyt wściekła i zbyt kiepsko kłamałam, aby udawać miłą dla chłopca.

Tymczasem chłopiec podążył wzrokiem za spojrzeniem dziadka i odwrócił ku mnie głowę. I nagle on też się uśmiechnął. Przysięgłabym, że widzę w tym

uśmiechu błysk satysfakcji. Chciał mi pokazać, że pomimo mojego sprzeciwu udało mu się zdobyć miejsce w sercu dziadka. Z drugiej strony byłam pewna, że pani Camden, doktor Patrick i reszta domowników powiedzieliby, że w ten sposób chłopiec szuka ze mną kontaktu w nadziei, że go polubię, może nawet pokocham jak brata.

Nigdy w życiu! Ktoś kiedyś go podtruwał, a teraz on zatrzał umysły prawie wszystkich domowników. Ale ze mną mu się nie udało. „Jesteście za głupi, żeby to widzieć”, miałam ochotę krzyknąć, ale przełknęłam słowa cisnące mi się na usta i wróciłam do swojego pokoju.

Położyłam się z książką – lekturą z angielskiego, ale nie mogłam się skupić i złapałam się na tym, że jedną stronę czytam kilka razy. Nie domknęłam drzwi, więc usłyszałam, jak pani Camden i dziadek odprowadzają chłopca do pokoju Williego. Rozmawiali i śmiali się. Nasłuchiwałam śmiechu dziecka, ale słyszałam tylko ich dwoje. Pani Camden zaczęła szykować chłopca do snu. A dziadek przyszedł do mnie.

– Podobno Dorian mówiła ci o pomysle zabrania jutro Williama na przejażdżkę – powiedział. – Zapowiada się piękny dzień. Pojedziemy w stronę Richmond. Doktor Patrick uważa, że może to mieć zbawienny wpływ na psychikę chłopca. Podejrzewa, że wcześniej stale przebywał w jednym miejscu albo bardzo rzadko je opuszczał. Gdybyś więc...

– Mam mnóstwo lekcji – powiedziałam. – Może wyrwę się tylko na chwilę na rower.

– Na rower?

– Tak. Potrzebuję trochę powietrza i ruchu, chyba że wolisz, abym skończyła na wózku, jak ten chłopiec? Skoro tak, zagwarantuj mi przynajmniej opiekę wykwalifikowanej pielęgniarki, dobrze?

Cofnął głowę, jakbym splunęła mu w twarz.

– Proszę, Claro Sue, nie komplikuj mi trudnego zadania, jakim jest bycie twoim prawnym opiekunem – powiedział ostrzegawczo.

– Jakoś nie potrafię myśleć o tobie jako o moim prawnym opiekunie – odparowałam. – Zawsze byłeś dla mnie dziadkiem. – Pochyliłam się nad książką.

Nie odpowiedział.

Kiedy zerknęłam za siebie, już go nie było. Leżałam i rozmyślałam o wszystkim, co się wydarzyło. Zastona mroku zdawała się oddzielać ostatnie dni od tamtych jasnych, beztrudnych czasów, kiedy jeszcze żyli moi rodzice,

babcia i Willie. Dawne szczęście brzmiało dla mnie śmiechem i głosami rodziców, śpiewających nam w czasie długich podróży piosenki z własnego dzieciństwa. Willie zasypiał na tylnym siedzeniu, oparty o moje ramię. Był jeszcze taki mały. Otaczałam go czule ramieniem, jak mama – a ona odwracała się od czasu do czasu i uśmiechała się promiennym uśmiechem, który mógłby rozświetlić cały pokój.

Te wspomnienia wydawały mi się coraz bardziej odległe. Odpływały jak dym, poszarpany i porwany przez lodowaty wiatr, dmący spod czarnych, nabrzmiąłych gniewem chmur mojej rozpacz. Próby zatrzymania tych wspomnień przypominały chwytanie pasemek dymu, rozpluwających się w palcach. Wreszcie wpadłam w czarną studnię snu, wypełnioną moimi łzami.

Rano rozmyślnie zeszłam na śniadanie później niż zwykle. Dziadek już skończył i był na terenie posiadłości z Jimmym. Pani Camden w sali rehabilitacyjnej asystowała przy zajęciach chłopca z fizjoterapeutą. Faith pojechała pracować społecznie w kościele w Charlottesville, a Myra była w swoim pokoju. Zostawili dla mnie na stole sok pomarańczowy i moje ulubione płatki bananowe. Zjadłam samotnie i wróciłam do siebie, żeby odrobić lekcje.

Nikt mnie nie szukał w porze lunchu. Zapewne byli zajęci organizowaniem wielkiej wyprawy z chłopcem. W kuchni zastałam Myrę, która zrobiła mi tosty z serem. Próbowała porozmawiać ze mną o mojej postawie i zachowaniu, ale milczałam uparcie, więc zrezygnowała. O wpół do drugiej ubrałam się na sportowo i wskoczyłam na rower, by pojechać na plac zabaw. Nie raczyłam poinformować Myry, dokąd jadę. Byłam wściekła na wszystkich w tym domu. Cieszyłam się, że mogę się stąd wyrwać. Zwolniłam za bramą, obok miejsca, gdzie furgon potracił Williego i Myrę. A potem przyspieszyłam.

Aaron umówił się z Pauliem, żeby zawiózł go na miejsce i odebrał za dwie godziny. W parku było pełno rodzin z dziećmi, szalejących na placu zabaw i brykających na rowerkach. Para nastolatków przyciągnęła przelotne spojrzenia. Niektórzy rodzice znali nas, ale większość spoglądała obojętnie.

– Teraz rozumiem, jak musieli się czuć Romeo i Julia – powiedział Aaron, kiedy się spotkaliśmy. Ruszyliśmy przed siebie alejką. Prowadziłam swój rower.

– Ten romans nie skończył się dobrze – przypominałam mu. Właśnie przerabialiśmy Szekspira na angielskim.

Roześmiał się.

– Znasz potok niedaleko? – zapytał, kiedy skręciliśmy do południowej części parku.

– Nie.

Poprowadził mnie przez wielki, pusty trawnik. Kiedy doszliśmy do lasu, zaproponował, bym zostawiła rower. Podążyliśmy dalej leśnym duktem i po niecałym kilometrze pojawił się spływający ze wzgórza strumień. Weszliśmy na wierzchołek i usiedliśmy, by obserwować wartki nurt wody, toczący się po kamieniach i martwych pniach drzew.

Aaron bawił się przez chwilę źdźbłem żółknącej trawy, a potem chwycił w dłoń cienką gałązkę.

– Widzisz to? – zapytał.

– Tak, i co?

– Mój tata ma takie powiedzenie: „Giętka gałąź się nie złamie”. – I zademonstrował tę prawdę na gałązce, zginając ją w palcach.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– W twoim domu toczy się teraz lokalna wojenka – stwierdził.

– Brawo, Sherlocku Holmesie!

Aaron uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Myślałem o tym cały ranek. Sądzę, że gdybyś wygrała i dziadek pozbyłby się tego dzieciaka, wcale nie byłabyś szczęśliwa, bo miałabyś świadomość, co o tobie myślą domownicy, a zwłaszcza dziadek. Przy czym nie twierdzę, że on postępuje właściwie, pozwalając chłopcu korzystać z ubrań i zabawek twojego brata. I uważam, że za wcześnie wprowadził go do pokoju Williego – dodał szybko.

Milczałam. Aaron nie powiedział niczego, na co bym sama wcześniej nie wpadła. Tylko nie miałam już ochoty o tym myśleć.

– Poruszyłem ten temat ze względów czysto egoistycznych – wyznał Aaron, kiedy się nie odzywałam.

– Jakich?

– Gdybyś była szczęśliwą mieszkanką własnego domu, która pozostaje w świetnych stosunkach z dziadkiem, nie musiałbym tak za tobą tęsknić, bo wtedy moglibyśmy się często widywać, rozumiesz?

Kiwnęłam głową. Podobało mi się takie podejście. Chyba jeszcze nikt nie był przy mnie tak szczęśliwy. Miałam nadzieję, że intencje Aarona są szczerze i że nie uważa mnie za łatwą zdobycz. Trzeba przyznać, że Lila i szkolne plotkary podkręciły moją paranoję. Aaron zauważył, że zamyśliłam się

głęboko.

– Sama sugerowałeś, że mogłabyś zastosować handel wymienny i kupić sobie wolność za uśmiech dla chłopca, prawda?

– Owszem, i nawet byłam tego bliska, ale znów się wściekłam. Dzisiaj chcieli, żebym pojechała z nimi na wycieczkę. Pragną pokazać mu świat, bo tak zaleciła psychiatra.

– Niezły pomysł.

– Gdyby nie on, nie mogłabym się dzisiaj z tobą zobaczyć.

– Liczę, że w następny weekend będzie już normalnie.

– Radzisz mi więc, żebym robiła dobrą minę do złej gry i udawała, że deszcz pada, kiedy na mnie plują? No wiesz, wszyscy w tym domu mają na podorędziu celne powiedzonka i szafują nimi na prawo i lewo.

Aaron zachichotał i padł plecami na trawę, żeby gapić się w niebo. Spojrzałam na niego z góry. Czemu się tak spinasz, Claro Sue? – zapytywałam się w myśli. Przecież któregoś dnia i tak straciłabyś cnotę, nie? A z kim miałabyś to zrobić, jeśli nie z Aaronem? Przecież nie musisz od razu zakładać na palec pierścionka zaręczynowego. Chłopcy w ogóle tak nie myślą. Dlaczego z dziewczynami ma być inaczej?

Miałam wrażenie, że słucham rozmowy w damskiej szatni, a przecież rozgrywała się tylko w mojej głowie. Aaron chyba mnie podsłuchuje, stwierdziłam.

– Co byś zrobiła, gdybyśmy wtedy nie trafili do sypialni Audrey?

– Co bym zrobiła? Nie wiem. Musiałbyś poczekać.

Aaron uniósł się na łokciach.

– A teraz?

– Teraz? – Rozejrzałam się. Byliśmy daleko od alejek, tłumów i budynków. Droga została w dole, za strumieniem i jak dotąd nie widzieliśmy na niej nikogo.

– To miejsce przypomina rajski ogród albo coś w tym stylu. A my jesteśmy jedynymi ludźmi na Ziemi.

– Jak Romeo i Julia? Mówiłam ci, że ta historia źle się skończyła – przypominałam ze śmiechem.

Aaron zdjął kurtkę, zwinął ją i podłożył mi jak poduszkę. Popatrzyłam na niego. Oczy jarzyły mu się podnieceniem. Czy już jest za późno, żeby go powstrzymać? Czy raczej dla mnie jest za późno?

– Lila zadzwoniła do mnie wczoraj i powiedziała, że Audrey i Sandra

sprawdziły łóżko po naszym wyjściu. I rozpuściły plotę, że nie byłam dziewczicą.

– Czyli nie powinnaś mieć zahamowań – powiedział ze śmiechem i nachylił się, żeby mnie pocałować. – Coś nie tak?

– Dziwnie tutaj. Prawie tak jak na łódce.

– Myśl, że ktoś mógłby nas zobaczyć, budzi dodatkowy dreszczyk, prawda? Co by było, gdyby jakiś królik nas zdybał, a potem miał fantazje?

W moim umyśle krążyły słowa: odmowa, rozwaga i dystans – słowa, o których żadna dziewczyna w moim wieku nie powinna pochopnie zapominać. Jestem za młoda. Za krótko ze sobą chodzimy. A jeśli on za tydzień ze mną zerwie? Jeśli powie swoim kumplom i czeka mnie reputacja Sandry Roth? Co będzie, jeśli dziadek i Myra przypadkiem się dowiedzą?

Dlaczego nie pomyślałam o tym wszystkim w sypialni Audrey? Czy chciałam już mieć z głowy kłopotliwe dziewictwo, więc uległam pożądaniu Aarona i własnej namiętności? I teraz wolałam dalej unikać tych pytań?

Aaron znów mnie pocałował.

– Jeszcze nigdy nie czułem do żadnej dziewczyny tego, co czuję do ciebie, Claro Sue – zapewnił. Czy zrobił to z wyrachowania, bo tak wypada?

Kiedyś rozmawialiśmy z Lilą o tych rzeczach, powiedziała mi, że chłopcy mają specjalną instrukcję i listę słówek, które należy powiedzieć dziewczynie, żeby się zgodziła.

Ale ja chciałam wierzyć Aaronowi. Chciałam być z nim bliżej niż z jakimkolwiek chłopakiem. A właściwie bliżej niż z kimkolwiek, bo w moim życiu uczuciowym ziała wyrwa po stracie rodziców, a teraz Williego. Był moim kochankiem i zarazem rodziną. Pragnął mnie z całym moim bagażem. Czy spotkam jeszcze kogoś takiego? Dziewczyny myślą się co do niego.

Świadomość, że Myra, a zwłaszcza Faith byłyby oburzone moją rozwiązłością, również mnie ośmieliła. Teraz jestem samodzielna, powiedziałam sobie. Dzisiaj mam tylko siebie. I sama przed sobą odpowiadam. Sama o sobie decyduję.

Pocałowałam Aarona pierwsza. Było tak, jakbym otworzyła dla nas bramę. Wystarczyło tylko przez nią przejść.

W tym momencie usłyszałam śmiech i błyskawicznie usiadłam. To był śmiech młodych dziewczyn. Dochodził z boku, z lewej strony. Nagle zza drzew wyłoniła się drużyna dziesięciu małych harcerek z zastępową. Zatrzymały się na nasz widok.

Aaron jęknął.

– No super. To pani Elliot. Uczyła mnie w trzeciej klasie podstawówki. Kiedyś zamknęła mnie na godzinę w szatni, bo rzucałem papierowymi kulkami.

Nauczycielka też nas zauważyła i szybko popchnęła swoją trzódkę w innym kierunku. Rozpoznałam siostrę Mindy Cooper, kiedy odwróciła się na moment. Zanim znikła za wzgórzem, posłała nam porozumiewawczy uśmiech.

Jeszcze kilka minut i zaliczylibyśmy katastrofalną wpadkę. Wstałam szybko.

– Hej, co robisz?

– To nie jest czas ani miejsce, Aaron.

– Chciałaś się ze mną zobaczyć, więc pomyślałem...

– Chciałam być z tobą, ale sam widzisz, jak niewiele brakowało do wpadki. Nie tylko mojej – dodałam. – Ojciec mógłby ci zabrać samochód na dobre.

Aaron skinął głową.

– Masz rację. Zawsze wiedziałem, że musiał być jakiś powód, że nie chciałem zapisać się do zuchów.

Wziął mnie za rękę i powoli ruszyliśmy z powrotem.

– Przemyśl moją radę – rzekł, kiedy stanęliśmy przy rowerze. – Postaraj się wkupić w łaski dziadka. Bo chyba nie chcesz się stać damą z Shalott, prawda?

– O co ci chodzi?

– O poemat, który będziecie przerabiać w ostatniej klasie – wyjaśnił, kiedy szliśmy w stronę placu zabaw. – Bohaterką była dama, na którą rzucono klątwę. Siedziała zamknięta w zamku i musiała tkąć kobierce ze scenami, które widziała w lustrze odbijającym świat, bo nie wolno jej było wyglądać przez okno. Pewnego razu, gdy ujrzała pięknego rycerza Lancelota, opuściła wieżę, wypisała swoje imię na znalezionej łodzi i wyruszyła do zamku Camelot, ale z każdą milą słabła i umarła przed osiągnięciem celu.

– Jaka smutna historia.

– Owszem. Dlatego lepiej trzymać się rzeczywistości.

– A zbyt długie oczekiwanie grozi śmiercią.

– Coś w tym sensie.

– Czyli jesteś moim Lancelotem?

– Mogę być, kim zechcesz. – Uśmiechnął się i pocałował mnie.

Naprawdę może?

Czyżbym była niewolnicą tajemniczej klątwy?

14

Zostało jeszcze trochę czasu, więc usiedliśmy z Aaronem na drewnianej ławce przy placu zabaw i rozmawialiśmy do przyjazdu Pauliego. Aaron opowiedział mi więcej o swojej rodzinie, a zwłaszcza o relacjach z ojcem, matką i starszą siostrą. Wyczułam, że mówi mi o sprawach, o których dotąd z nikim nie rozmawiał, dotyczących jego siostry. Z jego słów wynikało, że z wiekiem coraz bardziej ją lubi i coraz bardziej docenia jej uczucie.

Czułam w duchu, że nasz związek staje się niezwykle i głęboki.

Rozwiewał się obraz Aarona, który usiłowały wmówić mi dziewczyny. Widziałam, że jest wrażliwy i czuły, a w pewnych sprawach reaguje równie emocjonalnie jak ja. Czy to z mojej strony naiwność i łatwowierność? A może za wszelką cenę pożałowałam czyjejś bliskości?

Kiedy szliśmy do samochodu, dorośli, którzy znali Aarona i jego rodzinę, oraz paru, którzy znali mojego dziadka i mnie, podchodzili i witali się z nami. Dwie osoby wspomniały Williego i złożyły mi spóźnione kondolencje. Inni unikali tego tematu i byłam im za to wdzięczna. Pani Willow, matka bliźniaków, zagadywała nas najdłużej. Ze sposobu, w jaki się nam przyglądała – ciągle trzymaliśmy się za ręce – można było się domyślić, że musi wspominać własne młode lata i romanse. A może raczej ten jeden, najważniejszy, który będzie pamiętała do końca życia. Może myślała, że nasz jest właśnie taki. Czerwieniłam się, kiedy wszystkowiedzącym tonem powtarzała, że stanowimy piękną parę. Zaczęłam nawet podejrzewać, że flirtuje z Aaronem. Ulżyło mi, kiedy wreszcie się oddaliła, bo jej dzieci zaczęły się nudzić.

Paulie przyjechał i uśmiechnął się tylko, kiedy powiedziałam cześć, po czym szybko uciekł spojrzeniem w bok, jakby samo patrzenie na mnie było zakazane. Jakby się bał, że ktoś zauważy, jak uprzejmie mnie wita. Albo jest chorobliwie nieśmiały, pomyślałam. Aaron pocałował mnie krótko na pożegnanie, przez co Paulie poczuł się jeszcze bardziej zmieszany.

– Przemyśl sobie wszystko, o czym rozmawialiśmy – powiedział Aaron na pożegnanie, wsiadając do samochodu. Aby upewnić się, czy dobrze rozumiałam, dodał: – Dama z Shalott.

Patrzyłam za nimi przez chwilę, a potem wsiałam na rower i pojechałam do domu. I znów, kiedy znalazłam się w miejscu, gdzie samochód uderzył w Williego i Myrę, przystanąłam i wpatrzyłam się w trawnik. Nadal było widać uszkodzenia żywopłotu. To miejsce stało się dla mnie czymś wyjątkowym, niemal miejscem kultu. Tutaj, na chodniku, po raz ostatni widziałam brata żywego. Już nie walczył, a przynajmniej tak mi się wydawało. Nie wiem, czy jeszcze słyszał mój głos, kiedy wołałam do dziadka. Mam nadzieję, że tak.

Nagle przyszła mi do głowy nowa myśl. A gdyby przeżył i jeździł na wózku, jak ten otruty chłopiec? Gdyby miał uszkodzony mózg i nie pamiętał nas, tak jak otruty chłopiec nie pamięta swojej rodziny? Dziadek z pewnością troszczyłby się o niego. A ja w każdej wolnej chwili czuwałabym przy jego łóżku. I płakałabym nocami ze zgrzyoty. Do czasu jego wyzdrowienia nie miałabym prawa być szczęśliwa, zapewne nie chodziłabym z Aaronem i całkowicie bym zrezygnowała z życia towarzyskiego. Co najwyżej zostałabym asystentką pani Camden. Wyobrażałam sobie swoją radość, gdyby dzięki mnie wróciła chłopcu pamięć. Moment, w którym po raz pierwszy wypowiedziałby moje imię, byłby równie wspaniały jak moje urodziny, Gwiazdka i Święto Dziękczynienia razem wzięte.

A przecież tak samo zareagowałby ktoś kochający otrutego chłopca, gdyby ten przypomniał sobie imię, zapoczątkowując drogę powrotu z mroków amnezji. Jedno od początku było dziwne – że nikt, absolutnie nikt nie szukał tego dziecka. Myra wyraziła się kiedyś obrazowo, że jest to: „zagadka w mroku tajemnicy, zamknięta w enigmat”.

Ruszyłam w stronę bramy, zatopiona w myślach. Willie z pewnością by polubił otrutego chłopca, to nie ulegało wątpliwości. Lubił bawić się z rówieśnikami, szybko się z nimi zaprzyjaźniał. Na pewno by się przejął losem nieszczęsnego dziecka i nie dość, że sam chciałby mu pomóc, to jeszcze mnie by o to poprosił. Wierzył, że starsza siostra wszystko potrafi i wszystko wie, a więc jest w stanie pomóc jego koledze. Wydawało mi się, że słyszę jego słowa: „Możesz mu pomóc, Claro Sue. Dzięki tobie wyzdrowieje. Nie pozwól mu cierpieć”.

Lekarze i psychiatrzy, pielęgniarki i opiekunki – wszyscy oni należeli do

świata dorosłych. Bez względu na to, jak bardzo dbałby o niego dziadek i jak czułe byłyby dla niego Faith i Myra, chłopiec by się przed nimi nie otworzył. Co do tego żywiłam niezachwianą pewnością. Czułam, że tylko ja zdołam dokonać przełomu w tej sprawie. Cóż z tego, skoro byłam egoistyczną, upartą oślicą, która odmawia pomocy nieszczęśliwemu dziecku. Ale gdybym tylko się postarała, mogłabym sprawić, że odnajdzie się rodzina chłopca i problem zniknie. Bo przecież on musi tęsknić za swoimi bliskimi, jak każdy z nas. Czyż nie powinnam mu pomóc, nawet dla własnego dobra? Aaron ma rację. Dziadek traktowałby mnie lepiej, gdybym współpracowała. Poza tym, gdybym zaczęła postrzegać moją pomoc w kategoriach zdrowego rozsądku, przestałabym nienawidzić siebie za bezdusność i egoizm. I na pewno poczułabym się lepiej.

Tylko czy potrafię dojść ze sobą do ładu? I czy na pewno tego pragnę?

Dobrze, ale bez względu na to, co zrobię, nigdy nie nazwę go Williamem, przysięgam sobie. I już na wstępie dam mu to do zrozumienia.

Odstawiłam rower i weszłam do domu. Od razu wyczułam, że coś się stało. Podekscytowanie wisiało w powietrzu; pokojówki uwijały się jak w ukropie, a Myra sypała rozkazami i rozdzielała reprimendy. Stała w holu, odwrócona do mnie plecami, rzucając komendy niczym treser lwów. Podeszła do mnie w pośpiechu.

– Co tu się dzieje? – spytałam.

– Nowe pokojówki doprowadzają mnie do szewskiej pasji! Bezcelnie się obijają, kiedy są potrzebne, więc musiałam pogonić je do roboty.

– A co się stało?

– Och, twój dziadek nie odjechał daleko – ciągnęła, wyraźnie podekscytowana. – Kojarzysz starą posiadłość Clarence’a Farminghama przy drodze do Richmond?

– Tak. Słynny nawiedzony dom, w którym, jak wieść głosi, czternastoletni Clarence Farmingham osiemdziesiąt lat temu zabił swoich rodziców. – Nagle oczy mi się rozszerzyły. – Zaraz... przecież on ich otrął, tak?

– Otóż to, moja droga! Otóż to! Potem nikt nie chciał tam zamieszkać – ani krewni, którzy to odziedziczyli, ani obcy. Nie udało się też sprzedać tego domu. Stał pusty przez lata, ale rodzina Farminghamów utrzymywała go w dobrym stanie, podobnie jak cały teren. Twój dziadek wspominał, że zamierzali zmienić posiadłość w pewnego rodzaju muzeum, dom strachów, dostępny dla zwiedzających, ale władze szybko ukróciły te zapędy. To

pseudogotycki budynek, z wieżyczkami, łukami i kominami. Brakuje tylko fosy. Przypomina mi dom z sąsiedztwa w moim rodzinnym Surrey. Utaił się zwyczaj chodzenia tam w nocy Wszystkich Świętych.

– Rozumiem, w Halloween. Ale co to ma wspólnego z przejażdżką, na którą dziadek i pani Camden zabrali chłopca?

– Już ci mówię. Początkowo, jak opowiadała pani Camden, wszystko szło dobrze. Do momentu, aż pan Arnold skręcił w drogę, gdzie zza zakrętu wyłania się nagle dom Farminghamów i wydaje się, że zaraz w niego wjedziesz. Robi naprawdę przerażające wrażenie. Pamiętam, jak pierwszy raz...

– Pamiętam, opowiadałaś mi. No i co dalej? – przerwałam jej niecierpliwie.

– Przecież do tego zmierzam, kochana. Kiedy wyjechali zza tego zakrętu, William na widok domu zaczął krzyczeć i wpadł w histerię.

– Dlaczego?

– Tego nie wiemy, ale zdaniem pani Camden biedaczek myślał, że wiozą go do jego rodzinnego domu.

– Do Farminghamów? Co on może mieć wspólnego z domem Farminghamów? – Udzieliło mi się jej podekscytowanie.

– Nie mam pojęcia. Oficjalnie nikt tam nie mieszka, ale nie można wykluczyć obecności dzikich lokatorów.

– I co zrobili?

– Pan Arnold natychmiast zawrócił, a pani Camden tuliła chłopca i pocieszała go, jak mogła. Podobno robił wrażenie złodowaciętego, a oczy zapadły mu się w głąb czaszki. Wyglądało to strasznie. Pędem wrócili do domu i wezwali doktor Patrick. Teraz jest z chłopcem na górze, razem z panią Camden. A tymczasem te pokojówki nie zdążyły zrobić góry i...

– Gdzie dziadek?

– Pojechał do domu Farminghamów sprawdzić, czy ktoś tam mieszka albo mieszkał. Jest z nim policja.

Pokręciłam głową, oszołomiona wieściami. Jeśli rodzina chłopca odnajdzie się w nawiedzonym domu, sprawa zaraz się rozwiąże. Wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Może rodzina Farminghamów rozrzuciła tam trucie na szczury, a chłopiec został porwany i trzymano go w tym domu. Zatrął się i kiedy był umierający, odwieźli go do szpitala i uciekli. Albo przywieziono go z innego stanu, żeby uniknąć zainteresowania lokalnej prasy.

– Twój dziadek wniósł go na górę. Chłopiec sprawiał wrażenie nieprzytomnego; ręce zwisały mu bezwładnie jak u marionetki – opowiadała

Myra, kręcąc głową i przygryzając dolną wargę.

– Czy coś mówił, kiedy się tak przeraził?

– Pani Camden powiedziała, że bełkotał tylko nieskładnie i nie rozumiała ani słowa. A potem zasnął. Biedne dziecko.

Kiwnęłam głową i poszłam na górę. Myra znów zaczęła tresować służbę. Drzwi pokoju Williego były zamknięte. Stałam przez chwilę, nasłuchując, ale wokół panowała cisza, więc wróciłam do siebie. Dziwne, ale opowieść Myry wprowadziła mnie w drżenie – a zwłaszcza moment, kiedy dziadek Arnold wnosił bezwładne ciało chłopca na górę. Przedtem nawet mi przez myśl nie przeszło, że chłopiec mógłby u nas umrzeć. Ale dziecko też może mieć atak serca, nie? Jak groźny? Co będzie, jeśli mały umrze i nie dowiemy się niczego o jego rodzinie? I nie poznamy nawet jego imienia i nazwiska?

Czy dziadek pochowałby go na cmentarzu w Prescott i obok siebie stanęłyby tam dwa nagrobki Williama Arnolda? Czy po jego śmierci wszyscy by mnie znienawidzili za to, że byłam dla niego okropna? A gdyby nawet nie umarł, dziadek mógłby w końcu dojść do wniosku, że jego zdrowie jest zbyt słabe, aby mógł przebywać w naszym domu. I doktor Patrick przeniosłaby chłopca do jakiejś kliniki albo hospicjum. Czy zatem powinnam się teraz cieszyć? Więc czemu drzę, jakby coś było nie tak?

Wyjrzałam na korytarz, bo usłyszałam głosy. Pani Camden z doktor Patrick szły w stronę schodów i rozmawiały. Oczekałam, aż zeszły na dół, i zajrzałam do pokoju Williego. Chłopiec spał. Przyglądałam się mu przez chwilę. Wyglądał jak martwy. Leżał nieruchomo i w słabym świetle jego twarz miała barwę popiołu. Jak poważny był ten atak? Dlaczego nie zawieźli go do szpitala?

Stałam jeszcze chwilę, a potem zeszłam na dół. Pani Camden i doktor Patrick dochodziły właśnie do drzwi. Na mój widok stanęły.

– Wyślecie go do szpitala? – zapytałam nerwowo. – Przecież w każdej chwili może umrzeć!

– On nie umiera, Claro Sue. Fizycznie nic mu nie dolega – odparła doktor Patrick. – Śpi spokojnie. Podałam mu odpowiednie leki i jestem pewna, że po przebudzeniu będzie czuł się dobrze.

– Ale on chyba zwariował? Powinien trafić do psychiatryka.

Kobiety w milczeniu zmierzyły mnie wzrokiem.

– Nie – zaprzeczyła po chwili doktor Patrick łagodnym tonem. – On nie zwariował. Tak nie można tego określić. Chodzi o syndrom, który nazywamy

traumatycznym przebłyskiem pamięci. To nagłe przypomnienie sobie dramatycznych przeżyć, połączone z szokiem równym temu, jakiego się kiedyś doznało. Mogą wywołać go skojarzenia związane z podobną sytuacją lub tego typu czynniki. Pacjent zostaje zmuszony do zmierzenia się ze wspomnieniami, które wyparł.

– Dobrze, ale co to za wspomnienia? Co mają wspólnego z domem Farminghamów?

– Tego jeszcze nie wiemy – przyznała pani Camden.

– Czy atak może się znów zdarzyć?

– Niekoniecznie w tej formie, ale może. Nie mamy pewności, czy jakieś zdarzenie lub inny czynnik nie wywołają kolejnej emocjonalnej reakcji – odpowiedziała doktor Patrick suchym, zawodowym tonem.

– Czy to nie straszne? – zapytałam, przenosząc spojrzenie z jednej kobiety na drugą.

– Tylko pozornie. Sądzę, że nastąpił pewien przełom – odparła doktor Patrick, znów tym swoim wyważonym, spokojnym głosem, który sprawiał, że miałam ochotę rzucić się na nią z pazurami. Jakby chciała mi pokazać, że moje pytania są głupie i niepotrzebne. – Z czasem przepracuję to z nim, aby zrozumiał, że cokolwiek się wydarzyło, nie było z jego winy. Takie przekonanie jest często przyczyną cierpienia pacjenta.

– A jeśli było z jego winy?

– Dowiem się, czego mu potrzeba, i spróbuję przywrócić go do normalności.

– Lekki uśmiech zaigrał na jej wargach. – Czyżbyś wreszcie zainteresowała się jego losem?

Nie odpowiedziałam. Trudno mi było to przyznać, ale musiała odgadnąć odpowiedź z mojej miny.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Mogłabyś nam pomóc, Claro Sue, a przy tym sporo się nauczyć. – Nadal milczałam, więc zwróciła się do pani Camden: – Wrócę jutro rano. Najważniejsze – znów zwróciła się do mnie – żeby nie wzbudzać w nim poczucia winy.

Pani Camden otworzyła przed nią drzwi. Doktor pożegnała mnie promiennym uśmiechem. Odwróciłam się szybko, krzyżując ramiona na piersi. Głowę miałam opuszczoną, jakbym nie wytrzymała ciężaru myśli.

– Twój udział w wycieczce prawdopodobnie by nic nie zmienił – powiedziała pielęgniarka. – Nie musisz dręczyć swojego sumienia.

– Ja nie mam wyrzutów sumienia, pani Camden – warknęłam.

– Dorian – poprawiła mnie i weszła na schody. Odprowadziłam ją wzrokiem, po czym udałam się do salonu. Tam ze złością opadłam na kanapę. Byłam wściekła, głównie na siebie. Bardzo pragnęłam wzbudzić w sobie niechęć do tej kobiety. I olać doktor Patrick. Czy nawet zdystansować się wobec Myry i Faith. A nade wszystko pragnęłam zniechęcić dziadka. Tymczasem, ku mojemu zdziwieniu, nie zalała mnie fala nienawiści. Przeciwnie, miałam pretensję do siebie.

I kto jest teraz najbardziej samotny w tym domu – otruty chłopiec czy ja?

Po pewnym czasie usłyszałam, jak otwierają się drzwi frontowe, i pojawił się dziadek. Był spięty i zdenerwowany. Miałam wrażenie, że obwinia się o atak chłopca. Mruczał coś do siebie, zdejmując w holu rękawiczki samochodowe. Wtem zobaczył mnie w salonie.

– I co znalazłeś w domu Farminghamów? – zapytałam szybko, żeby nie zdążył skomentować mojego zachowania.

– Już wiesz?

– Tak. Więc co? Czego się dowiedziałeś? Znalazłeś jego prawdziwą rodzinę czy chodzi o porywaczy?

Dziadek wyraźnie się zastanawiał, czy mnie poinformować, czy zbyć, ale w końcu rozsiadł się w swoim ulubionym fotelu i rozpiął czarną, skórzaną marynarkę. Włosy miał zmierzwione, jakby przed chwilą nerwowo przeczesał je palcami. Odgarnął kosmyki z czoła.

– Nie ma śladów czyjejs bytności, ani teraz, ani dawniej – powiedział. – Dom jest w niezłym stanie i widać, że ktoś o niego dba. To naprawdę ładna posiadłość.

– Więc on nie pochodzi stamtąd? Nigdy tam nie mieszkał? – spytałam, nie kryjąc rozczarowania.

Dziadek pokręcił głową.

– Nie, ale to domostwo może przerazić dziecko. Pamiętam, jak ty się przestraszyłaś, kiedy jechaliśmy tamtędy o zmierzchu i budynek wyglądał jak... sama powiedziałaś, że to dom duchów.

– Ale najwidoczniej mam mocniejsze nerwy. Nie wrzeszczałam. Nie dostałam ataku. Doktor Patrick nazwała to traumatycznym przebiegiem pamięci.

– Tak? Pani doktor ciągle tu jest?

– Niedawno wyszła.

– A on jak się czuje?
– Dała mu coś na sen.
– To dobrze. W takim razie porozmawiam z Dorian i zorientuję się w sytuacji. Strasznie jest widzieć takiego malca tak przerażonego. – Zaczął podnosić się z fotela.
– Przykro mi – powiedziałam szybko. – Nie chcę, żeby cierpiał.
Dziadek kiwnął głową i stał, jakby oczekiwał, że przeproszę za swoje wcześniejsze zachowanie, ale na to nie byłam jeszcze gotowa.
– Tęsknię za moim bratem – wyznałam zamiast tego. – Bardzo. Musiał być straszliwie przerażony, kiedy ten samochód pędził prosto na niego i na Myrę.
Rysy dziadka złagodniały.
– Wiem, Claro Sue. Wierz mi, nie ma dnia, abym o nim nie myślał czy też o tym, że nie zrobiłem nic, by zapobiec nieszczęściu.
Zacisnęłam wargi w wąską linię. Byle się nie rozpłakać.
Dziadek zawrócił na fotel.
– Nie mogę spędzić reszty życia w żałobie, Claro Sue. Przeżyłem już swoją porcję cierpienia, nie zamierzam jednak uzalać się nad sobą. To prowadzi donikąd, a z czasem nawet przyjaciele czy ludzie, którzy cię lubią, mają dosyć okazywania ci współczucia. Wiem, że moje słowa brzmią okrutnie, ale tak już jest. Mam ciebie, mam Bobby’ego, a teraz jeszcze tego nieszczęśliwego chłopca, któremu muszę pomóc. Ten, kto go skrzywdził, będzie smażył się w piekle. Ile razy o tym pomyślę, dławi mnie wściekłość, i za wszelką cenę usiłuję dociec prawdy. To mój moralny obowiązek.
Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zagniewanego niż zazwyczaj. Ale wziął głęboki oddech i opanował gniew.
– Zrozum, życie rządzi się swoimi prawami – ciągnął. – Co nie znaczy, że mniej kocham Williego i ciebie. Mam nadzieję, że nie będziesz pielęgnowała w sobie żalu.
Patrzyłam, jak odchodzi, lekko przygarbiony, choć wcześniej zawsze trzymał się prosto. Wzięłam głęboki oddech, otarłam łzy, które już zdążyły popłynąć, po czym wstałam i poszłam sprawdzić, co Faith przygotowała na kolację.
Zauważyłam, że spięła się na mój widok – być może z powodu ostrych słów, które ostatnio mówiłam, nie zważając, że drży o zdrowie chłopca.
– Przepraszam, że byłam dla ciebie niemiła, Faith – powiedziałam.
Przerwała wyrabianie ciasta i spojrzała na mnie.
– Nie jesteś zła ani samolubna, Claro Sue – zapewniła. – Wiem to. Po prostu

każdy ma lepsze i gorsze chwile. I choćbyś nie wiem, co zrobiła czy powiedziała, nic nie zmieni mojego zdania o tobie, dziecino.

Uśmiechnęłam się i pokazałam na piekarnik.

– Upieczesz mi kiedyś swój słynny chleb z mąki kukurydzianej?

– Oczywiście, ale to nic specjalnego.

– Nieprawda. Tam jest tajny składnik. Babcia Lucy mi mówiła.

Faith się roześmiała.

– Dobrze, ale jeśli to sekret, nie mogę ci zdradzić przepisu, prawda?

Kiwnęłam głową. Faith rozłożyła ramiona, a ja rzuciłam się w jej objęcia.

– Wiem, że cię boli – powiedziała. – I wiesz, że my też cierpimy.

Znow kiwnęłam głową i spojrzałam w stronę piekarnika. Kuchnię wypełniał cudowny zapach.

– Szynka w pomarańczach?

– Tak. Twój dziadek prosił o nią wczoraj. Jego ulubione danie.

– Moje też. Dzisiaj nie będę grymasić – obiecałam i pognałam na górę. Spieszyłam się, żeby zadzwonić do Aarona i zdać mu relację.

– Dom Farminghamów – powtórzył, kiedy wyrzuciłam z siebie nowiny z szybkością karabinu maszynowego. – To może być przełom.

– Owszem, ale nie zdołali wyciągnąć z chłopaka nic sensownego. Musiało być niezłe zamieszanie. Dziadek wyglądał tak jak w dniu śmierci Williego. I reszta też.

– Ale ty nie. Ty się wyróżniasz.

– Zobaczmy. Może uda mi się zgnać gałązkę i nie złamać jej.

Roześmiał się.

– Posłuchanie mojej rady będzie cię sporo kosztowało – ostrzegł.

– Ufam ci – zapewniłam. Jak blisko od takich słów do „kocham cię”? Czy nie lepiej powiedzieć komuś, że się go bardzo lubi? Przecież nie ma miłości bez zaufania, prawda? A lubienie nie musi być zaraz wielkim uczuciem; może się wiązać z pociąganiem seksualnym.

Myra porównywała to obrazowo do gromadzenia sum na koncie osoby, którą darzy się sympatią. „Prawdziwej przyjaźni nie dostaniesz za darmo, kochanie” – powiedziała mi pewnego razu, kiedy skarżyłam się, że dziewczyny z mojej klasy są niemiłymi snobkami. „Powinno się inwestować w ludzi tak, jak inwestuje się w obligacje albo w nieruchomości”.

– Widzę, że przejęłaś się losem damy z Shalott – powiedział Aaron.

Żartował sobie? A może nie?

– Wolałabym dopłynąć szybciej – odparłam.
Roześmiał się, a potem zamilkł na tak długo, że się zaniepokoiłam.
– Hej, zasnąłeś?
– Wiesz, zacząłem cię obserwować, kiedy byłeś w dziewiątej klasie. Po prostu nagle dostrzegłem w tobie coś wyjątkowego, a potem rozkwitłaś jak róża w ciągu jednej nocy.
– Czyś ty przypadkiem nie naczytał się poradników w stylu „Jak zdobyć serce dziewczyny”?
– Mówię szczerze, Claro Sue. Zapytaj Skipa, Brada czy Pauliego.
– Gdyby cię przyłapano na rabowaniu banku, wszyscy trzej na pewno daliby ci alibi.
Znów się roześmiał.
– Dobra, widzę, że muszę inaczej udowodnić swoją szczerłość.
– Pokombinuj. Na razie kończę, bo muszę nakryć do stołu. Widzimy się jutro.
– Ach, przypłyńcie dama z Shalott. Czas się przygotować!
Nagle poczułam się lekka i radosna, jakbym dostała zastrzyk nadziei. W podskokach wybiegłam na korytarz, ale przystanęłam pod drzwiami pokoju Williego i zajrzałam do środka. Chłopiec już się obudził. Siedział na łóżku i powoli przewracał strony jednej z książek z bajkami mojego brata. Czytał opowieść *Jak Chłopiec Żebrak zamienił się w Księcia Piro*. Dobrze pamiętałam tę bajkę o sprytnym lisie, który pomógł biednemu chłopcu pojąć za żonę księżniczkę i stać się bogaczem.
– Podoba ci się ta historia? – zapytałam. Był tak zaczytany, że nie słyszał, jak weszłam do pokoju. Gwałtownie podniósł głowę. – Jesteś Chłopcem Żebrakiem?
Spojrzał na obrazek w książce, a potem znów na mnie. Nie odpowiedział, ale nie miałam wątpliwości, że mieszkając tu z nami, pod opieką dziadka, ze służbą na każde skinienie, podarkami i zabawkami, musiał się poczuć jak książkę. Pomyślałam, że nie mogę go za to winić.
– Poczytam ci – zaproponowałam i wyjęłam mu książkę z ręki, a potem usiadłam na krawędzi łóżka. „Pewnego razu żył sobie leniwy, głupi chłopak, który nigdy nie robił tego, o co go proszono...”. Zerkiałam na chłopca z ciekawością, czy może utożsamia się choć trochę z opowieścią, lecz tylko dużo mrugał, bez uśmiechu czy widocznego smutku. Pod tym względem przypominał Williego. Kiedy czytałam mojemu bratu, rozszerzały mu się oczy w każdym magicznym momencie.

Sama tak się wciągnęłam w tę historię, że nie usłyszałam, jak Dorian weszła do pokoju i stanęła obok. Dopiero po chwili wyczułam jej obecność. Zamilkłam i popatrzyłam na nią znad książki. Uśmiechnęła się i bez słowa wyszła. Chłopiec ponaglił mnie spojrzeniem, żebym wróciła do lektury. Doczytałam do końca i zamknęłam książkę.

– To była jedna z ulubionych bajek mojego brata – powiedziałam. Kiwnął głową, jak gdyby wiedział. – Chcesz, żebym jeszcze kiedyś ci poczytała?

Tym razem uśmiechnął się szeroko i z entuzjazmem kiwnął głową.

– Ktoś ci przedtem czytał, prawda?

Zamrugął gwałtownie, jakby miał się rozplakać albo wybuchnąć, więc szybko wstałam.

– Ale nie będę nazywała cię Williamem – zastrzegłam. – To nie jest twoje prawdziwe imię i dobrze o tym wiesz. Tak miał na imię mój brat. – Zerknęłam na książkę. – Nazwę cię Księciem Piro.

Leciutko się uśmiechnął, choć zarazem wyglądał, jakby zbierało mu się na płacz.

– Idę na dół nakryć do stołu – oznajmiłam. – Jesteś głodny?

Przytaknął skinieniem głowy.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Powiedz mi, czy jeśli wyzdrowiejesz, chciałbyś wrócić tam, gdzie mieszkałeś? – zapytałam.

Oczy rozszerzyły mu się gwałtownie i zdecydowanie pokręcił głową.

Uśmiechnęłam się w duchu. Kiedy inni go o to pytali, milczał. Już odniosłam sukces.

Dowiedziałam się, że pamięta. I nie chce mieć z tamtym miejscem nic wspólnego.

Teraz muszę się postarać, aby mi zdradził, gdzie to było.

15

Kiedy weszłam do jadalni, Myra instruowała jedną z nowych pokojówek, jak nakrywać do stołu. Przerwała serię poleceń i odwróciła się do mnie z szerokim uśmiechem – jackpotowym, jak go nazywała. Ale nic nie powiedziała. Nie musiała. Dobrze znałam to spojrzenie. Zawsze tak patrzyła, kiedy była ze mnie dumna.

– Przyniosę naczynia. – Poszłam do kuchni. Starłam się udzielać w domu, choć mieliśmy całe zastępy służby. Już jako dziecko pomagałam mamie przy śniadaniu, a najbardziej lubiłam przy kolacji. I teraz te znane od lat czynności, które niegdyś z nią wykonywałam, za każdym razem budziły ciepłe wspomnienia.

Faith wyprostowała się nad miską i ona również obdarzyła mnie uśmiechem na specjalne okazje. Wstydziałam się sama przed sobą, że taka byłam wcześniej wściekła. Zakąski już leżały na tacy. Podniosłam ją.

– Zupełnie jak w święta – powiedziałam z podziwem, bo wyjątkowo się postarała.

– Moja babcia mawiała: „Dziecko, nic tak nie pocieszy strapionej duszy, jak dobra strawa”. A mamy tutaj trochę strapionych dusz – dodała.

Zaniosłam tacę do jadalni i pod czujnym okiem Myry rozstawiłam zakąski na stole, niczym figury na szachownicy. Wprawdzie uczyła pokojówkę, jak ma rozkładać na stole zastawę i sztucce, ale nic nie umknęło jej uwadze. W pewnym momencie nowa nieszczęsnica położyła widelec do sałatek zamiast widelca obiadowego. Dla Myry to była zbrodnia najcięższego kalibru.

– Nie, nie! Nie widzisz, że różnią się wielkością?

– Przepraszam – powiedziała dziewczyna. Nie miała więcej niż dwadzieścia lat. Pasją Myry było również składanie serwetek, które wsuwano w pierścienie z monogramem Arnoldów. Z przykrością patrzyłam na zaczerwienioną, spłoszoną pokojówkę, która starała się, jak mogła. Jej mękę przerwało wejście dziadka.

Uśmiechnął się na mój widok z taką samą aprobatą jak wcześniej Myra i Faith. Najwyraźniej Dorian zdążyła już rozpowiedzieć, że zastała mnie u otrutego chłopca.

– Mógłbym dzisiaj zjeść konia z kopytami – zażartował, zacierając ręce.

– Już prędzej świnie – odparła Myra, a dziadek wybuchnął głośnym śmiechem, odrzucając głowę do tyłu. Takiej eksplozji radości nie widziałam u niego od śmierci Williego.

Nowa pokojówka miała minę, jakby trafiła na służbę do domu Szalonego Kapelusznika z *Alicji w Krainie Czarów*. Z pochyloną głową szybko podreptała za Myrą do kuchni. Dziadek wpatrywał się we mnie swoim stalowym wzrokiem, który zapowiadał surową reprimendę.

– Dokąd pojechałaś dzisiaj na rowerze? – zaczął.

Ze sposobu, w jaki czekał na moją odpowiedź, odgadłam, że już wie. Być może spotkał jedną z mam, które siedziały z dziećmi na placu zabaw.

– Pojechałam na plac zabaw przy Jefferson Street.

Nie odpowiedział; wyraźnie czekał na ciąg dalszy. Jeśli wiedział, że tam byłam, musiał też wiedzieć z kim. A ja nie zamierzałam kłamać.

– Spotkałam się z Aaronem Podwellem – ciągnęłam. – Ojciec zabrał mu samochód, ale podwiózł go kolega. Nie zabroniłeś mi się z nim widywać – dodałam szybko.

– A gdybym zakazał, czy byś posłuchała?

– Nie. – Wstrzymałam oddech, spodziewając się ataku furii, ale ku mojemu zdumieniu stalowe spojrzenie złagodniało. Choć trzeba przyznać, że więcej było w nim rezygnacji niż tolerancji.

– Widać, czyja krew płynie w twoich żyłach. Gdy miałem do czynienia z twoją babką i matką, czułem się mniej więcej tak skuteczny, jak kierowca dwunastokołowego tira, pędzącego bez hamulców w dół po Diabelskim Odcinku.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, weszła Dorian. Dziadek obrócił się ku niej z uśmiechem, w którym była specjalna akceptacja, coś więcej niż tylko uznanie pracodawcy dla dobrej pracownicy.

– Przygotuję mu tacę – powiedziała. – Lepiej niech dzisiaj zje u siebie. Posiedzę z nim.

Dziadek kiwnął głową, ale chyba maskował rozczarowanie. Dorian obdarzyła mnie promiennym uśmiechem i wyszła do kuchni. Za moment, pod bacznym spojrzeniem Myry, pokojówka zaczęła serwować posiłek.

– Wracając do naszej rozmowy... – dziadek sięgnął po sałatkę – sądzę, że jeśli pozycja pana Podwella jeszcze się umocni, będę zmuszony cię poprosić, żebyś zaprosiła go na kolację któregoś wieczoru.

– Serio?

– Moja babcia mawiała, że „z Ratuszem nie wygrasz”. Moim zdaniem Ratusz i jego urzędnicy to bułka z masłem w porównaniu z kobietą, kiedy się uprze.

Uśmiechnęłam się. Teraz brzmiał jak dziadek, którego kochałam i któremu ufałam.

– Niemniej jednak, Claro Sue – wycelował we mnie widelcem – nie przestanę być dziadkiem odpowiedzialnym za swoją wnuczkę i twoim prawnym opiekunem. Pewnych zasad musimy bezwzględnie przestrzegać. Dlatego nie życzę sobie więcej takiej samowoli jak zatajanie przede mną, dokąd się wybierasz, z kim i na jak długo, rozumiano?

– Tak jest, dziadku – zapewniłam. – To się więcej nie zdarzy. Obiecuję.

Odchrząknął i przez moment jadł w milczeniu.

– Jego ojciec oszukuje w golfa, wiesz? – wytknął to z taką pretensją, jakby chodziło o zbrodnię. – Mam nadzieję, że w tym przypadku daleko padło jabłko od jabłoni i synek nie wrodził się w tatę – dodał, a potem zaczął się rozwodzić, po czym poznać prawdziwy charakter mężczyzny, kiedy się gra z nim w golfa.

Słuchałam wywodu na temat prawdziwej natury biznesowych współpracowników dziadka i lekcji, jakie dało mu życie, i wróciłam pamięcią do czasów sprzed śmierci Williego i babci Arnold. Dziadek tak samo się rozgadywał, a my udawaliśmy, że słuchamy go uważnie, aż babcia mówiła: „Daj nam odetchnąć, Williamie Arnoldzie, bo zwiędną nam uszy”.

Teraz dał nam odetchnąć, gdy podano jego ulubioną pieczoną szynkę. Jedzenie było wyborne. Babcia Faith miała rację: dobra strawa ma moc pocieszania strapionych dusz.

Kiedy zaczęłam zbierać ze stołu, zeszła Dorian z pustymi talerzami, zadowolona, że chłopiec zjadł z apetytem.

– Szybko przybiera na wadze – oznajmiła. Zwykle, kiedy mówiła o moim Księciu Piro, zwracała się do dziadka, ale dzisiaj wieści były przeznaczone także dla mnie. Przypomniała nam, że doktor Patrick pojawi się rano, a ja przypominałam obojgu, że idę do szkoły.

– Powinniśmy pomyśleć o nauczycielu dla niego – zasugerowała Dorian. – Rozmawiałam z nim o tym dzisiaj.

Interesujące, jak szybko Dorian Camden wrosła w nasz dom. Zachowywała się i mówiła jak członek rodziny, a nie wynajęta pielęgniarka, ale dziadek najwyraźniej to aprobował.

– Słusznie – przyznał. – A czy mówił coś o szkole? Ciekawe, w której był klasie?

Nastawiłam uszu, ciekawa odpowiedzi.

– Dziwnie odpowiadał, jakby...

– Jakby co? – ponaglił ją dziadek.

– Chyba uczył się w domu. – Zerknęła na mnie. – Ktoś mu czytał. Tylko tyle zdołałam się dowiedzieć.

– Interesujące – stwierdził dziadek i zwrócił się do mnie: – Podobno czytałaś mu bajkę?

– Zobaczyłam, że wziął jedną z ulubionych bajek Williego, *Jak Chłopiec Żebrak zamienił się w Księcia Piro* – wyjaśniłam.

– Aha. I dobrze mu szło czytanie?

– Nie wiem, ale umie czytać. Choć pewnie nie tak dobrze, jak Willie w jego wieku, który uwielbiał czytać sam i kiedy jemu czytano – dodałam na użytek Dorian. Uśmiechnęła się.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Miniaturowy zegar ścienny w salonie wybił godzinę. Nie wiem, czy sprawiła to moja wyobraźnia, ale wydawało się, że dom wreszcie unosi głowę, dotąd opuszczoną z żalu i żałoby. Czyżby cienie zaczęły się cofać? Czy nasz dom znów będzie prawdziwym domem?

– Jutro rozejrzę się za nauczycielem dla niego – zdecydował dziadek. – Porozmawiam z dyrektorem podstawówki. Jego żona jest księgową w Arnold Trucking.

Dziadek, mówiąc o swojej firmie, zawsze używał pełnej nazwy. Nigdy nie powiedział „moja firma”, jakby pracował dla jakiegoś innego, niewidzialnego przedsiębiorcy.

– Świetnie. Im szybciej zacznie funkcjonować jak normalne dziecko w jego wieku, tym szybciej wróci do zdrowia.

– A czy on kiedykolwiek będzie chodził? – zapytałam.

Dorian spojrzała na dziadka.

– Lekarze są dobrej myśli – odparł.

– Jest coraz silniejszy. Zobaczmy – powiedziała. Może była to cecha zawodowa, ale pielęgniarka zdawała się pełna optymizmu. – Zaniosę talerze do kuchni i wracam na górę. Muszę go dzisiaj wykapać.

W tym momencie weszła Faith i zaskoczyła nas wspaniałym ciastem gruszkowym. Potrafiła wyczarować swoje ciasta z niczego, jak mawiała babcia Arnold.

– Uczta jak w Dniu Dziękczynienia – zauważyłam.

– Co w takim razie zaserwuje nam na świąteczny obiad? – zapytał ze śmiechem dziadek.

Nie potrafiłam wykrzesać z siebie entuzjazmu dla tego święta, ale nie chciałam dopuścić, żeby mroczny nastrój zgasił promyk nadziei na lepsze jutro, który zajaśniał dla nas.

Wróciłam do siebie. Miałam coraz większe wyrzuty sumienia, że tak niegrzecznie potraktowałam Lilę, więc szybko do niej zadzwoniłam i wytłumaczyłam się, po czym opowiedziałam, jaką karę Aaron i ja dostaliśmy. Nie wspomniałam o Księżciu Piro, a Lila wyczuła, że o pewne sprawy lepiej nie pytać. Zamiast tego obgadałyśmy uczestników imprezy u Audrey, a na koniec obiecałam, że będę się z nią częściej widywać w tym tygodniu, skoro randki z Aaronem odpadają. Wolałam nie wspominać o pomysle zaproszenia go na kolację – z obawy, że ona też będzie oczekiwała zaproszenia.

Następnego ranka Aaron czekał na mnie w holu szkoły. Gorące nowiny o naszej nielegalnej sobotniej wyprawie rozprzestrzeniły się wśród naszych znajomych niczym pożar buszu. Trudno się dziwić, nie kazałam Lili składać przysięgi milczenia, a Aaron powiedział o spotkaniu paru swoim kumplom, kiedy dopytywali się, gdzie zniknął samochód. Szybko zostaliśmy sensacją dnia i najbardziej gorącą parą w szkole. Widziałam to po minach dziewczyn i słyszałam w ich głosach. Najwidoczniej sprawa naszej zażyłości z Aaronem była tak oczywista, że nikt już mnie o to nie pytał. Moje notowania u przyjaciółek poszybowały w górę. Bardzo mi się to podobało i nie miałam nic przeciwko dalszemu sławieniu naszego romansu.

Dla mnie i dla Aarona tydzień kary włókł się niemiłosiernie. Po szkole jedyną formą kontaktu był telefon i parę razy musiałam z nim gadać w obecności Lili, która przychodziła, żeby uczyć się ze mną do sprawdzianu. Oczywiście udawała, że nie słucha, ale wiedziałam, że chłonie każde słowo. W piątek Aaron miał odzyskać wreszcie auto i choć dziadek nie ponowił zaproszenia na kolację, zaczęłam robić delikatne aluzje. W następnym tygodniu przypadało bowiem Święto Dziękczynienia, a we wtorek zaczynały się ferie. Dziadek jednak nie powiedział nic konkretnego. Może dlatego, że miał

wyjatkowo pracowity tydzień i jego umysł był zajęty innymi sprawami. Pomimo to nie zaniedbywał chłopca i widziałam, że regularnie konsultuje się z doktor Patrick. Ponadto wraz z Dorian zajęli się sprawą nauczania i w rezultacie pojawiła się u nas jeszcze pani Crystal, emerytowana nauczycielka. Nie poznałam jej, gdyż wychodziła, zanim wróciłam ze szkoły, ale widziałam, że Księżę Piro z zapałem odrabia lekcje, które mu zadawała. Przyniosła mu zeszyty ćwiczeń z angielskiego, matematyki i przyrody oraz książki z listy lektur. Dorian również pomagała mu w nauce. Coraz bardziej było widać, jak ożywiły i uaktywniły go te zajęcia. Znow jadał z nami kolacje.

Stosowaliśmy się do zaleceń doktor Patrick, która prosiła, żeby nikt nie zadawał mu pytań o przeszłość ani tożsamość. Moment, w którym powiedziałam, że dla mnie będzie odtąd Księciem Piro, przyciągnął uwagę wszystkich przy stole. Patrząc na chłopca, opowiedziałam, z jakim zapałem sam czytał bajkę, a potem jej słuchał, i dodałam, że skoro Willie czasami chciał, żeby nazywano go Batmanem, on chętnie zostanie Księciem Piro.

– Prawda, Księżę Piro? – zapytałam chłopca.

Żywo skinął głową. Dziadek spojrzał na Dorian i widać było, że kupili mój pomysł. Ja też byłam zadowolona, gdyż znalazłam sposób, aby nie nazywać chłopca Williamem.

Nie wiedziałam, że dziadek konsultował z doktor Patrick sprawę zaproszenia na kolację obcej osoby, a do tego nastolatka. W czwartek po południu, gdy wróciłam ze szkoły, psychiatra czekała na mnie w salonie – w miejscu, gdzie rozmawialiśmy po raz pierwszy.

– Cześć – przywitała się. Sprawiała wrażenie znacznie bardziej odprężonej i przyjaznej niż za pierwszym razem.

– Cześć. – Po chwili wahania podeszłam do fotela dziadka. – Czy coś się stało?

– Nie, skąd, przeciwnie. Bardzo się cieszę, że się zaangażowałaś i świetnie sobie radzisz. To dowodzi twojej dojrzałości, Claro Sue. Jest wiele rzeczy w życiu, które nas drażnią i nam przeszkadzają – a sposób, w jaki sobie z nimi radzimy, rzutuje na naszą równowagę emocjonalną.

– Tak jak pani radzi sobie ze mną – zauważyłam.

Doktor Patrick zaczęła się śmiać, lecz po chwili zrobiła przeczący gest.

– Dobrze, obiecuję – dosyć tego psychiatrycznego żargonu.

– On mi nie przeszkadza, chyba że w nadmiarze. – Wzruszyłam ramionami.

I tak zamierzałam kontynuować własne, prywatne śledztwo, aby się

dowiedzieć, na ile Książę Piro rzeczywiście cierpi, a na ile udaje. Całkiem mi się to podobało i nawet zaczęłam się zastanawiać, czy nie iść na psychologię.

– Dobrze. Myślę, że się przełamiałaś i rezultaty są obiecujące. Twój dziadek wspomniał, że chciałabyś jutro zaprosić na kolację swojego chłopaka, i chodzi o to, czy William... Zaraz, jak go nazwałaś? Książę...?

– Piro. To postać z bajki, którą mu czytałam.

Uśmiechnęła się.

– Sprytnie – pochwaliła. – Błędem byłoby niedoceniecie ciebie. Wracając do sprawy, rodzi się pytanie, czy można zaryzykować kontakt naszego Księcia z nowymi, obcymi osobami, a zwłaszcza z nastolatkiem. Moim zdaniem niczym to nie grozi, przeciwnie, może się okazać bardzo pożyteczne. Jak wiesz, jestem zdecydowaną przeciwniczką wypytywania chłopca o jego przeszłość, gdyż zbyt duża presja może sprawić, że jeszcze bardziej zamknie się w sobie. Dlatego lepiej nie zadawać mu trudnych pytań. Wyłumaczysz to twojemu...

– Nazywa się Aaron. Aaron Podwell. Chodzi do klasy maturalnej i jest na tyle bystry i wrażliwy, aby zrozumieć, że pewnych kwestii nie należy poruszać, zwłaszcza w obecności mojego dziadka. Poza tym ta kolacja ma służyć raczej pojednaniu pomiędzy nim, dziadkiem a mną.

– Rozumiem.

– No właśnie, jestem buntowniczką, ale nie buntuję się bez powodu – zapewniłam z uśmiechem.

Doktor kiwnęła głową, najwyraźniej namyślając się, co powiedzieć dalej.

– Nie jest moją rolą udzielanie ci osobistych rad, ale...

– Ale?

– Jestem również kobietą, której życie było pełne rozczarowań i sukcesów, gniewu i radości.

– Nie chce mi pani chyba powiedzieć, że chodziła do psychiatry?

– Owszem. Terapia jest częścią naszej nauki i praktyki.

– Naprawdę? Fajnie, w takim razie jakiej osobistej rady pani mi udzieli? – zapytałam prowokacyjnie.

– Mam na imię Katherine.

– Katherine.

Pochyliła się ku mnie.

– Kiedy się frustrujemy, bo uważamy, że ktoś niesprawiedliwie nas potraktował, albo gniewamy się na kogoś, bo w naszym przekonaniu kocha nas mniej, niż powinien, czasami w odwecie decydujemy się na posunięcia, które

nam szkodzą. Robimy rzeczy, których normalnie byśmy nie zrobili, choć w głębi serca czujemy, że postępujemy niewłaściwie. Z pozoru może to wyglądać na pragnienie zemsty.

– Dlaczego powiedziałaś „z pozoru”? A może tak jest naprawdę?

– Wiem od twojego dziadka, że jesteś wyjątkowo odpowiedzialną młodą osobą. Dbasz o swoje rzeczy i o swoje sprawy. Nie zwlekasz z odrabianiem pracy domowej. Czulaś się odpowiedzialna za młodszego braciszka i zajmowałaś się nim po tragicznej śmierci waszych rodziców, spędzałaś z nim dużo czasu, często kosztem przyjemności, należnych swojemu wiekowi. Niewiele dziewczyn w twoim wieku zdobyłoby się na podobne poświęcenie. Dziadek jest z ciebie bardzo dumny. Powiedział, że nie dałby sobie rady bez ciebie. Zapewne ma wyrzuty sumienia, że za rzadko cię o tym zapewnia i za mało cię chwali, ale naprawdę cię ceni.

Wiedziałałam już, dokąd zmierza, i od razu wróciła irytacja, którą starałam się stłumić w sobie.

– Postąpiłam źle tylko w jednej sprawie, kiedy nie powiedziałam mu o wycieczce. Ale przecież nikogo nie zabiłam. Po co było robić z tego niemal federalne przestępstwo?

– Owszem, zgadzam się z tobą. W porównaniu z wybrykami wielu twoich rówieśników twój był raczej małego kalibru, ale może oznaczać wstąpienie na złą drogę. Lepiej jest zapobiec pewnym rzeczom, zanim będzie za późno.

– Jasne, dziś kradniesz piórniki, a jutro samochód – mruknęłam. – Stara śpiewka.

– Może jest w tym pewna przesada, ale jak mówią, zakazany owoc tylko czeka, aby go ktoś zerwał, zwłaszcza buntownik, który ma powód.

Odchyliła się na oparcie i przez chwilę przyglądałyśmy się sobie w milczeniu. Serce biło mi szybciej, ale starałam się zachować obojętną minę.

– Do mnie należy dociekanie, dlaczego ludzie robią pewne rzeczy, w moim przypadku – dzieci i młodzież. I stale odkrywam, że czasem robią coś, czego w istocie by nie chciały. Zwłaszcza nastolatki powtarzają zachowania rówieśników albo starają się dorównać innym lub – bardzo często – motorem ich poczynań jest chęć odegrania się na rodzicach. Dlatego dam ci tylko jedną radę, ale myślę, że ważną. Zawsze przed zrobieniem czegoś, czego zazwyczaj nie robisz, zastanów się najpierw, co tobą kieruje. I czy naprawdę tego pragniesz? Zachowaj nad sobą kontrolę. Nie pozwól, aby coś lub ktoś wpływał na twoje decyzje – podsumowała. Wstała z uśmiechem. – Nie jest to

łatwe przy tej burzy hormonalnej.

– Recytujesz teraz ustępy z podręcznika psychologicznego czy sama to przeżywałaś?

Wyciągnęła do mnie rękę.

– Dotknij – poprosiła. Potrząsnęłam głową ze sceptycznym grymasem. – Śmiało.

– Po co?

– Proszę.

Dotknęłam jej dłoni.

– I co?

– Czująś? Mięso i krew. Żywe ciało. Prawdziwe przeżycia – powiedziała. – Zaprosz swojego chłopaka na kolację – dodała i pożegnała się ze mną.

Patrzyłam, jak zmierza do wyjścia, a po chwili szcęknięty za nią drzwi frontowe. Musiałam przyznać, że ta kobieta założyła mi za skórę. Zgadzałam się z nią teraz – ja i Aaron postąpiliśmy lekkomyślnie. Dziadek zamartwiał się cały dzień, a ja jeszcze skakałam mu do oczu. Zrozumiałam też, że zgrzeszyłam znacznie bardziej, bo przekroczyłam z Aaronem granicę, której nie śmiałam przekroczyć z żadnym innym chłopakiem. Poszłam na całość. Czyżby doktor Patrick miała rację? Czy robiłam to wszystko z własnej woli, czy też szukałam okazji, żeby dokuczyć domownikom, którzy sprzyśięgli się przeciwko mnie? W głowie kotłowały mi się irytujące myśli, które nie dały się stłumić. I komplikowały mi życie. Łatwiej jest znieść ból, kiedy nie wiesz, że masz raka albo atak wyrostka, bo wtedy o niczym innym nie myślisz. Po co ona tu przyszła i rozgrzebuje moje blizny? – wściekłam się.

Jednak w głębi duszy wiedziałam, że powinnam jej być wdzięczna. I prawdę mówiąc, byłam. Nie musiała marnować swojego cennego czasu na rozmowę ze mną... a może dziadek jej zapłacił? Czyżbym została jej kolejną pacjentką? Nie potrzebuję... a może jednak?

Pobiegłam na górę. Czułam się fatalnie, jakbym nagle stała się własnymi rodzicami, którzy martwią się o mnie. Albo jakimkolwiek rodzicem. Przeklinałam los, że kazał mi dojrzeć szybciej, niż tego chciałam. Dawno już odeszły w przeszłość moje dziecięce śmiechy i chichoty; zniknęły wraz z niewinnym, dziecięcym ciałem. Ona miała rację. Szalejąca we mnie burza hormonów żądała bezgranicznego posłuszeństwa. Całe moje ciało przechodziło przemianę, a ja miałam wrażenie, że świat wokół mnie się rozpada. Jak nad tym zapanować? Chętnie polubiłabym nową siebie, ale bałam

się spojrzeć w lustro.

W pośpiechu wpadłam do swojego pokoju, nawet nie spojrzawszy na pokój Williego. Jak zwykle z ulgą zrzuciłam szkolny strój, jakby był brudny albo zawszony. Stałam w biustonoszu i w figach, kiedy nagle obróciłam się ku otwartym drzwiom mojego pokoju i zamarłam.

Księżę Piro podjechał na wózku i zatrzymał się w progu, wpatrzony we mnie. Zapragnęłam chwycić coś i się okryć. To było w jego twarzy i oczach, coś dziwnie dorosłego, jakby nagle ożyło wspomnienie jakiegoś seksualnego podtekstu i wypłynęło w jego pamięci. Po chwili zakłopotanie ustąpiło miejsca zaintrygowaniu.

– Wejdz – zachęciłam go. – Właśnie się przebieram po szkole.

Zawahał się, ale wjechał do środka. Nie patrzyłam w jego stronę. Zachowuj się normalnie, upomniałam siebie w myśli. Nie spłosz go. Podeszłam do szafy.

– Nienawidzę szkolnych ciuchów, wiesz? Ty musiałeś nosić mundurek? My nie, ale ten strój też jest paskudny.

Zdjęłam z wieszaka dzinsy i zerknęłam na chłopca. Był już prawie przy moim łóżku. Rozejrzał się po pokoju, po czym zatrzymał wzrok na mnie.

– Chłopcy raczej nie wchodzi do pokoju dziewczynek, kiedy się przebieramy. Nawet do swoich sióstr. Takie są zasady. Ale nie musisz wychodzić – dodałam szybko.

Pokręcił głową.

– Co? Masz siostrę? Wchodziłeś do jej pokoju, kiedy była nieubrana? – zapytałam i wstrzymałam oddech w oczekiwaniu na odpowiedź, nieruchomiejąc w niezapiętych dzinsach.

Księżę Piro kiwnął głową.

– Serio? Masz siostrę? Jak się nazywa? I gdzie jest? – zasypałam go pytaniami.

Broda mu zadrzała i zrozumiałam, że za chwilę cały zacznie się trząść.

Rany boskie! – spanikowałam. Zaraz zacznie płakać albo krzyczeć i w jednej chwili przypadnie wszystko, co udało mi się wypracować!

Dziadek znów się wścieknie. Doktor Patrick prosiła, żebym nie zadręczała chłopca pytaniami. I oczywiście wszyscy pomyślą, że zrobiłam to specjalnie.

– Czekaj! – krzyknęłam. – Mam dla ciebie podarunek!

Otworzyłam szafę i w pośpiechu wygrzebałam figurkę Supermana.

– Wiesz, kto to jest? – Potrząsnął głową. – Ulubiony bohater mojego brata. Nie znasz Supermana? Facet szybszy od pocisku w locie? Gdzieś ty się

uchował? – zapytałam bardziej siebie niż jego. – Superman potrafi latać. Jest najsilniejszy na świecie. Kule się od niego odbijają.

Położyłam mu figurkę na kolanach. Oglądał ją z zainteresowaniem.

– Opowiem ci o nim – obiecałam. – Mój brat go podziwiał. Widzisz, jaką ma pelerynę? Willie też taką miał. Wiem, gdzie ją schował. Znajdę tę pelerynę dla ciebie, żebyś mógł ją sobie nosić, chcesz?

Obrócił figurkę w palcach i kiwnął głową.

– Znajdę też komiksy Williego o Supermanie – dodałam. – I poczytam ci.

Nie uśmiechał się, ale drzenie minęło. Odetchnęłam z ulgą.

Teraz patrzył na mój biust. Z zainteresowaniem, ale już bez seksualnego podtekstu. Jego pamięć się budzi, pomyślałam. Ciekawe, jak wygląda jego siostra? Czy jest starsza od niego? A matka? Reszta rodzeństwa? Jak traktowano nagość w ich domu? Mnóstwo pytań kłębiło się w mojej głowie. Coraz bardziej byłam ciekawa tego chłopca i jego przeszłości. Chciałam odpowiedzi natychmiast.

– Zaraz się ubiorę i pójdziemy do pokoju Wil... do twojego pokoju. Poczytamy komiksy o Supermanie. Wiesz, co to jest komiks, prawda?

Znów pokręcił głową.

On jest jak z innej planety, pomyślałam. Mamy w domu kosmitę. Obcego.

Rozbawiona tą myślą, wyjęłam z szafy bluzkę i założyłam ją pod baczny spojrzeniem Księcia Piro, wyraźnie zafascynowanego wszystkim, co robiłam, i w ogóle moją osobą. Ale już mnie to nie peszyło. Przeciwnie, czułam się... ważna.

Uśmiechnęłam się do niego, chwyciłam rączki wózka i wytoczyłam go z pokoju.

Rozwiążę tę zagadkę, obiecałam sobie w duchu. Dam radę, choć ani prywatna pielęgniarka, ani dyplomowana psychiatra nie dały. Dowiem się, kim on jest. I skąd się wziął w tym szpitalu.

Warunkiem sukcesu jest dochowanie tajemnicy. Nie mogę nikomu powiedzieć.

Nie chcę, żeby ktoś próbował mnie od tego odwieść.

16

Przy kolacji Książę Piro był znacznie bardziej zafascynowany Aaronem niż mną czy kimkolwiek innym. Nie spuszczał z niego wzroku i dosłownie spijał słowa z jego ust. Aaron wiedział, że trafi pod lupę, więc przyszedł przygotowany. Nie spodziewał się jednak, że stanie się obiektem zainteresowania otrutego chłopca. Typował raczej mojego dziadka. Domyśliłam się tego już w momencie, kiedy powitałam go w drzwiach.

Do kolacji, na które zapraszał swoich współpracowników z firmy z żonami albo polityków, dziadek zakładał elegancki krawat. I oczywiście w święta. Zazwyczaj jednak siadał do stołu w sportowych marynarkach. Aaron miał na sobie ciemnoniebieską marynarkę i błękitny krawat. Na jego przegubie lśnił drogi zegarek, który widziałam u niego po raz pierwszy.

– Jak myślisz, przypadnę do gustu twojemu staruszkowi? – szepnął do mnie.

– Doskonale się prezentujesz, Aaron. A on nie jest staruszkiem – odparłam bardziej ostrym tonem, niż zamierzałam.

Uśmiechnął się niezrażony.

– Jest starszy od mojego ojca, a dla mnie nawet tata jest staruszkiem.

– Jak uważasz. – Zaprowadziłam go do jadalni, gdzie już wszyscy czekali. Kiedy Dorian skomplementowała jego zegarek, Aaron wyjaśnił, iż jest to prezent na szesnaste urodziny od dziadka i babci ze strony ojca.

– Zakładam go tylko na specjalne okazje – dodał.

Dziadek nic nie powiedział, ale sądząc z błysku w jego oku, przyjemnie mu było usłyszeć, że kolacja u nas jest dla Aarona taką specjalną okazją. Ja jednak byłam bardziej skupiona na reakcjach Księcia Piro niż dziadka. Chłopiec obserwował, jak Aaron je, i nakładał sobie to samo, a kiedy Aaron przerywał, żeby coś powiedzieć czy posłuchać czyjejś odpowiedzi, Książę Piro w tych samych momentach przestawał jeść.

Choć Dorian wiedziała, że podarowałam chłopcu figurkę Supermana, należąca do Williego, i że czytam mu komiksy o superbohaterze, nie wiedziała,

że dopytywałam się o jego rodzinę. Najwidoczniej kojarzyłam się Księżciu Piro z kimś znanym i teraz widok Aarona trącił w nim kolejną strunę wspomnień. On też musiał mu przypominać kogoś, za kim tęsknił, na przykład starszego brata albo ojca.

Aaron także zauważył, że jest pod obserwacją, choć nie dał nic po sobie poznać. Parę razy mrugnął do mnie dyskretnie, ale tak, żeby chłopiec nie widział. Wcześniej przekazałam mu prośbę doktor Patrick. Miałam nadzieję, że Aaron nie zrobi ani nie powie niczego, co mogłoby wzburzyć chłopca, nawet lekko. Uświadomiłam mu, że to mogłoby również wzburzyć dziadka. Na szczęście do niczego takiego nie doszło. Odprężyłam się po pierwszych minutach i nabrałam pewności, że wszystko pójdzie dobrze. Aaron zrobił dobre wrażenie na wszystkich. Był uprzejmy, swobodny i błyskotliwy. Skomplementował Faith za pyszne potrawy, zaklinając się, że jest o niebo lepsza od kucharza jego rodziców. Dziadek był zachwycony. Aaron potrafił oczarować każdego, toteż zaczęłam się zastanawiać, czy i mnie nie omamił swoimi sztuczkami, mówiąc mi to, co chciałam usłyszeć. Czyżbym okazała się zbyt ufna i naiwna?

Pod koniec kolacji Aaron znów mnie zadziwił, bo wykazał szczere zainteresowanie przyrządami do ćwiczeń.

– Ta dziedzina mnie fascynuje – zwrócił się do Dorian. – Medycyna sportu, terapia ruchowa, te rzeczy. Zastanawiam się nad pójściem w tym kierunku.

– Bardzo mądrze, Aaronie. To naprawdę rozwojowa dziedzina. Jeśli pan Arnold pozwoli, pokażę ci naszą salę ze sprzętem. – Zerknęła pytająco na dziadka.

– Oczywiście – powiedział, ale spojrzenie, którym zmierzył Aarona, świadczyło, że nie wierzy w szczerą intencję jego intencji. Wstrzymałam oddech. Rzeczywiście, Aaron z podejrzanym entuzjazmem podchwycił ten temat. – O ile wiem, twój tata widzi cię w swojej firmie, toteż preferowałby dla ciebie raczej szkołę biznesu, czyż nie?

– Och, tak, ciągle próbuje mnie ustawiać – przyznał z uśmiechem Aaron.

Dorian zaczęła się śmiać. Nawet Księżę Piro się rozpromienił.

– Cóż, trudno mu się dziwić. – Dziadek spochmurniał. Wiedziała, że myśli o wujku Bobbym i jego sprzeciwie wobec planów przejęcia ojcowej firmy. – Mężczyzna pracuje z myślą o rodzinie. I z poczuciem, że tworzy dla przyszłych pokoleń. Między innymi dlatego tak bardzo się stara. Pamiętaj o tym, synu. Najważniejsze jest to, co przekażesz swoim dzieciom.

Uśmiech Aarona znikł jak zdmuchnięty. Kiwnął głową i spojrzał na mnie. „Tak”, odpowiedziałam mu wzrokiem. „Dziadek to twardy zawodnik i dyplomacją wszystkiego nie załatwisz”. Ileż to razy chwalił mi się, że ma wbudowany „wykrywacz kitu”, jak to nazywał. Powinnam szepnąć Aaronowi, żeby nie brnął dalej w ten temat, bo jeszcze pogorszy sytuację.

Po kolacji dziadek przeszedł do salonu poczytać „Wall Street Journal”, a Dorian dała nam znak, byśmy udali się za nią, po czym ruszyła do sali rehabilitacyjnej, popychając przed sobą wózek z Księżciem Piro. Na miejscu Aaron zadziwił mnie wiedzą na temat sprzętu i części ciała, których rozwój miały zapewniać konkretne urządzenia. Może jego zainteresowanie było szczere? I zbyt surowo go osądziłam?

Dorian i Aarona tak pochłoneła rozmowa, że Księżę Piro i ja zaczęliśmy się nudzić. Niespodziewanie Aaron odwrócił się do chłopca i zapewnił go, że jeśli będzie pilnie słuchał wskazówek pani Camden, szybko odzyska zdrowie.

– Może wpadnę któregoś dnia i popracuję z wami? – zaproponował. – Zgadzasz się?

Księżę Piro z uśmiechem kiwnął głową. Aaron pogłębiał kontakt z chłopcem w tempie, o jakim Dorian, czy nawet ja mogłyśmy tylko marzyć. Pielęgniarka popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się pytająco.

– Problem w tym, że wy ćwiczycie, kiedy my jesteśmy w szkole – zastrzegłam.

– Och, możemy wygospodarować jakiś weekend albo dwa – zapewniła Dorian.

– Świetnie – ucieszył się Aaron. – Nie mam wiele do roboty w weekendy.

Zacisnął dłoń w pięść i przyłożył ją do dłoni chłopca. Księżę Piro wahał się przez moment, a potem przybił mu piątkę. Widziałam, że Dorian jest pod wrażeniem. Uśmiechem zasygnalizowała mi swoją aprobatę. Wszystko szło tak świetnie, że mimo woli zaczęłam się denerwować.

Później dołączyliśmy do dziadka w salonie. Tam Aaron zadziwił mnie po raz kolejny. Wcześniej mówiłam mu o Supermanie i teraz zapytał, czy mógłby poczytać Księżciu Piro komiks. Dziadek zerknął znad gazety, zaskoczony, a zarazem zachwycony pomysłem, po czym dał mi znak spojrzeniem. Chłopiec był wyraźnie podekscytowany, więc pobiegłam na górę i przyniosłam komiks z pokoju Williego.

Aaron zwierzył się Księżciu Piro, że Superman był jednym z jego ulubionych komiksowych bohaterów.

– Kiedy byłem w twoim wieku, miałem nawet pelerynę Supermana, która dawała mi moc – dodał.

Oczy Księcia Piro zrobiły się wielkie jak spodki.

– Mamy dla niego jakąś pelerynę? – zapytał dziadek.

– Zaraz przyniosę! – zawołałam, a dziadek uśmiechnął się z zadowoleniem.

Potem opowiedział nam o siłaczach, których spotkał w życiu. Oczywiście rozwodził się też na temat Jimmy’ego i ciężarów, jakie dźwiga podczas prac w posiadłości. Aaron mrugnął do mnie i zaczął zachwalać Księciu Piro komiks, który przyniosłam, jako jeden z najlepszych.

Oj, żeby nie przedobrzył, pomyślałam z obawą. Dziadek zaraz się połapie i będzie wściekły. A po wyjściu Aarona wezwie mnie do gabinetu i powie, że syn okazał się takim samym palantem jak ojciec.

Na szczęście moje obawy były niesłuszne. Dziadek i Dorian usiedli z boku i obserwowali, jak Aaron czyta chłopcu, pokazuje mu obrazki i opisuje akcję z takim zapałem, jakby sam był Supermanem. Z zachwyconej miny Dorian mogłam się domyślić, że jej zdaniem to najlepszy wieczór chłopca w tym domu. Czy podzielał jej entuzjazm?

Wreszcie Dorian uznała, że chłopiec powinien już iść do łóżka.

Księżę Piro wciąż się nie odzywał i nikt o nic go nie wypytywał, ale kiedy wózek pchany przez Dorian potoczył się w stronę windy, odwrócił się do Aarona.

– Dziękuję! – zawołał, ściskając w rękach komiks.

Mnie nigdy nie dziękował. Przeniosłam spojrzenie z Aarona na dziadka Arnolda, który uśmiechał się z takim samym zadowoleniem jak wtedy, kiedy Willie zrobił coś, co mu się podobało. A potem popatrzył z uznaniem na Aarona.

Z nich wszystkich ja miałam najbardziej zaskoczoną minę. Aaron nie miał młodszego brata, toteż nie podejrzewałam go o tak dobre podejście do dzieci. Tymczasem doktor Patrick słusznie sądziła, że nawiąże świetny kontakt z Księciem Piro. Nie tylko dlatego, że obaj są chłopakami. Doszłam do wniosku, że ona wie znacznie więcej o otrutym chłopcu, niż mi powiedziała. Co by oznaczało, że coś usłyszała i podzieliła się swoją wiedzą tylko z dziadkiem i Dorian. Nabrałam podejrzeń, że zatajają przede mną informacje. To nie w porządku. Czyżbym była najmniej ważnym mieszkańcem tego domu? Kiedy spojrzałam na Aarona, wydało mi się, że nawet on wie więcej.

Podejrzienia i złość zbiły się w ciasną kulę gniewu, która zaczęła się

rozpalać i narastać. Nagle poczułam się wyrzucona poza nawias.

– Pokażę Aaronowi swój pokój, dobrze, dziadku? – spytałam.

Zastanawiał się przez moment, a potem wzruszył ramionami.

– Jasne. Zanim wyjdzie, wpadnijcie do mojego gabinetu. Myślę, że chętnie obejrzy moje fotografie i puchary. I po powrocie opowie o nich swojemu starszemu – dodał z łobuzerskim uśmiechem.

– Z chęcią je obejrzę, panie Arnold – zapewnił Aaron. – Dziękuję.

Kiedy doszliśmy do szczytu schodów, zatrzymał się, by obejrzeć windę inwalidzką.

– Pierwszy raz widzę coś takiego – wyznał. – Ojciec zastanawiał się, czy zamontować taką windę dla mojej babci, ale w końcu kupił jej parterowy dom.

Nie odezwałam się, dopóki nie weszliśmy do mojego pokoju. Obejrzeliliśmy się na drzwi. Mają być zamknięte?

– Możesz je zamknąć – zachęciłam.

Aaron się zawahał.

– To chyba nie spodoba się twojemu dziadkowi.

– Och, daj spokój, Aaronie Podwellu! – zawołałam z irytacją i pchnęłam drzwi, które zamknęły się z hukiem. – Doprawdy, nie musisz się martwić o swoją przyszłość. Zostaniesz gubernatorem albo inną szyczą.

Uśmiechnął się niepewnie.

– Czemu tak mówisz?

– Jesteś urodzonym politykiem, śliskim jak marznący deszcz na szosie – wyjaśniłam, posługując się jednym z powiedzonek Myry.

Jego uśmiech zgasł, chyba się obraził. Albo udawał urażonego. Trudno mi było rozstrzygnąć.

– Chciałem dla ciebie jak najlepiej – zaprotestował. – Pragnąłem cię zadowolić. Myślisz, że lubię nosić garnitur? Nawet mama była w szoku, kiedy zobaczyła, w jakim stroju wychodzę. To mój rodzinny kaftan bezpieczeństwa. Jak możesz, Claro Sue?! Samo wiązanie krawata zajęło mi dwadzieścia minut.

Mówiąc to, opadł na krzesło z takim rozpędem, jakbym wbiła go w siedzenie młotem. A jednak mgiełka podejrzliwości nie chciała się rozwiać.

– Nie wiedziałam, że interesuje cię medycyna sportowa i tym podobne rzeczy. Skąd nagle taka fascynacja? – indagowałam.

– Dopiero niedawno zacząłem o tym myśleć. – Wstał i przez chwilę chodził po pokoju, przyglądając się moim rysunkom i plakatom. A potem usiadł na łóżku i rozluźnił krawat. – Fajna jest ta pielęgniarka. I niebrzydka. Może

zamówię ją sobie kiedyś do domu, żeby mnie fachowo wykąpała i umyła – dodał z prowokacyjnym uśmiechem. Teraz już bardziej przypominał Aarona Podwella, którego znałam ze szkolnych plotek.

Wyciągnął do mnie ramiona.

– Spokojnie, poza tobą świata nie widzę – zapewnił. – No chodź i wyluzuj. Pomogę ci zrzucić te kajdany.

Usiadłam obok niego, a on namiętnie mnie pocałował.

– Pierwszy krok do spełnienia moich marzeń – powiedział. – Fajne łóżko. – Przeciągnął dłonią po pościeli, mrużąc oczy i uśmiechając się z lubością. – Teraz łatwiej będę mógł sobie wyobrazić, jak leżysz i marzysz o mnie.

– Ty nie jesteś próżny, ty jesteś napompowany pychą – zauważyłam kąśliwie.

Roześmiał się i przesunął palce z pościeli na moją spódniczkę, po czym przesunął ją wyżej.

– Wyglądasz bardziej apetycznie niż wszystkie dzisiejsze przysmaki.

– Wyglądam lepiej niż jedzenie? Dzięki za komplement.

– Hej, usiłuję być romantyczny. Mógłbym przeżyć całe tygodnie na bezludnej wyspie o chlebie i wodzie, pod warunkiem że ty byłabyś obok.

– Cwaniaczkę, ty zawsze potrafisz uniknąć kłopotów – prychnęłam.

– Jeśli ty masz być takim kłopotem, w ogóle nie chcę go unikać. Przeciwnie.

Niespodziewanie pochylił się i pocałował wewnątrz mojego uda. Żaden inny chłopak nigdy tego nie robił. Wrażenie było piorunujące, jakby ktoś wrzątkiem oblał mi skórę. Na moment straciłam oddech. Aaron uniósł głowę, uśmiechnął się i znów mnie pocałował, ale tym razem przesunął spódnicę wyżej, by odsłonić nowy cel dla swoich ust. Wygięłam się w łuk, wspierając dłonie na łóżku. Ramiona mi osłabły, kiedy Aaron pocałował mnie po raz trzeci, znów wyżej, a kiedy opadłam na plecy, zaczął całować wewnątrz moich ud. Stłumiłam jęk, wtedy wyprostował się, a potem pochylił i zaczął całować mnie w usta, wsuwając lewą dłoń pod majtki. Ostatkiem sił próbowałam protestować, ale zamknął mi usta kolejnym, jeszcze bardziej namiętym pocałunkiem. Poczułam, że moje ciało odpręża się i mięknie.

– Nie możemy – musiałam wyduszać z siebie słowa.

– Wiem – odszepnął i delikatnie skubnął płatek mojego ucha, a potem zsunął wargi po policzku ku ustom.

Znów się całowaliśmy. Dotykał mnie i już się nie cofałam, przeciwnie, przylgnęłam do niego. Gwałtownie wciągnął powietrze, kiedy w korytarzu rozległy się kroki. Szybko wysunęłam się z objęć Aarona.

– Będę marzył o tobie w nocy – zapewnił zdławionym głosem i opadł plecami na łóżko.

Wyglądziłam spódnice i usiadłam. Kroki ucichły. Zapewne Myra albo dziadek szli do pokoju Williego.

– Przepraszam – powiedziałam.

Aaron podniósł się z westchnieniem i poszedł do łazienki. Stałam przy oknie i zapatrzyłam się na drogę, bramę i niebo nad nimi, jaśniejące gwiazdami. Za każdym razem, kiedy byłam z Aaronem, czułam, że ten moment jest coraz bliżej. Nie mogłam nie widzieć ognia w jego oczach; nie czuć pożądania, narastającego we mnie. Na jakiej podstawie decydujesz, z kim masz być? A może ktoś jeszcze czeka gdzieś na mnie i poznam go w przyszłości? Aaron za rok idzie na studia. Ale nawet jeśli teraz przysięgniemy sobie wierność, szczerze i z przekonaniem, może się wydarzyć wiele rzeczy, które zagrożą temu związkowi. Wiedziałam, że różnie w życiu bywa.

A jeśli Aaron znajdzie sobie kogoś na uczelni? I ja też? Czy temu komuś będzie przeszkadzało, że nie jestem już dziewicą? Czy osłabi to jego uczucie i zaufanie do mnie? Czy będę żałować, że kiedyś oddałam się komuś, na kim później przestało mi zależeć? Czy moja mama miała takie przemyślenia w moim wieku? Kiedy straciła dziewictwo? Z moim ojcem czy z kimś innym?

Nie mogłabym o tym porozmawiać z innymi dziewczynami, nawet z Lilą. W głębi duszy lekceważyłam ich rady. Zbyt rywalizowałyśmy ze sobą o chłopaków, choć nie chciałyśmy się do tego przyznać. Okłamywałyśmy się nawzajem, ubarwiałymy te opowieści, ile się da, żeby zyskać przewagę nad resztą. Tylko mamie mogłabym zaufać, ale jej już nie było.

Każdy uważa, że strata rodziców jest najgorszą rzeczą, jaka może ci się przydarzyć w tak młodym wieku, ale to nieprawda. Dawniej nie potrzebowałam tak mamy jak właśnie teraz, na progu dorosłości. Wyprostowałam się i wzięłam głęboki oddech. Bez względu na to, jakie decyzje podejmiesz, Claro Sue Sanders, i tak już zmieniłaś swoje życie, myślałam. Straciłaś luksus zwalania na innych odpowiedzialności za swoje postępowanie. Bo to w sumie oznacza dorosłość. Czemu tak bardzo nie możemy się jej doczekać?

Odwróciłam się, gdy usłyszałam, że Aaron wyszedł z łazienki. Wyglądał, jakby wsadził twarz pod zimną wodę, bo wilgotne miał nawet włosy.

Pokręcił głową na widok mojej zdziwionej miny.

- Czułem się jak laska dynamitu z zapalonym lontem – wyznał ze śmiechem.
- Przepraszam.
- Już dobrze. – Aaron klasnął i zatarł dłonie. – Mam plan.
- Plan?
- Czyżby wymyślił, gdzie będziemy się kochali? I kiedy?
- Plan śledztwa, głuptasie. Pomogę ci w wyjaśnieniu tożsamości chłopca, abyś jak najszybciej się go pozbyła – odpowiedział, jakby to było oczywiste. – Dlatego odegrałem przedstawienie, tam, na dole.
- Robiłeś to z premedytacją?
- Oczywiście. Myślałem, że wyczujesz, o co chodzi. Zdobyłem jego zaufanie i teraz możemy działać razem, na pewno bardziej skutecznie niż pielęgniarka i psychiatra – wyjaśnił Aaron, opierając się wygodnie o jedną z moich wielkich poduszek. – Będę się tu częściej pojawiać i pogłębiać to zaufanie. Później zaczniemy go zabierać na spacer i wycieczki. Dodatkowo zyskamy punkty za dobre serce i troskliwą opiekę. On też w to uwierzy i otworzy się przed nami.
- Sprytnie to sobie wykombinowałeś – stwierdziłam. – Nieżył z ciebie manipulator.
- A kto nie kombinuje? Pewnie nawet ten chłopiec. Prawda?
- Tego się nie dowiemy.
- Aaron się uśmiechnął.
- A widzisz? Już cię wkręcił.
- Wcale mnie nie wkręcił. Doktor Patrick twierdzi, że w tym wieku dziecko jest pozbawione wyrachowania, a ona przecież wie, co mówi.
- Nie wierz w to. Ja w jego wieku już skutecznie manipulowałem, zwłaszcza jeśli chodzi o urabianie mamusi czy skłonienie ojca, żeby poluzował zasady. I oczywiście wciąż manipuluję. A niby skąd tak wcześnie mam nowy samochód?
- A uczciwość? Przecież oszukujesz swoich rodziców, rodzinę.
- Nie rozumiem, co złego jest w zdobywaniu tego, na czym mi zależy? – Aaron wzruszył ramionami.
- Aby to osiągnąć, musisz ich okłamywać.
- Tak się to robi w Ameryce – odparł ze śmiechem, a potem zerknął na swój drogi zegarek i zerwał się z łóżka.
- Co jest?
- Lepiej zejdzmy na dół, żeby dziadek już mi pokazał swoje zdjęcia i trofea.

Wiem, czemu mam opowiedzieć o nich ojcu, choć oczywiście rżnę głupa.

Spojrzałam na Aarona. Na ustach igrał mu drwiący uśmiezek. Korciło mnie, aby przystać na jego plan, ale sumienie mi nie pozwalało. Księżę Piro niemal na pewno został zdradzony przez ludzi, którzy powinni go kochać i chronić. Jeśli także my wobec niego tak postąpimy, szkody będą nie do naprawienia.

Te przemyślenia pogłębiły moje poczucie winy, gdyż w całej tej sprawie zapomniałam o Williem. Choć początkowo usiłowałam pozbyć się Księcia Piro, gdyż moim zdaniem przeszkadzał nam w kultuwowaniu żałoby po moim bracie.

Aaron zapewne miał rację – razem moglibyśmy zbliżyć się do Księcia Piro bardziej niż dziadek, Dorian czy nawet doktor Patrick. Łatwo jest zwodzić dzieci, bo ich świat jest taki prosty. Dobro i zło, brzydota i piękno, gorycz i słodycz, radość i smutek – wszystko jest wyraźne, bez żadnych odcieni. Z wiekiem dopiero zaczynają rozumieć, że podział się zaciera. Białe i czarne przechodzi w szare. Wraz z utratą niewinności rodzą się niepewność i nieufność.

Nagła myśl przemknęła mi przez głowę.

Może to właśnie dzieje się z moim Księciem Piro? Może bardziej od strasznych wspomnień boi się przyszłości? I kiedy poczuje się całkowicie bezpieczny, wreszcie powie nam wszystko.

– Rozchmurz się, Claro Sue. Wyglądasz podejrzanie – ostrzegł Aaron.

Wziął mnie za rękę i wyszliśmy z sypialni. Poprowadziłam go do dziadka, któremu – mimo doświadczenia i wewnętrznego wykrywacza „kitu” – tym razem umknęło, że jest manipulowany przez młodzika.

– O, jesteście. – Dziadek był wyraźnie zaskoczony, że zjawiliśmy się tak wcześniej. – Zwiedziłeś już dom?

– Owszem, widziałem co nieco – przyznał Aaron. – Jest trochę inaczej niż u nas, gdzie pokoje gościnne leżą blisko sypialni mojej, siostry i rodziców. Co nie znaczy, że mamy dużo gości. Tata kazał zrobić napis przy bramie: „Goście i ryby w domu zaczynają śmierdzieć po trzech dniach. Benjamin Franklin”.

Dziadek się roześmiał.

– Nader mądrze. Mój gabinet jest tam. – Dziadek wstał z kanapy w salonie i pokazał na prawo. Aaron znów wziął mnie za rękę, co dziadek musiał zauważyć, i ruszyliśmy korytarzem.

Czy Aaron ma rację? Czy mój dziadek pragnie zademonstrować mu swoje trofea, popychany długoletnią obsesją rywalizacji z jego ojcem? Słyszałam, że

zamierza wystartować w wyborach na burmistrza Prescott, a jego rywalem może być właśnie tata Aarona.

Aaron tak mistrzowsko dawkował swój zachwyty, że nie sposób było odgadnąć, czy naprawdę robią na nim wrażenie fotografie dziadka, pozującego ze znanymi politykami z Wirginii, wpływowymi kongresmenami i tuzami z marynarki wojennej. Dziadek miał sporą kolekcję nagród Izby Handlowej, dyplomy, medale oraz narodową nagrodę Rady Etyki Biznesu. Miał też zdjęcia słynnych zawodników baseballu oraz fotografię swojego ulubionego aktora, Humphreya Bogarta. A na specjalnej półce pysznił się rząd nagród za najpiękniejszą posiadłość. Pokazując je Aaronowi, dziadek nie darował sobie uwagi, że ojciec Aarona nie zdobył ani jednej.

– Myślę, że wygra w tym roku – oznajmił Aaron. – Planuje ogromne zmiany wewnątrz domu i w posiadłości.

– Naprawdę? Cóż, zobaczymy.

Aaron zerknął na zegarek.

– Przykro mi, ale muszę już wracać. Siostra przyleci do nas na święto wcześniej, niż się zapowiadała, i jadę ją odebrać z lotniska. Rzadko się do tego przyznaję, ale bardzo za nią tęsknię.

– Aż tak? – Podziw dziadka dla Aarona zdawał się nie mieć granic.

– Tak, proszę pana. Dziękuję za możliwość obejrzenia pańskich wspianałych zbiorów i oczywiście za zaproszenie na kolację.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Zapraszamy ponownie!

Odprowadziłam Aarona do samochodu.

– Twój dziadek nie jest wcale takim twardzielem – powiedział, otwierając drzwi auta. – Ktoś, kto angażuje się w pomoc dla małego chłopca, musi mieć słabe punkty, Claro Sue.

– Nie doceniasz go, Aaronie. Wielu popełniło ten błąd i srodze tego potem żałowało.

Aaron się zachnął. Choć ostatnio dziadek bardzo mi się naraził, musiałam stanąć w jego obronie. I nie lubiłam go oszukiwać.

– Będę ostrożny – obiecał Aaron. – Zadzwoń do ciebie rano, żeby sprawdzić, czy po moim błyskotliwym występie zdjęto ci kajdany. Może później pojedziemy do kina albo coś razem wymyślimy.

Pocałował mnie krótko i usadowił się za kierownicą. Był napompowany własną wielkością i uznałam, że to go szpeci. W tym momencie nie wyglądał atrakcyjnie. Odprowadziłam go wzrokiem, a potem ze spuszczoną głową

zawróciłam do drzwi.

Drgnęłam na dźwięk głosu dziadka.

– Dobrze ułożony młody człowiek – stwierdził.

– Tak – bąknęłam.

– Trudno uwierzyć, że jest synem Lestera Podwella, ale czasami jabłko pada daleko od jabłoni, zwłaszcza kiedy drzewo rośnie na szczycie wzgórza. – Wiedziałam, że w tym momencie pije do wujka Bobby’ego.

– Każdy powinien być sobą, dziadku.

– Hmm – powiedział. – W każdym razie podobało mi się jego podejście do Williama. W towarzystwie innych młodych ludzi dzieciak szybciej wyzdrowieje. Kiedy poczuje się lepiej, będziecie mogli zabrać go na wycieczkę albo wymyślić jakieś atrakcje dla niego.

Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem. Śpiewał tak, jak Aaron mu zagrał. Więc czemu mnie to nie cieszyło?

– W każdym razie cofam twój szlaban, ale proszę, żeby tamta sytuacja już się nie powtórzyła. – Z tymi słowy zniknął w gabinecie.

Wróciłam na górę. Drzwi do pokoju Williego były lekko uchylone, ale w środku nie paliło się światło. Nie zajrzałam do Księcia Piro. W swojej sypialni rzuciłam się na łóżko i jak zwykle gapiłam się w sufit.

Kiedy tak leżałam, pogrążona w myślach, czułam, jak gniotący ciężar furii rozplywa się i znika. Od śmierci Williego trzymałam się kurczowo gniewu, który miał mnie ocalić. Był jak tarcza, pomagająca w obronie przed emocjami, które chciały mną zawładnąć. Nadal miałam potrzebę trzymania smutku na dystans, na odległość ramienia – a najchętniej zatrzymania go przed wejściem, za drzwiami. Znałam te odczucia, a teraz doszło do nich nowe, niepokojące: wyrzuty sumienia.

Nagłe zainteresowanie Aarona moimi problemami i jego determinacja powinny dodać mi sił, a tymczasem mnie dołowały. Zyskałam sojusznika: kogoś, komu mogłam powierzyć swoje skomplikowane emocje i rozterki, łącznie z gniewem i niechęcią. Aaron był lepszy od Lili, gdyż moja przyjaciółka w głębi duszy w ogóle nie była zainteresowana moją sytuacją. Z drugiej strony moja natychmiastowa obrona dziadka mogła otworzyć jakieś inne drzwi, których dotąd nie chciałam zauważać.

Mimo różnych pretensji do moich domowników wzdragałam się na myśl o knuciu przeciwko tym, którzy mnie kochali. Nawet przeciwko Dorian Camden. Tymczasem zdaniem Aarona spisek za plecami dziadka pomoże nam

urobić Księcia Piro i wyciągnąć z niego informacje, dzięki którym szybko stąd zniknie.

Jeśli Książę Piro zablokował w swoim umyśle pamięć o rodzinie i domu, czy też tylko udawał, że nie pamięta – jakże okropne to musiało być wspomnienie! A gdyby ludzie, którzy go skrzywdzili, przyjechali nagle pewnego dnia i zabrali go tylko dlatego, że ja i Aaron podstępem przywróciliśmy mu pamięć? I dziadek byłby zmuszony wydać im dziecko? Czy wtedy poczułabym się szczęśliwa i zadowolona z siebie?

Przypomniałam sobie kolejne z powiedzonek Faith: „Bóg jest w niebie, a człowiek u siebie”. Kiedyś przypadkiem usłyszałam, jak Myra pyta, co to właściwie znaczy, a Faith bez zastanowienia odparła: „Pan Bóg patrzy na nas z góry, ale nie schodzi na dół, żeby wskazać nam prawdziwą drogę. Musimy ją sami znaleźć, świadomi, że On nas widzi”.

Myra nie odpowiedziała. Pamiętam, że wtedy dało mi to do myślenia. Tak jak teraz.

Bóg nie pofatygował się na dół, kiedy kierowca furgonetki pędził prosto na Williego. I nawet jeśli kierowca skończy w piekle, mojemu bratu to życia nie przywróci.

I nawet gdybym z Aaronem odkryła prawdę o Księciu Piro, mój brat i tak nie wróci.

Jego pokój znów byłby pusty.

I Bóg nic by na to nie poradził.

17

Aaron zadzwonił rano i był zaskoczony moim brakiem entuzjazmu.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się.

Tak głęboko się zamyśliłam, że usłyszałam telefon dopiero po trzecim dzwonku i moje „halo” zabrzmiało, jakbym była pod hipnozą.

– Dobrze, jestem tylko nieco zmęczona. Kiepsko spałam.

– Bo śniłaś o mnie?

– Nie. Za mało spałam, żeby śnić.

– Och, to przykre. Ale mam na to radę. Wpadnę do ciebie.

– Nie dzisiaj. Zostawiłam sobie sporo pracy domowej na ostatnią chwilę, a do tego czeka mnie pilny referat z historii. Na szczęście dziadek posiada bogatą bibliotekę.

– Faktycznie, to przepis na zepsutą sobotę. Może jednak, zanim zabierzesz się do lekcji, łykniesz trochę świeżego powietrza? Pogoda jest ładna. Zabierzemy chłopaka na wycieczkę wokół waszej posiadłości i popracujemy trochę nad nim. Co ty na to?

– Nie dzisiaj – powtórzyłam lodowato.

– Okay, rozumiem, ale liczę, że wyrwiesz się ze mną choć na chwilę. Musimy omówić plany na najbliższy czas.

– Nie sądzę. Dziadek dzisiaj wybiera się po choinkę. Dekorowanie drzewka to dla nas zawsze wielkie święto. Przeważnie zajmuje nam cały dzień, do późnego wieczora. A kiedy skończymy, zjemy małą, uroczystą kolację, jako wstęp do świąt.

– U nas nie ma takiego zwyczaju. Zamawiamy i przywożą choinkę od razu udekorowaną.

– Bardzo wygodnie – stwierdziłam, choć nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak krytycznie.

– Możliwe – przyznał. – Zawsze bardziej interesowały mnie prezenty, a na drzewko prawie nie zwracałem uwagi. Ale mógłbym przyjść i pomóc

w ubieraniu waszego. Przynajmniej dowiem się, co straciłem.

Nie powiedziałam „tak”.

– Ale rozumiem, że to wasza tradycja rodzinna i wolałabyś ubierać choinkę z dziadkiem – dodał, kiedy go nie zaprosiłam.

– Owszem, tym bardziej teraz – powiedziałam.

– Jasne, nie ma sprawy. – Nawet nie starał się ukryć rozczarowania i wyraźnie dawał mi do zrozumienia, że uważa naszą tradycję za dziwactwo. – W takim razie spotkamy się jutro i zaplanujemy ferie. Bo chyba nie będziesz odrabiała lekcji także przez całą niedzielę, prawda?

– Zobaczmy.

– Zobaczmy? – Zamilkł na moment. – Czy ty nie jesteś na mnie o coś zła?

– Nie. Po prostu... potrzebuję chwili oddechu. Wiesz, sporo się działo i dzieje. Muszę wszystko spokojnie przemyśleć.

– Dobrze, więc myśl – powiedział poirytowany. – Zadzwoń później, może zmienisz zdanie. I życzę dobrej zabawy przy ubieraniu choinki.

Pożegnaliśmy się, ja przez chwilę wpatrywałam się w słuchawkę w zaciśniętej dłoni, zanim wreszcie ją odłożyłam.

Co ja wyprawiam? Która dziewczyna z mojej szkoły odtrąciłaby Aarona Podwella? Poza tym był mi bliski jak żaden inny chłopak. Skąd w takim razie moje pretensje, że próbuje mi pomóc, robiąc coś, co sama chciałam zrobić? Czemu oskarżam go za zbytnią troskę o mnie?

A może zaczynam wątpić w szczerą jego troskę? Czy słusznie podejrzewam, że wszystko, co robi Aaron, służy jednemu celowi – zdobyciu mnie i wpisaniu na listę swoich podbojów? Czy wreszcie zmądrzałam?

Dziewczyny z klasy uważały mnie teraz za dorosłą i doświadczoną, jakbym wzniosła się wysoko ponad ich poziom w dziedzinie romansów i seksu. Tak mądrą, że nie da się wykorzystać i nie popełnia błędów. Przeceniały mnie. Nie byłam specjalistką od romansów i seksu, ale też nie zamierzałam wyprowadzać ich z błędu. Przeciwnie, pochlebiało mi to. Mojemu biednemu, obolałemu ego potrzebne były takie komplementy. Rozjaśniały zasłonę mroku, która spowijała mnie coraz ciaśniej. Gdyby nie Aaron, mogłoby się to źle skończyć. Zanedbałabym naukę i swój wygląd, życie towarzyskie i w ogóle życie. Nikt by mnie za to nie winił, skoro ciągle przeżywałabym żalobę. Zapewne trafiłabym w końcu na terapię, bo postrzegałam siebie jako ulotny, rozplywający się cień. Błady cień osoby, którą byłam jeszcze niedawno. Równie dobrze mogłabym wpełznąć do grobu i dołączyć do Williego. Czy

powinam być wdzięczna Aaronowi, że pojawił się u mojego boku? Czemu w takim razie męczyła mnie jego obecność? Ten myślowy zamęt zaczął mnie denerwować.

Z drugiej strony nie powinienam się dziwić, że bezustannie zadaję sobie pytania. Kiedy dorastasz, nagle zauważasz, że życie jest skomplikowane. To musi być bolesne odkrycie dla większości młodych ludzi. Nagle zdajemy sobie sprawę, jak złudna była nasza naiwna, młodzieńcza wiara. Ja odkryłam tę prawdę wcześniej niż inne dziewczyny. Śmierć rodziców wywróciła moje życie do góry nogami, wtrąciła mnie i mojego młodszego brata do wielkiej i bezdennej otchłani, a ja zaczęłam tracić nadzieję, że z niej wyjdziemy, że kiedykolwiek jeszcze będzie nas cieszyło jedzenie, zabawa, prezenty, zwykłe czynności. Beznadzieja wciągała nas niczym czarna dziura, grożąc, że staniemy się dziećmi o pustym spojrzeniu, które zapomniały, jak się śmiać. Dziadkowie, Myra i Faith starali się, żebyśmy jak najwięcej przebywali na powietrzu, i stopniowo słońce przywróciło nas do życia. A potem, niczym jakiś gigant wpychający mi głowę w czarną toń, za każdym razem, kiedy chciałam wyjść ze studni ku słońcu, śmierć znów nas dopadała.

Po raz kolejny zaczerpnęłam powietrza po ciosie i teraz zastanawiałam się, czy znów nie ściągnę mroku na swoją głowę, zmuszając Księcia Piro do zmierzenia się ze strasliwymi wspomnieniami. A przecież sama, będąc niewiele starszą od niego, nauczyłam się, że urazy emocjonalne i psychiczne mogą być bardziej bolesne niż fizyczne. Przy czym on cierpiał ze wszystkich trzech powodów. Jak wygląda jego sen? Jakie myśli przebiegają mu przez głowę, kiedy rano otwiera oczy? Oddzielały nas ściany, ale w mroku nocy oboje krzyczeliśmy bezgłośnie.

Wyrzuciłam z głowy posępne myśli i zesłam na dół do dziadka, który czekał już na mnie, gotów jechać po choinkę. Dorian chciała dołączyć do nas z Księciem Piro, ale pojawiły się u niego jakieś kłopoty żołądkowe i uznała, że powinien zostać w łóżku.

– Nie sądzę, żeby dolegało mu coś poważnego – powiedziała. Milczała chwilę i wydawało się, że chce coś dodać, ale zrezygnowała. Pokręciła tylko głową. Może nie chciała mówić przy mnie. Trudno było się zorientować w labiryncie tej tajemnicy. Jedne zagadki rodziły drugie. Mnożyły się w tym domu niczym króliki.

– Nie martw się. Ożywi się na widok choinki – pocieszył ją dziadek Arnold.
– Mamy bombki, przybrania i jeszcze wyjmujemy kolejkę, prawda, Claro Sue?

Popatrzyłam na niego zaskoczona. Zupełnie zapomniałam o kolejowej makiecie, z pociągami, miniaturowymi domkami i ludzikami. Przywilej jej rozkładania należał do Williego, który niezwykle cenił ten świąteczny obowiązek. Nie znosił, kiedy ktoś chciał mu pomóc, nawet ja. Zresztą, czemu taka fajna zabawka miałyby się marnować w pudłach? Ja też bardzo lubiłam tę kolejkę.

– Dobrze, dziadku.

Skinął głową w kierunku Dorian. Widziałam, że milcząco porozumieli się wzrokiem, i odgadłam, że w mojej sprawie. Czy nagła chęć współpracy wzbudziła ich podejrzenia? Niechętnie, ale musiałam przyznać, że sobie zasłużyłam.

Po chwili wyruszyliśmy na polowanie na najpiękniejszą choinkę w Wirginii, jak mówił dziadek. Czułam, że zerka na mnie, usiłując odczytać moje myśli i uczucia, zwłaszcza teraz, w tym przedświątecznym czasie. Kiedy pierwszy raz po śmierci rodziców jechałam z nim i z Williem po choinkę, dziadek gadał przez całą drogę na plantację choinek i z powrotem. Nie chciał, żebyśmy zbyt długo wspominali, jak jeszcze niedawno ubieraliśmy drzewko razem z mamą i tatą. Willie zawsze pamiętał, że mama najpierw umieszczała aniołka na czubku. I w każde Boże Narodzenie mówiła nam: „Anioł ma spoglądać na nas z góry i pilnować, żebyśmy ładnie ubrali jego drzewo”.

– Nie wiem, jak to zrobimy – odezwał się nagle dziadek Arnold, zupełnie jakby głośno myślał. Jechał szybko, ale uważnie.

– Co zrobimy, dziadku? – spytałam.

– Wrócimy do życia. Za każdym razem, kiedy w naszym życiu zdarza się tragedia, kiedy odchodzą nasi bliscy, myślimy: „Czy warto dalej żyć?”. A jednak żyjemy dalej, prawda? Nie rezygnujemy.

– Ja wierzę, że mama, tata, babcia czy nawet Willie chcieliby tego – odrzekłam.

– Właśnie. Byłoby obrazą dla nich, gdybyśmy pomyśleli, że tego nie chcą. Kto wie, czy oni tam w niebie również nie mają wyrzutów sumienia?

Uśmiechnęłam się.

– Chcesz powiedzieć, że wierzysz w niebo, dziadku?

Spojrzał na mnie, a nieśmiały, ciepły uśmiech zmiękczył na moment twarde, surowe rysy. Jakby maska, którą nosił na co dzień, nagle stała się przezroczysta i pokazał się prawdziwy William Arnold.

– Wszystko jedno, chodzi o miejsce, w którym teraz są – ciągnął. – Ale nie

mów Faith, że tak powiedziałem, bo rozwali mi głowę Biblią – dodał szybko.

Mówił poważnym tonem, ale oboje się roześmialiśmy.

Dawno tego nie robiliśmy, pomyślałam. Dawno nie śmialiśmy się razem z tego samego.

Dojechaliśmy do plantacji i chodziliśmy pomiędzy rzędami drzewek w poszukiwaniu najpiękniejszego. W naszym salonie mieściła się bujna, wysoka choinka. Dziadek zawsze potrafił wypatrzeć drzewo o idealnym kształcie, a do tego wytargować korzystną cenę.

– Zawsze się targuj, kiedy coś kupujesz – poradził, kiedy włączono drzewko na pikapa, którego Jimmy używał na co dzień do transportu. – Ludzie będą cię bardziej szanować. Szkoda, że wujek Bobby nie przestrzega tej zasady. Artyści są zbyt miękcy w zderzeniu z normalnym światem.

– Bobby jest bardzo zdolny i uroczy, dziadku – zaprotestowałam. – Powinieneś być z niego dumny.

– Uroczy? Gdyby ktoś tak mnie nazwał, w nagrodę straciłby dwa przednie zęby.

– Wrr, wrr! – warknęłam i dziadek się zaśmiał.

Za moment znów spowaźniał.

– Bobby wie, że może iść własną drogą, a ja w razie potrzeby zrobię dla niego wszystko. Bo jeśli nie, babcia Lucy wstałaby z grobu i dałaby mi do wiwatu.

– I bez tej groźby, dziadku, byś zrobił, bo masz miękkie serce. Inaczej w naszym domu nie pojawiłby się otruty chłopiec – powiedziałam, myśląc o słowach Aarona.

Dziadek znów na mnie zerknął. Sądząc z miny, był w rozterce, czy zaprotestować, czy przyznać mi rację. W rezultacie nic nie powiedział i resztę drogi przebyliśmy w milczeniu. Ku naszemu zaskoczeniu przyjechał Jimmy, choć miał wolne. Pomógł nam wyładować choinkę i ustawić w salonie. Kiedy osadzali ją w stojaku, poszłam do magazynku i zaczęłam znosić stamtąd do salonu bombki, ozdoby, a potem makietę i kolejkę. Zanim zdążyliśmy się wziąć do roboty, Faith zaprosiła nas na lunch. Zjawiała się Dorian z wiadomością, że chłopiec czuje się lepiej i prawdopodobnie będzie mógł nam towarzyszyć przy ubieraniu choinki, a może nawet trochę nam pomóc.

– A czy on tego chce? – zapytałam.

– Och, jeszcze mu nie mówiłam. Pomyślałam, że po prostu zrobię mu niespodziankę. – Rzuciła dziadkowi kolejne konspiracyjne spojrzenie

i oznajmiła, że doktor Patrick podsunęła taki pomysł i prosiła o zwrócenie uwagi na zachowanie chłopca. – Przecież nie wiemy nawet, czy w jego domu była choinka – dodała Dorian.

– Ale w Świętego Mikołaja raczej wierzy – powiedziałam i zerknęłam na dziadka. – A nie w żadnego Świętego Nicka czy Świętego Williama.

Dorian uniosła brwi i znów wymienili spojrzenia. Dziadek zaskoczył mnie uśmiechem. Myślałam, że zabrzmiałam sarkastycznie, ale widocznie nie potrafiłam już ocenić własnego nastawienia.

Po kolacji dziadek przyniósł drabinę, niezbędną, by przyczepić aniołka na czubku. Dorian poszła po Księcia Piro. Ja w tym czasie rozłożyłam ozdoby na podłodze, usiłując sobie przypomnieć, w których miejscach wieszałam je rok temu.

Usłyszałam szum windy, a potem odgłosy towarzyszące przesadzaniu chłopca na drugi wózek. Odwróciłam się do drzwi w oczekiwaniu, aż wjedzie do salonu. Dziadek stał obok drabiny z aniołem w ręku. Pomyślałam, że poproszę Księcia Piro, żeby pozawieszał skrzące się kryształowe bombki na dolnych gałęziach, do których dosięgnie z wózka. W drzwiach pojawił się chłopiec. Popatrzył na dziadka, potem na drzewko i jego twarz zaczęła drżeć, jakby była zrobiona z galarety, którą ktoś poruszył.

Było jasne, że choinka wiąże się w jego pamięci z jakimś ważnym wspomnieniem i teraz jej widok przywołał dawny koszmar, jak gdyby nagły powiew wiatru cisnął mu go w twarz. Krzyknął coś, co brzmiało jak „Carry!”, i głowa odskoczyła mu do tyłu, a drzenie z twarzy przeniosło się na całe ciało. Dorian była w takim szoku, że na moment zastygła, i zaczęłam się zastanawiać, czy zdoła pomóc chłopcu.

– Co...? – zawołał dziadek.

Dorian oprzytomniała. Błyskawicznie zawróciła wózek i popchnęła ku schodom. Zanim doszli do schodów, głowa chłopca opadła bezwładnie na bok. Dorian zatrzymała się i zbadała mu puls. Oboje z dziadkiem wstrzymaliśmy oddech.

– Zemdlął w wyniku hiperwentylacji – orzekła po chwili i zaczęła wyciągać omdlałego chłopca z wózka. Dziadek chwycił go w ramiona i wszedł na schody. Niósł Księcia Piro jak małe dziecko, a Dorian szła tuż za nim.

Teraz wszyscy domownicy dowiedzieli się, że stało się coś strasznego. Myra i Faith wybiegły z kuchni, a zza ich pleców wyglądała jedna z pokojówek. Ja stałam na pierwszym stopniu schodów i patrzyłam, jak dziadek i Dorian

w pośpiechu wnoszą chłopca do pokoju.

– Co się stało? – spytała Myra.

– Nie wiem. Myśleliśmy, że sprawi mu radość ubieranie choinki, ale na widok drzewka dostał ataku hysterii.

– Biedne dziecko – powiedziała Faith.

Nikt się nie poruszył. Po prostu staliśmy i patrzyliśmy w górę.

Wreszcie u szczytu schodów pojawił się dziadek.

– Wezwałem doktora Friedmana i doktor Patrick – oznajmił. – Chłopiec dochodzi do siebie. Będzie dobrze. – Kiedy zszedł na dół, odprowadziliśmy go wzrokiem, dopóki nie zniknął w drzwiach gabinetu.

– I pomyśleć, że to na widok świątecznego drzewka – mruknęła Myra.

– Krzyknął coś, ale nie wiem, o co mu chodziło.

– A co?

– Brzmiało jak „carry”... Jedno jest pewne, choinka przypomniała mu ostatnie Boże Narodzenie, a może też i poprzednie. To musiał być jakiś koszmar – powiedziałam.

– Biedny dzieciak, strasznie udręczony. Potrzebuje mnóstwo miłości i czułości – dodała Faith.

– Aż za dużo – mruknęłam, ale mnie nie usłyszały. Wróciłam do salonu, usiadłam w fotelu i po prostu gapiłam się na zieloną choinkę i leżące obok ozdoby. Dziadek zostawił aniołka na fotelu. Miałam wrażenie, że aniołek patrzy na mnie. „I co?”, pytał. „Dalej chcesz, żeby powiedział ci wszystko, co pamięta, abyś mogła go odesłać do koszmaru, z którego przybył? Teraz to pewnie będzie łatwiejsze”.

Powiesiłam parę ozdób na choince, a resztę dnia spędziłam na składaniu makiety i uruchamianiu kolejki Williego. Ustawiałam malutkie domki i ludziki, wyobrażając sobie, że chłopiec siedzi obok mnie i pokazuje, gdzie mają być. Usłyszałam, że przyjechali doktor Friedman z doktor Patrick i od razu poszli na górę. Potem wszyscy zebrali się w gabinecie dziadka. Nie próbowałam do nich dołączyć i nie zadawałam pytań, ale cała drżałam z napięcia. Czy teraz odeślą go do szpitala albo kliniki psychiatrycznej? A może odkryli coś więcej i zawiadomią policję?

Wyobraziłam sobie, jak zajeżdżają przed dom na sygnale – radiowozy, a za nimi karetka – i chłopiec zostaje wyniesiony z domu na noszach. Cisza, jaka nastalaby potem w domu, byłaby wprost ogłuszająca. Dorian Camden spakowałaby walizki i też by znikła. Zostałby wielki, pusty dom, a tego

dziadek bał się najbardziej. Cienie zaczęłyby gęstnieć i rozpełzać się po kątach, przenikać pod drzwiami i oblepiać okna, aż zasnułyby wszystko pajęczyną żalu i rozpacz. Energia, którą odzyskał ten dom i jego mieszkańcy – także Myra, Faith oraz reszta służby – szybko by uleciała. I moje początkowe pragnienie wreszcie by się spełniło.

Wszyscy byśmy powrócili do opłakiwania Williego.

Znienawidzilibyśmy poranki, lekceważyli popołudnia, wieczory i sen.

Popłakiwalibyśmy całymi dniami, wyczekując zimy, z jej upragnionym zimnem i ponurym mrokiem. Dźwięk dzwoneczków u sań, dźwięk dziecięcego śmiechu i radość z padającego śniegu byłyby tylko bolesnymi wspomnieniami. Obronne zamkowe mury, które w wyobraźni mojej i Williego otaczały kręgiem posiadłość dziadka, zaczęłyby się kruszyć. A życie w domu zaczęłoby przypominać życie w muzeum. Mieszkalibyśmy tam, wyczekując śmierci.

Wreszcie drzwi gabinetu otwarły się i towarzystwo wyszło po radzie. Doktor Patrick skrzyła do salonu.

– Śliczna choinka – powiedziała. – Mam młodszego brata i kiedy był mały, nie mógł się doczekać, aż pozwolą mu rozstawić kolejkę. Obecnie bawi się nią nasz tata.

Uniosłam głowę, by na nią spojrzeć. Siedziałam na podłodze, usiłując sobie przypomnieć, gdzie stał każdy z miniaturowych mieszkańców miasteczka Williego.

– Robię to dla mojego brata – odparłam.

– Tak? – Znow wciągnęła na twarz swoją fachową maskę, z wszystkowiedzącym uśmiechem i z mikroskopowymi soczewkami zamiast oczu, które denerwowały mnie, bo czułam się naga pod ich spojrzeniem. Co może być bardziej osobistego niż twoje myśli i uczucia? Wyciąganie ich na światło dzienne czyni człowieka wrażliwym na ciosy, wręcz bezbronnym. To tak jakby zaufać drugiemu akrobacie podczas wyczynów na trapezie. Wisisz nad przepaścią, zdana na łaskę partnera, który ma cię pochwycić.

– I może dla chłopca na gorze – dodałam.

Wszechwiedzący uśmiech zmienił się w zwykły i ciepły.

– Tak przypuszczałam – odrzekła.

– A co z nim?

– Na razie zostaje po staremu – wyjaśniła. – Jego stan fizyczny wciąż się polepsza, jednak zdolności ruchowe szwankują, zwłaszcza chodzenie. W tym przypadku rehabilitacja postępuje bardzo powoli i obawiamy się, że chłopiec

nigdy nie uzyska pełnej sprawności.

– Czyli?

– Zdarzają się zaburzenia, takie jak dzisiejsze, które na szczęście można szybko opanować. Twój dziadek postanowił wnikliwiej zająć się tą sprawą i przyspieszył poszukiwania.

– Jego rodziców?

– W ogóle jakichkolwiek bliskich. Zapytaj go sama, a na pewno ci opowie. Cóż, muszę iść. – Już miała się odwrócić, ale dodała jeszcze: – On jest bardzo wrażliwy. Kiedy rozpracowuję jego traumy i lęki, muszę to robić z precyzją chirurga mózgu. Nie wolno mocno go naciskać. Twój chłopak zyskał zaufanie chłopca, ale on też powinien być ostrożny, rozumiesz?

Kiwnęłam głową. Pożegnała mnie uśmiechem i wyszła. Doktor Friedman i Dorian przeszli korytarzem, ale nie zajrzeli do mnie. Byli zbyt zajęci rozmową. Po chwili doktor Friedman także wyszedł, a Dorian wróciła na górę. Dziadek był w gabinecie, więc postanowiłam sama wejść na drabinę i umieścić aniołka na szczycie drzewka.

– Idealnie – usłyszałam jego głos, kiedy skończyłam. – Tylko uważaj przy schodzeniu. – Przytrzymał mi drabinę.

– Doktor Patrick do mnie zaszła – powiedziałam. – Mówiła, że już jest lepiej.

– Tak. Zamierzam spotkać się jak najszybciej z inspektorem policji, który prowadzi tę sprawę.

– Dowiedziałeś się czegoś?

Dziadek usiadł na kanapie.

– Obiecałem doktor Patrick, że nikt z nas nie będzie wypytywał chłopca o przeszłość – odparł.

– Ja też obiecałam.

– Dobrze. Oczywiście przekazujemy policji wszystko, co chłopiec sam powie. I dlatego, kiedy dzisiaj krzyknął to słowo „carry”... pomyśleliśmy, że może równie dobrze chodzić o imię kobiece – Carrie. Tak uważa doktor Patrick.

– Siostra?

– Bardzo prawdopodobne. Wspominał również o Cathy, ale potem nazwał ją mamą, więc nie jest jasne, czy chodzi o jeszcze jedną siostrę, czy jego matka ma na imię Cathy. Podobne niejasności dotyczą męskiego imienia, które może być imieniem ojca bądź starszego brata.

- On nie ma starszego brata. Wiem to – stwierdziłam.
- Nie ma takiej pewności, Claro Sue. Wspominał o Christopherze, ale może chodzi o ojca. Sprawa jest bardzo mętna.
- A jego prawdziwe imię? Czy coś się wyjaśniło? – dopytywałam się.
- Ma opory wobec wypowiedzenia swojego prawdziwego imienia. Zaś nazwisko, które podał, brzmi dziwnie.
- Jak?
- Doll.
- Doll¹? Rzeczywiście dziwne.
- Dziadek pokręcił głową.
- Nie wiem. Zdarzają się takie nietypowe nazwiska. W każdym razie przekazałem policji te informacje i mam nadzieję, że uzyskamy kolejne. A jeśli chodzi o chłopca, wszystko pozostaje po staremu.
- Dobrze, ale co z trucizną? Czy wspominał coś o tym, choćby słowem?
- Dziadek pokręcił głową.
- Nie rozumiem, przecież jednak coś mówi.
- Doktor Patrick przypuszcza, że jego umysł nie umie się pogodzić z tymi wspomnieniami i odrzuca je. On wie tylko, że jest chory.
- Zastanawiałam się przez moment.
- To by mogło oznaczać, że truł go ktoś bliski, prawda?
- Możliwe. – Urwał na moment, po czym dodał: – Podobnie uważa doktor Patrick.
- Straszne.
- Tak, było pewnie gorzej, niż przypuszczamy. – Dziadek wstał. – Jeśli chcesz, możesz zacząć ubieranie choinki. Dokończymy po kolacji, chyba że masz inne plany. W końcu jest sobota, nie?
- Nie, zostanę w domu i ubiorę choinkę. Z tobą. I zjemy naszą uroczystą kolację razem.
- Uśmiechnął się, a potem podszedł i pocałował mnie w policzek.
- Czasami mam wrażenie, że patrzę na twoją mamę i mam dwadzieścia lat mniej.
- Łzy napłynęły mi do oczu i zdławiły słowa w gardle. Patrzyłam, jak wychodzi, a potem wróciłam do rozstawiania makiety. Jak coś tak pięknego może przerazić?
- Gdzie on mieszkał?
- Co się z nim działo?

Czy na pewno chcę wiedzieć? Może lepiej pozostać w nieświadomości? Ale z drugiej strony... czy mamy prawo trzymać go z dala od rodziny?

Nawet jeśli ta rodzina go nie chciała?

Jak można nie chcieć własnego dziecka? I dlaczego nikt go nie poszukuje?

Może oni wszyscy już nie żyją?

Trudne pytania pozbawione odpowiedzi wirowały w mojej głowie i mąciły ciepły, rodzinny obraz świątecznego drzewka i miniaturowego miasteczka z pociągami. Na szczęście wspomnienie rozjaśnionej radością buzi Williego rozpędziło mroczne myśli. Robiłam to, co kochał, i czułam jego obecność u swojego boku.

Niedługo jednak wspomnienie zaczęło blaknąć jak dogasająca świeca.

Kiedy tracimy kogoś kochanego, pamięć o nim boli. Także umarłych.

Miał rację Thornton Wilder. Jego sztukę *Nasze miasto* czytaliśmy na angielskim i wszyscy – nawet chłopcy – płakali, gdy duch zmarłej Emily Webb powrócił między żywych, choć narrator jej to odradzał. Mówił, że umarli stopniowo tracą zainteresowanie światem i przechodzą do innych spraw, a pamięć tylko spowalnia ten proces. Dlatego jeśli wróci, będzie cierpiała.

Ja też muszę przejść do innych spraw.

I Księżę Piro też.

Może wyciągnie do mnie rękę, żebym wyprowadziła go z mroku w światło?

Czy zdobędę się na to?

¹ *Doll* (ang.) – lalka.

18

Myra stanęła przy mnie i z podziwem przyglądała się mojemu dziełu.

– Jak ładnie! – pochwaliła Myra. – Telefon do ciebie – dodała.

Aaron obiecał, że się odezwie. Pewnie chciał mnie zmusić do spotkania, ale nie miałam ochoty z nim gadać. Uznałam, że może poczekać do jutra.

– Pomyślałam, że widocznie tak cię pochłonęło to zajęcie, że nie słyszałaś dzwonka.

– Dzięki, Myra. – Wstałam i podeszłam do telefonu w holu, żeby odebrać.

Dzwonił jednak nie Aaron, tylko Lila. Sądząc z podekscytowania w jej głosie, nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie podniosę słuchawkę.

– Czy coś zaszło pomiędzy tobą a Aaronem? – zapytała od razu. Brakowało jej tchu, jakby biegła do telefonu.

– Czemu pytasz?

– Wybraliśmy się całą grupą do Meadows na lunch. – The Meadows była jedną z tych snobistycznych knajpek w Prescott, gdzie w soboty serwowano szwedzki stół w porze lunchu. Młodzież z okolicy od czasu do czasu się tam umawiała.

– Nikt do mnie nie zadzwonił, więc jak miałam przyjść?

– Och, bo z góry założyłyśmy, że jesteś z Aaronem.

– Jasne, rozumiem.

Wyczułam jej wahanie, bo umilkła na moment.

– Aaron się pokazał – wyrzuciła z siebie wreszcie.

– I co? – Czyżby opowiedział wszystkim, co się dzieje w moim domu? Większość przyjaciółek unikała tematu otrutego chłopca i opieki, jaką roztoczył nad nim mój dziadek. Pewnie były ciekawe, ale wolały nie pytać. Aaron mógł się stać dla nich cennym źródłem informacji i być może się popisywał. Zresztą przecież nie zastrzegłam, że ma trzymać język za zębami. Ale tak było dotąd. Teraz wolałabym, żeby milczał.

– No i od razu zaczął flirtować z Sandrą Roth. Vikki Slater ma dzisiaj dom

otwarty. Słyszałam, jak Aaron pytał Sandrę, czy będzie. Jak gdyby sugerował, że ma na niego czekać. A ty wpadniesz?

– Nie. O tym też nikt mi nie powiedział, ale to nieważne. Dzisiaj ubieram z dziadkiem choinkę, a kiedy skończymy, zjemy uroczystą kolację, jak co roku.

– My już to mamy za sobą.

– Wiesz, u nas są pewne trudności.

– Dobrze, a co z Aaronem? Skoro nie wybierasz się do Vikki, to znaczy, że się z nim nie umówiłaś?

– Jakoś to przeżyje.

– Co?

– Słuchaj, Lila, mamy poważne problemy w domu. W tym momencie życie towarzyskie jest dla mnie najmniej ważne.

– Ach, ten chłopiec, tak? Twój dziadek nadal chce go zatrzymać?

– Tak. Przynajmniej do czasu, aż tajemnica się wyjaśni. Dziadek jest w stałym kontakcie z policją. Dzięki za telefon i dobre słowo – dodałam.

– Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć.

– Czasami lepiej być głupim – odparłam gorzko.

– Dziwna jesteś czasami.

– A dziwisz się?

Zachichotała nerwowo.

– Muszę kończyć, Lila.

– Mam zadzwonić po imprezie i opowiedzieć ci, jak było? – spytała szybko.

– Baw się dobrze, Lila. Nie musisz być moim szpiegiem.

– Zadzwonię jutro – obiecała, udając, że nie słyszała ostatniego zdania.

– Jak chcesz. Pa.

Zaledwie odłożyłam słuchawkę, moja obojętność wyparowała i poczułam, że ten telefon zirytował mnie bardziej, niż sądziłam. Czy Aaron chciał mi pokazać, że jeśli będę niegrzeczna, odejdzie do innej? Zapewne liczył, że Lila albo któraś z pozostałych przyjaciółek zadzwoni do mnie z nowiną o jego flircie z Sandrą Roth. Zwłaszcza że zadbał, aby wszyscy zauważyli. Przypuszczałam, że teraz siedzi w domu i czeka, aż zadzwonię, żeby się pokajać. Jeśli tak, to sobie poczeka.

Nie kłamałam Lili. Mój krótki romans musiał się przesiąść do tyłu, jak powiedziałyby dziadek. Czasem, kiedy ważność czegoś malała, przyłoczona sprawą większej wagi, formułował swoją zasadę jeszcze surowiej: „Nie tylko musi się przesiąść do tyłu; gorzej, musi trafić do bagażnika!”.

Kontynuowałam dekorowanie drzewka. Słyszałam, jak Dorian schodzi na dół, przez parę minut kręci się po kuchni, po czym pędem wraca na górę. Nawet nie spojrzała na mnie. Miałam nadzieję, że chłopcu się nie pogorszyło. Czasami odnosiłam wrażenie, że chodzimy w tym domu po tłuczonym szkle. W każdej chwili ktoś mógł krzyknąć: „Wezwijcie lekarza, szybko!”.

Myra wróciła, żeby dotrzymać mi towarzystwa.

– Na górze wszystko w porządku? – spytałam.

– Tak. Po prostu pani Camden chciała, żeby przed snem napił się herbaty z miodem.

– Czuję w tym twoją rękę.

Myra zawsze śmiała się z siebie i swojego brytyjskiego kultu dla herbaty, która jest dobra na wszystko.

– Angielska herbatka to nasz największy wkład w światową cywilizację – żartowała. Usiadła na kanapie i zabawiała mnie historiami o tym, jak jej rodzina obchodziła święta i jak ważny był dla jej mamy świąteczny pudding, który z dumą przygotowywała i stawiała na stole. Niespodziewanie zaczęła opowiadać o swoim starszym bracie, który zmarł w czasie pierwszej wojny światowej. Rzadko o nim wspominała, nie przypuszczałam, że byli sobie tak bliscy. Udawałam, że skupiłam się na dekorowaniu choinki i słucham jednym uchem, lecz w rzeczywistości chłonięłam każde słowo. Wspominała go z takim uczuciem, jakby bardziej uważała go za drugiego ojca, a nie za brata.

– Miał niesamowite poczucie humoru i pogodne usposobienie. Jeśli ktoś go zdenerwował, posyłał mu potępiające spojrzenie, kręcił głową i odchodził. Nie potrafiłam wyobrazić go sobie na froncie. Pewnie usiłował usprawiedliwić wroga, celującego do niego z okopów. To on nauczył mnie cierpliwości. „Myro”, mawiał w chwilach mojego poirytowania, „weź głęboki oddech, policz do dziesięciu i zastanów się, czy naprawdę warto”. Nie chciałam przyjąć do wiadomości, że zginął, i wmawiałam sobie, że po prostu jeszcze nie wrócił z wojny. Aż wojna się skończyła. A ja stałam w progu i wyobrażałam sobie jego sylwetkę w głębi ulicy, jak mój brat zbliża się, może nawet kuleje, ale wraca żywy i udowadnia wszystkim, że wieść o jego śmierci była omyłką.

Nie myślałam nad tym wcześniej, ale przecież Myra również straciła brata. Oczywiście bardzo dawno temu, w zupełnie innych okolicznościach, ale waga tej straty była taka sama. Zostały nam tylko wspomnienia. Zastanawiałam się, czy po pewnym czasie zbladły, jak moje, aby po latach wrócić z całą

wyrazistością, tak jak teraz. Ona też musiała czuć się samotnie.

– Czy kiedyś byłaś zakochana? – spytałam, kiedy urwała i zanurzyła się we wspomnieniach.

– O, tak – odrzekła. – Nawet mi się oświadczył.

– Nie miałam pojęcia. – Spojrzałam na nią zaskoczona. – I co się stało?

– Grypa. Straszna grypa, nazywana hiszpanką. Epidemia wybuchła po wojnie i zabrała miliony ludzi.

– Uczyliśmy się o tym na historii. Jak miał na imię?

– Brenden. Brenden Stormfield. Był wysoki, o jasnokasztanowych włosach i rudych wąsach. I o oczach niebieskich jak twoje i twojej mamy. Jego ojciec był adwokatem. Miał siostrę o rok młodszą ode mnie, która poślubiła właściciela firmy eksportowo-importowej i zamieszkała z nim w Indiach. – Uśmiechnęła się. – To była prawdziwa ślicznotka.

– Utrzymywałyście ze sobą kontakt? Pisałyście do siebie?

– Nie. Wiesz, jacy są ludzie. Mijałyśmy się jak pociągi w nocy. Widzisz twarz w oświetlonym oknie, ale za moment znika i więcej jej nie zobaczysz. Och, ależ się rozgadałam. – Wstała. – Pójdę do kuchni, Faith ma jakiś problem z gorącą wodą. Nikt tu niczego nie naprawi, jeśli się nad nim nie stanie. A drzewko wygląda przepięknie. Brawo. Dziadek będzie z ciebie dumny.

Pospieszyła do kuchni. Ale wiedziałam, że to tylko pretekst. Po prostu poczuła się zakłopotana, gdy jej opowieść nabrała osobistego tonu. Domyśliłam się, że miała potrzebę podzielenia się swoimi przeżyciami. Żadna szkolna nauka historii nie może się równać ze świadectwem kogoś, kto przeżył dwie wojny i wielka historia działa się na jego oczach. Z wiekiem pamięć Myry przywoływała coraz więcej szczegółów – zwłaszcza kiedy opisywała bombardowania Londynu w czasie drugiej wojny światowej. Chyba uznała, że jestem już na tyle dorosła, żeby posłuchać, jak wyglądała bezlitosna walka o przeżycie. I sądziła, że podobną walkę toczę teraz, bombardowana kolejnymi nieszczęściami i rozpaczą. Taką samą walkę, jaką toczył dziadek.

Jak to dobrze, że mam Myrę, pomyślałam i z nowym entuzjazmem zajęłam się choinką. Po godzinie wrócił dziadek i tak jak zapowiedziała Myra, pochwalił moje dzieło.

– Pięknie – powiedział. – Nawet piękniej niż zwykle.

Weszła Dorian i ubiegła moje pytanie o jego wizytę na policji. Ciekawa byłam, czy powie coś przy mnie.

– Wciąż szukają nowych informacji. Sprawdzone mnóstwo policyjnych

raportów, ale żaden opis nie pasuje do Williama ani do okoliczności jego porzucenia. Dlatego postanowiłem na nowo zatrudnić detektywa. – Byłam zaskoczona, jak bardzo zależy mu na odkryciu prawdy, która powinna doprowadzić do ewentualnego powrotu Księcia Piro do rodziny.

– Czuje się znacznie lepiej – powiedziała Dorian. – Lepiej jednak będzie, jeśli zjem z nim na górze. Nadal jest bardzo rozchwiany emocjonalnie.

– Na szczęście ty jesteś przy nim, Dorian. – Uśmiechnął się dziadek.

Kiedy wyszła, dziadek podążył za nią. Słyszałam ich szepty na korytarzu.

Niewiele mi zostało do roboty. Podeszłam do drzewka, ale zanim zaczęłam wieszac ostatnie ozdoby, puściłam pociągi po torach przez maleńkie miasteczko. Kiedy dawniej ubierałam drzewko z Williem, panowała cisza taka jak teraz, gdyż byliśmy absolutnie skupieni na swojej pracy. Ale ta cisza zacieśniała naszą miłość i porozumienie. Boże Narodzenie zawsze było radosne, ale w tym roku radosny nastrój pogłębiał tylko ból w moim sercu. Czy w świąteczny poranek pod choinką będzie ziała dziura w miejscu, gdzie powinny leżeć prezenty dla Williego? Czy dziadek wypełni ją prezentami dla Księcia Piro? Miałam nadzieję, że nie. Czy jestem podła?

– Przepraszam, że ci nie pomogłem. – Wrócił dziadek i przerwał moje rozmyślenia. – Nie do wiary, ile zrobiłaś i jak pięknie wygląda drzewko.

– Dzięki pracy mogłam na chwilę zapomnieć o różnych rzeczach. W wolnym czasie śmiech walczy z łzami.

– Racja. Spróbujmy się uśmiechać – przyznał dziadek. – A przy okazji – dodał, rozglądając się, jakby szukał kogoś ukrytego za meblami czy zasłonami – gdzie jest ten twój młodzieniec? Czemu ci nie pomaga?

– On nie jest mój, dziadku. Po prostu przez pewien czas chodziliśmy ze sobą.

– Och? – Uniósł brwi. – Kiedy byłem w twoim wieku, tak krótkie chodzenie z dziewczyną oznaczało jedno – szybki ślub.

– Ale dzisiaj nie oznacza. Wytoczyłeś za duże działa – odparłam, używając powiedzenia babci Arnold, którym zawsze go usadzała. Roześmiał się i sięgnął po srebrną bombkę. Zawiesił ją i zerknął na mnie pytająco, bym potwierdziła, czy wybrał właściwe miejsce.

– Dobrze, ale pamiętaj, nie będę cię pocieszać po zawodzie miłosnym – ostrzegł. – Sto razy lepiej znam się na ciężarówkach niż na kobietach. Ciężarówki nie stroją fochów. Może Dorian będzie mogła pomóc. Myślę, że nada się do tego lepiej niż Myra czy Faith.

Rozmawialiśmy bardzo szczerze, co mnie ośmieliło.

– A jednak potrafięś uszczęśliwić Dorian – rzuciłam i wstrzymałam oddech. Czy wścieknie się na mnie?

– Ona pragnie czegoś więcej niż tylko codziennej rutyny, tak jak ja. Pod tym względem się dobraliśmy – odpowiedział szczerze.

– Rozumiem. – Czułam na sobie badawczy wzrok dziadka. Dobrze wiedział, że trudno mi było zaakceptować fakt, iż Dorian tak szybko stała się częścią naszego życia. Ale to się zmieniło. – Jest mądrą i miłą kobietą, z pewnością kimś więcej niż płatną pielęgniarką.

– Właśnie. – Kiwnął głową. Czekałam, aż powie coś więcej, ale dziadek postanowił zmienić temat. – Jestem strasznie głodny. – Żywo zatarł dłonie. – Zjesz ze mną, prawda?

– Przecież to nasza specjalna, choinkowa kolacja – powiedziałam i uśmiech dziadka się pogłębił.

Czy możliwe, że miłość i szczęście znów zagoszczą w tym domu?

– Zrobię zdjęcie – powiedział, kiedy razem szybko dokończyliśmy dekorowanie. – Drzewko Clary Sue.

– To nasza wspólna choinka, dziadku. Przecież ty ją wybrałeś, prawda?

Dziadek otoczył mnie ramieniem i przyciągnął do siebie, aby zafundować mi jeden ze swoich potężnych, firmowych uścisków. Uniósł mnie nad podłogę i pocałował w czubek głowy.

– Idę się przebrać do kolacji – oznajmił, gdy odstawił mnie z powrotem na podłogę. – Założę świąteczną koszulę, którą kiedyś dostałem od babci.

Wyłączyłam kolejkę i poszłam na górę. Drzwi Księcia Piro były otwarte. Zajrzałam do pokoju, spodziewając się Dorian, ale zobaczyłam chłopca siedzącego na wózku, plecami do drzwi. Był wpatrzony w okno. Zastanawiałam się, o czym myśli. Czy żałował, że nie może wybiegać na dwór jak Willie i inni chłopcy, w pelerynie Supermana, aby walczyć z wyimaginowanymi wrogami? A może myślał o swojej utraconej rodzinie? Czy pragnął wyjechać poza naszą bramę i dalej, do domu?

Ramiona miał lekko uniesione, jakby zimny powiew ziębił mu szyję. Zaciskał dłonie na poręczach wózka jak ktoś, kto zaraz się podniesie i stanie na nogi. Mięśnie napinały się coraz bardziej.

On naprawdę chce odejść, pomyślałam. Wstrzymując oddech, patrzyłam, co będzie dalej. Chłopiec opuścił stopy na podłogę i zaczął się prostować. Och, zrób to, ponaglałam go w myślach. Stań na nogi i zacznij powrót do domu.

Próbował. Natęzał się, pojękując z wysiłku. Wstając, był pochylony do

przodu, aż wreszcie, kiedy już prawie wysunął się z wózka, zachwiał się i runął na prawo. Upadł jak marionetka, której urwały się sznurki, jakby nie miał kości. Jęknął, ale nie krzyknął.

– Nic ci nie jest? – Ukłękłam przy nim i chwyciłam go za rękę.

Spojrzał na mnie. Jego rysy nie były ściągnięte bólem, więc na pewno nie chodziło o ból fizyczny. Widziałam w jego twarzy straszny smutek i samotność. Tak mógłby patrzeć ktoś przykuty do ściany, zamknięty w pokoju bez okien, skazany tylko na własne myśli. Nawet jego głos znikł. Usta parę razy poruszyły się bezgłośnie, a potem coś szepnęła. Pochyliłam się, żeby lepiej słyszeć.

– Cathy – usłyszałam. – Mamusia.

Wsunęłam mu rękę pod ramiona i podniosłam bez problemu, gdyż był lekki jak piórko. Delikatnie posadziłam go z powrotem na wózku. Zastanawiałam się, czy zawołać Dorian. Pewnie jest u siebie, może się kąpie i dlatego niczego nie słyszała. Postanowiłam poczekać. Ustawiłam stopy chłopca na podnóżkach wózka, przyglądałam mu czuprynę i sprawdziłam, czy się nie poobijał. Obserwował mnie w milczeniu, a potem znów znieruchomiał i wbił wzrok w okno.

Usiadłam na podłodze, oparta plecami o ścianę, i czekałam, co będzie dalej. Chłopiec spojrzał na mnie. Nie rozpłakał się.

To jest wyjątkowy moment, pomyślałam. Wykorzystaj go!

– Dokąd się wybierasz?

Popatrzył na mnie uważnie i byłam pewna, że zaraz mi odpowie. Niestety, zjawiała się Dorian.

– Co się stało? – spytała.

Chłopiec obrócił się ku niej razem z wózkiem.

– Przechodziłam i zobaczyłam, jak wstaje z wózka i upada – wyjaśniłam. – Podniosłam go i posiedziałam z nim, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku.

– Ojej. Coś cię boli, kochanie? – zapytała z przejęciem.

Pokręcił głową.

Dorian spojrzała na mnie.

– Bardzo dobrze zrobiłaś, Claro Sue – pochwaliła.

Postanowiłam dłużej nie zwlekać. Szybko podjęłam decyzję.

– Przykro mi, że widok mojej choinki tak bardzo cię wzburzył, Księżę Piro – zwróciłam się do chłopca. – Właśnie skończyłam ją ubierać i mam nadzieję, że spojrzysz na nią jeszcze raz. Może tym razem przypadnie ci do gustu.

Udekorowanie jej kosztowało mnie wiele pracy, podobnie jak ustawienie makiety z kolejką i miasteczkiem. Chętnie pokażę ci, jak tym sterować – dodałam z naciskiem. Spojrzałam wyzywająco na Dorian i wymaszerowałam z pokoju.

Czy narobiłam sobie kłopotów? Czy dziadek wpadnie tu zaraz i zrobi mi awanturę? Zamknęłam drzwi i wyciągnęłam się na łóżku. W głowie huczało mi od emocji, które domagały się nazwania. Czy powinnam się wstydić z powodu znajomości z Aaronem Podwellem? Czy wygłupiłam się, bo zbyt szybko mu uwierzyłam? Czy powinnam się wściekać, czy wstydić? A może udawać, że nic się nie stało, żeby nikt nie zobaczył, jak cierpię?

Czy dobrze się stało, że przestałam mieć wyrzuty sumienia z powodu troski o Księcia Piro? Czy zdradzam w ten sposób pamięć Williego?

Czy znajdę w sobie siłę, by znieść gniew dziadka? Czy stracę kolejną kochaną osobę, kiedy mu podpadnę?

Czy jest przestępstwem, że marzę o świętach? Czy powinnam odmówić ubierania choinki? Czy powinnam się upierać, że nikt nie ma prawa dotykać kolejki i makiety Williego? Czy nie za długo pielęgnuję pamięć o nim? Czy rodzice patrzą z góry i mają mi to za złe? A babcia Arnold?

Czy powinnam krzyczeć, czy płakać?

W bezsilnym odruchu zaczęłam walić pięściami w łóżko, a potem buntowniczo skrzyżowałam ramiona i wpatrzyłam się w sufit, nie pozwalając gniewowi zgasnąć. Już nie czekałam na dziadka z drzeniem, przeciwnie, pragnęłam, żeby się zjawił jak najszybciej. Żeby mój gniew znalazł ujście.

Rozległo się pukanie do drzwi. Milczałam. Usiadłam na łóżku i czekałam. Drzwi otworzyły się powoli i stanęła w nich uśmiechnięta Dorian.

– Co znowu? – warknęłam.

– Udało ci się – oznajmiła. – On chce zjechać na dół, żeby zobaczyć choinkę i pociągi.

Odwróciła się i odeszła. Gniew, który wrzał mi w żyłach, od razu wychłódkł. Powoli podniosłam się z łóżka i stanęłam w drzwiach. Dorian popychała wózek z Księciem Piro ku schodom, a potem ustawiła go na platformie. Kiedy znikli w dole, ruszyłam za nimi.

Dziadek też opuścił swój gabinet i udał się na dół, gdzie dołączyły do nas Myra i Faith. Dorian podprowadziła wózek do choinki, po czym zatrzymała się i czekała. Wszystkie spojrzenia były skierowane na chłopca, a on patrzył na choinkę. Wstrzymaliśmy oddech. Sekundy tykały jak zegar bomby, która zaraz

wybuchnie. Wtem dziadek dopadł ściany i podłączył lampki. Myra i Faith głośno wciągnęły powietrze, kiedy drzewko zajaśniało pięknymi kolorami.

Wysunęłam się do przodu i obserwowałam Księcia Piro. Oczy mu się rozszerzyły, kiedy zapaliły się lampki. Pochyliłam się nad makietą i włączyłam obwód. Chłopiec wyciągnął szyję i zafascynowany śledził ruch malutkiego pociągu, mknącego przez tunele, wzgórza, doliny, obok domków i przez stację. Skinęłam na Dorian, która przysunęła go bliżej. Położyłam mu sterownik na kolanach.

– Przesuwaj dźwignię, a wtedy pociąg zwolni lub przyspieszy – wyjaśniłam.
– Możesz go także zatrzymać, kiedy chcesz.

Nieśmiało ujął dźwignię i delikatnie przesunął, aby przyspieszyć bieg pociągu. Oczy zaślniły mu radością, jakiej jeszcze u niego nie widziałam. Potem zwolnił i zatrzymał lokomotywę.

– Bardzo dobrze – powiedziałam.

Uśmiechnął się i znów uruchomił pociąg. Dziadek obserwował go jeszcze chwilę, po czym skinął głową Dorian i poszedł na górę, żeby przebrać się do kolacji.

– Zostaniesz na dole i zjesz z nami przy stole, Williamie? – spytała chłopca.

Popatrzył najpierw na nią i potem na mnie. Kiwnęłam głową i on też kiwnął. Potem wrócił do zabawy z pociągiem, a Dorian posłała mi zachwycone spojrzenie.

– Zostanę z nim – powiedziałam. – A ty przyszykuj się do kolacji.

– Na pewno?

– Oczywiście.

Myra promieniała, a Faith kręciła głową z podziwem.

Usiadłam na podłodze przy torach i poruszałam ludzikami. Tak zabawiałam kiedyś Williego. Przemawiałam różnymi głosami, opowiadałam o świętach, pracy, dzieciach i rodzinach wymyślonych postaci. Księżę Piro chłonał moje przedstawienie szeroko rozwartymi oczami, dzieląc swoją uwagę pomiędzy sterowanie pociągiem i moje opowieści. Po dwudziestu minutach Dorian i dziadek zeszli na dół. Dziadek założył koszulę, o której mi mówił, ale nie to przyciągnęło moją uwagę. Strój Dorian wydał mi się dziwnie znajomy.

– Twoja sukienka – powiedziałam i wstałam. Zerknęłam na dziadka.

Kiwnął głową. Nie musiał nic więcej mówić. To była jedna z eleganckich sukienek babci Arnold.

Jak szalona rzuciłam się ku schodom. Miałam wrażenie, że ktoś zaczął

przerzucać w szybkim tempie strony rodzinnego albumu i twarze co chwila zmieniają wyraz. Przystanęłam obok pokoju Williego i przypomniałam sobie moment, kiedy dziadek z zadowoleniem patrzył na chłopca, leżącego w łóżku mojego brata; obcego chłopca, którego zainstalował w naszym domu, w pokoju Williego. Tamten szok już dawno minął. Teraz bardziej myślałam o Księżu Piro niż o sobie.

Przecież karty jego rodzinnego albumu przewracają się jeszcze szybciej niż mojego, a wszystkie twarze, które znał, już znikły albo się rozmyły. Kto wie, może on i ja bardziej przypominamy rodzeństwo, niż mi się wydawało.

Teraz pozostało już tylko czekać, jak potoczą się nasze historie.

19

Choinkowa kolacja okazała się najbardziej radosnym posiłkiem od śmierci Williego. Po raz pierwszy od dawna żadne wygłoszone zdanie nie miało w podtekście napięcia i smutku, które unicestwiały każdy uśmiech. Księżę Piro jadł za trzech i prawie się zadławił, tak się spieszył do swojej kolejki. Dziadek i Dorian przerzucali się opowieściami ze swojej przeszłości. Tak się zapamiętali w rozmowie, że czasami zapominali o innych przy stole. Dominował temat Święta Dziękczynienia i Gwiazdki, co natchnęło Dorian do wspomnień. Przy okazji zauważyłam, że ona także często wraca pamięcią do ludzi, których kiedyś kochała.

– Miłość podkreca wspomnienia – powiedziała w pewnym momencie, a dziadek się zaśmiał. Zaczęłam podejrzewać, że połączyła ich właśnie przeszłość, która pozwoliła im skierować się wspólnie ku przyszłości.

Po kolacji wróciłam do salonu i bawiłam się z Księciem Piro, jak niegdyś z Williem. Przystawiałam ludziki, którym nadałam imiona. Dorian z dziadkiem w szampańskich humorach siedzieli na kanapie. Obserwowali nas, ale widziałam, że bardziej są zainteresowani sobą. Ciągle byłam trochę zazdrosna, ale musiałam przyznać, że Dorian łagodzi charakter dziadka.

Kiedy Dorian oznajmiła, że Księżę Piro powinien już iść spać, ja też wróciłam do swojego pokoju. Zabrałam się do pracy domowej; głównie po to, żeby zająć czymś myśli, ale okazało się to niemożliwe. Nie rozumiałam, co czytam, więc po kilka razy powtarzałam te same zdania. Odłożyłam więc książki i wyjęłam papeterię.

Kochany Willie!

Wiele się zdarzyło od czasu moich odwiedzin u Ciebie na cmentarzu. Nie chciałam polubić otrutego chłopca i jak wiesz, bardzo mi się nie podobało, że nosi Twoje ubrania i bawi się Twoimi zabawkami. Z drugiej strony

pamiętam, że chętnie dzieliłeś rzeczy z przyjaciółmi. Jestem pewna, że gdybyś teraz tu był, zaprzyjaźniłbyś się z tym chłopcem.

On jest bardzo smutny i bezradny, Willie. Myślę, że tęskni za swoją rodziną, tak jak Ty mógłbyś tęsknić za dziadkiem i za mną. Dziadek znów podjął starania, żeby odnaleźć jego bliskich. Życzę chłopcu, żeby to się udało. Nikt nie powinien być rozdzielony ze swoją rodziną, prawda?

Dlatego nie gniewaj się na mnie, że zgadzam się, aby uważał mnie za swoją starszą siostrę. Wiem, że dzięki temu szybciej odzyska siły i wyzdrowieje, a może kiedyś nawet będzie chodził.

Ale przede wszystkim, Willie, jest we mnie lęk. Boję się samotności; boję się, że nikt mnie nigdy nie pokocha.

Może właśnie dlatego otruty chłopiec stał się tym, kim jest. Bo dostrzegam w nim ten sam lęk.

Clara Sue

Jak wiele razy wcześniej starannie złożyłam list i wsunęłam go do koperty, a potem wrzuciłam na stos innych w dolnej szufladzie. Położyłam się i jakimś cudem, pomimo emocjonalnej kolejki górskiej, na której pędziłam cały dzień, udało mi się zasnąć. Śniłam o mojej rodzinie w czasach, kiedy jeszcze nie nawiedził nas smutek i nikogo nie brakowało, kiedy rok w rok zbieraliśmy się w świąteczny poranek przy choince i prezentach.

Rano Faith poszła do kościoła, a ja i Myra szykowałyśmy śniadanie. Dorian, która zdążyła już umyć i ubrać Księcia Piro, zjechała z nim na dół i pomogła nam kroić owoce. Chłopiec obserwował nas z jadalni przez otwarte drzwi. Myra i Dorian smażyły naleśniki, a ja zajęłam się nakryciem stołu. Przyszedł dziadek i ucieszył się, że Księżę Piro będzie jadł z nami. Przy śniadaniu rozmawialiśmy o świątecznych dekoracjach w domu. Wszyscy zgodzili się, że powinniśmy je zrobić, ale mają być raczej skromne. Dziadek zaproponował, że przed Dniem Dziękczynienia zawiezie nas na zakupy. I zapyta lekarzy, czy chłopiec mógłby pojechać z nami.

Zastanawiałam się, co będzie, jeśli dziadek da mu kieszonkowe – czy Księżę Piro znów pomyśli o utraconej rodzinie i powie coś więcej, czy przeciwnie, jeszcze bardziej posmutnieje?

Po śniadaniu przygotowywałam się do testów, od których oderwał mnie telefon Lili. Zadzwoiła i z detalami zdała mi relację z imprezy Vikki Slater.

– Słuchaj, nie wiem, co się działo – przyznała, kiedy doszliśmy do Aarona, czyli głównego celu jej telefonu. – On i Sandra znikli na prawie godzinę, a gdy wrócili, miała minę kota, który pożarł kanarka.

– Mylisz się, to on był kotem, a ona kanarkiem – sprostowałam.

– Co? Och. – Lila zachichotała. – Przepraszam, przecież ty musisz być na niego wściekła.

– Tylko na siebie – odparłam. Nie zrozumiała, o co mi chodzi, a mnie nie chciało się tłumaczyć, zmieniłam temat i zaczęłam mówić o lekcjach. W ten sposób rozmowa szybko się skończyła.

Po odłożeniu słuchawki myślałam o Aaronie. Czy rzeczywiście powinnam mieć pretensję do siebie tylko za to, że byłam zbyt ufna i naiwna? Czy powinnam mu wybaczyć? Nie byłam dla niego miła w czasie ostatniej rozmowy. Czy przez to odepchnęłam go od siebie? Przecież to ja wysyłałam sprzeczne sygnały, bo oczekiwałam, że pomoże mi usunąć Księcia Piro z mojego życia, a potem wytykałam mu cynizm.

Aaron mógł pomyśleć, że lubię go bardziej niż innych chłopców. Przecież z żadnym z nich nie byłam tak blisko jak z nim. Tylko czy takie sytuacje już dawno mu nie spowszedniały? Jeśli zrobił to wczoraj z Sandrą, czemu związek ze mną miałby mieć dla niego znaczenie? Czy w takim razie powinnam postępować jak on i traktować seks luzacko, jako rozrywkę?

Usłyszałam kroki Dorian, więc wyjrzałam na korytarz. Wyszła z pokoju Księcia z opuszczoną głową. Sprawiała wrażenie zmęczonej, ale pod wpływem impulsu wysunęłam się z drzwi i zawołałam ją. Zatrzymała się.

– Coś się stało? – zapytała.

Kiwnęłam głową.

– Chodź. – Wyciągnęła do mnie rękę. – Porozmawiamy w moim pokoju.

Dawno nie byłam w dawnym pokoju rodziców. Od razu napłynęły wspomnienia. Dawniej, gdy byliśmy w odwiedzinach u dziadków, przybiegałam do nich rano, od razu po przebudzeniu, żeby poleżeć sobie z nimi. Cudowne chwile, kiedy miałam rodziców tylko dla siebie, zanim obudził się mój braciszek. Wtedy mogłam znów poczuć się ich jedynym dzieckiem.

Podobnie jak teraz...

– Mów – powiedziała Dorian i usiadła na klasycznym, tapicerowanym fotelu, który babcia Arnold kupiła z myślą o tej sypialni. Mama lubiła w nim siadać i czytać magazyny albo książki, zwłaszcza w deszczowe dni. – Co cię

gryzie, Claro Sue? – spytała łagodnie.

– Ile miałaś lat, kiedy straciłaś dziewictwo? – zapytałam. Obcesowość pytania, które zadałam, stojąc przed nią sztywno wyprostowana, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, niczym oskarżyciel przepytujący świadka, chyba zbiła ją z tropu. Pomyślałam, że zaraz się zdenerwuje i mnie wyprosi, ale ku mojemu zdziwieniu uśmiechnęła się do mnie.

– Kiedyś te sprawy wyglądały inaczej – odrzekła. – Nawet dziś kobiety w moim wieku są pruderyjne i tego samego wymagają od swoich córek. Niektóre wciąż żyją jedną nogą w epoce wiktoriańskiej. W każdym razie w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku miałam siedemnaście lat. Dziś trudno pewnie w to uwierzyć, ale byłam młodocianą buntowniczką i utrapieniem mamy. Kobiety uzyskały wówczas prawa wyborcze i kiełkowała już rewolucja seksualna. Randkowałyśmy i romansowałyśmy, ale przeważnie dziewczyny – w tym ja i moje przyjaciółki – nie posuwałyśmy się tak daleko, jak współczesna młodzież. Ja straciłam cnotę dopiero jako dwudziestolatka, kiedy miałam swój pierwszy, prawdziwy, gorący romans. I myślałam, że w sposób nieunikniony musi skończyć się małżeństwem.

– Ale tak się nie stało?

– Niestety, pojawiły się komplikacje. Jego rodzina naciskała, żeby znalazł sobie żonę bardziej pasującą do ich pozycji i majątku.

– I co czułaś? Że cię oszukano? Że byłaś głupia?

– Owszem, ale szybko mi przeszło, kiedy poznałam mojego przyszłego męża.

– Przeszkadzało mu, że nie jesteś dziewicą?

– Nie mówił tego, ale myślę, że tak. Moim zdaniem każdy chłopak chce być pierwszym dla swojej dziewczyny, ale na szczęście nie wpłynęło to na jego uczucia. Przyznam natomiast, iż byłam zadowolona, że posiadam już pewne doświadczenie w tej kwestii. I nie żałowałam tamtego romansu. Przeczytałam gdzieś, że romans bez seksu nie istnieje. Poza tym znałam kobiety, które trwały w cnocie, aby zachować ją do ślubu, lecz nigdy nie wyszły za mąż. I wcale nie były mniszkami. To wszystko jest skomplikowane, Claro Sue. Każda z nas musi podjąć własną decyzję, nie oglądając się na cudze doświadczenia ani rady.

– Ale skąd mam wiedzieć, czy chłopak naprawdę mnie lubi, czy tylko chce się ze mną zabawić w łóżku?

– Hm... – Zamyśliła się. – Widzisz, u nich te pragnienia mogą występować jednocześnie. Dlatego pytanie, czy on naprawdę cię lubi, nie jest zasadne.

Należałoby raczej zapytać, jak długo będzie cię lubił, zanim zaczniesz lubić inną.

– A więc nie wierzysz w Romea i Julię?

– Czekanie na tę jedną, wielką miłość? Cóż, można w to wierzyć, ale lepiej nie odrzucać po kolei wszystkich adoratorów w oczekiwaniu na dzwony, trąby czy fanfary, które nigdy nie rozbrzmiają. Zachowaj wiarę w siebie i przekonanie, że rozpoznasz tego jedyne, kiedy się pojawi.

– Rodzice mojej przyjaciółki rozwodzą się, bo jej tata zdradził mamę. A założę się, że kiedyś przysięgali sobie dożgonną miłość i naprawdę w nią wierzyli.

– Tak, to smutne. Przy czym bardziej mi szkoda tej dziewczyny niż jej rodziców. Ale przecież nie wiemy, jak wyglądał ani jak wygląda ich związek. Jak mawia Faith: „Nie sądzicie, byście nie byli sądzeni”. I pewnie ma rację. – Urwała i zmarszczyła czoło. – Ten twój chłopak, Aaron Podwell, jest bystry i wyrobiony, prawda? Taki... gładki.

– Owszem. I bardzo dumny z siebie, zauważyłaś?

Uśmiechnęła się.

– Odrobina nieufności nie zawadzi w kontakcie z kimś tak idealnym. Słuchaj wewnętrznego głosu, Claro Sue, a nie głosu jego czy innych. Jakąkolwiek decyzję podejmiesz, będzie twoja, i mam nadzieję, że okaże się dobra dla ciebie. – Zamilkła na moment. – Chyba niezbyt ci pomogłam?

– Przeciwnie, bardzo mi pomogłaś. Dziękuję.

– A ja dziękuję za zaufanie – odparła, wstając. – Zaimponowałaś mi, Claro Sue. Jesteś silniejsza, niż myślałam.

Popatrzyłam jej w oczy. Naprawdę? Wydawało się, że jest szczerą. Uścisnęła mnie serdecznie i ucałowała. W milczeniu omiotłam spojrzeniem pokój, zatrzymując je na moment na łóżku, w którym kiedyś spali rodzice. Wyobraziłam sobie, że słuchali tej rozmowy i zgadzali się ze mną. Potem wyszłam.

Resztę dnia czekałam na telefon Aarona. Zastanawiałam się, co mam powiedzieć i w jaki sposób, a potem ćwiczyłam na głos różne kwestie. Przeszłam od całkowitego wybaczenia, poprzez obojętność, do gniewu, który narastał, w miarę jak kończył się dzień, i stało się jasne, że to on oczekuje, abym do niego zadzwoniła. Być może cisza z mojej strony była dla niego dowodem, że wściekłam się z powodu Sandry, i teraz jest mu przykro i nie wie, jak się zachować. A może po prostu postanowił ze mną zerwać. Korciło

mnie, żeby zadzwonić i się przekonać. W rezultacie położyłam się z myślą, że sprawy muszą płynąć własnym nurtem i nie należy niczego przyspieszać.

Przez cały ranek podświadomie nasłuchiwałam telefonu albo sygnału z domofonu przy bramie, lecz Aaron się nie odezwał ani nie pojawił. Dziadek wcześniej wyjechał do pracy, a Dorian była zajęta Księciem Piro. Rano zawsze musiała go zbadać, a potem zrobić z nim ćwiczenia. Przypuszczałam, że potem zwiezie go do salonu, żeby pobawił się pociągami.

Im bliżej byłam szkoły, tym bardziej robiłam się nerwowa. Weszłam do budynku, po raz pierwszy od wielu dni sama, i rozejrzałam się za Aaronem. Zajrzałam do biblioteki, bo jako pierwsze miałam okienko. W środku zastałam Lilę, która plotkowała z dziewczynami. Miny, jakie zrobiły na mój widok, uświadomiły mi, że jestem dziś głównym tematem szkolnych plot. Sandra, siedząca z boku z Billym Gibsonem, powitała mnie uśmiechem pełnym satysfakcji. Staralam się udawać obojętność, co nie było łatwe, gdyż zarzucono mnie gradem pytań.

– Nie, ja i Aaron nie zerwaliśmy ze sobą, bo oficjalnie nie jesteśmy parą – tłumaczyłam. – Nie, nie zadzwonił z przeprosinami. Czemu ma przeproszać, skoro nie jest moim chłopakiem?

Jak było do przewidzenia, takie odpowiedzi nikogo nie usatysfakcjonowały, ale ponieważ nie wyglądałam na męczennicę, dziewczyny w końcu dały mi spokój. Czułam, że muszę zobaczyć Aarona. Kiedy rozległ się dzwonek i poszłam do klasy, pomyślałam, że będzie czekał na Sandrę w korytarzu, żeby ją odprowadzić, jak niedawno mnie. Nie znalazłam go. Natomiast Sandra prowadziła się z Billym, co mogło świadczyć, że są parą od tamtej sobotniej nocy. Z drugiej strony ona przyklejała się do różnych chłopców w szkole, żeby nikt nie widział jej samej.

Aarona spotkałam dopiero po drugiej lekcji. Przerwa była krótka, zaledwie dwuminutowa, ale zdążyłam zauważyć, że nie zwracał na Sandrę uwagi. A na mnie nawet nie spojrział.

Natomiast podczas lunchu, kiedy weszłam do stołówki z Lilą i Audrey, stanął za mną w kolejce, chwycił mnie za łokieć i odciągnął na stronę.

– Podoba mi się ten twój chłód – powiedział. – Jest seksowny.
– Nie czuję się seksowna, ale rozumiem, że każdy widzi to, co chce widzieć.
– Czekałem na twój telefon wczoraj – ciągnął z dziwnym jak na siebie, niepewnym uśmiechem.

– Doprawdy? – Wzięłam przykład z Myry. Gdy nasze służące albo inni

pracownicy źle wykonali swoją pracę, w milczeniu gromiła ich wzrokiem, a na jej twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień. Zaprzeczenia czy wyjaśnienia grzęzły im w gardle.

– Pomyślałem, że pewnie jesteś zajęta – mówił coraz bardziej nerwowo – więc nie chciałem ci przeszkadzać i czekałem, aż zadzwonisz w wolnej chwili. W rezultacie, kiedy się nie odzywałaś, odrobiłem wszystkie lekcje i jeszcze pouczyłem się do testu z angielskiego. Masz na mnie zły wpływ – usiłowałem obrócić wszystko w żart. – To był koszmarne weekend.

– Tak, słyszałam, że pękało ci serce – powiedziałam zjadliwie.

Zaczął się śmiać.

– Już dawno poprzysiągłem sobie, że żadna dziewczyna nie zmieni mnie w mnicha.

– O, to ci nie grozi.

– Zjedźmy razem lunch – zaproponował. – I wypalmy fajkę pokoju albo coś w tym stylu. Nie chcesz chyba, aby ludzie pomyśleli, że jesteś zazdrosna i wściekła na mnie, co?

– Nie pomyślą.

Czułam, że wszystkie spojrzenia są skierowane na nas.

– Lubię cię, Aaron – ciągnęłam. – Naprawdę. I sądzę, że będziesz porządnym człowiekiem, jeśli wreszcie zdecydujesz się, kim chcesz być i co jest dla ciebie ważne.

– Ty jesteś ważna – zapewnił szybko.

Teraz ja się zaśmiałam.

– Zapewne odniesiesz w życiu sukces, Aaron, jeszcze większy niż twój ojciec. Obawiam się jednak, że zawsze będziesz miał pewien problem.

– Jaki? – zapytał, znów spięty.

– Problem z lustrami – wyjaśniłam. Lekko ścisnęłam mu rękę i wróciłam do dziewczyn.

To było dziwne. Powinam być zdenerwowana, roztrzęsiona, wręcz bliska łez – a tymczasem czułam się starsza i silniejsza, jak ktoś, kto przeszedł pomyślnie bardzo trudną próbę, która wiele go nauczyła. Wszystko nagle stało się klarowne i zrozumiałe. Teraz wiedziałam, co jest ważne, a co nieistotne: co powinnam zrobić, a co zbyć wzruszeniem ramion. Wielu ludzi miało taką jasność, także w mojej szkole. Niektórzy dzięki temu robili wspaniałe rzeczy, a inni nie. Ich życie było zbyt perfekcyjne, zbyt miękkie. W konfrontacji z codziennymi problemami i frustracjami mogli szybko przegrać, załamać się

w starciu z okrutnym światem.

Takie myśli powinny przyjść do mnie później, kiedy znajdę dalej w dorosłość. Wiedziałam, że przyszedł za wcześnie. Nie powinnam tak szybko spoważnieć, ale nie upływ czasu zmienia człowieka, lecz wydarzenia – straty, walka, ale też szczęście i triumfy oraz odpowiedzialność, kiedy musimy decydować o sobie. Aaron miał jeszcze długą drogę przed sobą, żeby się ze mną zrównać. Ale być może on nigdy tu nie dotrze. Na razie żył przyjemnościami i nie miał cierpliwości do głębszych związków. Początkowo myślałam, że jest bardziej dorosły i wyrobiony niż ja, lecz to ja okazałam się dojrzała. Nie miałam wątpliwości, że gdyby zbliżył się do miejsca, w którym jestem obecnie, mogłabym dalej z nim chodzić i kochać się z nim. A gdybyśmy nawet zerwali, pozostalibyśmy w zgodzie i w przyjaźni.

W ułamku sekundy znalazłam się z powrotem w towarzyskim młynie moich przyjaciółek i ku ich zdumieniu wyglądałam na szczęśliwą. Według nich rozegrałam sprawę z Aaronem w wielkim stylu, który wzbudził powszechny podziw. Czułam się świetnie i nawet mój krok stał się lekki i żywy. Uważałam na lekcjach i znacznie częściej niż w ostatnich tygodniach zgłaszałam się do odpowiedzi. Chłopcy, którzy dotąd wahali się podejść, teraz zagadywali mnie na przerwach. I choć jeszcze dziesięć dni temu bym w to nie uwierzyła, teraz wyczekiwałam Dnia Dziękczynienia z niecierpliwością. A przede wszystkim Gwiazdki i wujka Bobby'ego.

Lekkość i poczucie szczęścia zadomowiły się w mojej duszy. Szkoda tylko, że doktor Patrick nie zezwoliła, aby Księżę Piro towarzyszył nam w wyprawie po prezenty. W rezultacie pojechałam z dziadkiem. Po śmierci rodziców i babci zdał się na moją pomoc, bo nigdy nie wiedział, co kupić Myrze, Faith i swojej długoletniej sekretarce, pani Mallen. Postanowił też podarować Bobby'emu nowy zegarek i prosił mnie o radę.

Przybył mu jeszcze jeden prezent – dla Dorian. Szukał dla niej czegoś praktycznego. Wyjaśniłam mu, że kobieta nie potrzebuje prezentów praktycznych, tylko pięknych. Roześmiał się i przeszliśmy do działu z biżuterią, gdzie wybrałam kolczyki z naszyjnikiem – komplet zdobiony rubinami. Pomyślałam, że rubiny pasują do jej włosów i oczu. Dziadek zapłacił bez mrugnięcia okiem.

Potem kupiliśmy zabawki dla Księcia Piro. To było bolesne, gdyż wyobrażałam sobie, że kupuję je dla Williego. Zanim wyszliśmy z domu towarowego, rozdzieliliśmy się na kilka minut, żeby kupić prezenty dla siebie

nawzajem. Dziadek dołączył do mnie z trzema pudełkami, z których jedno pochodziło od jubilera, a dwa pozostałe z działu z odzieżą.

– Muszę się przyznać, że skorzystałem z twoich rad – powiedział.

Wiedziałam, że chodzi mu o Dorian. Co będzie, zastanawiałam się, kiedy Księcia Piro zabierze jego rodzina albo wyzdrowieje i już nie będzie potrzebował pielęgniarki? Nie miałam odwagi o to zapytać. A może nie chciałam poznać odpowiedzi.

Okres pomiędzy Dniem Dziękczynienia a Gwiazdką był zawsze bardzo pracowity. Nauczyciele gonili z programem, żeby zdążyć przed feriami zimowymi, toteż zadawali nam więcej pracy domowej, testów i innych zadań. Świąteczną zabawę w szkole tradycyjnie organizował samorząd uczniowski. Każdy musiał wnieść swój wkład w budowę dekoracji. Przed tygodniem rozeszły się plotki na temat Aarona. Podobno pojechał z rodzicami do przyjaciół w Charlottesville i tam poznał jakąś dziewczynę. Wybierał się do niej w weekend, więc nie pojawi się na szkolnej zabawie. Choć trzech chłopców mnie zaprosiło – w tym wierny giermek Troya Donahue, Winston Kettner, postanowiłam iść z Lilą i udawać, że to taneczna zabawa retro z czasów, kiedy chłopcy rezerwowali taniec w karnecikach dziewczyn.

W sobotę, w ostatni weekend przed feriami, dziadek po śniadaniu zaskoczył mnie prośbą, żebym z nim gdzieś pojechała. Kiedy zapytałam dokąd, odpowiedział tylko: „Zobaczysz na miejscu”. To jeszcze wzmogło moją ciekawość i oczywiście się zgodziłam. Szybko się zorientowałam, że wiezie mnie na cmentarz. Kiedy zaparkowaliśmy, szybko ruszyłam w kierunku grobu Williego. Już po kilku krokach zobaczyłam, o co chodzi.

Na grobie stał nowy pomnik.

– Chciałem, żebyś zobaczyła go pierwsza, Claro Sue. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Poczułam ten znany, jałowy ból, który wzbierał gdzieś we mnie; zawsze tam był i zawsze go tłumiłam, pozwalał mi żyć, więc ja teraz pozwoliłam mu wypłynąć. Kiwnęłam głową i podeszłam do grobu.

Dziadek zamówił pomnik z czarnego marmuru w kształcie serca. Na jego szczycie spoczywał aniołek z rączką opuszczoną wzdłuż kamienia, jakby chciał dotknąć i pocieszyć Williego. Buzia aniołka nie była smutna. Rozjaśniał ją iście anielski uśmiech.

Na kamieniu wyryto: „William Sanders”, a pod spodem: „Willie”. Następny wiersz brzmiał: „Ukochany syn, brat i wnuk”. Poniżej znajdowały się daty.

A pod nimi jeszcze jeden wiersz.

– Faith mi poradziła – wyjaśnił dziadek.

„Kto nie przyjmie królestwa Bożego jak dziecko, nie wejdzie do niego²” – przeczytałam.

– Och, dziadku. – Łzy popłynęły mi po policzkach. – Piękne.

Otoczył mnie ramieniem i staliśmy przez chwilę w ciszy. W milczeniu dojechaliśmy do domu. Myra, Faith i nawet Dorian domyślały się, skąd wracamy. Uścisnęliśmy się wszyscy, a potem Faith zaproponowała, że nauczy mnie robić ulubione ciasto czekoladowe dziadka.

– Z Myry jest słaba kucharka, a ja wyszłam z wprawy – usprawiedliwiała się. – Dlatego potrzebuję zręcznej asystentki.

Pocziwa kobieta chciała mnie czymś zająć. Dorian uśmiechnęła się domyślnie. Muszę przyznać, że i tak nie miałabym czasu na smutki. Drugą niespodzianką dnia okazał się przyjazd wujka Bobby’ego. Zjawił się tuż przed kolacją. Wpadł do domu niczym powiew świeżego powietrza i wypełnił go swoją energią. Był radosny i podekscytowany. Jego pozycja na Broadwayu się umocniła. Tym razem dziadek, inaczej niż dawniej, z zainteresowaniem słuchał opowieści o show-biznesie i z ciekawością zadawał pytania. Rozmowa ojca i syna nabrała takiego tempa, iż miałam wrażenie, że śledzę mecz pingpongowy. Księżę Piro był nimi tak zafascynowany, że co chwila trzeba mu było przypominać o jedzeniu.

Pierwszy tydzień świątecznych ferii upłynął mi na rozmaitych rodzinnych zajęciach, przerywanych wyjazdami do miasta, spacerem wśród bożonarodzeniowych dekoracji i sklepowych wystaw. Wujek Bobby pracował nad nową choreografią, a po południu pozwalał mnie i Księżciu Piro przyglądać się, jak ćwiczy kroki i układy taneczne. Księżę był szczerze zachwycony, aż nagle, pewnego popołudnia, bez żadnej zachęty, powiedział sam z siebie: „Cathy też tańczy”, tak normalnie, jakbyśmy od dawna o niej rozmawiali.

Wujek Bobby zerknął tylko na mnie pytająco. Po rozmowach z dziadkiem i Dorian znał sprawę Księcia Piro i wiedział, jak należy postępować z chłopcem.

– Cathy to twoja siostra czy mama? – spytałam.

– Siostra – wyjaśnił.

– A gdzie ona teraz jest?

Chłopiec spojrział na mnie.

– Z Christopherem i Carrie.

Wujek Bobby przestał tańczyć.

– Ostrożnie – szepnął.

– Kim oni są?

Książę pokręcił głową, a w jego oczach zalśniły łzy. Bezradnie popatrzyłam na wujka. Jeszcze moment, a chłopiec dostanie ataku!

– Hej! – zawołał wujek Bobby. – Popatrz na to! – Zrobił piruet, wymach, potem szpagat. – Na buzię chłopca powrócił uśmiech. – I jeszcze od tyłu – dodał wuj i zademonstrował swoje umiejętności. Łzy znikły, a uśmiech się pogłębił. Odetchnęłam z ulgą.

Później opowiedziałam wszystko Dorian i spotkałyśmy się z dziadkiem w gabinecie.

– Zaraz przekażę tę informację detektywowi i policji – oznajmił. – Może wreszcie nastąpi przełom w śledztwie.

Mijały dni i nic się nie działo. Doktor Patrick odbywała kolejne sesje z Księciem Piro, ale wynikami dzieliła się tylko z dziadkiem.

– Czynimy postępy – odpowiadał krótko, kiedy dopytywałam o nowiny.

W bożonarodzeniowy poranek Święty Mikołaj przyniósł nam prezenty. Książę Piro szalał z radości i wszystko mu się podobało. Świąteczna kolacja była cudowna. Nazajutrz rano spadł pierwszy śnieg. Niewiele, ale wystarczyło, żeby wytworzył się zimowy nastrój, który tak kochał Willie. I podobnie jak mój brat, Książę Piro rwał się na dwór, żeby lepić śnieżki. Dorian ubrała go ciepło i zabrałyśmy go na krótki spacer.

Po południu wujek Bobby przyszedł do mojego pokoju, żeby się pożegnać.

– Moim zdaniem lada chwila nastąpi przełom, Claro Sue – zaczął. Wszyscy zauważyliśmy, że doktor Patrick ostatnio zwiększyła częstotliwość sesji z chłopcem. – Znakomicie sobie radzisz w tej sytuacji. Dawno nie widziałem taty tak szczęśliwego.

– To nie tylko moja zasługa – powiedziałam, a Bobby się uśmiechnął porozumiewawczo.

– Wiem. Ona jest naprawdę miła i zrobiła z niego niemalże domatora.

Wzięłam wujka za rękę.

– Wszystko tak bardzo się zmieniło, wujku Bobby. Tak mi ich brak – westchnęłam ciężko.

– Wiem. Musisz dużo pracować i starać się, żeby byli z ciebie dumni. A teraz posłuchaj – dodał z ożywieniem, zmieniając temat. – Odwiedzisz mnie

w Nowym Jorku. Rozmawiałem już o tym z dziadkiem, wyraził zgodę. Może nawet przylecicie całą trójką.

– Tak by było najfajniej.

– Ja też tak uważam.

Uścisnęliśmy się i Bobby ruszył do drzwi, lecz na moment zatrzymał się w progu.

– Pożegnanie jest niczym kurtyna, która zamyka wieczorne przedstawienie. Ale wkrótce znowu się otwiera – rzekł i skłonił się przede mną jak na scenie, nisko i z szerokim gestem, a potem przesłał mi pocałunek.

Czułam, że ma rację.

Kurtyna opadła po akcie pierwszym.

Pora na akt drugi.

[2](#) Ewangelia wg św. Marka 10, 13–16.

Epilog

Być może najbardziej magiczną rzeczą w naszym życiu jest czas. Raz płynie szybko: sekundy zlewają się w minuty, minuty w godziny, a godziny w dni, które są jak wzbierający górski strumień, torujący sobie drogę przez doliny. Wydaje się, że nic go nie zatrzyma. Wtedy pomocna bywa rutyna codziennych obowiązków. Przerwy w pracy wydłużają godziny. Oczekiwanie na następną rzecz do zrobienia przypomina czekanie na tramwaj lub autobus. Jak mawiała Faith: „Garnek, którego się pilnuje, nie wykipi”. Dobra organizacja pomaga przetrwać.

Jak na ironię, dni Księcia Piro były bardziej wypełnione od moich, więc jemu czas płynął szybciej. Przechodził płynnie od lekcji ze swoim domowym nauczycielem do zajęć rehabilitacyjnych, a w międzyczasie jadł i bawił się. Teraz Dorian częściej wyjeżdżała z nim na dwór, a kiedy byłam w szkole, dziadek zabierał oboje na przejażdżki. Kupił mu też sanki, na których Książę uwielbiał być ciągany wokół posiadłości. Często robił to Jimmy albo któryś z jego pracowników.

Książę zaokrąglił się, wzmacnił, a pewnego dnia, na początku marca, z pomocą fizjoterapeuty po raz pierwszy stanął o kulach. Wytrzymał chwilę, ale zrobienie paru kroków okazało się zbyt dużym wysiłkiem. Doktor Friedman był zadowolony z jego postępów, ale nie obiecywał, że chłopiec któregoś dnia odrzuci kule albo zdoła całkowicie obejść się bez wózka. O wchodzeniu po schodach na razie nie było mowy.

Pomagałam mu w lekcjach i od czasu do czasu czytałam mu jeszcze do poduszki. Nadal obowiązywał mnie zakaz pytania go o przeszłość. Mogła to robić tylko doktor Patrick i chyba dokonała znaczących odkryć, bo okrucy informacji docierały nawet do mnie. Jednak łamigłówka nie ułożyła się jeszcze w całość.

A przynajmniej tak sądziłam.

Z czasem zauważyłam, że dziadek jest coraz bardziej zamyślony i znacznie

więcej czasu spędza w gabinecie. Często zerkał na mnie, jakby chciał mi coś powiedzieć, ale po chwili potrząsał głową i odchodził.

Wieczorem przyszedł do mojego pokoju. Nazajutrz przypadał dzień moich siedemnastych urodzin. Wcześniej zjadłam posiłek z Myrą i Księciem Piro, bo dziadek i Dorian pojechali na kolację do lokalu. Robili to coraz częściej, ale tym razem najwyraźniej rozmawiali o mnie. Domyśliłam się, bo dziadek od razu po powrocie zapukał do moich drzwi i zajrzał nieśmiało, kiedy powiedziałam: „Wejdz”.

– Masz chwilę? – zapytał.

– Spróbuję oderwać się od matny – odparłam.

Uśmiechnął się i wszedł, cicho zamknąwszy za sobą drzwi. Pozostałam przy biurku. Dziadek usiadł na moim łóżku.

– Co się stało?

Spodziewałam się usłyszeć, że oświadczył się Dorian Camden, i gotowa byłam przyjąć nowinę entuzjastycznie. Okazało się jednak, że nie był to najważniejszy powód jego wizyty.

– Opowiem ci pewną historię – zaczął. – A potem zapytam, co twoim zdaniem powinniśmy zrobić. Jeśli nie zechcesz odpowiedzieć, nie będę naciskał. Nie musisz też od razu podejmować decyzji. Zgadzasz się?

Zamknęłam podręcznik i obróciłam się ku niemu.

– Tak, dziadku.

– Otóż była sobie kiedyś rodzina, złożona z rodziców i czwórki dzieci. Najstarszy był brat, trzynasto-, czternastoletni, potem siostra, dwunasto-, trzynastoletnia, i wreszcie bliźniaki, pięcio-, sześćoletnie, chłopiec i dziewczynka. Sprawiali wrażenie kochającej się, szczęśliwej rodziny, ale coś strasznego spotkało ich ojca i dzieci musiały wraz z matką opuścić dom. Wysiedli z pociągu gdzieś na pustkowiu, w nocy i doszli do wielkiego domu, w którym mieszkali ich dziadkowie. To, co powiem dalej, zabrzmiałoby bardzo dziwnie, ale rodzeństwo zostało zamknięte na poddaszu i przebywało tam dobrych parę lat.

– Lat?!

– Może trzy, może trochę więcej. Matka nie mieszkała tam z nimi. Przychodziła, przynosiła im prezenty, ale nigdy ich stamtąd nie zabrała.

– Jaka matka byłaby zdolna do czegoś takiego?

Dziadek kiwnął głową.

– No właśnie. Ponieważ brat i siostra opiekowali się bliźniakami, maluchy

zaczęły ich w końcu uważać za swoich rodziców.

– Ale oni byli tacy młodzi! Skąd wiedzieli, jak być rodzicami?

– Widocznie nie mieli innego wyjścia.

– I dziadkowie na to pozwalali?

– Rzeczywiście dziwne, ale tak to wygląda.

– Nie byli dumni ze swoich wnuków, nie kochali ich?

– Trudno powiedzieć, co się działo w ich głowach, Claro Sue. Wiemy tylko tyle, ile ci powiedziałem. W każdym razie jedzenie, które przynoszono dzieciom, musiało zawierać arszenik. I nie była to jednorazowa, przypadkowa dawka. Truciznę podawano długo, dawkowano ją z rozmysłem.

Dreszcz przeszedł mi po krzyżu. Na moment wstrzymałam oddech.

– Ale kto miałyby im wyrządzić taką krzywdę? Własna matka? Babcia?

– Tylko one odwiedzały dzieci i przynosiły im jedzenie. Miesiącami trwało układanie szczątkowych słów Williama w jedną całość. Wielka tu zasługa doktor Patrick, która zebrała większość informacji. Poza traumą, wynikającą z otrucia, był jeszcze niedożywiony, a takie rzeczy zapadają w pamięć dziecka.

Wiedziałam, że dziadek nie mówi tego wszystkiego po to, żeby na nowo obudzić we mnie wyrzuty sumienia z powodu niechęci do Księcia Piro.

– Co się stało z tamtymi dziećmi?

– Nie wiem. Na razie nie ma żadnych wiadomości o takiej rodzinie w naszej okolicy ani nawet stanie. Przyznam, że myślę o poszukiwaniu tych dzieci.

Wpatrywałam się w dziadka z namysłem. Zrozumiałam, że potrzebuje mojej zgody, aby nie dochodzić już dłużej tożsamości Księcia Piro. Chłopiec miałby po prostu zostać członkiem naszej rodziny.

– Nie mogę go odesłać do tamtego straszego świata, nawet jeśli ustalimy, o jaki chodzi – powiedział.

– A on sam, dziadku, czego chce?

– Myślę, że jest szczęśliwy z nami.

– A jego bracia i siostry?

– Nie wiem. Znajdą się któregoś dnia. Albo nie.

– Może otruto ich wszystkich?

– Może. A jeśli nie arszenik, mogło ich zabić więzienie.

– Czy on nie płacze za nimi, kiedy rozmawia z doktor Patrick?

– Najbardziej tęskni za swoją bliźniaczą siostrą, ale coraz słabiej. Ty stajesz się dla niego siostrą – dodał. – Bardzo mnie cieszy, że się nim zaopiekowałaś.

– Kto jeszcze o tym wie?

– Ty, ja, Dorian i oczywiście doktor Patrick.

– Myra nie?

Pokręcił głową.

– To jest wielka tajemnica?

– Owszem.

– I chcesz, żeby tak zostało?

Zacisnął usta, ale kiwnął głową.

Och, Willie, pomyślałam, teraz już naprawdę oszedłeś.

– On nie zastąpi Williego, dziadku. Nie mogę myśleć o nim jak o moim bracie, choćby nawet miał jego imię, nazwisko i wszystkie inne rzeczy.

– Oczywiście, że nie zastąpi Williego. Willie na zawsze pozostanie w naszych sercach i w myślach. A Księżę Piro, jak go nazwałaś, jest innym bytem i ma swoją własną osobowość. Po prostu Willie w pewnym sensie ma pomóc mu przystosować się do tego świata i tego życia. Pamiętaj, nie musisz mi teraz odpowiadać. Chodzi o bardzo ważną rodzinną decyzję i nie podejmę jej bez ciebie.

– A co powiedziała Dorian?

Uśmiechnął się.

– Że czas zapytać ciebie o zdanie. – Wstał.

– Chcesz ją poślubić, prawda?

– Masz coś przeciwko temu?

– Nie, jeśli nie będziesz za bardzo zwlekał – odparłam ze śmiechem.

Dziadek skinął głową na moje biurko.

– Przepraszam, że odciągnąłem cię od matmy. – Uśmiechnął się i wyszedł.

Już nie wróciłam do lekcji.

Podeszłam do okna i popatrzyłam na pokryty śniegiem krajobraz i bezlistne gałęzie drzew lśniące w świetle księżyca. Wyobraziłam sobie Williego, jak w oddali śmiga na sankach. A ja stoję u podnóża góry i czekam, aż zjedzie. Zawsze go pilnowałam.

Nie zdziwiło mnie, że starsza siostra Księcia Piro stała się dla niego ważniejsza od matki. W jakiś sposób musiałyśmy być podobne. Z opowieści dziadka wynikało, że najpierw straciła ojca, a potem właściwie także matkę, więc nie miała wyjścia, musiała błyskawicznie dorosnąć.

Czy brakowało jej brata równie mocno, jak mnie brakowało Williego?

Czy ona też pragnęła, aby jej braciszek był bezpieczny i szczęśliwy?

Czy gdyby mogła, toby mnie poprosiła: „Błagam, pozwól, żeby został twoim

tajemniczym bratem”.

– Tak – szepnęłam. – Obiecuję, że nim będzie.

Spis treści

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

Epilog